



Karen Robards



Winna

Tytuł oryginału GUILTY

Dedykuję Ci tę książkę, Christopherze, z okazji ukończenia szkoły średniej w czerwcu 2008 roku. Jesteśmy z Ciebie dumni.

Zawsze kochająca mama.

Podziękowania

Chciałabym podziękować mojemu mężowi, Douglasowi, a także synom, Peterowi, Chrisowi i Jackowi, którzy raz jeszcze przy mnie trwali; mojemu cudownemu wydawcy, Christine Pepe, za jej cierpliwość i troskę o szczegóły; mojemu agentowi, Robertowi Gottliebowi, niezmiennie poświęcającemu mi wiele czasu i ciężkiej pracy; Leslie Gelbman, Karze Welsh i pozostałym członkom zespołu z Signet; a także Stephanie Sorensen, wyśmienicie zajmującej się reklamą; oraz Ivanowi Heldowi i całej rodzinie z Putman, której jestem ogromnie wdzięczna za okazane mi wsparcie.

Rozdział 1

Sierpień 1994 roku

A gdzież ty się, do cholery, wybierasz?

W pewien parny piątek, w Baltimore, tuż po północy, piętnastoletnia Katrina Kaminski wymykała się właśnie schodami przeciwpożarowymi ceglanej, zapuszczonej kamienicy, przez ostatnie siedem miesięcy będącej jej domem. Gdy zeszła już niemal do połowy, stanęła jak wryta, słysząc nad głową wrzask.

Niech to szlag, pomyślała; właśnie chyłkiem próbowała poradzić sobie z zakazem opuszczania mieszkania podczas tego weekendu.

Mocno przytrzymując się metalowej poręczy, oblażonej z czarnej farby, spojrzała w górę wystraszona. Z okna na czwartym piętrze wychylała się jej zastępcza matka, w szlafroku rozmiar dziesięć zapiętym do góry na zamek błyskawiczny. Różowe wałki podskakiwały jej na głowie. Kobieta miała zwiotczone tłuste policzki i szyję grubą jak u krowy. Zza jej pleców wyglądały dwie inne przybrane córki - pani Coleman przyjmowała wyłącznie dziewczynki; obecnie aż pięć przebywało w jej mieszkaniu, składającym się z trzech sypialni. Dwunastoletnia LaTonya wydawała się przestraszona. Szesnastoletnia Natalie miała zadowoloną z siebie minę.

Pewnie to ta zazdrosna jędza ją wydała.

- Wychodzę! - krzyknęła Kat. Zareagowała bezczelną zuchwałością, gdyż rozgrywającą się scenę obserwowali z dołu jej

przyjaciele. Nie mogli wszakże widzieć, że dziewczynę mdli ze strachu, a serce jej bije przeraźliwie mocno.

Może lepiej wrócić...?

- No chodź, Kat! - zawołał ją Jason Winter, na którego punkcie miała kompletnego bzika.

Niezdecydowana spojrzała w dół. Siedział za kierownicą poobijanego, niebieskiego camaro, pełnego nastolatków, zaparkowanego w zaułku. Z miejsca za kierowcą Leah Oscar, najlepsza przyjaciółka Kat, wychylała się z okna, wtórując Jasonowi, a jednocześnie gorączkowo machała do Kat, jakby mówiła: „no-złóż-żeż-tutaj”. Mario Castellanos, chłopak o czarnych, kręconych włosach, jeden z najlepszych kumpli Jasona, wystawił głowę z przedniego okna po stronie pasażera i zwinawszy dłoń przy ustach, wykrzykiwał obelgi do pani Coleman, która akurat obrzucała Kat obraźliwymi epitetami.

- Uważaj! - krzyknęła Leah, wyciągając rękę w kierunku czegoś nad Kat. Jason także wrzasnął, a pozostali, wystawiwszy głowy z okien samochodu, wykrzykiwali ostrzeżenia, ale Kate popatrzyła już w górę, a widok, który ujrzała, sprawił, że żołądek powędrował jej pod samo gardło.

Marty Jones, przyjaciel i współlokator pani Coleman, wyłaził przez okno na schody. Kat widziała go jakieś pół godziny wcześniej, gdy teoretycznie powinna być już w łóżku, w małym pokoiku, który dzieliła z Natalie i LaTonyą, a wtedy mężczyzna drzemał na kanapie. Teraz ruszył za nią, boso, w tych swoich szarych, roboczych

kalesonach i wyciętym podkoszulku prezentującym się obrzydliwie na potężnym, zwalistym, owłosionym cielsku. Podobnie jak pani Coleman miał czterdzieści kilka lat, lecz w przeciwieństwie do niej nawet nie udawał, że lubi dziewczęta, którymi się zajmowała, zarabiając w ten sposób na życie.

Chyba że okazywał im zainteresowanie, co przyprawiało Kat o gęsią skórę. Na przykład gdy kazał dziewczynce zwracać się do siebie per „Marty”, a nie „panie Jones”. Zawsze zabiegał, by mieć ją przy sobie na kanapie, gdy oglądał telewizję. A kilka dni wcześniej na siłę odblokował zamek w drzwiach łazienki - potem zarzekał się, że były otwarte, ale Kat wiedziała swoje - i „przypadkiem” wszedł, gdy brała prysznic. I... no cóż, zdarzyło się wiele innych przypadków.

Nienawidziła Jonesa. Przyglądał jej się, odkąd przyjechała z domu dziecka, do którego posłano ją po ostatnim nieudanym pobycie w rodzinie zastępczej. Dla drobnych, słodkich, błękitnookich blondynek świat pełen drapieżników w typie Marty'ego Jonesa nie był dobrym miejscem. Przez ostatnich kilka lat Kat nauczyła się rozpoznawać takich drani od pierwszego spojrzenia i starała się trzymać od nich możliwie jak najdalej.

Tyle że trzymanie Marty'ego na dystans stawało się coraz trudniejsze.

- Lepiej zabieraj tyłek z powrotem na górę! - Marty dostrzegł uniesiony wzrok Kat i groźnie skinął na nią głową. W ręce trzymał kij baseballowy. Gdy spojrzenia obojga się spotkały, żołądek Kat opadł niemal do poziomu czerwonych sandałów Scholla, które miała na

nogach. Prawda była taka, że Marty budził w niej straszliwy lęk. -
Natychmiast! Słyszysz, co mówię, dziewczyno?

O, tak. Słyszała. I gdy pod jego ciężarem metalowe stopnie zatrzęsły się ostrzegawczo, rzuciła się do ucieczki; przytrzymując się poręczy, przy wtórze dodających otuchy pokrzykiwań przyjaciół ze stukiem zbiegała ze schodów, cała spocona, z sercem bijącym niczym młot.

Gdyby ją dopadł...

- Szybko, Kat! On idzie, już idzie! Ty tłusty, stary pierdzielu, jak nie zejdziesz z tych schodów, oderwiesz je od ściany! Szybciej, Kat! Skacz!

- Lepiej przede mną nie uciekaj! - zawył Marty. - Jak cię złapię, to...

Kat nie usłyszała, co by wtedy zrobił, bo zeskoczyła z ostatnich dwóch stopni i wylądowała twardo drewnianymi podeszwami na popękany asfalcie. Rzuciła się ku rękóm wyciągniętym do niej z samochodu, które pomogły jej dostać się do środka. Po części wskoczyła, a po części wciśnięto ją między resztę stłoczonych nastolatków. Drzwi były jeszcze uchylone, gdy camaro z piskiem opon wystrzeliło z zaułka. I zaraz się zatrzasnęły, albo same, gdy auto pomknęło do przodu, a może ktoś zadał sobie trud, żeby je zamknąć, tego nie umiałaby powiedzieć. Starając się usiąść, przesunęła wzrokiem po ceglanych ścianach, urozmaiconych jedynie oknami w tandetnych, aluminiowych framugach i zygzakach schodów przeciwpożarowych. Patrzyła na przeładowane pojemniki na śmieci i

piętrzące się przy nich sterty odpadków, które nie zmieściły się w kubłach; od czasu do czasu światło reflektorów padało na nieliczne, snujące się wśród ciemności postacie.

- To było super! Człowieku, o mało jej nie dopadł! Czy ten tłuścioch to twój tata? Myślałem, że zwali całe schody. Jak sądzisz, wezwą gliniarzy?

- Nie, nie zrobią tego - odpowiedziała Kat na ostatnie pytanie, które usłyszała, gdy udało jej się wcisnąć między Leah i jej chłopaka, Rogera Friedkina, podczas gdy Donna Bianco siedziała przyciśnięta do tylnego okna. Tłoczyli się we czworo na tylnym siedzeniu, a Jason i Mario siedzieli z przodu. W samochodzie pomimo opuszczonych szyb było koszmarnie gorąco, gdyż popsuta klimatyzacja nie działała. Było za ciepło na dzinsy, które włożyła, jako że nie miała żadnych szortów, ale wzięła do nich czerwony top, „pożyczony”, od LaTonyi, więc w sumie nie czuła się najgorzej. - Gdyby to zrobili, przyszliby ludzie z opieki społecznej i zabraliby mnie stamtąd, a tego to oni nie chcą. Potrzebują tej forsy. Słyszałam, jak o tym gadali.

- Nic ci nie zrobią, jak wrócisz, Kici-kotku? - zapytał Jason zatroskanym głosem - główny powód, że się w nim zakochała. Jego oczy, błękitne jak woda w zatoce Chesapeake, odnalazły ją w tylnym lusterku. Aż ją ścisnęło w żołądku i zadrżała ze wzruszenia.

- Ten tłusty stary pierdziel spierze ci tyłek, Kici-kotku - zachichotał Mario, odwracając się tak, by widzieć twarz Kat. Wykrzywił się do dziewczyny. - Założę się, że to mu sprawi przyjemność.

- Zamknij się, do cholery, dobra? - Jason wymierzył przyjacielowi kuksańca w ramię.

- Ouu! - Mario, rozzłoszczony nie na żarty, przycisnął dłonią obolałe miejsce.

- W porządku - uspokajała Jasona Kat. Potem spojrzała na Maria. - Dlaczego nie wyżywasz się na kimś innym?

Popatrzył na nią krzywo, jednak zapewne licząc się z niezadowoleniem Jasona, zamknął swoje wielkie usta.

Zbyt późno, by wymazać obraz, który naszkicował w wyobraźni Katriny.

Myśl o tym, jak zostanie przyjęta po powrocie do domu, niemal przyprawiła ją o mdłości. Zdała sobie sprawę, że dała Marty'emu pretekst do dotykania jej, i przeraziła się; Mario miał rację, choć nienawidziła go za to, co powiedział. Jeśli wróci, Marty sprawi jej ból i będzie się rozkoszował każdą chwilą. A miała całkowitą pewność, że pani Coleman nie zaprotestuje.

Zacisnęła dłonie. W ustach jej zaschło, a oczy zapiekły od łez, którym nie pozwoliła popłynąć - prędzej by umarła.

Później będzie się tym martwić.

- Hej, a może by tak jakieś piwko? - wrzasnął Mario. Musiał wrzeszczeć, bo byli teraz na drodze szybkiego ruchu i pędzili w stronę Columbii. Przy wietrze wpadającym przez otwarte okna, radiu puszczonego na cały regulator i głosach czworga pasażerów mówiących jednocześnie tylko tak można było go usłyszeć. Oświetlenie padające na szosę z góry z olbrzymich halogenowych

lamp sprawiało, że w samochodzie było widno jak w dzień. Pędzili, wyprzedzając slalomem inne samochody osobowe i furgonetki oraz kilka wielkich ciężarówek na ośmiu kołach, które, gdy je mijali, grzechotały niczym kulki w potrząsanej metalowej puszcze.

- Tak! Piwo! Hej-ho! Napiłbym się piwka! Byle nie słabe. Ja lubię mocne! Jedźmy po piwo!

Kat nie znosiła piwa, ale się nie odezwała.

Camaro gwałtownie skręciło i Kat odruchowo przytrzymała się ramienia Leah. Po krajobrazie za oknem zorientowała się, że zjechali z drogi szybkiego ruchu i pędzili teraz wyjazdem. Na samym końcu, przy rozwidleniu dróg Jason nacisnął na hamulec i wszyscy gwałtownie polecili do przodu, a czwórka z tyłu omal nie wylądowała na podłodze.

Gdy się pozbierali i z powrotem wcisnęli na miejsca, zapanowała ogólna wesołość, jakby to, co się właśnie wydarzyło, było czymś najśmieszniejszym na świecie.

Kat także się śmiała, w końcu to jej przyjaciele.

Gdy Jason wyskoczył wozem na niemal pustą czteropasmówkę, wzdłuż której stały jedno obok drugiego pozamykane teraz centra handlowe, Mario walnął pięścią w deskę rozdzielczą i odwrócił się do czwórki siedzącej z tyłu.

- Ktoś ma choćby parę centów?

- Ja mam dolara i... spójrzmy, dwadzieścia dwa centy.

- Ja sypnę dolca.

- A ja siedemdziesiąt pięć centów.

- Ja... nie mam pieniędzy - wyznała Kat, gdy już wszyscy pozostali opróżnili kieszenie i teraz patrzyli na nią pytająco. - Zresztą nie chce mi się pić.

- W porządku. - Jason znów odnalazł wzrokiem jej twarz w tylnym lusterku. - Ja za ciebie zapłacę. - I uśmiechnął się do niej.

Ucisk w żołądku Kat zelżał.

O tak późnej porze wygaszono już nawet oświetlenie na podwójnych łukach przy McDonalddie. Jedyne stacje benzynowe i całodobowe kioski pozostały otwarte. Przy następnym rogu świecił się neon Quik-Pik i Kat przypuszczała, że tam właśnie zdązał Jason.

- Czy ktoś ma jakąś legitymację? - zapytała, mając na myśli podrobiony dokument, gdy camaro, wciąż jadąc zbyt szybko, wyskoczyło na parking i stanęło przy jednej z pomp benzynowych. Parking był pusty. Przez oszklone okna Kat dostrzegła za kasą samotnego sprzedawcę. Kobieta wyglądała na Latynoskę i była młoda.

- Ja mam, ale to bez znaczenia - wykrzywił się do niej Mario. - Jak nie wyglądam na dwadzieścia jeden lat.

- To fakt, papiery ma super - przyznał Justin. - O wiele lepsze od moich.

Wszyscy wysiedli i gromadnie ruszyli w stronę sklepiku.

- Muszę siku - oznajmiła radośnie Leah i spojrzała na Kat. - Idziesz ze mną do toalety?

- Dobra - przystała Kat, odłączyły się od pozostałych i skierowały ku bocznej ścianie budynku, gdzie obtłuczony znak głosił:

„toalety”. Skorzystały z kabin i Kat właśnie myła ręce, a Leah, przeglądając się w lustrze, napuszyła włosy, gdy na zewnątrz zabrzmiała seria huków.

Bum! Bum! Bum!

- Co u diabła? - wykrztusiła Leah, błyskawicznie odwracając się w stronę pozbawionych zamka drzwi.

- Ktoś strzelał.

Kat dobrze знаła ten dźwięk. Opłacane przez państwo mieszkanie pani Coleman należało do tych miłszych miejsc, w jakich przyszło jej przebywać. Siedem lat spędzonych z matką zapamiętała jako kalejdoskop rozpadających się ruder i opuszczonych budynków, czasami przytułków dla bezdomnych. Potem przekazywano ją z miejsca na miejsce, do krewnych i znajomych, a wreszcie pewnego dnia pojawił się pracownik opieki społecznej, by ją zabrać. W tamtych czasach każdej nocy słyszała strzały. Przez lata sypiała skulona w kącie, słuchając huku i modląc się, by zabłąkana kula nie przedarła się przez mur i nie znalazła sobie miejsca w jej ciele.

- O cholera. - Leah popędziła do drzwi. Kat tuż za nią, nieco wolniej, bo jej sandały nie nadawały się do biegania. Gdy wypadły za róg budynku, ujrzały pozostałych członków grupy, którzy pędzili w stronę camaro, jakby gonił ich jakiś potwór. Wrzeszczeli jedni na drugich, kłócąc się o coś, ale Kat była za daleko, by rozróżnić słowa. Widziała tylko śmiertelnie wystraszoną twarz Jasona - i Maria trzymającego w ręce broń.

Niemal przestała oddychać. Ogarnął ją przeraźliwy strach.

Między nią i Leah a samochodem klęczał jakiś mężczyzna. Starszy, krępy, o siwych włosach, w czymś, co wyglądało na niebieski mundur. Osunął się na ziemię, odwrócony tyłem do dziewcząt. Leah minęła go jak strzała, nawet nie spojrzawszy. Kat podbiegła doń akurat w chwili, gdy jęknął i przewrócił się na bok, potem na plecy. Widziała, jak przycisnął dłonie do piersi - gdy zobaczyła dlaczego, zatrzymała się.

Pomiędzy bladymi, grubymi palcami pojawiały się pęcherzyki jasnoczerwonej krwi i zaraz spływały na czarny asfalt połyskujący lekko w słabym oświetleniu. Katrina dostrzegła na piersi mężczyzny połyskującą srebrem odznakę, a pod spodem tandetny, plastikowy identyfikator. Nie była dość blisko, by odczytać litery.

Został postrzelony. Przypomniała sobie broń w ręce Maria i przeszył ją zimny dreszcz.

Najwyraźniej mężczyzna dostrzegł ją, bo wykrztusił cicho:

- Pomóż... mi.

O Boże! Upadła przy nim na kolana i pochyliła się, przerażona, rozpaczliwie pragnąc coś zrobić; odsunęła mu rękę, by zobaczyć ranę. Potem ułożyła dłoń na dłoni i z całych sił naciskała na wyrwany w ciele otwór, próbując powstrzymać upływ krwi. Ciepłej. I lepkiej. I jeszcze ta woń. Mdlący zapach surowego mięsa.

- Boli - wycharczał. I zamknął oczy.

- Kat, chodź! - krzyknęła do niej Leah, gdy camaro gwałtownie zatrzymało się w odległości kilku kroków.

- No chodź! Już! - Teraz wrzeszczeli wszyscy, ale ona nie mogła się ruszyć. Nie zdołałyby do nich podejść, nawet gdyby chciała. Intuicja mówiła jej, że życie tego człowieka - nazywał się David Brady, teraz już mogła odczytać identyfikator - słabnie; czuła jak uchodzą z niego siły, jakby jego dusza unosiła się tuż obok niej. Mogła tylko stać, wpatrując się w umierającego, wsłuchana w łomot własnego serca. Wreszcie camaro ruszyło z piskiem opon i została sama.

Całkowicie sama, bo David Brady właśnie umarł.

Siedziała przy nim, dopóki nie usłyszała syren. Wtedy poderwała się na nogi i popędziła w ciemność, z dłońmi czerwonymi od krwi.

Rozdział 2

Trzydzieści lat później...

Coś jest nie w porządku. Ta myśl wybuchła w głowie Toma Bragi niczym ładunek dynamitu.

Poczuł przeraźliwy strach. Krew pulsowała mu w przyspieszonym tempie. Wstrzymał oddech i z rosnącym napięciem wsłuchiwał się w ciszę na drugim końcu linii. Nie wiedział, skąd ta pewność, ale bez wątpienia ją miał. Rozmawiali przez komórkę - on i jego młodszy brat; Tom z nieoznakowanego samochodu, którym właśnie przeciskał się przez korki na drodze do Sądu Karnego Filadelfii, gdzie miał być o dziewiątej - to znaczy za trzy minuty - a Charlie z miejsca, w którym się akurat znajdował. Obaj służyli w policji, on jako detektyw w wydziale zabójstw, a Charlie jako zastępca szeryfa. W ten deszczowy poniedziałkowy poranek obaj pełnili służbę. I o ile Tom mógł się zorientować, Charlie miał kłopoty.

- Hej, braciszku, jesteś tam jeszcze? - Tom ścisnął telefon tak mocno, że krawędzie aparatu wpiły mu się w dłoń, ale głos pozostał pozornie obojętny.

Rozmawiali o cotygodniowym niedzielnym obiedzie u mamy, na którym Tom wczoraj nie pojawił się po raz trzeci z rzędu, gdyż znudziło mu się ciągle przypominanie, że ma trzydzieści pięć lat i jest nieżonaty, zresztą nieraz cała licząca w sumie dziewiętnaście osób rodzina potrafiła doprowadzić go do szaleństwa.

Dwudziestoósmioletni Charlie zachwycał się właśnie kurczakiem w parmezanie, wiedząc oczywiście, że jest to ulubione danie jego brata, gdy nagle mruknął coś, jakby zaskoczony, i po prostu urwał w połowie zdania. A Tom zaczął odczuwać paskudne wibracje.

- Tak - odrzekł Charlie, ku uldze Toma. Jednak niemal natychmiast dotarło do niego, że pełen napięcia głos brata zabrzmiał teraz jakoś głucho, a w słuchawce słychać było jego ciężki oddech. - Słuchaj no, muszę lecieć.

- W porządku, tylko pozdrów ode mnie tę twoją słodką zoneczkę, Marcie, słyszysz? - powiedział Tom serdecznym tonem. Na czole, wzdłuż linii włosów poczuł krople zimnego potu. - Przekaż jej, że nie mogę się doczekać tej domowej lazanii, którą mi obiecała.

- Nie zapomnę - odrzekł Charlie i jego komórka zamilkła.

Z brzęcącą w uszach odpowiedzią brata Tom przejechał pędem przez czerwone światło. Zahamował tak mocno, że policyjnego czarnego taurusa zarzuciło na mokrej powierzchni ulicy, na szczęście zdołał zatrzymać się w porę, by na skrzyżowaniu nie wypaść na ruchliwą przecznicę. Mimo że stał nadmiernie wysunięty, i tak nie widział sznura samochodów przemykających tylko kilka centymetrów od przedniego zderzaka jego wozu. Nieustający strumień włączonych reflektorów sprawiał, że ten ponury dzień wydawał się jeszcze ciemniejszy niż w rzeczywistości. Deszcz spływał po przedniej szybie, bębnił o dach i maskę wielkimi, grubymi kroplami tak gwałtownie, że od siły uderzenia natychmiast się rozpryskiwały.

Wycieraczki pracowały na najwyższych obrotach. Z radia rozbrzmiewała przyjemna muzyka.

Wszystko to jednak dla Toma jakby w ogóle nie istniało.

Żona Charliego miała na imię Terry. A jej kuchenne uzdolnienia pozwalały najwyżej na przygotowanie kanapek z masłem orzechowym dla ich dwóch małych łobuziaków.

- Jezus. - Zabrzmiało to jak modlitwa i jednocześnie złorzeczenie.

Zaczerpnąwszy powietrza, Tom odwołał się do swego wieloletniego doświadczenia w panowaniu nad emocjami i zachował się tak, jak go uczono: w nagłej sytuacji należy ustalić kolejność podejmowanych kroków. Choć bronił się przed tym, stanął mu przed oczami obraz Charliego takiego, jakim widział go ostatnio. Jakieś trzy tygodnie wcześniej Charlie, czarnowłosa, szczupły i przystojny jak całe rodzeństwo Braga, siedział w plastikowym, nadmuchiwany basenie dla dzieci, ustawionym na niewielkim podwórku, radośnie wołając o pomoc, podczas gdy czteroletnie bliźniaki wylewały mu na głowę wiaderko po wiaderku zimnej wody z ogrodowego węża. Widok ukazującej mu się w wyobraźni roześmianej twarzy brata nie pomagał w koncentracji, więc Tom naciskał guziki komórki, czyniąc, co tylko mógł, by odegnać tę wizję. Dłoń mu nie drżała. Myślał jasno. Puls galopował niczym koń wyścigowy ku mecie.

Zdawało mu się, że trwało to całą wieczność, gdy słuchał sygnału po drugiej stronie linii.

Odbierz, odbierz wreszcie, niech cię cholera, Bruce Johnson, odbieraj.

- Mówi Johnson.

- Tom Braga. - Przedstawił się przełożonemu Charliego. Zimny pot oblewał mu teraz całe ciało, w żyłach tętniła adrenalina, jakby najadł się amfy. Sam słyszał w swoim głosie napięcie, ale równocześnie czuł się bardzo skoncentrowany i opanowany. - Gdzie jest Charlie?

- Charlie? - Johnson się zawahał. Tom wyobraził go sobie na odsuniętym od stołu krześle, z kawą i rozłożoną na biurku gazetą - obraz dobroduszości i spokoju wśród niekończącego się chaosu. Filadelfijskie biuro szeryfa zajmowało wiele pomieszczeń, składało się z wielu wydziałów i zatrudniało setki zastępców i pracowników pomocniczych, ale on i Johnson dorastali razem w surowych warunkach południowej Filadelfii, więc znali się dobrze. Ten potężny, zwalisty sierżant był ulubieńcem całej rodziny Toma. - Niech sprawdzę. - Zasłonił dłonią mikrofon - niedobrze - i wrzasnął: - Czy ktoś wie, gdzie dzisiaj rano ma służbę Charlie Braga?

Pospiesz się, pomyślał Tom, zaciskając zęby. Potem, uświadomiwszy sobie, co robi, świadomie rozluźnił szczęki.

Po kilku sekundach Johnson znów mówił do telefonu.

- Zabrał świadka z więzienia do sądu. Nie tak dawno, więc powinien tam jeszcze być. Czy masz jakiś szczególny powód, że się tym interesujesz?

Gmach sądu. Tom już go widział, niecałą przecznicę w prawo. Wysoki, prostokątny budynek z kamienia, zakończony kopułą; podłużne okna połyskiwały żółto w deszczu.

Zabłysło zielone światło i droga stanęła przed nim otworem. Niemal jednocześnie zarejestrował dochodzące z tyłu niecierpliwe trąbienie. Jeszcze ułamek sekundy i nacisnął pedał gazu. Gdy samochód szarpnął do przodu, spod tylnych opon wystrzeliły pióropusze wody.

- Zanim do ciebie zadzwoniłem, rozmawiałem z nim przez komórkę. - Głos Toma brzmiał spokojnie, mimo że złe przeczucie wciąż się nasilało.

Slalomem pokonując odległość dzielącą go od sądu, wyteżał jednocześnie wzrok i lustrował budynek spojrzeniem, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Całą Filbert Street, wąską aleję jeszcze z czasów kolonialnych, zastawiały zaparkowane równoległe do ulicy samochody.

Chodnikiem spieszili liczni przechodnie, jedni mijali budynek sądu, inni wchodzili albo schodzili po szerokich kamiennych schodach prowadzących do głównego wejścia. Nie widział ich twarzy, tylko morze parasoli nad głowami i stopy rozpryskujące kałuże. Przed obrotowymi drzwiami dostrzegł posterunek, strażników i aparaturę do wykrywania metalu. Wszystko zdawało się funkcjonować jak zwykle. Żadnych oznak jakichkolwiek zakłóceń. Jednak instynkt podpowiadał mu coś innego, a podczas trzynastu lat służby w policji nauczył się jednego: nigdy nie działać wbrew własnemu instynktowi.

- Dał mi coś w rodzaju sygnału. - Rozglądał się wokół, wciąż rozmawiając z Johnsonem. - Coś jest nie w porządku. Powinieneś zawiadomić ludzi, których tam masz, że coś poszło nie tak. Postaraj się o wsparcie dla Charliego i każ im zachować spokój. Żadnych syren, nic z tych rzeczy. Mam naprawdę paskudne przeczucie.

Johnson parsknął z dezaprobatą.

- A więc mam wysłać armię, bo ty masz paskudne przeczucie?

- Właśnie.

- Dobrze - zgodził się Bruce. Był wystarczająco profesjonalistą, by nie ryzykować, gdy chodziło o bezpieczeństwo funkcjonariusza, i nie kwestionować instynktu kolegi gliniarza. Znów oderwał słuchawkę od ucha i Tom usłyszał, jak wydaje rozkazy.

- W którym miejscu w sądzie? - wrzasnął Tom do telefonu.

Musiał krzyczeć, by ponownie ściągnąć uwagę Johnsona. Znajdował się już przed budynkiem sądu i wolno przejeżdżał wzdłuż długiego rzędu ciasno zaparkowanych samochodów-wystarczyło mu jedno spojrzenie, by się zorientować, że nie znajdzie miejsca dla swojego wozu. Co nie znaczy, by miało to dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

Ignorując wydłużającą się za nim kolejkę samochodów i trąbiących, oburzonych kierowców, zaparkował równolegle do wielkiego, srebrzystego wozu terenowego.

- Prawdopodobnie na najniższym poziomie - poinformował go Johnson.

Cholera.

Pomieszczenia na najniższych dwóch poziomach, źle oświetlone i niedostatecznie wentylowane, przypominały królicze nory. Znajdowały się tam cele dla więźniów wzywanych na konkretny dzień do sądu, a także biura administracji, sale sądowe, w których przedstawiano zatrzymanym zarzuty, poczekalnie dla adwokatów, urzędników sądowych i poręczycieli - i Bóg wie ile jeszcze dziupli mieściło się na dole. Od siódmej rano roiło się tam od ludzi, gdy oskarżeni, skazani, uniewinnieni i wszyscy mający związek z toczącymi się sprawami wchodzili do środka lub wychodzili na zewnątrz.

Tam, na dole na Charliego mogły czekać wszelkiego rodzaju kłopoty.

- Jestem na miejscu - oznajmił Tom ponuro i rozłączył się.

Pochylił głowę i wyskoczył z wozu wprost w rześisty deszcz. Krople wody zaczęły spływać po jego krótkich, gęstych czarnych włosach, a ubranie, które włożył do sądu - sportowa granatowa marynarka, biała koszula, czerwony krawat i szare spodnie - przemokło natychmiast. Tom zatrzasnął drzwiczki i popędził do budynku. W biegu sięgnął pod marynarkę, by odpiąć pasek przytrzymujący glocka w kaburze.

Jeśli będzie miał szczęście, nie użyje broni. Tylko że on na ogół nie miał szczęścia.

Rozdział 3

Zawód prokuratora zobowiązuje, to nie zajęcie dla słabeuszy, ponuro pomyślała Kate White, cierpiąc dotkliwie, ponieważ zakupione za dziesięć dolarów markowe czółenka od Stuarta Weitzmana za każdym krokiem coraz bardziej ocierały jej pięty. Pensja nędzna, brak jakichkolwiek korzyści ubocznych, a pracownicy prokuratury - cóż, niewątpliwie znalazłaby kilka zdrowych jabłek wśród tych wszystkich nadpsutych.

- Mogłabyś się pospieszyć? Już on da nam niezły wycisk, jeśli się spóźnimy - mruknął zza jej pleców Bryan Chen.

Drobny czterdziestodwuletni Amerykanin pochodzenia azjatyckiego, asystent prokuratora okręgowego zdecydowanie należał do owych zdrowych owoców. Wziął ją pod swoje skrzydła, gdy przed czterema miesiącami, w wieku dwudziestu ośmiu lat skończyła studia prawnicze i została przyjęta do biura prokuratora. Był to pierwszy krok w karierze, która miała doprowadzić Kate na (lukratywne) stanowisko w którejś z najlepszych filadelfijskich kancelarii. Natomiast Bryan, przez ostatnich szesnaście lat asystent prokuratora okręgowego, wydawał się całkowicie zadowolony ze swojej pozycji. Tylko że on oczywiście nie miał do spłacenia stu tysięcy dolarów pożyczki studenckiej ani nie musiał, w przeciwieństwie do niej, zapewnić środków do życia małemu synkowi, którego Kate była jedyną opiekunką.

A pragnęła więcej, zarówno dla siebie, jak i dla Bena, dziewięcioletniego chłopczyka o słodkiej buzi, gdyż nie zamierzała spędzać niekończących się lat w maleńkim, wynajętym domku, a pod koniec każdego miesiąca zadowalać się makaronem i masłem orzechowym.

I nie wątpiła w realizację swych marzeń.

- Nie spóznimy się - zaprotestowała, przesadną pewnością siebie maskując niepokój.

Po przejściu przez ciężkie mahoniowe drzwi wiodące do sali sądowej numer 207 poczuła ulgę, widząc, że się nie myliła. „Jego” - Bryan miał na myśli Michaela Morana, wyznaczonego do poprowadzenia zaplanowanej na ten dzień rozprawy, całkowicie wypranego z poczucia humoru sędziego sądu okręgowego - nigdzie nie było widać, choć nadzorujący salę zastępca szeryfa stał już przed fotelem sędziowskim i pełnym wyczekiwania wzrokiem patrzył w stronę gabinetu sędziego, najwyraźniej spodziewając się pojawienia Morana w każdej sekundzie.

Szybciej. Absolutnie nie wolno, i to jeszcze przed rozpoczęciem rozprawy, pokazać się w złym świetle znanemu z zrzędlivosti sędziemu, pomyślała, stawiając między rzędami foteli długie kroki, zabójcze dla jej stóp. Nasiąknięte wilgocią czółenka ślizgały się na wypolerowanej do połysku lastrykowej posadzce, co czyniło pośpiech ryzykownym. Jednak Kate czuła, że w tych okolicznościach nie ma wyboru. obrońcy już siedzieli na miejscach, galeria za barierką wypełniła się publicznością. Brakowało tylko sędziego – i

przedstawicieli biura prokuratora. Nie miało jednak znaczenia, nawet gdyby przyszli dopiero tuż przed rozpoczęciem rozprawy, jeśli tylko uda im się zająć miejsca, nim pojawi się sędzia.

Jednym słowem, jeśli nie będzie świadom ich spóźnienia, nie wykorzysta tego faktu przeciwko nim.

Zastępca szeryfa wciąż bacznie obserwował drzwi wiodące do gabinetów. Fotel sędziowski wciąż pozostawał pusty. Po szybach dwóch wysokich, wznoszących się po obu stronach stołu okien spływały srebrzyste strumyczki deszczu, nadając sali sądowej atmosferę niezwyklej izolacji. Oficjalnie jesień trwała już od tygodnia, ale dopiero padający tego dnia lodowaty deszcz przypomniał o zmianie pory roku. Ulewa przyczyniła się niejako do ich spóźnienia - w okolicy sądu wszystkie miejsca do parkowania były zajęte, musieli więc zostawić samochód na podziemnym parkingu przecnicę dalej - a także sprawiła, że jasne, zwykle gładkie, długie do ramion włosy Kate niesfornie wymykały się z jeszcze niedawno schludnego koka i falowały wokół twarzy. Mogła tylko mieć nadzieję, że pośpiesznie nałożony na rzęsy tusz - ponoć odporny na wodę, ale tani, więc nigdy nie wiadomo - nadal podkreślał błękit oczu, a nie spływał atramentowymi smugami po jej gładkich policzkach koloru kości słoniowej. Przecież nie chodziło jej o to, by zwracać na siebie uwagę wyglądem smutnego kłowna. Choć należało skoncentrować się całkowicie na stromym zejściu wiodącym do stołów przeznaczonych dla prawników, Kate szczęśliwie udało się podzielić uwagę i wykonać kilka czynności naraz. Żonglując parasolem i aktówką, palcami

przetarła policzki pod dolnymi rzęsami, by zlikwidować wszelkie ewentualne smugi, a potem delikatnie wygładziła swój niegdyś zapewne kosztowny czarny kostiumik - sprawiając jedynie, że mokre plamy na materiale się powiększyły - i szarpnięciem poluzowała nadmiernie obciskający piersi wilgotny przód białej koszulki marki Hanes. Jednocześnie rejestrowała wszystko, co było wokół niej: przestronną salę o wysokim sklepieniu, wyłożone mahoniem ściany, pochylone nad żółtym, firmowym notatnikiem, głowy obrońcy z urzędu i jego klienta, omawiających sprawę, nieustający pomruk rozmów i szelesty dobiegające z wypełnionych po brzegi ławek dla publiczności, zatechły zapach zbyt wielu stłoczonych razem wilgotnych ciał. Poczowała przyływ zadowolenia. To był jej świat, zbudowała go dla siebie od zera i to wyłącznie dzięki własnej determinacji. Na myśl o przynależności do tego miejsca, świadoma, że znalazła się wśród tych dobrych, Kate uśmiechnęła się lekko. Zaczęła stawiać nieco większe kroki, ale zaraz się opamiętała, gdy tylne brzegi przeklętych czólenek wpiły jej się w pięty. Za te pantofelki o spiczastych noskach zapłaciła odpowiednią cenę - czarne, z prawdziwej skóry, zapewne dodawały aury profesjonalności kupionemu z drugiej ręki kostiumikowi, ale, na Boga, uwierały straszliwie. Z trudem udało jej się nie kuleć.

Żebracy nie mogą grymasić, jak zwykła mówić ostatnia - i najmniej opłakiwana - z jej przybranych matek. W bieżącym miesiącu Kate uregulowała rachunki za czynsz, światło i gaz, opłacała opiekunkę do dziecka oraz przeznaczyła minimum na uzupełnienie

limitu karty Visa i spłatę pożyczki studenckiej. Zatankowała też samochód i kupiła Benowi nowe tenisówki. Teraz, sześć dni przed pierwszym października - płacili jej co dwa tygodnie, pierwszego i piętnastego - była przerażająco bliska pozostania bez grosza. Tak to mniej więcej wyglądało każdego miesiąca, co oznaczało, że w budżecie nie pozostawało jej niemal nic, co mogłaby poświęcić na stroje odpowiednie do pracy. Tyle że aby osiągnąć cel, niezbędny był właściwy wygląd. Odnosząca sukcesy profesjonalistka. Tak więc, gdy było to absolutnie konieczne, ratowała się zakupami przez Internet. Ale jak wszystko inne w życiu, tanie ubrania miały swoją cenę, a dzisiaj z pewnością będą nią przypominające hamburgery pięty.

Wskazówka minutowa na wielkim, okrągłym zegarze zawieszonym nad drzwiami z korytarza, przez który wprowadzano więźniów, znów się poruszyła. Wybiła godzina dziewięta.

Do diabła z butami. Trzeba się pospieszyć.

- Uwaga, nadchodzi. - Bryan dosłownie przepchnął ją przez niskie, wahadłowe drzwiczki oddzielające publiczność od wolnej przestrzeni pośrodku, między barierką a stołem sędziowskim, akurat w momencie gdy zastępca szeryfa zwrócił się z kamienną twarzą w stronę sali i wyprostował na całą wysokość.

- Proszę wstać - zagrzmiał, wbijając w Kate i w Bryana ostrzegawcze spojrzenie, gdy wreszcie, w ostatniej chwili udało im się znaleźć za stołem przeznaczonym dla prokuratury. Wszyscy wstali z miejsc i z napiętą uwagą popatrzyli w otwierające się do środka drzwi

wiodące do gabinetów sędziowskich. - Sąd zaczyna obrady.

Przewodniczy czcigodny sędzia Michael Moran.

Podczas gdy sędzia Moran - Debil Moran, jak nazywali go zastępcy prokuratora okręgowego - szedł energicznym krokiem, w czarnej todze falującej wokół okazałej postaci, z krótką czupryną stalowosiwych włosów i z rozdrażnioną miną na rumianej, już o tej godzinie zmęczonej twarzy oraz z filiżanką parującej kawy w ręce, Kate cicho upuściła parasolkę na podłogę, aktówkę na stół i z trudem złapała oddech. Zamiast patrzeć, jak sędzia niczym sam Bóg siada za wypolerowanym do połysku mahoniowym stołem, spojrzała w bok, na ławę przysięgłych, którą miała po prawej stronie. Siedziało tam czternaście osób, dwunastu sędziów przysięgłych i dwóch zapasowych - raczej starszych, białych i płci żeńskiej, co akurat jej odpowiadało. Sprawa dotyczyła rabunku z bronią, normalka w Filadelfii, ale oskarżony, Julio, Mały Julio Soto, dwudziestotrzyletni uliczny śmieć, tak dotkliwie pobił kobietę stojącą za ladą całodobowego sklepiku, że pięć dni spędziła w szpitalu. Według Kate ten rodzaj całkowicie zbędnej przemocy świadczył o wysokim stopniu zagrożenia, jakie sprawca stanowił dla społeczeństwa. Nie zgodziła się na układ. Społeczeństwo - czyli ona - żądało kary nie mniejszej niż dwadzieścia lat.

Nic dziwnego, że oskarżony postanowił skorzystać z konstytucyjnego prawa do rozprawy przed ławą przysięgłych. Co zresztą i tak w żaden sposób nie mogło mu pomóc. Prokuratura dysponowała mocnym materiałem dowodowym, miała naocznego

świadka i nagranie na taśmie z kamery ochrony, jeśli więc nie zdarzy się cud, Julio na długo pozostanie w więzieniu.

- Dzień dobry. - Sędzia Moran powitał skwaszonym głosem wszystkich obecnych na sali sądowej.

Kate uznała, że nie bardziej niż pozostali przepadał za deszczowymi porankami. Po lewej stronie sędziowskiego stołu zasiadła przed komputerem protokółantka Sally Toner, pulchna blondynka około pięćdziesiątki. Przeleciała palcami po klawiaturze, rejestrując słowa powitalne sędziego. Miała zapisać wszystko, co zostanie powiedziane w sądzie tego dnia.

- Dzień dobry, wysoki sędzie - odpowiedzieli chórem Kate i przedstawiciele obrony, przesadnie radosnym tonem. Odpowiednio zsynchronizowane mówienie o niczym było umiejętnością, której nie uczono na studiach, ale większości prawników i tak udawało się ją osiąść. Z czasem, jak Kate doszła do wniosku, automatyczne podlizywanie się sędziemu stawało się normą.

Sędzia Moran skinął głową w odpowiedzi i usadowił się na swym obitym skórą krześle z wysokim oparciem, ostrożnie ustawił przed sobą kawę i wziął od zastępcy szeryfa plik dokumentów. Był to dla wszystkich znak, by także usiąść, co Kate uczyniła z ulgą, pod stołem wysuwając stopy z czółenek. Zastępca szeryfa zwrócił się teraz do publiczności sali sądowej ze zwykłą przemową, ogłaszając sprawę stanu Pensylwania przeciwko Juliowi Soto, i tak dalej, i tak dalej. Kate wyłączyła się, myśląc o czym innym.

Jak tylko będzie miała okazję, przyklei plaster na swoje biedne pięty. Zawsze nosiła jakiś w aktówce. Ale ponieważ włożyła dziś rajstopy, będzie musiała udać się do damskiej toalety, na co trzeba poczekać do przerwy.

A niech to.

Wyciągnęła notatki z teczki, a jednocześnie dyskretnie, w małym lusterku, które nosiła w wewnętrznej kieszonce, sprawdziła stan swojej twarzy. Lekki makijaż, który udało jej się zrobić tego ranka, najwyraźniej przetrwał potop mniej lub bardziej bez szwanku, co ją ucieszyło. Jednak, jak się obawiała, jej włosom niewiele brakowało, by uwolniły się z koka - pospiesznie wsunęła głębiej mocujące go spinki - a nos się świecił. Poza tym prezentowała się całkiem nieźle. Trudno by ją nazwać skończoną pięknnością, niemniej można by ją określić jako atrakcyjną, z tym mocno zarysowanym podbródkiem, wysokimi kośćmi policzkowymi, podkreślonymi tuszem niebieskimi oczami o inteligentnym wyrazie i szerokimi ustami o pełnych wargach. Nos, trochę za długi, uważała za najgorszy szczegół twarzy. A teraz odbijające się od niego jak od szkła fluoryzujące światło ukrytych pod sufitem sali lamp bynajmniej nie dodawało mu uroku. Pod pretekstem ustawiania aktówki na podłodze udało jej się szybko przetrzeć nos bibułką matującą, którą na wszelki wypadek zawsze miała przy sobie z innymi drobiazgami, a potem wyprostowała się, akurat gdy zastępca szeryfa skończył przemawiać.

Ku jej zadowoleniu uwagę sędziego Morana wciąż skupiały rozłożone przed nim dokumenty. Siedzący obok niej Bryan wyciągnął

z aktówki żółty bloczek i długopis i rysował na nim esy-floresy. Formalnie on był odpowiedzialny za tę sprawę, ale to Kate zebrała wszystkie materiały i zamierzała to wykorzystać. Po skończonym procesie - chyba że zrobiłaby coś okropnego i została zwolniona, otrzyma już własne sprawy i uwolni się od nadzoru Bryana. Właśnie przed kilkoma dniami przysłano jej wynik egzaminu z aplikacji: zdała celująco. Brakowało jej tylko oficjalnego zaprzysiężenia, poza tym była teraz pełnoprawnym członkiem pensylwańskiej palestry i już nie potrzebowała nadzoru w biurze prokuratora.

Ona, Kate White, została prawdziwym, samodzielnym prawnikiem.

Nawet wymawianie tych słów w myślach ją ekscytowało. Kto by przypuszczał? Nikt z jej przeszłości, to pewne. Czasem jej samej z trudem przychodziło w to uwierzyć.

- Pan Curry? - Moran w końcu uniósł wzrok znad dokumentów i ze zmarszczonym czołem popatrzył w stronę obrony. - O co chodzi?

Teraz Kate słuchała uważnie. „Pan Curry” był obrońcą z urzędu. Ed Curry wystarczająco często występował przeciwko niej w przypadkach, nad którymi pracowała, i Kate poznała już metody jego działania. Średniego wzrostu, chudy, łysiejący, między czterdziestką a pięćdziesiątką, tego dnia ubrany w wygnieciony szary garnitur, białą koszulę i granatowy krawat, Curry nie miał w zwyczaju sprawiać w sądzie niespodzianek. Prostolinijny i bez wyobraźni, z wiecznie niecierpliwą miną, potrafił dla swych klientów zrobić wiele w tym krótkim czasie, jaki był w stanie każdemu poświęcić.

Curry wstał.

- Wysoki sędzie, przepraszam, ale nasze biuro otrzymało informacje dotyczące świadka dopiero w piątek, późnym popołudniem. Podczas weekendu odbyłem w więzieniu rozmowę z tym człowiekiem i uznałem go za wia...

- Świadek? Co za świadek?

Kate na powrót wcisnęła stopy w sprawiające jej męki czółenka i wyprostowała się, niechętny odpychając krzesło na kółkach w stronę barierki. Bryan chwycił je i przytrzymał, zanim upadło. Sędzia Moran posłał jej ostrzegawcze spojrzenie. Wzrok obrońcy na ułamek sekundy zatrzymał się na Kate, potem szybko powrócił do sędziego. Curry wydawał się jakiś nieswój. I słusznie, pomyślała.

Wyskakiwanie z niespodziewanym świadkiem w pierwszy dzień rozprawy należało do owych stu jeden punktów, absolutnie, jak wiedzieli nawet tacy nowicjusze jak ona, zabronionych na sali sądowej. Szybkim rzutem oka upewniła się, że sędziowie przysięgli ożywili się, nagle zainteresowani. Niedobrze. Cokolwiek miało teraz zostać powiedziane, Kate nie chciała, by ława przysięgłych usłyszała to przed nią. Potrzebne jej były szczegóły i czas do oceny wpływu, jaki zeznanie nowego świadka będzie miało na jej strategię, aby nie wyrwać się z niczym, co mogłoby zostać uznane za wpadkę, zanim ława przysięgłych wyrobi sobie choć mgliste pojęcie o istocie sprawy.

- Wysoki sędzie, proszę o pozwolenie na podejście.

- Pozwolenie udzielone. Panu także, panie Curry.

Kate wysunęła się zza stołu prokuratury i pomaszerowała w stronę sędziego, dzielnie ignorując piekące pięty. Język ciała miał na sali sądowej olbrzymie znaczenie i czasem wystarczyło przekonać stronę przeciwną o swej odporności na byle bzdury. W przeciwnym razie przeciwnicy, apodyktyczni aroganci - a nie brakowało ich w zawodzie prawniczym - z radością wykorzystaliby swoją przewagę.

Celowo unikając jej wzroku - aha, on wie, że postępuje niewłaściwie - Curry także wystąpił do przodu. Gdy tylko stanął obok niej przed stołem sędziowskim, Kate zaatakowała.

- Wysoki sędzie, strona przeciwna dobrze wie, że już jest za późno na wprowadzanie nowego świadka. Listę zamknięto dwa tygodnie temu. Ja...

- Proszę mi oszczędzić kazań, pani White. - Sędzia Moran uniósł dłoń uciszającym gestem. - Może pani być spokojna, znam procedurę.

Zacisnęła usta i skrzyżowawszy ręce na piersiach, popatrzyła gniewnie w przestrzeń, z nadzieją, że w oczach ławy przysięgłych sprawia wrażenie osoby mającej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu - na tych obcasach nawet ponad sto siedemdziesiąt-energicznej, elokwentnej i oburzonej. Przysięgli nie mogli słyszeć ich słów - właśnie dlatego rozmowę prowadzono przyciszonym tonem - ale Kate miała nadzieję, że język jej ciała informował ich głośno i wyraźnie: „obrona próbuje wykręcić jakiś numer. Nie nabierzcie się na to”.

- Poza tym, jeśli uszło to pani uwagi, przerwała pani mecenasowi Curry'emu - ciągnął Moran. Spojrzał na obrońcę z

urzędu. - Panie Curry, zakładam, że właśnie chciał pan wyjaśnić, dlaczego słyszymy o świadku po raz pierwszy. I ostrzegam, jeżeli okaże się, że celowo ukrył pan jakąś informację przed stroną oskarżającą...

Curry energicznie pokręcił głową. On także wiedział, że Moran z byle okazji oskarża prawników o obrazę sądu, a nikt nie marzył o podobnym zarzucie ani o wiążącym się z nim pobytem w więzieniu, trwającym tak długo, dopóki ktoś nie wyciągnął pechowca z opresji. Nieszczęśnik tracił wiele czasu, pieniędzy i nerwów.

- Nic podobnego, wysoki sędzie. Świadek przebywa w więzieniu i twierdzi, że do tej pory nic nie wiedział o sprawie. Jego zeznania są nie do odparcia i dają mojemu klientowi pełne alibi. Może być pan pewien, że w przeciwnym razie nie przedstawiałbym ich.

- Bz... - Kate w porę ugryzła się w język, przełknęła nieuchronną końcówkę, gdy Moran rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie, i pospiesznie dokończyła nieco uprzejmie.

- To niepoważne, wysoki sędzie. Dowody przeciw oskarżonemu są przytłaczające, co obronie doskonale wiadomo. Ta osoba w żadnym wypadku nie jest w stanie zapewnić jego klientowi wiarygodnego alibi, bo mamy naoczego świadka, taśmę z kamery ochrony i orzeczenie z sądowego laboratorium, świadczące o obecności pana Soto na miejscu przestępstwa. Wykluczone, by pański klient - tu ostro spojrzała na obrońcę - mógł być niewinny.

- Pani White, zdaję sobie sprawę, że dopiero co skończyła pani studia, więc musimy spojrzeć na panią łaskawym okiem, ale na

przyszłość proszę zapamiętać: o winie zwykle decyduje ława przysięgłych - odparł Curry. Gdy uwaga Morana przeniosła się na Kate, adwokat posłał jej chytry uśmiech.

- To prawda - orzekł Moran, nim zdążyła odpowiedzieć. Poważnie skinął głową i zrozumiała, skąd wzięło się jego przezwisko: ten człowiek po prostu nawet nie wiedział, że wystrychnięto go na dudka. Uświadomiła sobie także, że Curry znał Morana lepiej niż ona i wykorzystywał tę wiedzę na swoją korzyść. Nie miało znaczenia, że swą taktyką rażąco naruszał obowiązującą procedurę. Liczyło się wyłącznie, komu uda się najlepiej rozegrać sprawę z tym konkretnym sędzią, w tym konkretnym dniu. Teraz Moran patrzył na nią, marszcząc brwi. - Proszę nie zapominać, pani White, że jesteśmy tu, by ustalić prawdę. Nie można zabraniać składania wyjaśnień potencjalnie korzystnych dla oskarżonego tylko dlatego, że prokuraturze jest to nie na rękę.

Moran wygłaszał kazanie protekcjonalnym tonem profesora zwracającego się do studenta, czym jeszcze bardziej rozsierdził Kate. Zaciśnęła wargi. Taktyka obrony stawała się dla niej przejrzysta niczym szkło: Curry wiedział, że tego dnia nie uda mu się odnieść zwycięstwa w sądzie, więc próbował przeciągać proces. Wystarczy spowodować nadmierne odwleczenie terminu rozprawy, a wszystko może się wydarzyć, łącznie z najbardziej korzystnymi dla obrony okolicznościami: świadkowie wyjadą lub umrą, dowody rzeczowe zaginą, zeznających zawiedzie pamięć. Prokuratorzy bywają przenoszani do innych spraw. Sędziowie przechodzą na emeryturę.

Nawet gdyby żaden z tych przypadków nie nastąpił, z każdym mijającym dniem rzecz traci na ważności. Na świecie zdarza się tyle zbrodni, jest tylu złoczyńców, że przestępstwo nieosądzone we właściwym terminie może utonąć w gmatwaninie systemu prawa.

Debbie Berman, ekspedientka, której oskarżony uszkodził kość policzkową i oczodół, zasługiwała na coś więcej. Była tu w sali, ponownie traciła następne godziny pracy, za które nikt jej nie zapłaci, czekając, by zeznawać, aby ten, kto ją skrzywdził, został sprawiedliwie osądzony. Podobnie jak i klient obecny w sklepie w czasie zdarzenia. I mężczyzna, który stał na zewnątrz i tankował benzynę akurat wtedy, gdy Soto uciekał. Jak również gliniarz, który przeanalizował taśmę wideo. A także wszyscy ludzie związani ze sprawą, zebrani tego dnia w sali sądowej w wyniku mozolnej pracy Kate, których zdołała przekonać, że przyjdzie tu i spełnienie obywatelskiego obowiązku opłaci się, gdyż tym razem zły człowiek dostanie, co mu się należy. Wykonała dokładną robotę, zebrała wszystkich niezbędnych świadków, postawiła kropkę nad każdym i. Oskarżenie zostało przygotowane z dokładnością zegara, przysięgli mieli zacząć zastanawiać się nad werdyktem pod koniec dnia, narada potrwałaby może nawet krócej, orzeczenie ukazałoby się jutro lub w najgorszym wypadku w środę. I brzmiałoby: winny.

Winny, winny, winny. Nie miała cienia wątpliwości. Jednogłośnie wyrok skazujący, sprawiedliwości stałoby się zadość, na ulicach byłoby o jednego przestępcę mniej i wszyscy wróciliby do domu uszczęśliwieni.

Tyle że Curry właśnie robił, co mógł, by plan się nie powiódł. Nim Kate zdążyła się opanować, spojrzała na niego spode łba. Na szczęście Moran ponownie skupił uwagę na obrońcy.

- Panie Curry, proszę pokrótce wyjaśnić pani White i mnie, kim jest ten świadek i co zamierza zeznać, jeśli dopuszczę taką możliwość.

Curry spojrzał na Kate. Dostrzegła w jego oczach starannie skrywaną chytryść. Zdawał sobie sprawę z całkowitej bezużyteczności nowego świadka. Wiedział, że nie ma mowy, by ktoś zgodnie z prawdą mógł zapewnić oskarżonemu alibi, obstawać przy jego nieobecności na miejscu przestępstwa, bo Soto był tam, popełnił tę zbrodnię, potwierdzały to wszystkie dowody. Rzuciła okiem na sędziego - teraz przybrał obłudnie uroczystą minę.

Czy on tego nie widzi? Nie dociera do niego, iż Curry wie, że to bzdury? Nie rozumie, że się go wystawia?

Najwyraźniej nie.

- Mój świadek - nie chcemy, by jego nazwisko - z powodów bezpieczeństwa - padło publicznie w sądzie -długoletni znajomy oskarżonego i jego rodziny twierdzi, że pan Soto ma kuzyna, który...

Bez żadnego ostrzeżenia gdzieś w sali sądowej zabrzmiały radosne tony przeboju Pussycat Dolls: „Don't Cha”. Sędzia Moran zeszywniał. Zdziwiony Curry obejrzał się przez ramię, szukając źródła zakłócenia, a Kate zamarła przerażona.

Ona знаła tę melodyjkę, nie mogło być żadnej pomyłki. To jej komórka. Zapomniała ją wyłączyć - następne przykazanie dotyczące rzeczy zabronionych w sali sądowej. A żenująco nieprofesjonalny

motyw muzyczny jeszcze pogarszał sprawę. Ben i jego koleżanka Samantha eksperymentowali z jej komórką poprzedniego dnia, gdy wiozła ich z zabawy do domu przejazdem przez McDonalda. To był ich ulubiony dzwonek. Tę melodię nastavili więc w komórce Kate. Całkowicie o tym zapomniała i nie zmieniła na zwykły, poważny sygnał. Zawsze wyłączała komórkę, wchodząc do sali sądowej. Zawsze. Ale akurat dzisiaj, w pośpiechu, po prostu zapomniała.

- Czyj to telefon? - zapytał groźnie sędzia Moran. Zmartwione spojrzenie Bryana upewniło ją, że on już wie, iż ten tak drażniący w sali sądowej dźwięk rozlegał się spod stołu, przy którym siedzieli.

A dokładniej z wnętrza jej aktówki, stojącej obok krzesła, na podłodze na drugim końcu zajmowanego przez prawników z prokuratury stołu. Chociaż z miejsca, w którym stała, nie widziała czarnego skózanego prostokąta, domyślała się jednak, że teczka wręcz wibrowała od skondensowanej energii muzyki.

Znów rozległa się ta sama skoczna melodia i Kate poczuła się strasznie mała niczym Calineczka.

- Żądam odpowiedzi! - rozkazał Moran.

Wszyscy rozglądali się, szukając winnego. Trzej rozstawieni w różnych punktach sali zastępcy szeryfa patrzyli jeden na drugiego, a potem zdawali się prosić wzrokiem sędziego o wskazówki, co mają czynić. Znając Morana, sprawy miały potoczyć się w przerażającym tempie.

Kate musiała zaakceptować straszną prawdę: nie pozostało jej nic innego, jak się przyznać.

- Moja, wysoki sędzie - powiedziała, starając się trzymać głowę do góry, choć miała ochotę zapaść się pod podłogę. Jakby na potwierdzenie jej słów, znów popłynęła melodia.

Żeby to cholerstwo się przymknęło. Boże, niech się uciszy.

- Ja przepraszam, ja...

- Proszę to wyłączyć. - Głos sędziego zabrzmiał jak uderzenie pioruna. Jego twarz nabierała koloru szybko dojrzewającego pomidora. - Natychmiast.

- Tak, wysoki sędzie.

Drobiąc niepewnie w stronę stołu prokuratury i jednocześnie starając się zachować profesjonalny spokój, miała tę okropną świadomość, że wszyscy na nią patrzą. Na twarzy Bryana malowała się konsternacja. Za nim, za barierką, Kate widziała ocean patrzących na nią z uwagą oczu. Poza kolejnym wybuchem entuzjastycznych dźwięków z jej przekłętej komórki w sali panowała kompletna cisza.

O mój Boże, nie wierzę w to. Zrobiłam z siebie ostatnią idiotkę, a także z Bryana i z całej prokuratury. Moran potraktuje mnie jak szmatę. Jak mogłam do tego dopuścić?

To tylko kilka z radosnych myśli kłębiących się w głowie Kate, gdy zaciskając zęby, przykucnęła obok stołu, otworzyła aktówkę, wsunęła rękę do bocznej kieszonki i sięgnęła po wibrujący telefon.

Odszukała właściwy przycisk i szybkim, wściekłym uderzeniem wyłączyła dzwonek akurat w momencie, gdy dostrzegła wyświetlający się napis: cyfry pląsające na ekranie komórki były numerem telefonu szkoły Bena.

Mimo to przez następny ułamek sekundy przede wszystkim odczuwała ulgę, że wreszcie zapanowała błogosławiona cisza.

Potem pojawiły się rozmaite niepokojące myśli, do niemożliwości napinając jej już i tak napięte nerwy. Ben.

Jak co rano podrzuciła go do szkoły o siódmej trzydzieści, by zdążyć do pracy. Należał do grupy „śniadaniowej”, obejmującej mniej więcej jedną czwartą uczniów poniżej dwunastu lat, głównie dzieciaki, których rodzice zaczynali pracę o ósmej. Od siódmej trzydzieści dostawali w stołówce sok i płatki śniadaniowe, potem wolno im było rozejść się do klas. Był to pierwszy rok Bena w nowej szkole - czwarta klasa - jako że wprowadzili się do tej dzielnicy z początkiem lata, gdy zatrudniono ją w biurze prokuratora. Na razie, jak jej powiedział, wszystko było w porządku. W języku Bena oznaczało to, że nie chce rozmawiać o sytuacji w szkole. Co martwiło Kate. I nic dziwnego. Niepokoiła ją praktycznie każda sprawa związana z wychowywaniem Bena.

Bała się, że nie postępuje właściwie.

A teraz zadzwonili do niej ze szkoły i natychmiast poczuła ucisk w żołądku.

Może Ben zachorował? Albo coś sobie zrobił? A może chodzi o coś innego, o jakieś formalności, związane ze szkołą? Pewnie zapomniała wypełnić jakiś formularz lub wysłać czek lub jeszcze coś podobnego. Jednak cokolwiek to było, nie mogła teraz oddzwonić. Może uda jej się to zrobić w czasie przerwy.

Oby tylko z Benem wszystko było w porządku, modliła się, chowając już wyłączoną komórkę z powrotem do aktówki; posłała Bryanowi przepraszające spojrzenie i, kurcząc się w duchu, w oczekiwaniu na burzę, która, jak wiedziała, zaraz na nią spadnie, wstała.

Bum! Bum! Bum!

Nagle nie wiadomo skąd rozległy się - lekko stłumione - dźwięki.

Pochylona, kątem oka zarejestrowała jakieś nagłe poruszenie; metalowe jasnobrązowe drzwi prowadzące do monitorowanego korytarza i pomieszczeń aresztu, gdzie trzymano więźniów, dopóki nie zostali wezwani na salę sądową, otworzyły się gwałtownie. Gdy Kate odwróciła się do nich twarzą, ktoś z publiczności za barierką krzyknął.

To dźwięki strzałów, pomyślała instynktownie, gdy wokół niej wybuchł chaos.

Ku jej zdziwieniu, Mały Julio Soto skoczył na nogi i pobiegł na drugi koniec stołu obrony; choć nieduży, był muskularny i teraz w szarym, źle dopasowanym garniturze - włożył go, by zyskać przychylność ławy przysięgłych - nagle stał się przerażająco groźny. Przy każdym ruchu jego długie czarne włosy i bladoniebieski krawat unosiły się, a wąska twarz błyszczała nieokiełznanym triumfem. Udało mu się zdobyć pistolet; trzymał go w ręce.

Kate wciągnęła powietrze. Z przerażenia serce jej załomotało.

Nie! Ale krtań nie zareagowała; wargi się nie poruszyły. Krzyk zabrzmiał tylko w jej głowie.

- Nie wsadzicie mnie z powrotem do więzienia! -wrzeszczał Soto przy akompaniamencie strzałów.

Sędzia Moran poderwał się na nogi; Kate widziała, jak patrzył z niedowierzaniem na Julia. Uniósł dłonie przed siebie, jakby chciał się za nimi ukryć. Oczy miał wybałuszone, usta otwierały się, jakby miał coś powiedzieć, krzyknąć. Nigdy się nie dowiedziała, co to miały być za słowa, bo rozległ się huk i głowa sędziego rozprysnęła się na kawałki.

RS

Rozdział 4

Popełnione na jej oczach morderstwo wstrząsnęło Kate, poczuła się, jakby ktoś zadał jej cios pięścią w brzuch. Przez chwilę nie mogła złapać oddechu. W uszach jej szumiało. W ustach pojawił się kwaśny smak.

To nie może dziać się naprawdę.

Krew i mózg rozprysnęły się na ścianie za stołem sędziowskim. W powietrzu zawisł przerażający obłok czerwonawej miazgi, która jeszcze przed chwilą była głową sędziego, a jego ciało padło niczym głaz, znikając z pola widzenia. Pod Kate ugięły się kolana. Osunęła się na klęczki przy drugim końcu stołu prokuratury, z oczami pełnymi niedowierzania, z sercem bijącym jak oszalałe. Dłonie zwinięte w pięści z całej siły przyciskała do ust. Niezdolna do jakiegokolwiek ruchu czuła, że nie może oddychać; patrzyła na rozgrywające się przed nią sceny jakby z daleka, jakby pozbawiona cielesnej powłoki.

O Boże, Boże, daj, by to był tylko zły sen.

Dwóch mężczyzn, jeden, sądząc po pomarańczowym kombinezonie z krótkimi rękawami, z pewnością więzień, wypadło ze strzeżonego korytarza. W rękach trzymali pistolety. Soto obejrzał się na nich przez ramię.

- Vamonos! Idziemy!

Bum! Bum!

Rozległy się następne strzały, gdzieś od strony ławy przysięgłych. Chyba któryś z zastępców szeryfa odpowiedział ogniem, pomyślała Kate, choć nie widziała, kto strzelał, bo nadal nie mogła się poruszyć. Wokół niej wybuchła panika. W ciągu tych pierwszych kilku sekund sala sądowa zamieniła się w przerażający kalejdoskop kolorów, dźwięków i ruchów.

Nisko pochylony Soto i dwaj nowo przybyli biegli już na przód sali. Któryś z przestępców, ten w pomarańczowym kombinezonie, wrzasnął:

- Co, u diabła, zrobiłeś?
- Zabiłem go, no i co z tego? - odpowiedział wrzaskiem Soto.
- Ty durna kupo gówna!
- Idź do cholery!

Podczas gdy tych dwóch obrzucało się przekleństwami, wszyscy razem pędem ominęli stół sędziowski i skoczyli do okna, w biegu wykonując uniki przed kulami i strzelając na oślep. Curry padł na podłogę przed stołem sędziego i rękami zasłonił głowę, a jakaś kula uderzyła w gładki mahoń nie dalej niż pół metra ponad miejscem, w którym leżał. Protokolantka, z rękami uniesionymi w górę, pognęła z krzykiem w stronę ławy przysięgłych. Zastępca szeryfa stojący najbliżej stołu sędziowskiego -ten, którego usypiający głos wcześniej wyłączył uwagę Kate - krzyknął i upadł; został postrzelony, wiedziała, zanim jeszcze ujrzała krew wypływającą spod jego głowy. Krzyki, przekleństwa, stukot biegnących stóp i strzały -nawet po tylu latach Kate wszędzie rozpoznałaby te ostre dźwięki - straszliwie mieszały się

ze sobą, odbijając się echem od ścian, podłogi i sufitu niczym szybko następujące po sobie grzmoty, wypełniając pomieszczenie ogłuszającym, przerażającym hałasem. Wszędzie unosił się zapach prochu i śmierci.

Krew wypływająca spod głowy zastrzelonego zastępcy niczym czerwona rzeka sunęła teraz w stronę Kate po lastrykowej posadzce.

Dotarła do niej specyficzna woń.

Ludzka krew pachnie jak surowe mięso. O Boże, pamiętała ten zapach...

Poczuła mdłości. Wydawało się jej, że zaraz zwymiotuje, ale nie mogła. Szok - przynajmniej umiała określić to lodowate, śmiertelnie przerażające uczucie - pozbawił ją możliwości wykonania jakiegokolwiek ruchu, przyciskał do gładkiego, twardego lastryka podłogi.

Krew - tyle krwi... wszędzie krew... plamy szkarłatu na ścianach, rozpryski czerwieni na podłodze, czerwony strumień jak pompowany bucha z rozdartego ciała...

Czas zdawał się pełzać w przerażająco zwolnionym tempie. Żołądek obrzydliwie podchodził jej do gardła. Serce uderzało mocno, szybko. Porażona grozą otaczającego ją koszmaru wiedziała, że nic nie może zrobić, by się uratować.

- Gdzie oni są? - wrzasnął przestępca w pomarańczowym kombinezonie, wystarczająco donośnie, by przebić się przez eksplozję hałasu tak straszliwego, że Kate wydawało się, iż mózg jej się rozpadnie.

- Skąd, do cholery, mam wiedzieć? - odkrzyknął Soto.

- Powinni tu być!

- Wynoście się, wynoście się, wynoście się! - Jakiś człowiek za barierką nawoływał innych do ucieczki z sali.

- Mamusiu, gdzie jesteś? - krzyknęło rozpaczliwie dziecko, także z miejsc dla publiczności.

- Boże, pomóż mi, Jezus, pomóż... - jęknęła w pobliżu kobieta.

Te i inne anonimowe głosy docierały do uszu Kate poprzez mrozące krew w żyłach dźwięki i głosy wielu ludzi wrzeszczących i usiłujących uciec z miejsca, które w ciągu kilku sekund zamieniło się w rzeźnię. Gdyby była w stanie się poruszyć, zasłoniłaby dłońmi uszy, ale jej mięśnie, teraz ciężkie niczym ołów, odmówiły współpracy z mózgiem. Oddychała szybko, płytko. Serce waliło jej jak młot. Oblewały ją fale zimnego potu. Wiedziała, że powinna się ruszyć, uciec, za wszelką cenę natychmiast się ukryć, ale nawet nie drgnęła. Po raz drugi w życiu sparaliżował ją strach. Poruszały się tylko jej oczy, gdy rozpaczliwie rozglądała się wokół. Och, Boże, ilu zabitych?

Przerażona patrzyła, jak pozostali przy życiu zastępcy szeryfa i więźniowie ostrzeliwują się nawzajem, a część ludzi zgromadzonych za barierką kuca, starając się ukryć przed kulami. Inni z krzykiem przedzierali się przez stoły lub pchali się w stronę środkowego przejścia, zgięci w pół, stłoczeni, wpadając jedni na drugich, gdy próbowali uciec przez podwójne drzwi, przez które tak niedawno ona i Bryan pospiesznie wchodzili. Jakiś uciekający mężczyzna dostał kulę w plecy i padł do przodu, zwalając z nóg idącą przed nim parę.

Wbiegający za nim ludzie przeskakiwali przez leżące na podłodze ciało. Wielu przysięgłych wstało i niczym oszalałe ze strachu stado przepychali się w stronę drzwi do ich pomieszczenia. Inni, odcinając kolegom drogę ucieczki, kryli się za niskim murkiem odgradzającym ławę przysięgłych od sali.

Ze wszystkich stron powietrze przeszywały kule.

Jakiś zastępca szeryfa, wycofując się wzdłuż lewej ściany sali sądowej, nieustajaco strzelał w kierunku trójki przestępców kryjącej się za stołem sędziowskim, dopóki nie padł skoszony serią. Dźwięki przypominające huk wiertarki pneumatycznej rozsadzały uszy Kate. Krzyczała jak pozostali - ale i ten krzyk pozostał w jej głowie.

- Kate, na Boga, tutaj!

Usłyszała z bliska rozpaczliwe wezwanie i poczuła na nodze coś ciepłego i wilgotnego. Pisnęła, poderwała się i wciągnęła wielki haust powietrza. Rzeczywistość podziałała na nią niczym wiadro zimnej wody.

Mogłaby tu zginąć - ale jej nie wolno. Co stałoby się z Benem?

Gdy twarz ukochanego synka ukazała się jej przed oczami, ogarnęła ją panika. Odezwał się instynkt. Dostrzegła pulchne palce Bryana, gdy ześlizgiwały się z jej kostki, i ujrzała go przykucniętego pod wątpliwą osłoną stołu prokuratury. Przysiadł na palcach stóp i ciężko oddychał, wyraźnie się pocił. Gdy ich spojrzenia się spotkały, zobaczyła w jego oczach przerażenie.

O mój Boże, zabili sędziego Morana. Prokuratorzy pewnie będą następni na liście.

Czas odzyskał normalne, szalone tempo. Kate odwróciła się i szybko popęzła w stronę Bryana. Serce łomotało jej niczym biegnącemu maratończykowi, spocone dłonie ślizgały się po lastrykowej posadzce. Choć zdawała sobie sprawę, że w istocie tak nie jest, poczuła się bezpieczniej, gdy cienki blat mahoniowego stołu znalazł się nad jej głową. Przyciskając się do ciepłego ciała kolegi, próbowała wyrzeć, rozpaczliwie pragnąc zlokalizować strzelających. Miała ograniczone pole widzenia, dostrzegała aktówki, parasolki i rozrzucone dokumenty, które spadły ze stołu na podłogę, a także kawałek przegrody przy ławie przysięgłych, niższą część stołu sędziego, podium, miejsce dla świadka i stanowisko protokolantki, przestrzeń pod stołem obrony i ciemną boazerię wokół. Z ludzi widziała tylko zastrzelonego zastępcę szeryfa i Eda Curry'ego, który przywierając do podłogi, niczym komandos szybko czołgał się w stronę stołu obrońców, a potem dalej, w kierunku murku oddzielającego środek sali od miejsc za barierką.

- Fatalnie to wygląda - powiedział jej do ucha trzęsącym się głosem Bryan.

- Musimy się stąd wydostać. - Przerazenie ścisnęło jej gardło, z trudem wydobywała z siebie słowa. Ta ich ciemna, niewielka nisza mogła się wydawać bezpieczna, ale Kate dobrze wiedziała, że to złudzenie. - Za wszelką cenę musiała przeżyć dla Bena.

Co począłby bez niej? Jego ojciec nie żył; nie miała rodziny, która przyjąłaby go do domu. Zostałby sam. Ta myśl napęłniła Kate najgorszą odmianą strachu.

- Czy ten drań jest tam gdzieś? - wrzasnął człowiek w pomarańczowym kombinezonie. - Pack, widzisz go?

- W tym cholernym deszczu nic nie widać.

- Musimy zaryzykować. Trzeba się wynosić.

Co najmniej dwóch z tej trójki znajdowało się przerażająco blisko, oceniła Kate, sądząc po tym, jak wyraźnie ich słyszała. Zdawali się strzelać niemal tuż nad jej głową. Nadal ich nie widziała, co jeszcze zwiększało narastającą w niej panikę. Na myśl, że łąda chwila mogą sobie przypomnieć o niej i Bryanie, przeszedł ją dreszcz.

Boże, proszę, niech to nie będzie jeszcze pora na moją śmierć.

Oddychała tak szybko, że bała się, by nie doznać hiperwentylacji, jej serce galopowało. Przykucnęła, gdy z sąsiedztwa ławy sędziowskiej rozległy się głośnie trzaski, a choć bardzo starała dociec ich źródła, nie udało jej się. Wszakże nie miała wątpliwości, że ona i Bryan znaleźli się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Świadoma słabości ochrony dostarczanej przez stół prokuratury, rozpaczliwie szukała wzrokiem możliwie najlepszej drogi ucieczki. Obecność ścianki oddzielającej miejsce między stołem sędziowskim a barierką, przeznaczoną do zachowania dystansu między najważniejszymi uczestnikami rozprawy a publicznością, teraz działała przeciwko nim. Murek był około metra za nimi, odcinał im najkorzystniejszą drogę ucieczki. Wiedziała, że pozostały im trzy możliwości: mogli wspiąć się na niego i pobiec przez miejsce dla publiczności lub dopaść do ruchomych drzwiczek wiodących do centralnego przejścia między rzędami i wraz z tłumem innych przeć

do wyjścia, wreszcie mogli zostać na miejscu. Dwie pierwsze możliwości wystawiały ich na strzały, a jeśli zostaliby zauważeni przez przestępców, co było niemal pewne, równie dobrze mogliby wymalować sobie tarcze celownicze na plecach. Trzecia wydawała się bezpieczniejsza, ale w rzeczywistości w tym wypadku mogli dostać zbląkaną kulę lub w każdej chwili zostać odkryci przez strzelających.

Którzy, nie miała wątpliwości po tym, co przydarzyło się sędziemu Moranowi, zabiliby ich z największą przyjemnością.

Myśl o znalezieniu się na łasce więźniów przyprawiła Kate o ciarki.

- Musimy zaryzykować - szepnęła Bryanowi, który rozglądał się wokół równie rozpaczliwie jak ona.

Skinał głową.

Jeszcze zanim zdążyli pomyśleć o wykonaniu jakiegokolwiek ruchu, ostatni pozostali przy życiu zastępca szeryfa, ten, który wcześniej stał najbliżej ławy przysięgłych, pojawił się niedaleko nich. Był, jak widziała Kate, w średnim wieku, brązowe włosy siwiały mu przy skroniach, mundur nie do końca maskował niewielki brzusek. Wyskoczył zza murku przy ławie przysięgłych i niezgrabnie pochylony biegł, krzycząc do nadajnika:

- Ranny funkcjonariusz! Ranny funkcjonariusz! -ostrzeliwując się jednocześnie.

Po chwili Kate ujrzała, że dostał kulą w plecy. Nadajnik pofrunął na podłogę, a mężczyzna uderzył głucho o podłogę zaledwie kilka kroków od miejsca, gdzie Kate ukrywała się z Bryanem. Z

przerażeniem patrzyła na jego zachodzące mgłą oczy i plamę czerwieni zakwitającej na plecach, na granatowej koszuli, niczym błyskawicznie otwierająca płatki róża. Mężczyzna nie był martwy, przynajmniej jeszcze nie, bo gdy upadł, jego dłoń poruszyła się i zacisnęła w pięść.

Serce w niej zamarło.

On potrzebuje pomocy...

Ale nie mogła nic zrobić. Nawet podpełznąć do niego bez wystawienia się na potencjalnie śmiertelną kulę.

- Trzymaj się - szepnęła do rannego, którego oczy już znieruchomiały. Wpatrywał się w nią w sposób, który, jak się obawiała, oznaczał tylko coś złego. Prawie była pewna, że jej nie widział.

Gdy znów spojrzała na niego z przerażeniem, dwie rzeczy wydarzyły się niemal jednocześnie. Najpierw znów rozległa się seria strzałów, której towarzyszył brzęk rozbijanego szkła. Sądząc po odgłosach, kula trafiła w najbliższe okno. Kawałki szkła z głośnym brzękiem rozbijały się na twardej posadzce, w powietrze uniosła się chmura szklanego kurzu. A zaraz potem ktoś ryknął głośno z przeciwnego końca sali, od strony wyjścia, zagłuszając panujący rozgardiasz:

- Policja! Stać! Na podłogę, na podłogę! Dzięki Bogu, jesteśmy uratowani...

- Cholera! - zaklął jeden z przestępców. Kate była pewna, że to jeden z nich, choć nie ten w pomarańczowym kombinezonie. Jego

słowa zagłuszyły następne strzały i krzyki, które uświadomiły Kate, że sala sądowa nadal jest pełna.

- Na zewnątrz jest pieprzona armia świń! - wrzasnął Pomarańczowy Kombinezon, zbyt blisko jak na gust Kate.

- Załatwię ich. - Drugi głos był wysoki, histeryczny.

- Mały Julio, nie!

Jeżeli nastąpiła odpowiedź, Kate nie usłyszała jej, może dlatego, że słowa utonęły w następnym ryku:

- Powiedziałem, stać! - Po czym nastąpiła ogłuszająca kanonada. Kule przecinały powietrze tak blisko, że słyszała ich świst. Jedna uderzyła o bok ławy przysięgłych około metra dalej. Druga wydarła kawałek podłogi tuż przy aktówce. Kate i Bryan instynktownie zasłonili głowy i pochyłili się nisko. Przycisnęli się tak mocno do siebie, że trudno byłoby rozróżnić, gdzie kończyło się jego ciało, a zaczynało jej. Sądząc po dźwiękach, Kate była pewna, że strzelano także na zewnątrz budynku. Stłumiony krzyk, nagle urwany, przyprowadził ją o zimny dreszcz.

- Chyba otoczyli budynek - szepnął Bryan. - Zdaje się, że ten typ skoczył z okna i zastrzelili go. - Oboje drżeli. Brian szczekał zębami, ich brzęk zakłócał jego słowa.

- Żeby tak wszyscy wyskoczyli!

Następna kula trafiła w nogę stołu zaledwie kilkanaście centymetrów od Kate, wysyłając w powietrze odłamki drewna. Wciągnęła powietrze, spojrzała na uszkodzoną nogę i zatrzęsała się gwałtownie, jeszcze mocniej napierając ramieniem na Bryana.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece... - szepnął zrozpaczony; skulił się pod stołem, zamknął oczy, a ramionami obejmował głowę.

W pobliżu rozległy się czyjeś kroki. Kate poczuła, jak z przerażenia zaschło jej w ustach, instynktownie odwróciła głowę w stronę zbliżających się odgłosów. Słyszała je, ale nie widziała nadchodzącego człowieka. Całkowita ślepotą, jak odkryła, była stanem przerażającym.

Ale nie do tego stopnia jak świadomość, która pojawiła się chwilę później: kroki musiały należeć do strzelającego, gdyż między barierą a stołem sędziowskim nie było już nikogo innego.

Starła się ogarnąć wzrokiem jak najwięcej przestrzeni poza stołem. Ze strachu kurczył jej się żołądek. Rozpaczliwie rozglądała się wokół, ale nic nie widziała. Przykucnąwszy tak nisko, jak tylko było to możliwe, gwałtownie chwyciła powietrze i próbowała patrzeć we wszystkich kierunkach naraz; nagle poczuła, że wdychane powietrze stało się chłodniejsze i pachniało deszczem, co potwierdziło przypuszczenie, że okno znajdujące się niemal na wprost stołu prokuratury zostało wybite. Najwyraźniej więźniowie chcieli przez nie wyskoczyć, jednak zniechęciła ich do tego pomysłu - z wyjątkiem zabitego Soto - obecność policji na zewnątrz. Kate słyszała szum ulewy i przenikliwe wycie syren. Tak licznych, jakby cała policja Filadelfii zjechała przed gmach sądu.

Jeśli uda im się przeżyć choć trochę dłużej, wnet wszystko się skończy.

- Rzucić broń! - krzyczał funkcjonariusz policji wewnątrz sali. Kate i Bryan zamarli przytuleni do siebie, z głowami nisko pochylonymi, a wokół nich powietrze wypełniło się szczękiem broni i krzykiem. Przybyła odsiecz, nad ich głowami rozpętała się strzelanina, więc wyskoczenie teraz spod stołu wydawało się najgłupszą rzeczą, jaką mogliby uczynić.

Proszę, błagam, ratujcie nas...

I znów odgłos biegnących stóp przeszył ją zimnym dreszczem. Ostrożnie objęła wzrokiem możliwie jak najwięcej przestrzeni. Nadal nic nie widziała poza fragmentem sali na samym dole, całkiem pustym poza dwoma martwymi zastępcami szeryfa - Kate była pewna, że ten drugi też nie żyje; oczy zaszły mu mgłą, pięść się rozluźniła. Nagle przed jej oczami pojawiła się para stóp w czarnych tenisówkach. Serce jej zamarło, gdyż Pomarańczowy Kombinezon pochylił się i przykucnął - przypominając złośliwą ropuchę - wprost przy stole prokuratury. W ręce trzymał wielki czarny pistolet. Strzelano z niego tak niedawno, że Kate czuła jeszcze z lufy zapach gorącego prochu. Podobnie jak Soto, ten typ miał wygląd pospolitego rzezimieszka i prawdopodobnie był pochodzenia latynoamerykańskiego. Miał gładko ogoloną, okrągłą, niemal dziecinną twarz z pełnymi policzkami i dołkiem w brodzie. Pocił się, sprawiał wrażenie spanikowanego, oddychał ciężko. Małe, zimne i okrutne oczy wpatrywały się, tuż nad jej głową, w coś na drugim końcu sali: pewnie patrzył na policjanta lub policjantów.

Opuścił wzrok i ich spojrzenia się spotkały.

- Rzuć broń! - krzyknął policjant zza barierki. Serce Kate łomotało donośnie, wypełniając jej uszy szumem i tamten głos wydał jej się stłumiony, jakby dochodził z wielkiej odległości.

Pomarańczowy Kombinezon nie dał po sobie znać, że cokolwiek usłyszał. Nawet nie mrugnął. Tylko nie odrywał od niej wzroku. Niczym lodowata fala Kate ogarnęła świadomość, że znalazła się oko w oko ze śmiercią.

Przestała oddychać.

O Boże, Boże, nie pozwól, żeby ją zastrzelił!

- Rzuć broń! - krzyknął policjant. Dopiero wtedy dotarło do niej, że powiedział w liczbie pojedynczej - rzuć, a nie rzućcie, jak poprzednio. Czy to znaczyło, że został tylko ten jeden zbir? Ten, który celował teraz do niej - Pomarańczowy Kombinezon?

- No chodź.

Na oko dwudziestokilkuletni morderca złapał ją za ramię powyżej łokcia, wpił palce w jej ciało. Wciąż celując jej w twarz, pociągnął Kate do siebie. Nie oponowała; nie miała wątpliwości, że zastrzeliliby ją bez wahania. Poraniła sobie kolana na szorstkiej posadzce. Spocone dłonie ślizgały się, gdy niezgrabnie wyszła spod stołu. Wbiła wzrok w mały, czarny otwór lufy i przed oczami pojawiła jej się eksplodująca głowa sędziego Morana: jeśli ten drań pociągnie za spust, ona skończy tak samo.

Nie, nie, nie.

Ale nie mogła nic zrobić, by się uratować. Bryan nie próbował jej pomóc. Skurczył się jeszcze bardziej, za co nie mogła go winić:

było absolutnie jasne, że zostałby zastrzelony, gdyby tylko spróbował w jakikolwiek sposób interweniować.

- Proszę, mam małego synka - powiedziała Kate, gdy uderzyła kolanem o nogę Pomarańczowego Kombinezonu. Próbowwała wytrzymać jego spojrzenie, znaleźć do choćby resztki ludzkich uczuć, jakie mógł jeszcze mieć, ale znowu patrzył przed siebie, zapewne na policjantów (miała nadzieję, że było ich więcej) po drugiej stronie sali.

- Zamknij się. - Morderca obrócił ją tak, by patrzyli w tę samą stronę, potem otoczył ramieniem jej szyję, niemal dusząc Kate, i cały czas trzymał głowę pod osłoną stołu. - Teraz wstaniemy. Razem.

Zimnym, twardym końcem lufy nacisnął policzek Kate. Serce biło jej jak szalone, w głowie czuła kompletną pustkę. Kolana jej zmiękły i nogi się pod nią ugięły, ale Pomarańczowy Kombinezon i tak, sam wstając, na siłę pociągnął ją do góry. Zadziwiająco muskularne ramię ciasno zamknęło się wokół jej szyi, nie pozostawiając żadnej szansy na ucieczkę; mężczyzna był spocony i obrzydliwy. I tylko trochę wyższy od niej, gdy miała buty na wysokich obcasach, ale bardziej krzepki i o wiele silniejszy. Czuła od niego smród niemytego ciała i taniej wody kolońskiej. Tuż przy uchu miała wilgotny, lepki policzek mężczyzny. Słyszała jego ciężki oddech.

Zbierało jej się na wymioty.

- Zabiję ją! - wrzasnął, przytrzymując Kate mocno przy sobie, gdy oboje wolno się prostowali. Ramieniem zmusił ją do uniesienia

brody. Pistolet wbijał jej się w policzek. - Cofnąć się albo rozwalę jej pieprzoną głowę!

- Wstrzymać ogień! - Jakiś mężczyzna - chyba policjant, pomyślała, ale głowę miała uniesioną do góry pod takim kątem, że nie widziała mówiącego – wykrzyknął z drugiego końca ostrzeżenie, prawdopodobnie do kolegów gliniarzy. - Nie strzelać!

Napastnik znów zmienił chwyt i teraz Kate mogła nieco opuścić brodę. Przytrzymywana na siłę w pozycji maksymalnie wyprostowanej, miała teraz przed sobą salę sądową, w której pozostali jeszcze cywile - może dziesięciu - i skuleni chowali się między rzędami krzeseł, chroniąc się, jak mogli. Tylko kilku odważyło się ukradkiem na nią spojrzeć. Z tyłu zamarła w bezruchu ustawiona w klin grupa uzbrojonych po zęby ludzi szeryfa i policjantów, Kate dostrzegła ich więcej w otwartych drzwiach i na korytarzu. Niektórzy funkcjonariusze z tych znajdujących się w środku przykucnęli, inni kryli się za rzędami krzeseł, kilku stało w centralnym przejściu. Tylko nieliczni byli wyposażeni w kuloodporne kamizelki. Wszyscy uzbrojeni, celowali w jej stronę. Nikt się nie ruszał. Dowodzący akcją czarnowłosa, śniady funkcjonariusz miał na sobie cywilne ubranie - granatowa marynarka, biała koszula i czerwony krawat, mokre od deszczu oblepiały jego smukłe ciało o szerokich ramionach. Miał około trzydziestki, a był tak przystojny, że w innych, bardziej przyjaznych okolicznościach Kate spjrzałaby na niego ponownie. Klęczał na jednym kolanie w przejściu na samym przedzie klina,

ściskając pistolet obiema rękami. Tak jak pozostali, też mierzył do Kate.

Nie, nie we mnie, upewniała się, próbując uspokoić szalejące serce. Tak jak jego koledzy celował w mężczyznę używającego jej jako tarczy.

Po prostu znalazła się na linii ognia.

Jej spojrzenie zetknęło się ze wzrokiem policjanta. Miał ciemne oczy - w jaskrawym świetle padającym z sufitu wydawały się barwy onyksu. Ich chłodny, spokojny wyraz dodawał odwagi. Popatrzył na nią przez chwilę, potem przeniósł wzrok na mężczyznę za nią. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

- Puść ją - powiedział.

Tak jak oczy, jego głos też emanował spokojem. Pistolet nawet nie drgnął mu w dłoniach. Kate z trudem oddychała, a gdy Pomarańczowy Kombinezon zacisnął ramię wokół jej szyi, całkowicie odciął jej dostęp powietrza. Walcząc o złapanie tchu, obiema rękami chwyciła go za owłosione przedramię, bojąc się zacisnąć paznokcie, by jej nie zastrzelił. Serce jej łomotało. Żołądek zacisnął się w węzeł. Ani na chwilę nie odrywała przerażonych oczu od twarzy policjanta.

Już na nią nie popatrzył. Całą uwagę skierował na mężczyznę, który ją więził.

- No, pewnie. - Pomarańczowy Kombinezon zaśmiał się drwiąco i zaczął ciągnąć Kate na prawo, w stronę drzwi prowadzących do gabinetów i monitorowanego korytarza. Potykała się na tych swoich idiotycznych obcasach, więc boleśnie szarpnął ją do góry. Ale przy

tym przesunął ramię, więc znów mogła oddychać. Z ulgą łapczywie chwyciła powietrze. - Co ty sobie myślisz, że jestem idiotą? Że nie wiem o czekającej mnie czapie? - Zawahał się na moment i Kate wyczuła gwałtowne unoszenie się i opadanie jego klatki piersiowej za swoimi plecami. - Żądam helikoptera. Przed budynkiem. Za piętnaście minut. Jak nie, wykończę ją.

- Zabijesz ją, to my ciebie - powiedział policjant takim tonem, jakby wzruszał ramionami. Pociągła, śniada twarz pozostała bez wyrazu. Ani na chwilę nie oderwał wzroku od porywacza. I cały czas w niego celował.

- Bez helikoptera i tak jestem martwy.

- Ale nie dzisiaj.

- Pieprzyć dzisiaj. Chcę dostać helikopter, słyszysz? Albo ona jest trupem.

Dotarli do drzwi monitorowanego korytarza.

- Otwieraj - rzucił jej do ucha. Gdy nie zareagowała natychmiast, gwałtownie szturchnął ją w policzek końcem lufy. Kate poczuła nagły, ostry ból. Krzywiąc się, jęknęła cicho i sięgnęła do gałki, którą widziała kątem oka. Gdy zacisnęła palce na srebrzyście lśniącej kuli, poczuła, że dłoń ma mokrą od potu.

Nie obracaj gałki. Spróbuj opóźnić...

- Słuchaj - powiedziała wyschniętymi ustami i jeszcze zanim skończyła zdanie, wiedziała, że to bez sensu. - Może się dogadamy...

- Otwórz te pieprzone drzwi. No już.

- Och. - Lufa broni znów wbiła jej się w ciało, boleśnie wciśnięta w zagłębienie pod kością policzkową. Tym razem Kate poczuła, że skóra pękła. Ciepłe krople krwi pociekły po policzku. Odetchnęła ciężko - ból w policzku był niczym w porównaniu z paraliżującym ją przerażeniem i poddała się. Wręcz namacalne napięcie jego ciała, bijące od niego gorąco i spływający pot wyraźnie świadczyły, jak bardzo mężczyzna był zdesperowany. Gdyby się opierała, z pewnością zastrzeliłby ją na miejscu. Poruszając się tak wolno, jak mogła, na ile wystarczyło jej odwagi, zrobiła, co powiedział, i pomimo spoconych dłoni udało jej się przekreślić gałkę.

Powoli zaczynała otwierać ciężkie metalowe drzwi.

- Puść ją, a będziesz miał całe lata na szukanie sposobu, żeby się wykręcić od kary śmierci - powiedział policjant, wciąż jakby omawiał pogodę. Kate patrzyła na niego błagalnie. A on nawet mrugnięciem nie dał poznać, że ją dostrzega.

Wolała nie myśleć, co może jej się przydarzyć, jeśli Pomarańczowy Kombinezon wciągnie ją za te drzwi.

Och, Ben. Mamusia cię kocha.

Na myśl, że mogłaby już nigdy nie ujrzeć swojego małego synka, poczuła w oczach łzy.

- Taki spryciarz jak ty z łatwością coś wykombinuje -ciągnął gliniarz. - Wiesz, jak działa ten system. Z drugiej strony, jeśli ją zabijesz, gwarantuję ci, że nie przeżyjesz dnia.

- Pieprzysz głupoty - powiedział Pomarańczowy Kombinezon i ku przerażeniu Kate pchnął drzwi na oścież. Potem wycofał się do

korytarza, ciągnąc ją za sobą. - Nie zamierzam pozwolić, by wbito mi igłę, amigo. Za nic w świecie. Masz piętnaście minut na zdobycie dla mnie helikoptera.

RS

Rozdział 5

Automatycznie zamykające się drzwi ze szczękiem zatrzasnęły się przed nosem Kate. Serce zabiło jej gwałtownie. Na plecach poczuła zimny dreszcz. Znalazła się sam na sam z Pomarańczowym Kombinezonem i nie wiadomo z kim jeszcze, kto być może nadal przebywał w monitorowanej strefie. Panowała tu niezwykła cisza - narastający i cichnący szum wentylatora przypominał odgłosy urządzeń podtrzymujących życie umierającego pacjenta. Na ścianie nad drzwiami zwisały resztki całkowicie teraz bezużytecznej, roztrzaskanej kulą kamery. Duszne powietrze zalatywało stęchlizną, zupełnie jak w kabine samolotu. W tej części budynku mogli przebywać wyłącznie więźniowie i zastępcy szeryfa; co do tych ostatnich Kate wątpiła, czy był tu jeszcze jakiś - żywy.

- Zamknij drzwi - rozkazał Pomarańczowy Kombinezon.

Spojrzała w dół, na gałkę, i zauważyła, że zamek nie cofnął się na miejsce. Porywacz najwyraźniej nie spodziewał się nikogo i nie zależało mu, by ktokolwiek do nich dołączył, co potwierdziło przypuszczenia Kate, że jego dwaj kołesie już się nie liczyli - byli martwi lub ranni, względnie udało im się zbiec. Zrozpaczona, czując się, jakby traciła resztki nadziei na wyjęcie cało z tej sytuacji, zrobiła, co kazał. Zamek zaskoczył z głośnym szczękiem. Kate wiedziała, że te gładkie, metalowe drzwi były kuloodporne. I domyślała się, że także dźwiękoszczelne. Jeżeli cokolwiek działo się teraz w sali

sądowej - modliła się gorąco, by to coś okazało się błyskawicznym zorganizowaniem odsieczy - i tak nic nie mogła usłyszeć.

- Grzeczna prokuratorka.

Jad w jego głosie, gdy wypowiadał słowo „prokuratorka”, jeszcze upewnił ją co do nieuchronności jej losu. Cokolwiek by się wydarzyło, on ją zabije.

Chyba że okaże się następna w kolejce po cud albo wymyśli jakiś sposób, by się uratować.

W ciągu następnych piętnastu minut.

Ale rozważnie, bez pośpiechu.

- Masz zegarek? - Nie czekając na odpowiedź, dodał: - Która godzina?

Rzuciła okiem na zegarek na ręce - była dziewiąta szesnaście. Powiedziała mu to.

- Masz czas do dziewiątej trzydzieści jeden. Idziemy.

Obrócił ją w przeciwną stronę korytarza, i zmusił do marszu przed siebie. Nadal przytrzymał ją ramieniem za szyję, jednocześnie przyciskając lufę broni do kręgosłupa Kate, tuż nad biodrami. Skrzywiła się, poczuwszy nagłe szturchnięcie, ale nie odważyła się zaprotestować. Buty ocierały jej pięty, niemniej teraz niewiele to znaczyło w porównaniu z dramatyczną sytuacją, więc prawie nie odczuwała bólu. Pociła się i drżała na przemian, serce jej łomotało, odchodziła od zmysłów.

Zachowaj spokój. Myśl. Musi być jakieś wyjście.

Korytarz stanowił część labiryntu przejść wiodących z całego budynku do rozległych podziemi, gdzie przetrzymywano więźniów. Znajdujące się tam pomieszczenia, zbudowane zgodnie z wymogami bezpieczeństwa, pozwalały zastępcom szeryfa niemal bez zwracania uwagi przeprowadzać więźniów w obrębie budynku sądowego. W razie nagłej potrzeby części korytarza można było od siebie odizolować dzięki kuloodpornym drzwiom. Zabezpieczenia zaprojektowane, by chronić zgromadzonych w sali ludzi przed więźniami, działały teraz przeciwko Kate. Z tego co wiedziała, a w każdym razie przypuszczała, miejsce to było niemal nie do zdobycia.

Szli wąskim, pomalowanym na przytłaczający odcień szarości korytarzem, jasno oświetlonym fluoryzującymi lampami pochowanymi w panelach sufitu. Podłoga była z gładkiego betonu. Na prawej ścianie widniało dwoje drzwi z szarego metalu - najwyraźniej prowadziły do cel - każde wyposażone w niewielkie oszklone i okratowane okienko pozwalające strażnikom sprawdzać, co dzieje się wewnątrz. Na końcu korytarza, na jego wąskiej ścianie zamocowano czarny telefon. Pod nim, obok następnych wzmocnionych drzwi stało składane metalowe krzesło, by strażnik mógł usiąść, gdy czekał, aż więzień zostanie wezwany przed oblicze sędziego. Drzwi takie same jak te, z których wychodziło się do sali rozpraw, prowadziły do kolejnego korytarza, i tak dalej... Te także były zamknięte i to, jak wywnioskowała Kate z braku zainteresowania nimi porywacza, od ich strony. Podsumowując: strzeżone korytarze tworzyły wewnętrzne więzienie, ukryte w podziemiach wielkiego gmachu sądu,

zaprojektowanego tak, by wywrzeć wrażenie na publiczności. Uwolnienie jej wyłącznie przy użyciu siły wymagałoby, jak się obawiała, ogromnego poświęcenia ze strony policjantów. Poza tym dałyby porywaczowi mnóstwo czasu na jej zastrzelenie.

Nagle pomyślała, że prawdopodobnie drzwi cel także są kuloodporne, i poczuła cień nadziei. Gdyby w jakiś sposób zdołała się wyrwać Pomarańczowemu Kombinezonowi, wpaść do jednej z cel i zamknąć się w niej...

- Lepiej módl się o ten helikopter - powiedział, szturchając ją pistoletem w kręgosłup.

O tak. Wzięła głęboki, uspokajający oddech. Powiedzmy, że nagle się odwróci, pchnie go, aby stracił równowagę, a potem pobiegnie do najbliższej celi i zatrzaśnie drzwi...

- Może helikopter nie jest jedynym wyjściem. Moglibyśmy wymyślić coś innego - choćby układ. - Była dumna ze spokojnego brzmienia głosu. Jej myśli nadal pędziły jak szalone, wciąż rozważała wszystkie za i przeciw swojego nie do końca przemyślanego acz jedynego planu ucieczki. W korytarzu było tak cicho, że wyraźnie słyszała stukanie obcasów o beton. Gdy znów się odezwała, własny głos wydawał jej się echem. - Na przykład, jeśli pozwolisz mi teraz stąd wyjść, mogę ci w stu procentach zagwarantować, że tak poprowadzę sprawę, byś nie dostał kary śmierci.

- Nie wciskaj mi kitu. Nic nie możesz zagwarantować.

- Zacisnął palce na kołnierzu jej zakietu i znowu lufą mocno nacisnął kręgosłup. Skrzywiła się i wyprostowała odruchowo,

próbując się cofnąć - na próżno. - A jeśli nie zamkniesz tej twojej pieprzonej jadaczki, żebym mógł pomyśleć, załatwię cię od razu.

W porządku. Głęboki oddech.

A więc to na tyle, jeśli chodzi o odzyskanie wolności perswazją. Szła dalej przed siebie, serce łomotało jej głucho

- dotarła do niej prawda. Jeśli ten bandzior nie dostanie helikoptera, którego zażądał - a Kate wiedziała, że nie dostanie, wystarczająco orientowała się w procedurze wymiany helikoptera na zakładnika - to o ile nie wydarzy się coś, co pozwoliłoby jej na ucieczkę, już jest martwa.

Po masakrze w sali sądowej on nie miał nic do stracenia. Już prawdopodobnie zasłużył na sześciokrotną karę śmierci. Jedno zabójstwo więcej nie zmieni jego losu.

Do tego z pewnością nie przepadał za pracownikami prokuratury.

Proszę, Boże, nie pozwól mi umrzeć.

Twarz Bena znów pokazała jej się przed oczami. Na myśl o zmarnowanym życiu syna, gdyby coś jej się przydarzyło, ponownie zapiekły ją oczy.

Przyjmij to jak mężczyzna, skarciła się w duchu. Niechęć zastosowała słowa, jakich użyłby Ben, i pojęła, że jeszcze bardziej przykręciła ściskające jej serce imadło. Mrugając pospiesznie powiekami, by opanować łzy, zanim wypłyną, zmusiła się do wyrzucenia z głowy wszelkich myśli o synku. Aby zachować

jakąkolwiek szansę na przeżycie, musiała mieć jasny umysł, musiała skoncentrować się na teraźniejszości.

Weź przykład z Misia Puchatka i myśl, myśl, myśl.

Właśnie podeszli do pierwszej celi, gdy gałka w drzwiach drgnęła, wydając głośny dźwięk. Kate drgnęła zaskoczona i ze zdumieniem ujrzała twarz przyciśniętą do zakratowanego okienka w drzwiach. Szklana szyba mocno zniekształcała rysy mężczyzny o bardzo ciemnej karnacji i lśniącej, łysej głowie. Widać było jednak, że tamten wpatrywał się w nich, bez powodzenia usiłując otworzyć celę.

- Cholera! - zaklął rozzłoszczony porywacz. - Otwórz te drzwi.

Słowa były adresowane do niej, więc zrobiła, co kazał. W drzwiach cel zamontowano zamki zapadkowe, ale zasuwki znajdowały się od zewnątrz. Oczywiście. Więźniów należało zamykać w środku. Prawdopodobnie od wewnątrz w ogóle nie było zamków.

Poczuła mdłości na myśl, jak blisko była popełnienia tragicznej w skutkach pomyłki.

Przekonała się, że zasuwki w ogóle nie zamknięto, gdyż drzwi, mocno pchnięte, stanęły otworem i wyłonił się z nich nieznajomy z celi. Był, jak dostrzegła, nieco wyższy od porywacza, mógł mieć około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, nienaturalnie muskularna, rozrośnięta w górnych partiach sylwetka świadczyła, że był fanem sterydów i do tego miał mnóstwo czasu na ćwiczenia, prawdopodobnie w więzieniu. Pomarańczowy kombinezon podkreślał wypukłe mięśnie. Mężczyzna miał gruby, byczy kark, małe, brązowe oczy i krzaczaste, ciemnobrązowe brwi, nos mięsisty,

trójkątny i usta o cienkich wargach, Kate dostrzegła jeszcze jego starannie przycięte wąsy i kocią bródkę. W dłoni trzymał wielki, czarny pistolet.

- Co się, u diabła, z wami stało? Gdzie Newton? -warknął porywacz, jednocześnie popychając ją twarzą do ściany.

Gdy drzwi celi zatrzaskiwały się tuż przed jej nosem, dostrzegła coś w środku. Na ziemi bez ruchu leżeli trzej mężczyźni. Zdażyła zobaczyć nogi tylko dwóch: jeden miał na sobie pomarańczowy kombinezon, drugi niebieski mundur zastępcy szeryfa. Trzeci też był zastępcą szeryfa. Nienaturalnie blady, leżał twarzą w dół martwy lub nieprzytomny, nie była pewna. Zobaczyła, że miał krótkie, gęste czarne włosy, był chudy i wyglądał młodo.

- Newton jest tam, w środku. Martwy. Temu przekłętemu zastępcy, który przyprowadził go z więzienia, został jeden nabój. Właśnie wychodziliśmy, gdy Newton dostał. Zatrzymałem się, żeby wykończyć glinę, a wtedy te przekłete drzwi się zacięły. - W przeciwieństwie do zdenerwowanego porywacza, ten zbir wydawał się nieporuszony. Kate stała tam, gdzie została popchnięta, przyciskając policzek i dłoń do gładkiej, chłodnej ściany. Teraz miała do czynienia z dwoma uzbrojonymi mordercami i nie umiała wymyślić niczego, co by przypominało jakiś plan. - Nie mogłem w to uwierzyć. Te cholerne drzwi za nic nie chciały się otworzyć. Zostałem zamknięty jak kury w klatce. - Nagle zmienił ton. - Nie udało się, tak?

- Tak, do diabła, nie wypaliło. Myślisz, że w przeciwnym razie wróciłbym tutaj?

- Pack i Mały Julio?

- Obaj nie żyją. Meltzer nie podjechał wozem, przeklęte, nieodpowiedzialne gówno. Może nie mógł się przedostać. Gliny otoczyły budynek już w momencie, gdy wywaliliśmy okno, jakby dostały cynk. Mały Julio i tak skoczył i roznieśli go. Pack dostał w sali. Złapałem ją - Kate czuła na sobie ich wzrok - tę gorącą prokuroreczkę - sącył słowa kpiąco - i...

Urwał, gdy na drugim końcu korytarza rozdzwonił się telefon.

Przenikliwe sygnały zaskoczyły całą trójkę i teraz patrzyli w stronę źródła dźwięków.

- Co to? - W głosie nowo przybyłego zabrzmiała nutka niepokoju.

- Skąd, do cholery, mam wiedzieć? Czekał, może to gliny. Może mają helikopter.

Do tego momentu nikt się nie ruszył, by podnieść słuchawkę, i wokoło wciąż rozbrzmiewały ostre dźwięki. Nagle wokół ramienia Kate zacisnęła się dłoń: Pomarańczowy Kombinezon szarpnął ją od ściany i pchnął w stronę telefonu.

- Rusz tyłek - powiedział, gdy się potknęła na tych swoich po stokroć przeklętych obcasach i z trudem odzyskała równowagę.

- Helikopter? - zdziwił się ten drugi.

- Dałem im piętnaście minut na sprowadzenie helikoptera albo ją wykończę. - Pomarańczowy Kombinezon wydawał się z siebie dumny. - Hej, panno prokurator, która to godzina?

Kate nie chciała tego wiedzieć, ale i tak spojrzała na zegarek.

- Dziewięta dwadzieścia - odrzekła.
- Mają więc jeszcze jednaście minut.
- Myślisz, że się uda?
- Skąd mam wiedzieć, dupku? Jeżeli chcą ją żywą, uda się.
- Jesteś pewien, że to prokuratorka?
- Jasne, że jestem.

Telefon nadal dzwonił, gdy do niego doszli: Kate pierwsza, Pomarańczowy Kombinezon tuż za nią, a z tyłu ten nowy.

Pomarańczowy Kombinezon pchnął ją na ścianę obok aparatu, który rozdzwonił się, aż zadźwięczały jej zęby. Jak mogła, starała się odciąć od tego dźwięku i oparta o chłodny tynk próbowała uspokoić gwałtowne bicie serca i nierówny oddech. Wolałaby uniknąć hiperwentylacji. Musiała natychmiast obmyślić jakiś plan.

Zaraz jednak z rozpaczą stwierdziła, że żaden pomysł nie przychodził jej do głowy.

- Niczego nie próbuj, nawet o tym nie myśl - warknął zbir, uwalniając jej ramię. Broń przesunęła się. Lufa, zimna i przerażająca, nacisnęła jej szyję, tuż poniżej szczęki. Kate zamknęła oczy, a on podniósł słuchawkę, w końcu uciszając sygnał.

- Tak? - powiedział. A po chwili: - Nie wciskaj mi kitu. Nie dostaniecie więcej czasu.

- Powiedz im, że potrzebujesz forsy - doradził stojący za nimi drugi zbir. Wyraźnie zdenerwowany, przestępował z nogi na nogę. Wyczuwała jego ruchy, słyszała szelest ubrania. - Sto tysięcy dolców, razem z helikopterem.

- Chcę też pieniędzy - rzucił Pomarańczowy Kombinezon do telefonu. - Sto tysięcy. Gotówką, w nieoznakowanych banknotach nie większych od dwudziestek, niech czekają w helikopterze. A macie już mniej niż dziesięć minut. - Słuchał przez chwilę i odpowiedział: - Pewnie. Pomów z nią. Tylko nie zapominaj o tykaniu zegara.

„Pomów z nią”. Kate otworzyła szeroko oczy. Pomarańczowy Kombinezon przycisnął słuchawkę do piersi i rzucił Kate wściekle spojrzenie.

- Mówi, że chce się upewnić, czy żyjesz - powiedział, przesuając koniec lufy aż pod jej ucho, gdzie pulsująca żyłka uderzała o metal niczym mały, schwytyany ptak.

Ich spojrzenia się spotkały. Kate oddychała szybko, łapała powietrze przez rozchylone usta. Zimny dotyk broni na skórze przyprawiał ją o zawrót głowy. Jedno drgnięcie palca lub szybki, rozmyślny ruch i już należałaby do przeszłości.

Będzie bolało?

- Uważaj, suko, bo nie spuszczę cię z oka - warknął. Potem przystawił jej słuchawkę do ucha.

Błagam, Boże. Błagam.

- Halo. - Oblizła zeschnięte wargi.

- Kate White? - zapytał przy jej uchu męski głos. Chyba policjant z sali sądowej, ten o spokojnych, krzepiących oczach. Głos też miał spokojny, dodający otuchy. Uczepiła się tej solidnej siły, którą jej przesyłał, jakby rzucał linę ratunkową.

Musi być spokojna, opanowana... Kolana się pod nią ugięły.
Boże, nie pozwól mi umrzeć!

- Tak. - Nie wiedziała, jak długo wolno jej będzie mówić, i chciała przekazać najważniejsze. - Mam małego synka. - Pomimo determinacji, by zachować spokój, nie zdołała opanować głosu. Brzmiał chrapliwie, rwał się ze strachu. - Jestem samotną matką. Proszę, dajcie temu człowiekowi, co chce.

Pomarańczowy Kombinezon skinął głową z zadowoleniem.

- Zrobimy, co w naszej mocy, by wyciągnąć panią stamtąd całą i zdrową - obiecał policjant. Pomarańczowy Kombinezon obserwował ją uważnie. Sądziła, że słyszy tylko ją, ale nie miała pewności. - Czy jest pani jedyną zakładniczką?

- Tak. - Pomyślała o ciałach leżących w celi i o tej drugiej, której wnętrza nie widziała. - Tak sędzę.

Pomarańczowy Kombinezon zmarszczył czoło.

- Wystarczy.

Wyrwał jej telefon. Lufa wcisnęła się głębiej w jej ciało. Nadal czuła, jak jej pulsująca żyłka rozpaczliwie obija się o twardy metal. Zaczerpnęła głęboki, rozedrgany oddech, przytuliła policzek do ściany i znów zamknęła oczy.

Proszę. Proszę. Proszę.

- Słyszałeś, co powiedziała: jest samotną matką - rzucił do słuchawki. W jego głosie zabrzmiał drwiący ton.

- Zadzwoń, gdy już zdobędziesz helikopter. I pieniądze.

I pamiętaj, tik, tak.

Gdy odwieszał słuchawkę, Kate słyszała jeszcze policjanta mówiącego coś po drugiej stronie linii.

- Nie dostaniesz helikoptera - zawyrokował ten drugi. Otworzyła oczy.

- O czym ty mówisz? Dlaczego, do cholery, pleciesz takie bzdury? - Pomarańczowy Kombinezon tak szybko odwrócił się na pięcie do mówiącego, że Kate poczuła ruch powietrza. Albo był do tego stopnia zdenerwowany, że o niej zapomniał, albo uznał, że mu nie zagraża i nigdzie nie ucieknie, bo nie miała dokąd, a on był uzbrojony. Kate wydała ciche westchnienie ulgi, gdy pistolet przestał naciskać na jej szyję.

- Oni tylko cię zwodzą. - Drugi nie dawał za wygraną. - Nie dostaniesz go.

- Wcale mnie nie zwodzą. Helikopter przyleci. Wiedzą, że inaczej ją zabiję.

- No dobrze, wykończysz ją i co będziesz z tego miał? W ten sposób nas stąd nie wyciągniesz.

Na to nie było dobrej odpowiedzi. Pomarańczowy Kombinezon wiedział to najwyraźniej równie dobrze jak Kate, bo zawahał się, zanim odpowiedział. Wyczuła w nim nagłą niepewność, złość, rosnący strach. Napięcie między mężczyznami wręcz elektryzowało powietrze.

- Chcą jej żywej, więc dadzą mi wszystko. - Ale już nie wydawał się taki pewny.

- Mówisz, że przyślą ci helikopter. Jak się do niego dostaniesz?

-Co?

- Jak się do niego dostaniesz? Gdzie on będzie?

- Powiedziałem im, by czekał na dachu.

- Tam jest lądowisko. - Drugi zdawał się myśleć na głos, rozważając możliwości. - Ale jak się dostaniesz na dach, żeby cię nie załatwili?

- Użyję jej jak pieprzonej tarczy. I powiem im, że jeśli zobaczą jakiegoś gline, choćbym tylko poczuł jego zapach, rozwalę jej łeb.

- Nic z tego. - Drugi potrząsnął głową.

- Co, u diabła, chcesz powiedzieć?

- Za daleko. Trzeba by przedrzeć się do windy, wydostać na dach, wyjść i przebiec do helikoptera. Z nią. Snajperzy dopadną cię jak nic.

Pomarańczowy Kombinezon trzął się cały z wściekłości i frustracji. Przestępował z nogi na nogę i groźnie machał rękami.

- Może ty masz lepszy plan? Co? Wykombinowałeś co lepszego? Jeżeli tak, to gadaj.

- Pewno, powiem - odparł drugi. - Mam lepszy plan. To znaczy, dla mnie.

Kate nawet nie zauważyła ruchu jego ręki. Rozległ się huk i Pomarańczowy Kombinezon upadł na ścianę tuż obok niej, uderzając tak mocno w tynk głową, że aż się odbiła. Serce w niej zamarło, odskoczyła do tyłu. Z szeroko otwartymi oczami wrzasnęła tak głośno, że jej krzyk echem odbił się od ścian. Z niedowierzaniem patrzyła, jak usta Pomarańczowego Kombinezonu otwierają się, jakby

chciał coś z siebie wyrzucić, ale nie rozległ się z nich żaden dźwięk. Potem osuwał się w dół po ścianie jak miękka szmaciana lalka, aż usiadł na podłodze, z rozrzuconymi przed sobą nogami. Oczy miał wciąż otwarte, usta także, głowa przechyliła się na bok i bezwładnie opadła na ramię. Jeszcze zanim Kate zobaczyła krew wypływającą mu z ust i czerwień na przodzie kombinezonu, wiedziała, że porywacz już nie żyje.

Zwróciła przerażony wzrok na tego drugiego. Spoglądał z krzywym uśmiechem w dół, na swojego kolegę, w ręce trzymał broń, z której dopiero co wypalił. Woń prochu i świeżej krwi uderzyła Kate w nozdrza w tym samym czasie, gdy jego oczy napotkały jej wzrok.

Poczuła lód w żyłach. Nie mogła złapać tchu.

- Hej, Kici-kotku - powiedział. - Nie ma się czego bać. Cóż to, nie pamiętasz starego kumpla Maria?

Rozdział 6

Tomowi nawet nie drgnęła dłoń, gdy podnosił słuchawkę. Panował nad oddechem. Nogi mu nie drżały, nie mrugnął okiem, nie pocił się. W jego wyglądzie nic nie zdradzało ucisku, który czuł w żołądku, łomotu serca ani rozsadzającej mu żyły adrenaliny.

Wszyscy oni - mała grupka policjantów i zastępców szeryfa, zgromadzona wraz z Tomem wokół telefonu woźnego sądowego, przez który porozumiewano się z sali sądowej z funkcjonariuszami nadzorującymi więźniów - właśnie usłyszeli stłumiony odgłos wystrzału w głębi korytarza. Tom pomyślał o Kate White, szczupłej i ślicznej z tymi skandynawskimi, jasnymi włosami i cerą bez skazy, o szerokich, błękitnych oczach, teraz bezbronnej niczym myszka w łapach głodnego kocura, i poczuł, jak przewracają mu się wnętrzności.

Czyżby zginęła?

A co z Charliem, którego dotąd nie udało mu się odszukać? Gdyby znajdował się gdzieś w sądzie, przedarłby się przez kordon i już by z nimi był.

Czyżby nie żył?

Ta możliwość doprowadzała Toma do szaleństwa. Goniec w podziemiach uważał, choć nie do końca był pewien, że po doprowadzeniu więźnia do budynku Charlie eskortował go na pierwsze piętro. Zamiast biec przez ten sam labirynt korytarzy, którymi musiał iść jego brat - zresztą Tom i tak nie posiadał

potrzebnej przepustki - wybrał łatwiejszą, ogólnie dostępną drogę na piętro. Właśnie wyskoczył z windy z dwoma zastępcami szeryfa, wezwanymi przez Johnsona, gdy usłyszał pierwsze strzały oddane w sali rozpraw numer 207. Musiał przebić się przez tłum ludzi wybiegających z budynku, którzy pędzili, jakby goniła ich sama śmierć. Gdy nie odnalazł Charliego w sali sądowej, złe przeczucia co do losu brata nabrały intensywności.

Ale w tej chwili na pierwszym miejscu jego powinnością był los Kate White.

- Jeśli nie da jej telefonu, będziemy musieli przyjąć, że prawdopodobnie ją zastrzelił, czyż nie? - zauważył Mitch Cooney. Przysadzisty, łysiejący zastępca szeryfa był aż szary na twarzy. Śmierć tylu przyjaciół i kolegów funkcjonariuszy mocno go dotknęła. Ale tak jak pozostali z grupy zebranej wokół Toma, nadal trzymał się, nadal był na służbie, nadal wykonywał swój obowiązek.

- Byłby głupi, gdyby ją zabił. Nie miałby wtedy już nic. Żadnej karty przetargowej. - Sierżant policji LaRonda Davis, drobna czarna kobieta o fantastycznej figurze, świetnej nawet w mundurze, była wyraźnie wstrząśnięta. Stała wraz z nimi przy telefonie, bo gdy wybuchła strzelanina, właśnie szła złożyć zeznania w sąsiedniej sali.

- Zamknijcie się wszyscy. Dzwonię. - Tom wcisnął guzik połączenia z monitorowanym korytarzem.

- Nie mamy nic w zanadrzu. Co zamierzasz powiedzieć? - Funkcjonariusz Tim Lining znajdował się na granicy paniki.

Prawda była taka, że żaden z nich nie potrafił wziąć na siebie odpowiedzialności za podsycanie tej skomplikowanej mieszanki chciwości, nadziei i głupoty, która jeszcze trzymała Kate White przy życiu. Ale dopóki nie pojawi się ktoś z większym doświadczeniem w podobnych przypadkach, ta zbieranina przypadkowych funkcjonariuszy prawa cisnących się wokół słuchawki telefonu była jedyną nadzieją kobiety.

- Zażądam następnej rozmowy z porwaną - oznajmił Tom ponuro. - Jeśli przyprowadzi ją do telefonu, będę kłamał jak kochająca mamusia, obiecuję mu wszystko, czego tylko zechce. Jeśli nie, cóż, zobaczymy, przekroczymy most, gdy do niego dotrzemy.

Połączenie zostało nawiązane. W uszach już miał pierwsze sygnały rozbrzmiewające z aparatu w strzeżonym korytarzu. Słuchał ich każdym do niemożliwości napiętym nerwem.

Dzyń...

Czekał. Trząśnięcie z napięcia niczym nałogowy kawiarz czekający na zewnątrz zamkniętego lokalu Starbucks. Nie chcąc okazywać zdenerwowania, Tom zacisnął zęby.

Dzyń...

Zostały im jeszcze cztery minuty do upłynięcia ostatecznego, piętnastominutowego terminu, który wyznaczył im Nico Rodriguez. Helikopter - zdobędą helikopter dla Rodrigueza, ale on nim nie poleci, maszyna posłuży jedynie do wyciągnięcia go z kryjówki - był spóźniony co najmniej dziesięć minut. Sto tysięcy dolarów - których także porywacz nigdzie ze sobą nie zabierze - wciąż zbierano, na

wypadek gdyby Rodriguez miał czas i dość rozumu, by sprawdzić zawartość torby. Brygada antyterrorystyczna wraz z grupą snajperów była w drodze; zjawią się tu za trzy minuty. A z nimi negocjator do spraw zakładników. Oraz następne siły policji Filadelfii i pracownicy biura szeryfa, ci wszyscy, których jeszcze nie było w budynku.

On miał tylko za zadanie utrzymać Kate White przy życiu wystarczająco długo, by specjaliści od tego rodzaju przypadków zdążyli przybyć na miejsce i przejąć działania.

Jeśli jeszcze będzie żyła. Aż się skrzywił na tę myśl. Dzyń...

- Podnieś tę cholerną słuchawkę - powiedział głośno Davis, zupełnie jakby wypowiadał głośno myśli pozostałych.

Ludzie stawali się coraz bardziej napięci, bardziej niż szybka piłka Rogera Clemensa, ale nie mogli przecież dać się opanować emocjom, nie pomogłoby to kobiecie, którą próbowali uratować.

Ściskając słuchawkę tak mocno, że aż zbiełały mu kłykcie, Tom zmarszczył brwi, patrząc na Davisa.

Dzyń...

W sali sądowej panował chaos, wszędzie roiło się od policjantów, personelu medycznego, rozmaitych cywilów i nawet reporterów, którzy akurat znajdowali się w budynku sądu, gdy wybuchła strzelanina, i natychmiast się tu pojawili. Wszędzie widać było krew. Ofiarami zajmowano się na miejscu, tam gdzie zostały postrzelone. Wózki ze środkami opatrunkowymi turkotały po sali, gdy ludzie zupełnie do tego nieprzygotowani usiłowali nieść pierwszą pomoc rannym; w kącie głośno pomrukiwał defibrylator. Kobiety

histerycznie płakały. Rozlegały się krzyki - Tom świadomie starał się od nich odcinać - gdy w ofiarach rozpoznawano bliskich. Z zewnątrz przez rozbite okno wdzierały się do środka przeraźliwe dźwięki wyjących syren - było ich chyba z tuzin - nieco tylko stłumionych przez szum deszczu i odległość.

Przybywały posiłki. Zaraz pojawi się ktoś bardziej od niego nadający się do poprowadzenia tej sprawy.

Dzyń...

Próbowano odgrodzić kordonem salę sądową; starano się opróżnić pomieszczenie z osób postronnych. Ewakuowano budynek sądu, ale nie działało się to zbyt szybko. Nic nie działało się szybko. Znajdowało się tu zbyt wiele zakamarków i zakątków, zbyt wielu ludzi, zbyt wielu więźniów, potrzebowano zbyt wielu ustaleń, by wszystko skoordynować; do tego panowało tu straszliwe zamieszanie.

Dotąd nie udało się osiągnąć zamierzonego celu. Ludzie byli za bardzo zszokowani, nieprzygotowani na horror, który nagle zaistniał w ich życiu.

Jego zadanie, jako że był najwyższym stopniem funkcjonariuszem na miejscu zdarzenia, a do tego znał Rodrigueza, bo już wcześniej go aresztował, tak więc nie chciał przekazać sprawy nikomu, dopóki nie pojawi się wyszkolony negocjator od zakładników, polegało na przeciąganiu rozmowy z porywaczem, przekonaniu go, że dostanie, co chce, byle tylko powstrzymać go od zabicia Kate White.

Jak długo się da.

Jej wpatrzone w niego oczy, jakby wierzyła, że zdoła ją uratować, nie dawały mu spokoju. Także jej głos, rwący się ze strachu, gdy powiedziała, że jest samotną matką.

O dzieciaku wołał nie myśleć.

Dzyń...

Sygnal się urwał. Ktoś podnosił słuchawkę. Napięcie Toma rosło.

Inni pewnie zauważyli z wyrazu jego twarzy i postawy ciała, że coś się dzieje, gdyż wszyscy pochylili się trochę bliżej, wpatrując się w niego.

Po drugiej stronie linii nikt się nie odezwał. Ale Tomowi wydało się - był niemal pewien - że słyszy czyjś oddech.

- Rodriguez? - zaryzykował. Jego głos zabrzmiał ponuro. Szmaciarz zaliczał się do zatwardziałych przestępców z rejestrem zbrodni długim jak rzeka. Zabiłby zakładniczkę bez zmrużenia oka.

- Nie - zabrzmiał głos Kate White.

Tom rozpoznał go natychmiast. Choć zachrypnięty i drżący, przekazywał dobrą wiadomość: żyła. Gdy uczucie ulgi rozluźniło śmiertelny ucisk strachu, tłumiący mu zmysły, usłyszał w uszach szum, który dopiero teraz zaczynał cichnąć.

Jak straszliwie się bał, że ona nie żyje.

- Wszystko w porządku? - zapytał, a skupieni wokół w napięciu ludzie na dźwięk jego głosu odetchnęli z ulgą.

-Tak.

Oddychała nierówno, nic dziwnego. Biorąc wszystko pod uwagę, trzymała się nieźle, była bardzo spokojna, bardzo przytomna, działała jak ktoś współpracujący z innymi w utrzymywaniu się przy życiu i podziwiał ją za to. W podobnych okolicznościach większość ludzi tylko mamrotałaby coś z przerażenia. Może nawet on sam.

- Słyszeliśmy... - zaczął, ale przerwała mu.

- Strzał - powiedziała. - Wiem. - Usłyszał, jak wzięła głęboki oddech. - Zastrzeliłam go. Nie żyje.

Przez chwilę Tom nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

- Co takiego? - Pewnie w jego głosie zabrzmiało zdumienie, bo pozostali znów się pochylili, nadstawiając uszu.

- On nie żyje. Wszystko skończone. - Znów usłyszał długi, urywany oddech, a potem szmer powietrza wolno wypuszczanego z płuc. I westchnienie. - Wychodzę.

-W jaki sposób... - zaczął Tom, całkiem oszołomiony, ale znów przerwała mu, tym razem odkładając słuchawkę.

Tak po prostu.

Tom słuchał jeszcze kilka sekund, potem sam też się rozłączył i ze zdumieniem wpatrywał się w aparat.

- Co się stało?

Słyszając pytanie, uniósł głowę do góry. Wpatrywało się w niego około tuzina par zaciekawionych oczu.

- Powiedziała, że Rodriguez nie żyje. - Wciąż nie potrafił przyjąć tego faktu do wiadomości. - Mówi, że go zastrzeliła. I że wychodzi.

- Sama? - zapytał Linning.

- Chyba tak. Wprawdzie nie powiedziała tego wprost, ale jeśli Rodriguez nie żyje, to chyba logiczny wniosek.

- Chcesz powiedzieć, że ten strzał, który usłyszeliśmy, to właśnie on dostał? - Davis wydawał się równie zszokowany jak Tom.
-I to ona zrobiła?

Tom wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Coś mi tu nie gra.

Cooney, wieloletni funkcjonariusz, potrząsnął głową. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w metalowe drzwi, jakby sądził, że dzięki temu zdoła jakoś wykombinować, co się za nimi wydarzyło.

Do Toma dotarło, że inni też pomyśleli o tym, co i jemu przyszło do głowy: Jakiś podstęp? Rodriguez coś knuje?

Podobna ewentualność wydała się o wiele bardziej prawdopodobna niż możliwość, by Rodriguez zginął zastrzelony przez Kate White.

Biorąc to pod uwagę, usiłowali odgrodzić drzwi do monitorowanego korytarza od reszty sali sądowej, która wreszcie niemal całkiem opustoszała - znajdowały się w niej tylko ciała pozostawione na miejscu do czasu pojawienia się personelu medycyny sądowej, ponadto przy rannych krzątało się kilka cywilnych osób - Tom miał nadzieję, że to sanitariusze. Dwóch funkcjonariuszy - zastępcy szeryfa, których nazwisk nie znał - pospieszyli, by opróżnić salę do końca, pozostawiając jedynie rannych i niezbędny personel

medyczny, na wypadek gdyby Rodriguez wypadł z bronią w rękę i doszłoby do wymiany strzałów. Pozostali, przygotowani do ataku, kryli się za barierką i za krzesłami, jak najbliżej ścian; starali się pozostać niewidoczni i w razie potrzeby odpowiedzieć ogniem.

Gdy gałka zaczęła się obracać, byli gotowi. Otoczyli drzwi. Ktokolwiek w nich stanie, natychmiast znajdzie się pod ostrzałem.

Tylko Tom był całkowicie odsłonięty. Stał w sektorze między barierką odgradzającą publiczność a stołem sędziowskim, w pobliżu miejsca obrońców, zwrócony twarzą do otwierających się drzwi, jakby uwierzył Kate White i czekał, aż kobieta wyjdzie sama. W dłoni trzymał glocka - aż tak bardzo nie marzył o śmierci - ale opuścił rękę swobodnie wzdłuż ciała.

Był przygotowany do oddania strzału w jednej sekundzie, jeśli zajdzie potrzeba. Tyle że na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie całkowicie rozluźnionego.

Gałka przestała się obracać. Drzwi wciąż pozostawały zamknięte. Nic się nie wydarzyło.

O święty Jezu!

Mięśnie miał do niemożliwości napięte. Serce mu łomotało. Zaciskał szczęki. Ze zdenerwowania wszystko się w nim gotowało. Prawa dłoń aż się rwała, by unieść glocka do strzału.

Jeszcze nie...

Czekanie zabijało Toma. Już kiedyś do niego strzelano i wcale mu się to nie spodobało. Szansę, że nic mu się nie stanie, oceniał na

pięćdziesiąt procent, a jeśli znowu zostanie postrzelony, nie spodoba mu się to bardziej niż ostatnim razem.

Jakkolwiek na to patrzeć, robienie uników przed kulą nie należało do najprzyjemniejszych rozrywek. Zwłaszcza jeśli się przegrało, jak mu się to już przydarzyło.

W końcu gałka drgnęła ponownie.

Wstrzymał oddech i czekał.

Tym razem, gdy metalowa kula przestała się obracać, drzwi zaczęły się otwierać, powoli, bezszelestnie. Na widok Kate White Tom wstrzymał oddech. Stała jeszcze w korytarzu, blada jak śmierć, w tym swoim obcisłym, czarnym kostiumiku, z jasnymi włosami, które teraz opadały falami na ramiona, ale najwyraźniej cała i zdrowa, z twarzą pozbawioną wyrazu jak buzia lalki; zresztą ona sama wydawała się krucha jak lalka, gdy sztywno wyprostowała ramię i pchnęła drzwi.

Tylko te oczy. Tom wyraźnie widział - i bynajmniej się tym nie zdziwił - malujący się w nich szok.

O ile mógł stwierdzić, rzeczywiście była sama. Za jej drobną sylwetką nie zdołałby się ukryć ani Rodriguez, ani nikt inny. Tom przesunął spojrzeniem za Kate, starając się zlustrować jak najdłuższy odcinek korytarza, i nie zobaczył niczego. Nikogo. Tylko szare mury, drzwi i puste przejście.

I Kate White.

Nie do wiary, czyżby nie było żadnego podstępu?

- Kate? Rodriguez nie żyje?

Gdy wypowiedział jej imię, spojrzała wprost na niego po raz pierwszy, odkąd otworzyła drzwi. Ich oczy spotkały się. Jej, zasnutę cieniem, miały o wiele ciemniejszą barwę od tej, którą zapamiętał, pewnie dlatego, że pod wpływem strachu i stresu źrenice się poszerzyły. Skinęła głową, potem jakby zaczerpnęła powietrza i ruszyła, potykając się, w jego stronę, a jej szczupłe nogi - teraz stąpające niepewnie - na seksownie wysokich obcasach zdawały się dłuższe niż w rzeczywistości.

- Nie strzelać - rzucił ostro przez ramię. - Jest sama. Gdy jego towarzysze stopniowo wyłaniali się z ukrycia, a drzwi zatrzasnęły się za Kate, schował broń i podszedł do kobiety.

Znalazłszy się bliżej, zauważył jej bladość - jakby wyciekła z niej cała krew. Zapytał świadomie łagodnym głosem:

- Nic się pani nie stało?

Ponownie przytaknęła ruchem głowy i zatrzymała się. Poruszyła wargami, ale nic nie powiedziała. Gdy znalazł się blisko, dostrzegł w jej rajstopach oczka, kilka kropel zaschniętej krwi na policzku i przerażenie w oczach.

Wyszła cało, prawdopodobnie nie doznała obrażeń, ale z pewnością nie czuła się dobrze.

Oderwała od niego wzrok. Znów głęboko nabrała powietrza, zadrżała, przycisnęła dłoń do piersi, jakby przestraszona nagłym, dziwnym zachowaniem serca.

- Co tam się wydarzyło? - zapytał, gdy reszta wspierających go funkcjonariuszy powoli docierała do zamkniętych ponownie drzwi, szykując się do przeszukania korytarza.

- Zastrzeliłam go - powiedziała i znów spojrzała mu w twarz; te słowa zabrzmiały chłodno, wyraźnie. - Nie żyje.

Potem kolana się pod nią ugięły i z cichym okrzykiem osunęła się na posadzkę.

Tom był na tyle blisko, by pochwycić Kate w ramiona, nim uderzyła o zimne lastryko.

RS

Rozdział 7

Na pewno nie chce pani pojechać do szpitala na badanie? - zapytała sanitariuszka. Według przyczepionego do jasnoniebieskiej bluzki srebrzystego identyfikatora nazywała się Laura Remke. Była uprzejma i energiczna, zadawała niewiele pytań, a te cechy akurat teraz Kate wielce doceniała.

- Nie, dziękuję.

Kate siedziała na drewnianej ławie z wysokim oparciem, pod ścianą tuż przy wyjściu z sali sądowej 207, gdzie przyprowadził ją ten sam gliniarz, który ją podtrzymał, gdy nogi się pod nią ugięły, a potem zawołał sanitariuszkę. Zaraz po przyjsciu Laury Remke odszedł na czyjeś pilne wezwanie i Kate już go nie widziała.

Nie wiedziała nawet, jak się nazywał.

Co zresztą było bez znaczenia. Liczyło się, że udało jej się jakoś przeżyć tę grozę. W każdym razie żyła, choć wielu innych zginęło. To najważniejsze. Z pozostałymi elementami koszmaru też się upora, tak jak radziła sobie ze wszystkim, co ją w życiu spotykało. Gdy wreszcie zapomni o strachu i ponownie pozbiera myśli, z pewnością zdoła znaleźć sposób, by nie dopuścić do grożącej jej katastrofy.

- Muszę odebrać synka ze szkoły. Zachorował - oświadczyła zgodnie z prawdą. Gdy pielęgniarka badała ją, mówiąc: - Bardzo podniosło ci się ciśnienie, moja droga; i nic dziwnego, po tym co przeszłaś - i przykładała maść antybiotykową oraz opatrunek na małe

rozcięcie na policzku, Kate przypomniała sobie o telefonie ze szkoły Bena i poprosiła o swoją aktówkę. Gdy usłużny zastępca szeryfa przyniósł jej teczkę, wyjęła komórkę i oddzwoniła. Strzelanina z pewnością stała się sensacją w mediach. Sekretarka szkolna, niesłychanie podekscytowana masakrą w sądzie karnym - tak nazywano to wydarzenie w telewizji - nadzwyczaj się ucieszyła, słysząc głos Kate.

Jak powiedziała, Ben, mimo jej nieustannych zapewnień, że to niemożliwe, strasznie się bał, czy mama nie znalazła się w samym centrum tragicznych zająć. A Kate nie miała serca powiedzieć tej kobiecie, że się nie mylił.

A w ogóle zatelefonowali do niej ze szkoły, gdyż Ben zwymiotował w klasie i jeszcze teraz leżał w małej wnęcie przy sekretariacie, używanej jako szkolna izba chorych. Kate obiecała przyjechać po niego możliwie jak najprędzej.

- My, matki, będziemy mieć pełne ręce roboty aż do samego końca świata, czyż nie? - Laura Remke pokiwała głową, pakując swoje rzeczy. Plastry, maści, aparat do mierzenia ciśnienia - wszystko znikło w jaskrawoniebieskiej torbie z wyszytym na wierzchu białym krzyżem. - Mam troje własnych, wiem coś o tym.

Zanim Kate zdążyła odpowiedzieć, drzwi sali sądowej numer 207 otworzyły się z trzaskiem na oścież, a dwóch zastępców szeryfa z twarzami jak chmura gradowa przytrzymały je, gdy wyjeżdżały nosze na kółkach. Popychane z obu stron przez sanitariuszy toczyły się szybko, koła turkotały. Medykom towarzyszyło kilku

funkcjonariuszy. Wszyscy biegli, z czego Kate wywnioskowała, że osoba na noszach jest w ciężkim stanie.

- Przytrzymać windę! - zawołał jeden z mężczyzn do kogoś, kogo Kate nie widziała. W szerokim korytarzu o wysoko sklepionym suficie panowały zamieszanie i hałas, wszędzie kręcili się policjanci, zastępcy szeryfa i personel rozmaitych służb; ludzie wchodzili i wychodzili z sal, nawołując się wzajemnie, rozmawiano przez komórki i krótkofalówki. Uzbrojeni po zęby antyterrorysty, w hełmach i kuloodpornych kamizelkach, przeczesywali pomieszczenie za pomieszczeniem. Kate pojęła, że budynek poddano dokładnemu przeszukaniu. Pojawili się także ludzie z laboratorium medycyny sądowej, a używane przez nich jaskrawe lampy i wykonywane badania jeszcze wzmagają panujący rozgardiasz. Jednak głos sanitariusza, donośny i ostry, zdołał się przebić przez ogólną wrzawę. Zrobiono przejście, rozstępując się przed toczącymi się noszami.

Kate zauważyła chyboczącą się na cienkim metalowym pręcie butelkę kroplówki - jasny płyn skapywał przewodem podłączonym do ręki mężczyzny na noszach; gdy rannego wieziono obok niej, Kate przeszedł dreszcz na widok młodego, czarnowłosego policjanta, którego ostatnio widziała leżącego na podłodze w celi.

- On żyje - stwierdziła na głos i poczuła radość. I coś jakby przebłysk nadziei, strzęp czegoś pozytywnego, dodającego otuchy w tym straszliwym dniu.

- Martwych zostawiają na miejscu - zgodziła się z nią Laura Remke, zasuwając zamek torby. Kate zadrżała. Sędzia Moran, zabici

zastępcy szeryfa - wszyscy nadal leżeli w sali rozpraw. Starła się usunąć z pamięci okropne obrazy.

Podążyła wzrokiem za noszami toczącymi się z hałasem w stronę wind. Rozpoznała jednego z dwóch biegnących za noszami policjantów: szczupłego, czarnowłosego, w cywilu - pewnie detektyw, domyśliła się, sądząc po jego ubraniu - który podczas całej tej gehenny był dla niej niczym deska ratunkowa. Z napiętego wyrazu jego twarzy i sposobu, w jaki trzymał się blisko noszy, wnioskujeła, że ranny jest dla niego kimś ważnym. Może krewnym, gdyż mieli takie same ciemne włosy.

Modliła się, by ten policjant nie stracił dziś nikogo bliskiego.

Gdy wszyscy nadal z uwagą patrzyli za noszami, które właśnie zniknęły w windzie, Kate uznała, że to odpowiednia chwila, by się wymknąć. Wiedziała, że policja będzie chciała ją przesłuchać, że powinna złożyć zeznania i zostać na miejscu, dopóki nie pozwolą jej odejść, ale nie mogła.

Wszystko to było wciąż zbyt świeże. Szok zbyt gwałtowny, zbyt straszny, by mogła mieć pewność, że zdoła myśleć składnie. Nie wolno jej popełnić błędu. Zarówno dla Bena, jak i dla siebie musi zachować nadzwyczajną ostrożność, dobrze przemyśleć każdy swój ruch i każde słowo.

Błąd mógł spowodować utratę wszystkiego, co osiągnęła.

Tak więc odłożyła do połowy opróżnioną puszkę sprite'u, przyniesioną przez Laurę Remke z pobliskiego automatu, lodowatymi palcami chwyciła rączkę aktówki i wstała, ignorując szum w głowie.

Kolana jej drżały, ale tym także się nie przejmowała. Nie zabrała butów, które zsunęła ze stóp i kopnęła pod ławkę. Męka, jaką jej sprawiały, w tym momencie była ponad jej siły. Zresztą łatwiej będzie jej uciec - bo to właśnie czyniła - w samych rajstopach.

- Dzięki - powiedziała do pielęgniarki, uśmiechając się z wdzięcznością. Dobrze było wiedzieć, że nawet w tak ekstremalnej sytuacji potrafiła się uśmiechać, wyglądać normalnie i mówić wystarczająco opanowanym głosem, by kobieta odwzajemniła uśmiech.

- Jeśli poczujesz się dziwnie, zadzwoń do nas, słyszysz? Czasem po doznanym szoku ludzie przez kilka godzin nie zdają sobie sprawy ze swojego stanu.

- Zrobię tak - obiecała Kate i ruszyła w stronę schodów.

Lastryko pod jej stopami było śliskie i chłodne. Biorąc pod uwagę, że szła niepewnie, szybciej i łatwiej wydostałaby się którąś z wind, ale wsiadało do nich wiele osób i nie wiedziała, na kogo mogłaby się natknąć. Kręciło się tu z pewnością mnóstwo ludzi z biura prokuratora, jednak, ponieważ prawdopodobnie nikt oprócz wybranych stróżów prawa i medyków nie miał dostępu do budynku, nie zauważyła nikogo znajomego. Zapewne zebrano gdzieś i zatrzymano świadków, dopóki nie złożą zeznań. A ona -obwiniana lub chwalona - zależnie od punktu widzenia - za zastrzelenie Pomarańczowego Kombinezonu - stała się kimś o wiele ważniejszym od pierwszego lepszego widza. Każdy funkcjonariusz znający szczegóły wydarzeń w sali 207 miał obowiązek zatrzymać Kate, nie

pozwoić jej odejść, dopóki nie złoży zeznania i nie odpowie na wszystkie zadane pytania.

Sama trzymałaby się takiej procedury.

Wiedziała, jak należało postąpić. I nie miała zamiaru tego przestrzegać. W każdym razie jeśli jakoś zdoła się wymknąć.

Potrzebowała trochę czasu, by się uspokoić, ocenić sytuację i wszystko przemyśleć, zanim władze wezmą ją w obroty.

Na szczęście miała doskonały pretekst: Ben był chory i musiała się nim zająć. Kto winiłby matkę za to, że pobiegła do syna? Prawda jednak była taka, że akurat w tym momencie to ona bardziej go potrzebowała. Od chwili narodzin stanowił dla niej opokę, kotwicę, pociechę na tym twardym, okrutnym świecie. To dla niego zaszła tak daleko, a pamięć, że syn jest dla niej wszystkim, dała jej siłę do stawienia czoła kolejnemu kryzysowi.

Myślała, że najgorsze ma już za sobą...

Poczuła żal. Dotkliwie, sprawiające ból poczucie straty. Szczęśliwa, pełna nadziei przyszłość, którą budowała dla nich obojga, właśnie prysła niczym mydlana bańka.

Co się stało, to się nie odstanie, powiedziała sobie w duchu ponuro.

Ostrożnie przytrzymując się poręczy, gdyż stopnie były mokre i wyslizgane przez tak wiele wbiegających do budynku i wybiegających stąd stóp i wołała nie ryzykować potknięcia się i upadku opóźniającego wyjście - kto wie, może nawet skończyłoby się na konieczności wezwania następnego sanitariusza - dotarła pod

szerokie, zakręcające schody bez ściągnięcia na siebie zbędnej uwagi. Ale gdy zrobiła pierwsze kroki przez hol w stronę grupy policjantów pilnujących wejścia, przez wysokie okna i obrotowe drzwi ujrzała jakieś zamieszanie na zewnątrz i zatrzymała się, patrząc zdumiona.

Tam chyba zgromadziło się całe miasto.

Karetki, wozy strażackie i policyjne radiowozy z czerwonymi i niebieskimi światłami eksplodującymi niczym race na święto Czwartego Lipca jak okiem sięgnąć zajmowały wąską ulicę. Liczne pojazdy jednostek specjalnych, łącznie z pancernymi wozami antyterrorystów i ciężarówką brygady bombowej stały na trawniku. Na chodnikach tłumy gapiów trzymających nad głowami parasole, torby na zakupy i gazety, by chronić się przed deszczem, śledziły przebieg akcji, a energiczni policjanci robili, co mogli, by trzymać ludzi na odległość. Bliżej, na szerokiej wybetonowanej ścieżce wiodącej pod frontowe schody Sądu Karnego stały wozy telewizyjne z antenami i talerzami satelitarnymi ustawionymi w odpowiedniej pozycji. Jasnowłosa reporterka - widząc ją od tyłu, Kate nie miała pewności, ale przypuszczała, że to Patti Wilcox ze stacji WKYW - stała pod parasolem na szczycie szerokich schodów i mówiła coś z ożywieniem do mikrofonu, a kamerzysta, też z parasolem nad głową, filmował ją ustawiony kilka stopni niżej. Inni reporterzy przemawiali do kamer z różnych wysokości schodów. Grube, połyskujące w deszczu czarne kable wiły się jak węże. Och, tylko nie to.

Otrzeźwiona Kate odwróciła się i pospiesznie przeszła przez pełen rozgardiaszu hol w stronę korytarzyka, w którym mieściły się

toalety. W pobliżu damskiej znajdowała się niewielka palarnia z kilkoma stolikami, krzesłami i mnóstwem popielniczek. Jak Kate miała nadzieję, było tam pusto. Na drugim końcu pomieszczenia były rzadko używane, boczne drzwi na ulicę. Na podejście na zewnątrz stał wysoki, barczysty policjant, zwrócony do niej plecami, niemal na pewno mający za zadanie pilnować, czy do budynku nie wchodziły osoby nieuprawnione. Podest z pewnością był zadaszony, gdyż beton, na którym stał strażnik, pozostał suchy, a padający deszcz tworzył wokół niego delikatną, falującą, srebrzystą zasłonę.

Kate zatrzymała się, patrząc niepewnie na plecy funkcjonariusza.

Jest tu, by nie wpuszczać ludzi do środka, a nie po to, by ich nie wypuszczać. Po prostu przejdzie obok.

Łatwo powiedzieć, jednak serce jej biło jak oszalałe, gdy zbliżała się do ciężkich, oszklonych drzwi. Z poczucia winy i strachu miała mdłości, ścisnęło ją w żołądku, w gardle jej zaschło.

Nie zapominaj, jesteś prawniczką. Szanowaną, uczciwą obywatelką.

Na tę myśl po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Poczula się, nie, była oszustką. I w tym momencie miała wrażenie, że tę oczywistą prawdę niczym szkarłatną literę Hester Prynne dostrzeże każdy, kto poświęci jej choćby przelotne spojrzenie.

Idź, raz kozie śmierć.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Gdy je otworzyła, gliniarz obejrzał się ze zdumieniem; potem, najwyraźniej oceniwszy Kate jako osobę całkowicie nieszkodliwą, odsunął się, by ją przepuścić. Kiedy

stała obok niego, pozdrowił ją skinieniem głowy, a ona odwzajemniła się tym samym gestem. Wyjące syreny, lekko tylko stłumione szumem deszczu, zaatakowały jej uszy. Pojawiały się następne radiowozy, błyskały migające światła, pojazdy poruszały się powolutku, podskakiwały, zjeżdżając na chodniki i krawężniki, by ominąć wciąż rosnący tłum gapiów.

Przez chwilę Kate cieszyła się z panującego wokół bałaganu. Dostarczał dobrego pretekstu do rozglądania się wokół, patrzenia wszędzie, byle nie na policjanta.

Czuła na twarzy jego spojrzenie.

Powiew zimnego powietrza, pachnącego mokną ziemią, ale wolnego od tych okropnych woni prochu, krwi i śmierci, którymi przesiąkł gmach sądu, zawirował wokół podestu, unosząc kosmyki jej włosów, co uświadomiło jej, że opadają luzem. Że jest brudna i rozczochrana. Zaniepokoiła się. Może nawet miała na sobie ślady krwi. Czy on tego nie zauważy? A co będzie, jeżeli tak się stanie? Oddychała łapczywie; wciągała świeże powietrze, próbując oczyścić się z innych zapachów, a jednocześnie ukradkiem przyjrzała się policjantowi. Był to młody, pewnie młodszy od niej, zwykły funkcjonariusz o szerokiej, poważnej twarzy i wysoko podgolonych, krótkich, ciemnych włosach, ostrzyżonych w nietwarzowym stylu na wojskowego jeża, uwydatniające sterczące uszy.

- Okropna sprawa - rzucił w jej stronę podniesionym głosem, by przekrzyczeć wrzawę.

- Okropna - zgodziła się Kate i z bijącym sercem szła dalej.

- Przemoknie pani - ostrzegł ją.

- Nie mam daleko.

I tak po prostu minęła go i wyszła na deszcz, mrużąc oczy, bo uderzyły ją zimne krople, gdy po czterech wąskich metalowych stopniach schodziła na betonowy chodnik, mokry i nierówny. Ulicznym ściekiem płynął wartki potok. Kate natychmiast przemokła i musiała odsunąć włosy z czoła, by mokre kosmyki nie spadały jej na twarz. Z początku strumienie wody wydawały się zaledwie chłodne, ale gdy wilgoć przedostała się do ciała, Kate poczuła lodowate zimno. Normalnie skierowałyby się w prawo, a potem prosto na Fulton Street. Ale normalnie nie było tu tłumu policji, reporterów i gapiów blokujących przejście, przez który musiałaby się przedzierać. Ktoś mógłby próbować ją zatrzymać i zadawać pytania.

Zadrżała na samą myśl, że zaczęliby ją przesłuchiwać. Zamiast przejść wzdłuż frontowej ściany budynku, skręciła w lewo, nie opuszczając chodnika, dzięki czemu znalazła się jakieś dwa metry przed tłumem, którego nie dopuszczano poza linię rosnących wzdłuż ulicy złotolistnych lip, i spokojnie odeszła w przeciwnym kierunku. Dwaj policjanci w granatowych nieprzemakalnych płaszczach z napisem: „Policja” na plecach rozciągali przed tłumem żółtą taśmę; otoczono nią cały budynek.

Wykorzystując aktówkę jako ochronę przed deszczem, a jednocześnie zasłonę przed wzrokiem kogoś, kto mógłby ją rozpoznać, Kate pochyliła głowę i pospieszyła obok następnej grupy właśnie nadciągających stróżów prawa i rozmaitych pracowników

wydziału kryminalnego, spieszących bocznymi uliczkami w stronę sądu. Migoczące światła karet pogotowia odbijały się w oknach, w kałużach i na lśniących zderzakach samochodów, przekształcając teren w jakieś nierealne miejsce, przypominające dyskotekę oświetloną przez obracającą się kulę. Hałas ogłuszał. W powietrzu wyczuwało się napięcie. Kate miała w sumie szczęście, że działo się tu tak wiele, bo stała się po prostu jedną z mnóstwa zgromadzonych osób i nikt nie zwracał na nią uwagi.

- Kate! - zdawało jej się, że usłyszała krzyk jakiejś kobiety, ale nie spojrzała w bok. Nawet nie zwolniła. Zresztą nie ona jedna miała na imię Kate. Prawdopodobnie to nie ją wołano. A jeżeli nawet - cóż, nie zamierzała sprawdzać.

Bosymi stopami rozpryskiwała zimne, płytkie strumienie deszczu, w które zamieniały się chodniki, w miarę jak ulica stopniowo opadała w dół. Aktówka odpierała główny napór deszczu na twarz. Kate odetchnęła z zadowoleniem, zostawiwszy w końcu za sobą całe to szaleństwo, i raz po raz skręcała wąskimi, kolonialnymi alejkami, mijając stojące wzdłuż nich bryły nowoczesnych domów, wreszcie, po jakichś pięciu minutach wyszła na róg ruchliwego skrzyżowania przy domu towarowym Beningtona.

Tam bez trudu zatrzymała taksówkę.

- Zaraz! Co pani sobie myśli? Nie może pani wsiąść! Jest pani cała mokra. - Kierowca, młody człowiek z dredami i kozią bródką, odwrócił się, patrząc na nią z przerażeniem, gdy wsuwała się na tylne siedzenie, wdzięczna, że wreszcie przestało na nią padać. - Zmoczy

mi pani siedzenie. Następny klient nie będzie chciał siedzieć na mokrym.

Miał rację: woda ściekała z niej jak z wyciskanej gąbki.

- Proszę wysiąść. - Ruchem dłoni wskazał drzwi. Kate wbiła w niego wzrok.

Nie do wiary.

Biorąc pod uwagę jej inne kłopoty, ten był niemal śmieszny. Omal nie palnęła kierowcy mowy na temat niezgodnej z prawem odmowy jazdy - mniejsza o to, czy przemoczona do nitki miała w tym wypadku rację - ale zabrakło jej energii na kłótnię, która bez wątpienia by się wywiązała.

- Ma pan siedzenia z winylu - zauważyła, patrząc na wytartą czarną tapicerkę. Żółta taksówka była stara i wysłużona. Wnętrze cuchnęło spleśniałą sosną; Kate wypatrzyła źródło tej woni: ze wstecznego lusterka zwisał odświeżacz powietrza w kształcie drzewka. - Trochę wody im nie zaszkodzi. Zresztą już jestem w środku, co znaczy, że siedzenie i tak jest mokre. Może pięć dolarów napiwku rozwiąże problem?

I tak oto znikła następna część tej nędznej sumy, która miała im wystarczyć do końca miesiąca. Ale w obecnej sytuacji Kate specjalnie nie przejmowała się tym, że do najbliższej wypłaty będzie splukana.

- W porządku - zgodził się taksówkarz, a potem odwrócił się i włączył w ruch uliczny.

Gdyby wszystkie problemy można było rozwiązać w ten sposób!

Podawała adres podziemnego parkingu obok biura prokuratora - tego ranka pojechała do sądu z Bryanem, zostawiwszy własny samochód w miejscu pracy - i opadła na siedzenie. Była przemoczona i zmarznięta, a w taksówce panował chłód przypominający wnętrze lodówki, próbowała więc trochę się rozgrzać, krzyżując ręce na piersiach, ściskając razem nogi i podwijając palce mokrych stóp, na których pozostały resztki podartych nylonowych rajstop.

Zamknęła oczy i natychmiast pojawiły się obrazy masakry w sali sądowej. Sędzia Moran, zastępcy szeryfa -wszyscy tego ranka udali się do pracy, a teraz nie żyli. Okropne.

Mało brakowało, a ona też by zginęła...

Trzęsła się jeszcze bardziej. Musiała zaciskać zęby, by nie szczękały. Pewnie powiadomiono już rodziny zabitych. Wyobraziła sobie policjantów stojących w drzwiach domu każdej z ofiar i żołądek podszedł jej do gardła. Gdyby znalazła się między ofiarami, poszliby do szkoły Bena...

Przestań, powiedziała sobie gniewnie, gdy jej serce znów zaczęło walić jak oszalałe. To się nie zdarzyło. I się nie zdarzy. Cokolwiek trzeba będzie zrobić.

Ta myśl przypominała jej o koszmarze, któremu wcale nie miała ochoty stawiać czoła.

Co robić?

Panika szarpała jej wnętrzności. Taksówka podskakiwała na nierównościach zakorkowanych ulic, a Kate rozpaczliwie próbowała opanować rozszalałe myśli, szukając jakiejś strategii, drogi wyjścia,

możliwości ucieczki przed nowym horrorem, który ją dopadł. Zaciskając zęby, ściskając pięści, w końcu stanęła twarzą w twarz z okropną prawdą.

Dogoniła ją własna przeszłość.

A dzina nie da się już wcisnąć z powrotem do butelki. Będzie musiała sobie poradzić.

Znów ten okropny ucisk w żołądku. Z trudem przełykała ślinę. Oczy miała otwarte, ale nie rejestrowały mijanej mieszanki starego i nowego, przepychu i prostoty, sklepów, biurowców i budynków mieszkalnych, wysokich i niskich budowli w centrum miasta. Ani roztrąbionych, wolno sunących samochodów, zmieniających się świateł, opadających z drzew liści w jaskrawych jesiennych barwach, nie widziała nawet nieprzerwanej zasłony deszczu.

Za to przed oczami pojawił się zamglony obraz grupy przyjaciół, z którymi włóczyła się w tamtych niedobrych czasach.

Rozdział 8

Nie lubiła Maria Castellanos. Jako nastolatek był hałaśliwym chwalipiętą i brutalem, łobuzem i zbirem. Pod każdym względem paskudnym osobnikiem.

O ile się zorientowała, nie zmienił się nic a nic. Tyle że teraz był większy. Gorszy, bardziej przerażający. Uliczny śmieć zmienił się w zatwardziałego przestępcę.

Który trzymał jej życie - i życie Bena - w swej mięsistej dłoni.

Musiało być jakieś wyjście, tyle że ona go nie widziała. W tym momencie nie przychodziło jej do głowy nic lepszego, niż robić to, co jej kazał, gdyż nie miała wyboru.

Wciągnęła powietrze; uświadamiając sobie tę mrozącą krew w żyłach prawdę; na myśl, czemu przyjdzie jej stawić czoło, poczuła się okropnie.

Oświadczenie, że to ona zastrzeliła porywacza, było tylko pierwszym krokiem na drodze, przed którą tak długo się wzbraniała. To kłamstwo wstrząsnęło nią, choć przed prawem nie odpowie za zabójstwo - ten czyn jak żaden inny kwalifikował się do uznania go za obronę konieczną, bo zastrzeliła człowieka, który, grożąc jej bronią, przytrzymał ją jako zakładniczkę. A jej życie już było wolne od kłamstw. Przeszłość została zapomniana.

W każdym razie do tej pory.

- Nie widzieliśmy się mnóstwo czasu - zauważył Mario z uśmiechem, gdy po zastrzeleniu Pomarańczowego Kombinezonu powiedział jej, kim jest. Tamten padł martwy u jego stóp. Odgłos strzału, który go zabił, wciąż wypełniał echem wąski korytarz. Zapach prochu i krwi, śmierci i strachu - jej strachu - zawisł w powietrzu.

Jej oczy, szeroko otwarte pod wpływem szoku i zaskoczenia, napotkały wzrok Maria. W stojącym przed nią, napakowanym sterydami mężczyźnie dostrzegła chełpliwego nastolatka, którego znała trzynaście lat wcześniej. Teraz pewnie miał trzydzieści jeden lat. Potężna sylwetka, ogolona na łyso głowa, ciemna karnacja i zarost, a także to, jak bez mrugnięcia okiem odebrał życie Pomarańczowemu Kombinezonowi, w połączeniu z całkowitym zaskoczeniem sprawiły, że Kate go nie rozpoznała, dopóki nie zwrócił się do niej dawnym zdrobnieniem: Kici-kotek. I doznała natychmiastowego olśnienia, bolesnego, zaskakującego i szokującego niczym niespodziany cios w żołądek.

Nie odeszła wystarczająco daleko. Powinna była nadal uciekać, może na Florydę lub do Kalifornii.

Spojrząwszy na niego, zdała sobie sprawę, że jego oczy pozostały takie same: ciepłe, brązowe oczy spaniela, zadające kłam obojętnemu okrucieństwu, które w przeszłości tyle razy napawało ją wstrętem. Na szerokim nosie pozostał ślad w kształcie półksiężyca w miejscu, gdzie ugryzł go pudel babci Rogera Friedkina. Niedługo potem pies znikł - może zbieg okoliczności, którego Kate nie

kwestionowała przez następnych kilka miesięcy. Jak dawniej zaciskał wąskie wargi, a nawet uśmiechał się równie paskudnie.

Wtedy był nieprzewidywalny i niebezpieczny. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że te cechy jeszcze się w nim utrwały.

- Właśnie uratowałem ci życie - dodał Mario, gdy milczała. - Jesteś moją dłużniczką.

Serce biło jej w piersiach niczym dzwon, w gardle tak zaschło, że musiała przełknąć ślinę, nim się odezwała. Próbowwała oddychać miarowo i zachować spokój. Zignorować fakt, że u jej stóp krwawiło jeszcze ciepłe ciało, a jeden z potworów od tak dawna zamieszkujących jej senne koszmary w końcu wypełznął spod łóżka, by przerazić ją w bezlitosnym, chłodnym świetle dnia.

- Dziękuję - wykrztusiła.

Roześmiał się niskim, rechoczącym dźwiękiem, przyprawiając ją o zimny dreszcz. Wiedziała, że chodzi mu o coś więcej niż jej wdzięczność, jak również nie miała złudzeń, że gdyby było mu to na rękę, nawet nie mrugnąłby okiem i pozwoliłby tamtemu ją zabić. Mario ani trochę o nią nie dbał. Jediną osobą, jak wiedziała, o którą kiedykolwiek dbał, był on sam.

- Twoje dziękuję nie wystarczy, Kici-kotku - powiedział żartobliwym tonem i sięgnął, by pociągnąć ją za kosmyk włosów, które jakiś czas temu wysunęły się z koka i teraz opadały jej na plecy.

- Domyśliłam się. - Wysunęła brodę i cofnęła głowę wystarczająco, by wyszarpnąć mu z ręki swoje włosy. Puścił je. Dobrze wiedziała, jak działają dranie tacy jak on, gdyż dorosła w

świecie, w którym się od nich roilo. By przetrwać, przede wszystkim nie wolno było nigdy okazać im strachu - pierwsza zasada. Taka też była druga, trzecia i czwarta. - No więc, czego chcesz?

- Wyjść z pierdła. I chcę, żebyś ty mnie wydostała. Przykucnął i wytarł broń o skraj spodni Pomarańczowego

Kombinezonu. Twarz martwego mężczyzny już poszarzała. Oczy, nadal otwarte, zasnuła mgła. Krew wciąż wolno wypływała mu z ust, na piersiach rosła czerwona plama. Siedział w powiększającej się kałuży szkarłatu. Kate jak zahipnotyzowana spojrzała na trupa, a potem, otrząsnąwszy się, rozmyślnie przeniosła wzrok na Maria. Wciąż wycierał pistolet. Ponieważ nie widział potrzeby celowania do niej ani nawet nie zasłaniał sobą drogi do drzwi, wywnioskowała, że nie obawiał się, iż mogłaby uciec.

I miał rację. Ich wspólna przeszłość zatrzymywała ją na miejscu niczym niewidzialne, nierozzerwalne pasma jedwabnej sieci pająka.

- Nie mogę tego zrobić. - Użyła szorstkiego tonu. Nie było sensu udawać, że są przyjaciółmi. Nigdy nimi nie byli.

- Nie wciskaj mi kitu.

Usatysfakcjonowany stanem pistoletu, dał sobie spokój z czyszczeniem go i upuścił na podłogę obok Pomarańczowego Kombinezonu, już nie dotykając broni ponownie. Potem podniósł ten, który wypuścił z ręki zabity. Wstał, a jego potężna sylwetka w tak bliskim sąsiedztwie przejęła Kate uczuciem grozy. Mario trzymał broń niedbale, nie celując do niej, a jednak...

Zawsze była niemal w stu procentach pewna, że wtedy, przed laty, to Mario nacisnął spust.

Poczuła instynktowną potrzebę cofnięcia się o krok -naturalna reakcja na bliskość uzbrojonego zbira. Ale Kat - a kiedyś była tą Kat - nigdy nie cofała się przed nikim. I to właśnie Kat nadal żyła i funkcjonowała w jej ciele przez te wszystkie ostatnie lata, to ona dawała jej siłę, nie pozwoliła się cofnąć.

- A więc teraz jesteś ważną panią prokurator. Hej, dziewczyno, jestem z ciebie dumny! - Mario uśmiechnął się do niej i wymierzył jej w ramię dobrodusznego kuksańca. Gdy nie doczekał się ze strony Kate żadnej reakcji poza przymrużeniem oczu, przestał udawać dobrego kumpla i ciągnął już twardszym tonem: - Dobrze dla ciebie, myślę jednak, że nawet lepiej dla mnie.

- Tak? A to niby czemu?

- Czeka mnie ciężki wyrok, dwadzieścia do dożywocia i to za nic. Po prostu złamanie warunków tymczasowego zwolnienia. Posiadanie broni palnej. Recydywa. - Skrzywił się. - Kretyńskie zarzuty, ale wygląda, że zaskoczą. Dranie nawet nie dopuścili kaucji. I za takie nic jestem ugotowany, będę gnił w pierdłu, aż kutas mi uschnie. Kiedy ci goście zaczęli kombinować z tym swoim planem wydostania się na wolność, powiedziałem im: „do diabła, wchodzę w to, możecie na mnie liczyć”. Ale to idioci. Spaprali robotę. Nikt nie miał zginąć. Ktoś z zewnątrz miał podjechać pod okno wozem kempingowym. Plan polegał na rozwaleniu okna, zeskoczeniu na wóz, dostaniu się do środka i zabranii stąd dupy. Gdy Soto zastrzelił

sędziego, wiedziałem, że dla mnie sprawa się skończyła. Polowaliby na nas aż po same krańce ziemi. Zrezygnowałem. Właśnie odpinałem klucze od pasa zastępcy szeryfa, żeby wynieść się z tego korytarza, gdy wrócił Rodriguez, ciągnąc ze sobą ciebie. -Uśmiechnął się. - Rzuciłem okiem na jego przyjaciółczkę prokuratorkę i nie mogłem uwierzyć... Dzyń!

Ostre dźwięki telefonu niczym nóż przecięły napiętą atmosferę. Kate podskoczyła i z przerażeniem spojrzała na aparat. To z pewnością gliniarz z sali sądowej, z zewnątrz. Ta jej lina ratunkowa, ale także, w jakiś nowy i przerażający sposób, jej wróg.

- Chodzi o to, że wykombinowałem lepszy plan - ciągnął, ignorując sygnał. - Chcesz wiedzieć jaki?

- Co? - Tylko tyle zdołała z siebie wydobyć. Już wiedziała, wiedziała...

- Ty. Moja stara przyjaciółka Kici-kotek. Pamiętasz strażnika, którego wykończyliśmy tamtej nocy w Baltimore?

O tak. Nazywał się David Brady.

Dzyń...

Gdy telefon ponownie zadzwonił, Kateomal nie wyskoczyła ze skóry. Nerwy kompletnie ją zawiodły, serce biło jak oszalałe, szum w uszach narastał w przerażającym tempie - ledwo trzymała się na nogach. To nie działo się naprawdę...

Za wszelką cenę nie wolno jej okazać strachu.

- Nie miałam z tym nic wspólnego.

Mario prychnął.

- Dziecinko, byłaś tam, tak jak my wszyscy. Znasz prawo. Wiesz, jak to jest. Ktoś puścił farbę i oto mamy morderstwo pierwszego stopnia.

On ma rację. O Boże, ma rację. Dzyń...

- Byłam dzieckiem! Piętnastolatką. Nawet nie weszłam do środka.

- Nie czyni cię to ani trochę mniej winną. Młodość jest okolicznością łagodzącą.

Ale później się dowiedziała, że David Brady był policjantem na emeryturze. Prawo nader surowo traktowało zabójców stróżów prawa.

- Nie martw się, nie wydam cię. - Mario pewnie wyczytał strach z jej miny, bo wykrzywił się do niej drwiąco.

- Oczywiście, jeśli zatrzymasz przy sobie to, co powiem. - Spojrzał w dół. - Podnieś tę broń.

Wskazał na pistolet, z którego zabił Rodrigueza.

Kate zawahała się, wbijając wzrok w podłogę. W głowie kłębiły jej się różne myśli. Mario spojrzał na nią ponownie i powtórzył ostrzej:

- Zrób, co mówię.

A w tym momencie to on rozdawał karty. Dzyń...

Odrętwiała, zrobiła, co kazał, bez dalszych pytań ani sprzeciwu; nawet nie udawała, że się opiera. I tak nie miałoby to sensu. Wiedział, że ona jest całkowicie na jego łasce. I miał rację, była.

Gdy się wyprostowała, ujrzała w jego dłoni pistolet Pomarańczowego Kombinezonu - wycelowany prosto w nią. Serce jej

zadrzało. Przez chwilę nie rozumiała, ale potem ją olśniło. Przecież jest teraz uzbrojona, trzyma w ręce naładowaną broń. Kiedyś była dość szybka, bystra i na tyle odważna, by do niego strzelić.

Problem zostałby rozwiązany.

Wszakże minione lata ucywilizowały ją aż za nadto.

Wzięła głęboki oddech. W uszach pulsowała jej krew. Ucisk w żołądku narastał. Kolana drżały jak galaretka.

- A ty nie możesz mnie wydać, nie wrabiając przy tym i siebie.

Gdy ich oczy się spotkały, Mario posłał jej pełen satysfakcji uśmiech.

- I widzisz, w tym całe piękno tej zabawy. Po mojemu, z nas dwojga ja mam o wiele mniej do stracenia.

Dziś... Och, Boże.

- No już, dziecinko, słuchaj. Zrobimy tak.

Łapczywie wciągnęła haust powietrza. W środku cała się trzęsła. Mocniej zacisnęła dłoń na kolbie pistoletu. Słuchała.

Gdy skończył mówić, podniosła słuchawkę.

Rozdział 9

Szkoła Bena, podstawówka Greathouse, przypominała duże, prostokątne pudełko z cegieł. Rzędy solidnych, obramowanych aluminium okien od tyłu wychodziły na pokryty trawą plac zabaw i boisko, a od frontu na obsadzony drzewami, półkolisty podjazd. Budynek był stary, o szacownym wyglądzie. Drzewa, południowe judaszowce, urocze, gdy kwitły na wiosnę - w każdym razie na zdjęciach, które oglądała Kate, teraz stały szare i zmarniałe od nieustającego deszczu. Podjazd zakręcał aż pod dach osłaniający frontowe schody i główne wejście. Jednakowe tablice po obu stronach wiodącej do schodów wybetonowanej ścieżki ostrzegały: „Nie parkować, droga pożarowa”.

Zignorowawszy napis, Kate zatrzymała auto - niebieską toyotę camry - tuż obok pomalowanego na żółto krawężnika, niemal przed samymi schodami. Wcześniej nastawiła na maksimum ogrzewanie w samochodzie, mając nadzieję, że wysuszy włosy i ubranie podczas dwudziestominutowej jazdy z biura prokuratora do szkoły Bena w północno-wschodniej części Filadelfii, w dzielnicy, w której mieszkali. Nadal jednak była cała mokra. Pospieszny rzut oka w lusterko do reszty pozbawił ją złudzeń - poza kilkoma pasmami na czole, tam gdzie sięgał strumień gorącego powietrza, włosy pozostały wilgotną płataniną. Zebrała je z tyłu i spięła dwiema spinkami, które wygrzebała z miejsca na kubki między siedzeniami; znalazła leżący

na tylnym siedzeniu parasol i wysiadła. Poczowała chłód i zadrżała; bębnienie uderzającego o materiał wodospadu brzmiało niczym echo coraz szybszego bicia jej serca. Pod ochroną parasola dotarła pod dach nie bardziej przemoczona niż wcześniej i miała ochotę pokazać ulewie język. Złożyła parasol, strząsając z niego wodę, i weszła po niskich, betonowych stopniach; jednocześnie szybko oceniła swój wygląd i doszła do wniosku, że poza szarymi tenisówkami (trzymała je w samochodzie w torbie z ubraniami używanymi w siłowni) na bosych stopach, gdyż rajstopy miała zupełnie podarte, prezentuje się stosunkowo normalnie.

Co było ważne z powodu Bena.

Musiała wypróbować trzy z czterech części drzwi, nim trafiła na właściwą - tę otwartą, od prawej. Zapewne, pomyślała, zamykanie pozostałych należało do środków bezpieczeństwa stosowanych obecnie nawet w najmniej zagrożonych instytucjach. Na szklanej części wybranych przez nią drzwi widniała przyczepiona na czerwonym brystolu notatka: „Zebranie Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli, 19.30, stołówka”.

Kate poczuła ucisk w piersiach. Odkąd Ben zaczął chodzić do przedszkola, starała się brać udział w każdym takim spotkaniu, niezależnie jak bardzo była zajęta. Matka uczęszczająca na zebrania Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli była częścią życia, jakiego pragnęła dla synka. Normalnego. Tak różniącego się od jej własnego dzieciństwa, że mogliby żyć na innych planetach.

Wciąż trudno było jej uwierzyć, że świat, który tak pieczołowicie budowała dla nich dwojga, został zagrożony.

Chyba że zrobi to, czego chciał Mario.

Kate poczuła, że cała aż trzęsie się w środku, i zgrzytnęła zębami.

Nie teraz. Nie może myśleć o tym teraz.

- Pani White?

W obszernym holu pomalowanym na kolor kremowo-biały, z podłogą pokrytą popielatym linoleum, powitała ją niskim, miłym głosem sekretarka, której nazwiska Kate nie pamiętała - byli przecież w tej szkole nowi, żeby nie wspomnieć już o obecnym stanie jej nerwów. Kobieta tuż po sześćdziesiątce, typ babci o krótkich, siwych włosach, w puchatym, niebieskim rozpinanym swetrze z białym wzorkiem wokół szyi, siedziała przy biurku za blatem odgradzającym przestrzeń biurową od głównego, biegnącego przez całą długość szkoły holu. Siedziała w takim miejscu, by mieć na oku wszystkich wchodzących i wychodzących przez frontowe drzwi: następny środek bezpieczeństwa, co do tego Kate nie miała wątpliwości. Gdy po otrzymaniu zatrudnienia w biurze prokuratury odwiedziła tę szkołę przy okazji poszukiwań lokum do zamieszkania, rodzic, który uprzejmie zechciał ją oprowadzić, zapewnił, że w Greathouse między innymi szczególną uwagę zwracano na ochronę.

- Tak. Dzień dobry. Przepraszam, że to trwało tak długo. - Kate wykonała unik przed czwórką dziewcząt, niosących przez hol kawałek sklejki, na której stało coś, co wyraźnie kojarzyło się z jakimś

szkolnym projektem. Podeszła do barierki i przyjrzała się pomieszczeniu administracyjnemu w głębi. Tak jak hol, jasno oświetlony i wesoły, pomimo że deszcz zaciemnił okna, przestrzeń biurowa z wiśniową ścianą ozdobioną magnetycznymi paskami przytrzymującymi mnóstwo zdjęć uczniów wydawała się przyjazna dzieciom i tchnęła serdecznością. - Przyszłam, jak najszybciej mogłam.

- Ależ rozumiem. Zważywszy na to, co się stało w sądzie, bardzo się ucieszyłam z pani telefonu. Ben naprawdę zaczynał się niepokoić. W biurze mieliśmy włączony telewizor, ale musiałam go wyłączyć. Na każdym kanale relacjonowali wydarzenia na żywo, pokazywali zdjęcia, a chłopiec się upierał, był pewien, że pani jest w samym centrum tego nieszczęścia.

Podniosła się i Kate, obrzuciwszy spojrzeniem jej apetycznie pełną postać, przeczytała na przyczepionym do swetra identyfikatorze: „pani Sherry Jackson”. Rzeczywiście. Już pamiętała. Sekretarka ściszyła głos:

- Podobno zginęło dziesięć osób, łącznie z sędzią. -Spojrzała na Kate, jakby oczekiwała potwierdzenia.

Kate czuła, jak zacisnął jej się żołądek. Nie myśl o tym. Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie mam pojęcia.

- No cóż. - Pani Jackson uśmiechnęła się do niej. - Ben leży tam, na zapleczu. Gdyby zechciała pani podpisać -wskazała leżącą na blacie tabliczkę z mocującym papier zaciskiem - pójdę po niego.

Gdy Kate składała podpis pod potwierdzeniem odebrania Bena ze szkoły, pani Jackson znikła za drzwiami na tyłach sekretariatu. Kate usłyszała donośne głosy i stukot biegnących stóp, najwyraźniej zbliżających się w jej stronę, i odwróciła się zaskoczona. Zobaczyła sześciu chłopców mniej więcej w wieku Bena. Mieli na sobie trampki i jaskrawoniebieskie stroje gimnastyczne. Kate rozpoznała je, gdyż sama niecały miesiąc wcześniej wydała pięćdziesiąt dolarów na takie dwa zestawy dla Bena. Jeden z chłopców przyciskał do siebie piłkę do koszykówki. Kate nie знаła ich - zbyt krótko miała jeszcze do czynienia z tą szkołą, by rozpoznać wiele dzieci - ale i tak uśmiechnęła się do nich. Przebiegający najbliżej odwzajemnił uśmiech, a potem tuż przy klatce schodowej skręcili za róg i już ich nie było. Gdy zbiegali do suterenu, dudnienie ich stóp nappełniło echem hol.

- Mamusiu?

Słyszając głos syna, Kate gwałtownie odwróciła głowę. Właśnie wychodził z drzwi po prawej stronie biura, pani Jackson tuż za nim. Zwisający z ramienia plecak, jak z doświadczenia wiedziała Kate, pewnie nieprawdopodobnie ciężki dla dziewięciolatka, przechylał chłopca na jedną stronę, nadając mu nieco koślawy wygląd. Kate popatrzyła na synka. Rozczochrany blondynek miał jasnoniebieskie oczy matki, jasną cerę i delikatne rysy, ale był mały i drobny jak na swój wiek. Tego dnia był ubrany w dżinsy, koszulkę polo w niebiesko-zielone paski i tenisówki. Włosy, jak zwykle, opadały mu na oczy i niecierpliwie odsuwał niesforne kosmyki.

Uprzytomniwszy sobie, co mogło się stać, Kate poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Serce przepęliła jej ogromna miłość; walczyła, by się nie rozplakać, aby Ben nic nie dostrzegł. Chętnie by go uściskała, ale w jego wieku publiczne czułości matki krępowały. A więc tylko uśmiechnęła się do niego.

Nie odwzajemnił uśmiechu.

- Cześć, słoneczko.

Ben skrzywił się i Kate natychmiast uświadomiła sobie, że użyła niewłaściwego słowa. Był teraz w czwartej klasie i określenie „słoneczko” brzmiało dla niego zbyt dziecinnie. Właściwie to zabronił jej nazywać go inaczej niż po prostu (tak ją poinstruował) stary Ben. Ponieważ była tak dobrą matką, tylko raz czy dwa uległa pokusie użycia tych trzech słów naraz.

Oczywiście, ku niezadowoleniu synka.

Jeśli nie spełni teraz życzenia Maria, co się stanie z Benem? Poczowała w ustach lekki smak paniki. Przełknęła ślinę. Nie myśl teraz o tym. Później...

- Mówi, że czuje się lepiej - przekazała jej pani Jackson, gdy Kate podeszła bliżej, by zabrać synkowi plecak. Jak przypuszczała, zdawał się wypełniony cegłami. Nagle na końcu holu pojawiła się następna grupka chłopców w niebieskich strojach, którzy na widok pani Jackson zwolnili krok. Gdy się zbliżyli, Kate dostrzegła, że Ben usiłuje wśliznąć się za jej plecami, stać się niewidzialnym dla tych czterech. Zmarszczyła czoło.

- Dzień dobry, pani Jackson - wyrecytowali chórem chłopcy.

Czuła na sobie ich zaciekawione spojrzenia, Ben schował się za nią, domyśliła się, że kryje się za jej plecami, i serce jej się ścisnęło. Przeprowadzka z małego mieszkania w niebezpiecznej dzielnicy South Kennington, gdzie mieszkali, gdy uczęszczała najpierw na Uniwersytet Drexela, a następnie na wydział prawa w Tempie, okazała się dla Bena niełatwa, Kate o tym wiedziała. Ale pragnęła dla niego o wiele więcej niż dorastanie w dzielnicy biedoty, gdzie bała się wypuszczać go samego z domu i posyłać do szkoły, w której gangi swobodnie buszowały po korytarzach, bójki były na porządku dziennym, a nauczyciele nie mogli nic na to poradzić. Chciała, by miał szczęśliwe, normalne dzieciństwo, w normalnej dzielnicy zamieszkaney przez klasę średnią, gdzie czymś zwyczajnym były jazda na rowerze, sąsiedzkie wizyty - „cukierek albo figielek” - i zabawy dzieci latem przed domem, przy świetle latarek. Kate pragnęła, by jej syn zdobył dobre wykształcenie w przyjaznej, rozwijającej zdolności szkole, jaką miała być właśnie ta. I aby poczucie bezpieczeństwa do tego stopnia zlało się dla niego z codziennością, by nigdy o nim nie myślał. Krótko mówiąc, chciała dla niego tego wszystkiego, czego nigdy sama nie miała.

- Lepiej się pospieszcie. Panu Farrisowi nie spodoba się, jeśli spóźniecie się na gimnastykę - ostrzegła pani Jackson przechodzących obok chłopców.

- Jak możemy się spieszyć? W holu nie wolno nam biegać - odrzekł któryś, a reszta zachichotała.

- A wy przecież nie zrobicie czegoś, czego się wam zabrania, czyż nie? - zapytała pani Jackson przesadnie surowym tonem i wspierając zaciśnięte dłonie na biodrach, odprowadzała ich wzrokiem.

Jej słowa wywołały następne, nie do końca tłumione chichoty i potrząsania głowami, potem chłopcy minęli ją, pospieszyli w stronę schodów i znikli.

- Przy tej pogodzie gra w koszykówkę w sali to wszystko, co pan Farris może im zaproponować. - Pani Jackson rzuciła okiem na Bena, który znowu stał obok Kate, wróciwszy po odejściu chłopców na dawne miejsce. - Niektórzy z tych uczniów chodzą z tobą do klasy, prawda, Ben?

- Taa - odrzekł ponuro i spojrzał na Kate. - Możemy już iść, mamusiu? Nie czuję się dobrze.

- Oczywiście. - Kate uśmiechnęła się do pani Jackson, która zrewanżowała jej się tym samym. Sekretarka ruszyła z powrotem do biura, jeszcze przez ramię wołając do Bena, który już dochodził do wyjścia: - Mam nadzieję, że jutro poczujesz się lepiej.

- Dziękujemy - odrzekła Kate, gdy Ben nic nie powiedział.

Wsiadł na tylne siedzenie, podczas gdy ona obeszła wóz i usiadła za kierownicą. Mokry parasol i plecak syna położyła na podłodze przed siedzeniem pasażera i przekręciła kluczyk w stacyjce, jednocześnie patrząc do tyłu, na syna.

- Może zatrzymamy się przy gabinecie pediatry? - Wrzuciła bieg i odjechała od krawężnika.

-Nie.

Szelest wycieraczek na przedniej szybie, pomruk ogrzewania i ciężkie krople deszczu uderzające w karoserię niemal zagłuszyły wydukaną odpowiedź Bena. Po samochodzie rozszedł się zapach spalenizny, który zawsze wydostawał się z wentylatorów w pierwszych kilku sekundach po włączeniu ogrzewania. Wiedząc, że Ben go nie znosi, Kate skierowała strzałkę na minimum.

- Jeśli jesteś chory...

- Nie jestem. Westchnęła.

- Twoja dolegliwość oczywiście nie ma nic wspólnego z dzisiejszym meczem koszykówki w sali gimnastycznej?

Milczenie.

Które należało przetłumaczyć: och, tak.

Skrecając w lewo, w West Oak Road, zaciszną uliczkę domów mieszkalnych, biegnącą od szkoły, spojrzała we wsteczne lusterko, na syna. Szczupłe ramionka przygarbione, ponury wzrok wbity w zalane deszczem okno. Gdy patrzyła, jak tam siedzi, taki mały i załamany, znów ogarnęły ją znajome uczucia miłości, winy i niepokoju. Tak bardzo się starała - ale jeśli nie sprawdziła się jako matka?

Cóż ona wie o wychowywaniu dziecka?

- Benie White, czy rzeczywiście wymiotowałeś? Ta cisza oznaczała: nie.

- No dobrze, załatwmy to. Opowiedz mi o wszystkim.

Zahamowała przy znaku stop i zaczęła, aż czerwona honda, rozpryskując wodę, przeleci przez skrzyżowanie, a następnie skręciła w prawo na Mapie Avenue. Mieszkali tylko kawałek dalej, przy

Beech Court, w jednej z najmniej drogich części Foxchase, ekskluzywnej dzielnicy, na którą z wielkim trudem było stać Kate. Oczywiście podpisała umowę na roczny wynajem małego domku, w wyobraźni widząc uśmiechniętego Bena i jego kolegów, jak biegną w podskokach ocienionymi drzewami chodnikami do szkoły i z powrotem. W rzeczywistości Kate woziła go każdego ranka, a Suzy Perry, matka przyjaciółki Bena, Samantha, i dwóch młodszych dzieci czekała na niego po lekcjach i zabierała do swojego domu kilometr dalej i zostawał tam, dopóki Kate nie przyjechała po niego po skończonej pracy. Inne marzenia też się nie sprawdziły, jako że Ben nie miał żadnych kolegów poza Samantha, która chodziła do klasy niżej i była (co powiedziałyby z rozpaczą) dziewczynką, a do tego wszystkiego ostatnio chłopiec rzadko się uśmiechał. Co dobijało Kate.

- Nie umiem grać w koszykówkę.

Cichy głosik z tylnego siedzenia zabrzmiał tak samo wojowniczo i apatycznie. Kate znowu westchnęła, tym razem w duchu. Po jednym z najstraszliwszych wydarzeń w jej życiu, po przerażeniu i stresie, które spadły na nią nie wiadomo skąd, to był drobiazg. Niemniej bolesny.

- Nieprawda - zaprotestowała lojalnie, rzucając na niego okiem w lusterku. Chłopiec też patrzył na jej odbicie i ich spojrzenia się spotkały.

- Niestety, tak właśnie jest. - Jeszcze bardziej ściszył głos i z powodu szumu w samochodzie musiała wyteńczyć słuch, by coś

usłyszeć. Potem, po króciutkiej przerwie, dodał: - Nie chcą mnie w drużynie.

Kate pękło serce. Zazwyczaj gdy coś mu nie szło, nie mówił jej o tym. „Masz dość zmartwień, mamusiu”, zauważył przy pewnej pamiętnej okazji, gdy zapytała go, czemu jej nie powiedział, że w poprzedniej szkole niektórzy ze starszych kolegów zabierali jedzenie, które pakowała mu każdego dnia - jeśli więc teraz wyznał jej swoje kłopoty, musiały naprawdę być duże. Niemal powiedziała: ależ z pewnością cię chcą, bo instynktownie pragnęła zetrzeć ból widniejący na jego twarzy, zrobić, co możliwe, by go przekonać, że się mylił. Tyle że Ben był świetny w wykrywaniu kłamstw. Zwłaszcza gdy to ona go okłamywała.

Poza tym rzeczywiście nie najlepiej radził sobie z grą w piłkę ani z jakąkolwiek inną dyscypliną sportu. Odziedziczył po niej więcej niż powierzchowność: mięśniakami to oni nie byli. Dobrze się uczył, zwłaszcza języków i matematyki. Miał smykałkę do komputerów. Oglądał Discovery z tym samym fanatycznym zachwytem, jakim niektórzy darzyli drużyny sportowe. Przepadał za czytaniem i między innymi dlatego nosił tak ciężki tornister - zawsze brał do szkoły kilka książek: tę, którą czytał w danej chwili, i tę, którą miał zamiar zająć się w następnej kolejności - gdyby tę pierwszą nieoczekiwanie skończył wcześniej. Przy każdej okazji - zanim lekcje się zaczęły, kiedy wcześniej skończył zadanie lub nawet przy lunchu czy podczas przerwy Ben wyjmował książkę i pograżał się w niej. Ta cecha wprawdzie zapewniła mu sympatię nauczycieli, jednak kolegów aż

tak bardzo nie zachwycała. Biorąc dodatkowo pod uwagę, że chłopiec był drobny na swój wiek, nieśmiały wobec obcych i właśnie przyszedł do nowej szkoły, trudno się było dziwić, że miał kłopoty z zawieraniem nowych przyjaciół.

Co nie znaczyło, że to nie bolało. Nawet bardzo.

Jak sobie z tym poradzę? Boże, daj mi jakąś wskazówkę.

- Wybierają skład drużyn? - zapytała ostrożnie, próbując dociec do sedna problemu. - W sali gimnastycznej?

Spojrzała na niego w samą porę, by zauważyć potakujący ruch głową.

- Kto wybiera?

- Niektórzy z facetów. - Wzruszył ramionami. Powiedział to tak wzruszająco po męsku - „faceci”, a ten specyficzny ruch ramion także był męskim gestem, że Kate przez moment dostrzegła w nim mężczyznę, którym z wielkim wysiłkiem starał się stać.

Pewnego dnia. Teraz jest tylko małym chłopcem. Na tę myśl poczuła rozpacz. Małym chłopcem, który sądzi, że jego mamusia może uładzić sprawy. Tyle że czasem to niemożliwe.

Znów ogarniała ją panika, opanowała się na siłę. Wzięła głęboki oddech i przy następnym skrzyżowaniu przyhamowała i potem skręciła w prawo, na Beech Court.

- No dobrze, a kto ustala facetów od wybierania?

- Nikt.

Oczywiście że nie. To by było zbyt łatwe. Jeden szybki telefon...

- Na początku zajęć biegamy wokół sali. Czterej pierwsi zostają kapitanami i do swoich drużyn wybierają, kogo chcą. Gramy na połowie boiska, po dwie drużyny na każdej. - Na chwilę zamilkł. - Ja zazwyczaj kończę okrążenia ostatni. I wybierają mnie na samym końcu. Wolą ode mnie nawet Shawna Pascala, który ma złamaną rękę.

Znów rzuciła okiem w lusterko: Ben gryzmolił esy--floresy na wewnętrznej, pokrytej wilgocią stronie szyby.

- Fatalna sprawa - przyznała. -No.

- A co z dziewczętami?

- One same wybierają swoje drużyny. Grają w małej sali.

- Powinniśmy poćwiczyć razem. Ty i ja.

- Mamusiu, przecież wiesz, jaka jesteś beznadziejna w koszykówce.

- Co nie znaczy, że nie mamy trenować. Oboje możemy się poprawić.

Ben prychnął.

- Jakby to miało pomóc. Zresztą nienawidzę koszykówki.

Kate spojrzała na syna w lusterku.

- Mogę się założyć, że należysz do najlepiej czytających w klasie.

- Jakby kogoś to obchodziło.

- Na przykład mnie. I pewna jestem, że twój nauczyciel także.

Ben znowu prychnął.

- Przy garażu mamy siatkę do kosza. Mógłbyś ćwiczyć na podjeździe.

- Nie chcę. Powiedziałem ci, nienawidzę kosza. Przestań już o tym gadać, dobrze?

Kate zacisnęła wargi, powstrzymując swoją tendencję -którą Ben często jej wypominał - do drażenia tematu, gdy po lewej stronie ulicy ukazał się ich dom. Jak na Filadelfię było to jedno z nowszych osiedli, sieć starannie poprowadzonych uliczek, gdzieniegdzie urozmaiconych centrum handlowym, niezbyt daleko od drogi 1-95 i Delaware River. Miała stąd wygodny dojazd do pracy, znajdowały się tu dobre szkoły, była niska przestępczość. Większość domów pochodziła z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Były to albo niewielkie wille w stylu Cape Cod, albo skromne budynki o wielopoziomowych mieszkaniach, ściśnięte jeden obok drugiego, z ogródkami wielkości pocztowego znaczka od frontu. W oknach po obu stronach ulicy paliło się światło - w tej okolicy na ogół mieszkaly duże rodziny i niektóre matki wyłącznie zajmowały się dziećmi - ale ich dom tonął w spokoju i ciemnościach. Był to mały, śliczny budynek typu Cape Cod, z pomalowanej na szaro cegły, z czarnymi okiennicami, o dwóch malowniczych szczytach. Teraz kaskady deszczu uderzały w rosnący przy ścieżce wysoki czerwony dąb, którego liście właśnie zaczynały przybierać jesienną barwę; potem potoki wody spadały niżej, na lśniący zielenią ostrokrzew kolczasty przy frontowej werandzie i odbijały się od czarnych płytek, a wreszcie chlustały wodospadem na schludny rząd zaokrąglonych krzewów otaczający dom od przodu.

Kate z przerażeniem patrzyła na niekończące się strugi deszczu. Rynny niewątpliwie wymagały wyczyszczenia.

Nigdy wcześniej nie wynajmowała domu; czy ten obowiązek należał do niej, czy do właściciela?

Dopisać następną pozycję na liście spraw do załatwienia w późniejszym terminie.

Gdy podjeżdżali pod dom, Kate nacisnęła pilota służącego do otwierania garażu i dźwięk spadającej wody został zagłuszony zgrzytem podnoszących się do góry garażowych drzwi. Ze wszystkich rzeczy, które podobały jej się w tym domu, a było ich wiele, garaż zajmował jedno z pierwszych miejsc na liście. Przez całe lata musiała parkować na ulicy i razem z Benem mordowali się, wnosząc paczki, artykuły żywnościowe, rozmaite zakupy, plecaki, czyli wszystko, co wymagało przetransportowania do domu i nieraz, zanim dostali się do środka, borykali się z trudnościami, jakie stawiała przed nimi humorzasta pogoda. Teraz możliwość wjazdu do garażu - nawet małego, zagraconego, tylko na jeden samochód i bez światła - wydawała się prawdziwym luksusem.

Jeżeli nie zrobię tego, co chce Mario, stracimy ten dom. Stracę pracę i wolność. Może nawet życie. I Bena. Stracę Bena, uprzytomniła sobie i na samą myśl o tym serce w niej zamarło.

Zaparkowała w garażu i nacisnęła włącznik pilota, by ponownie opuścić drzwi. Jednocześnie podążyła wzrokiem w stronę siatki i piłki tkwiącej w plastikowej skrzynce, w pobliżu pojemnika na śmieci. Może mogłaby...

- Mamusiu? - Kiedy ucichł silnik, głos Bena zabrzmiał nieco głośniej. - Kto zająłby się mną, gdyby coś ci się stało?

Drzwi garażu z metalicznym brzękiem zetknęły się z betonową podłogą. W ponurej, zalatującej wilgocią ciemności Kate zamarła na chwilę z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy.

Słyszając pytanie syna, zlodowaciała z przerażenia.

Bo akurat tego dnia było bardzo na czasie.

Oczywiście rozumiała, dlaczego zapytał. W telewizji zobaczył fragmenty wydarzeń w sądzie. Z pewnością mówiono o martwym sędzi, zabitych zastępcach szeryfa i w ogóle o ofiarach. Miała tylko nadzieję, że nie widział zbyt wiele. Będzie musiała z nim o tym porozmawiać; wybadać, co wiedział, co myślał i czego się obawiał, i przekazać mu złagodzoną wersję własnych przeżyć, wyjaśnić, jak znalazła się w samym środku tych potwornych wypadków. A musi to uczynić w ciągu najbliższych godzin, inaczej na pewno ktoś ze szkoły ją wyreczy. Ale jeszcze nie teraz. Po prostu nie miała na to siły.

Nadal była zbyt wstrząśnięta.

- Nic mi się nie przydarzy - powiedziała stanowczo i wysiadła z wozu.

Ben poszedł w jej ślady i weszli do domu. Z garażu wchodziło się do kuchni, umeblowanej szafkami w wesołym, żółtym kolorze i z białymi blatami z laminatu. Urządzenia kuchenne także były białe i jak całe wyposażenie wynajęła je wraz z domem, a choć używane, działały, a Kate więcej od nich nie wymagała. Naprzeciwko szafek stała lodówka, kuchenne drzwi wychodziły na małe, ogrodzone

podwórko na tyłach domu. Środek pomieszczenia zajmowały okrągły klonowy stół i cztery krzesła. Jak większość mebli w tym domu pochodziły z wyprzedaży.

Kate włączyła lampę. W zlewie pozostały talerze po śniadaniu - zbyt się spieszyła tego ranka i nie włożyła ich do zmywarki - na podłodze z twardego drewna leżało kilka płatków Cheerios. Łóżka na piętrze stały niepościelone. Kilka worków z brudami czekało na dole na pranie.

Tak więc nie była supermamą. Chociaż naprawdę się starała.

- Głodny? - zapytała, gdy Ben położył tornister na stole.

- Nie. -I zaraz posłał jej radosny uśmiech. - Wymiotowałem, nie pamiętasz?

- Jak mogłabym zapomnieć - odparła sucho i wymierzyła mu - nie do końca dobrotliwego - kuksańca w plecy. Uskoczył, wykrzywił się do niej, a potem zniknął w saloniku. Zawołała za nim: - Żebyś mi już więcej nie udawał chorego, słyszysz?

- Tak jest.

Pewnie powinna nałożyć mu szlaban lub inaczej go ukarać, żeby wiedział, że nie żartuje. Ale odczuła taką ulgę na widok weselszej już miny Bena, że porzuciła ten pomysł niemal natychmiast. Potem uświadomiła sobie, że martwi ją, iż bardziej doświadczona matka pewnie zastosowałaby surowszą dyscyplinę, wreszcie dała sobie spokój.

Tak jak przelewające się rynny, udawanie przez Bena mdłości było w tym momencie najmniejszym z jej problemów.

Poczuła strach.

Co powinna zrobić?

Ale miała okropną, przerażającą pewność, że już zna odpowiedź.

Pytanie Bena o to, kto zająłby się nim, gdyby coś jej się stało, wyjaśniło wszystko.

Do diabła z etyką i moralnością, uczciwością i lękiem przed odpowiedzialnością karną. Jeśli przez najbliższe kilka godzin nie dozna cudownego oświecenia i nie znajdzie jakiegoś wyjścia, którego jeszcze nie brała pod uwagę, postąpi dokładnie według instrukcji Maria. Ten jedyny raz zatańczy z diabłem i na zawsze będzie go miała z głowy.

Po prostu nie miała wyboru.

Dla Bena.

I nieważne, że już sama myśl o tym sprawiała, iż serce biło jej szalonym rytmem, krew szumiała w uszach, a w głowie czuła całkowitą pustkę.

Gdy Ben poszedł na górę do swojego pokoju, Kate zatelefonowała do biura. Jej asystentka, Mona Morrison, czterdziestojednoletnia, niedawno rozwiedziona matka studentki college'u, podniosła słuchawkę.

- O mój Boże, Kate, gdzie jesteś? Bryan, policja i kilku reporterów, wszyscy dzwonią i cię szukają. Czy u ciebie wszystko w porządku? Co się stało? - Ton Mony wyraźnie zdradzał, jak jest bardzo ciekawa przeżyć Kate.

- Nic mi nie jest. Ben wymiotował w szkole, więc musiałam po niego pojechać. Jestem teraz w domu.

- Co to znaczy, nic ci nie jest? - zapiszczała Mona. -

Niemożliwe. Byłaś zakładniczką. Opowiadają o tym na wszystkich kanałach telewizji. Jak możesz czuć się dobrze?

Potrafi sobie z tym poradzić. I zaraz następna myśl: Musi sobie z tym poradzić.

- Naprawdę czuję się wyśmienicie - odrzekła stanowczo Kate, choć serce w niej zamarło na myśl, że właśnie rozgłaszają po całym mieście jej kłamstwa. - A Ben jest naprawdę chory, zabrałam go do domu. Potrzebuję trochę czasu na odpoczynek, więc na resztę dnia biorę wolne. Powiedz wszystkim, że jutro będę w pracy.

- Ale...

Kate nie dała czasu Monie na dalsze protesty. Odwiesiła słuchawkę i weszła do saloniku. Przez szerokie frontowe okno widziała, że woda wciąż przelewa się z rynien.

Podeszła i zasunęła zasłony z ciężkiego, sztucznego jedwabiu w kolorze soczystego, jasnego brązu (następny zakup poczyniony na internetowej wyprzedaży, z którego była wyjątkowo dumna; w sklepie takie zasłony kosztowały majątek). Na umeblowanie składały się: kanapa obita materiałem w brązową kratkę (zawdzięczała go uprzejmości Goodwilla), złocisty, pluszowy fotel na biegunach (dom towarowy), pasujący do całości dębowy stolik do kawy i na każdą inną okazję (wyprzedaż ogrodowa), pleciony dywanik w odcieniu ziemi (następna wyprzedaż ogrodowa) i telewizor obok kominka.

Ściany, jak wszystko w tym domu, były białe, tylko na prośbę Bena jego pokój Kate pomalowała na ciemnoniebieski kolor. Na ścianach zawiesiła kilka oprawionych, czarno-białych szkiców miasta, które wczesną wiosną wypatrzyła na ulicznym targu. Całość dawała miły efekt i nie za bardzo widać tu było kobiecą rękę, przed czym jako wychowująca chłopca samotna matka starała się bronić. Na parterze znajdowała się jeszcze oddzielna jadalnia, którą Kate przekształciła w niewielki gabinet, by móc pracować w domu, ponadto maleńka, upchnięta pod schodami namiastka łazienki, a także oczywiście hol wejściowy i kuchnia.

Przy zasuniętych zasłonach w pokoju zrobiło się ciemno i Kate zaświeciła jedną z mosiężnych lamp, wreszcie spojrzała na telewizor. Przez chwilę po prostu stała, niezdecydowana, potem potrząsnęła głową: akurat w tym momencie nie obchodziły jej wiadomości.

Poszła na górę i wzięła prysznic.

Pół godziny później, nieco rozgrzana i o wiele suchsza, ale wciąż jeszcze czując mdłości, postanowiła przygotować lunch dla Bena, który z zadowoleniem czytał książkę w swoim pokoju. W połowie schodów stanęła jak wryta. Przez szklane okienko we frontowych drzwiach dostrzegła pojawiający się na podjeździe radiowóz.

A zaraz za nim białą furgonetkę telewizji.

Poczuła gwałtowny ucisk w żołądku.

Rozdział 10

Więzienie Federalne mieściło się niedaleko biura prokuratora. Kate zaczęła do przerwy na lunch następnego dnia, dopóki nie ucichło zamieszanie wokół cudownego ocalenia jej i Bryana, a także jej rzekomego bohaterstwa - zastrzeliła porywacza - i gdy już wszyscy powrócili do ciężkiej pracy, przeszła kilka przecznic do wysokiego, kamiennego budynku w samym sercu ruchliwego, przyjaznego dla turystów centrum miasta.

Nie denerwuj się. Tylko wyobrażasz sobie, że wszyscy na ciebie patrzą.

Albo i nie. Wiadomości o masakrze w sądzie pojawiły się w programach CNN, MSNBC, Fox News, Court TV i na wszystkich lokalnych kanałach, dawano je w ramach rozmaitych show, między innymi w rodzaju Nancy Grace i Hannity & Colmes. Tego ranka „Today”, „Good Morning America” i „The Early Show” trzymały kraj w napięciu. Reportaże z wydarzeń zajmowały pierwsze strony lokalnych dzienników, łącznie z „The Philadelphia Inquirer” i „Tribune”. Przechodząc obok stoisk z gazetami, Kate przeraziła się na widok zrobionych już po wszystkim zdjęć sali sądowej nr 207, zajmujących całą pierwszą stronę „USA Today”. Nie miała wątpliwości, że gdzieś zamieszczono także jej podobiznę. Na szczęście fotografia z trzeciego roku studiów, którą najłatwiej było znaleźć, ukazywała ją uśmiechniętą i z rozpuszczonymi, opadającymi

na ramiona włosami. Dziś były ciasno spięte w kok i Kate z pewnością się nie uśmiechała.

Czuła się tak, jakby już nigdy nie miała się uśmiechnąć.

Sama myśl o Mariu przyprawiała ją o lodowaty dreszcz. Całe lata temu wyrzuciła go wraz z resztą grupy z pamięci - i nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek jeszcze ujrzy któreś z nich. Nie chciała więcej ich widzieć. Ale Mario pojawił się jak przysłowiowy zły szeląg, a jeśli nie pójdzie zobaczyć się z nim - i to dzisiaj, jak ją poinstruował, zanim wspiął się do kanału wentylacyjnego i znikł - może spełnić swoją groźbę i zacząć opowiadać o zbrodni przeszłości.

Na tę myśl Kate zadrżała.

Był piękny, rześki, jesienny dzień, delikatne, postrzępione, białe obłoki szybowały wysoko na ciemnoniebieskim niebie nad nierówną linią drapaczy chmur. Po wczorajszym deszczu pozostały już nieliczne kałuże, trawa, jeszcze wilgotna, lekko się ugiwała. Kate szła szybko w czarnych bucikach na płaskich obcasach - jej jedyne czółenka na wysokich obcasach zostały w sądzie - w ciemnoszarej, prążkowanej marynarce, szczelnie pozapinanej, gdyż wciąż było jej przeraźliwie zimno, zapewne nie tyle z powodu choroby, ile stresu, w czarnych spodniach i białym podkoszulku marki Hanes. W powietrzu wisiała gęsta woń spalin, roztopionego asfaltu z jakiegoś placu budowy gdzieś dalej przy ulicy i hot dogów ze stoiska na rogu. Mimo to oddychała głęboko, próbując uspokoić napięte nerwy.

Na niewiele się to przydało.

Czuła się jak kryminalistka.

Hałas wiertarki, warkot mijających ją samochodów i mieszanina głosów ludzi na chodniku wokół niej tworzyły ogłuszające tło. Ledwie słyszała je wśród szumu pulsującej w uszach krwi.

Wiesz co? Jesteś kryminalistką.

Ta myśl przyprawiła Kate o mdłości. Kątem oka zarejestrowała swoje odbicie w witrynie Ye Olde Candy Shoppe, mieszczącego się w jednym z licznych wzdłuż Juniper kolonialnych domów o fasadach z cegły. Zauważyła, że jest bardzo blada, ma cienie pod oczami i ponuro wykrzywione wargi. Wyglądała jak ktoś, kto właśnie otrzymał mnóstwo naprawdę złych wiadomości.

Skreśliła za rogiem w Arch Street, spojrzała w górę na kamienną, prostokątną bryłę więzienia. Tylko wąskie szczeliny w murze, gdzieniegdzie służące jako okna, informowały z zewnątrz, że trzymano tu niektórych najbardziej niebezpiecznych przestępców w mieście. Budowa więzienia w najbardziej odwiedzanej przez turystów części Miasta Braterskiej Miłości wzbudziła wiele protestów. Odwiedzający nie zdawali sobie wszakże sprawy, że Filadelfia należała do najniebezpieczniejszych metropolii w kraju. Szef policji, przyznając się do bezradności swoich służb, ostatnio zaapelował o stworzenie oddziałów patrolowych, złożonych z cywilów, w ogólnej liczbie dziesięciu tysięcy, które miały pomóc w zdławieniu rosnącej fali morderstw, gwałtów, napadów z bronią, ciężkich uszkodzeń ciała i rozmaitych innych przestępstw.

Życzymy szczęścia.

Gdy przechodziła, amerykańska flaga załopotowała w ostrych powiewach wiatru przelatującego kanionem między budynkami. Kate popatrzyła na gwiazdy i paski oraz falującą obok niebieską flagę ONZ i uświadomiła sobie, że opuszczono je do połowy masztu.

Ścisnęło ją w gardle. Serce zadrżało. To przecież na cześć zabitych: sędziego Morana, czterech zastępców szeryfa i dwóch cywilów, którzy poprzedniego dnia stracili życie. Choć państwowa żałoba nie dotyczyła zastrzelonych więźniów, widok opuszczonych flag nappełnił Kate smutkiem także z ich powodu.

Gdyby sprawy potoczyły się inaczej, i ona także mogłaby już nie żyć. Fakt, że żyła, powinien napawać ją dumą, przypomniawszy sobie ponuro.

Nawet jeśli znalazła się w pułapce niczym sznur.

- Dzisiaj rano widziałam panią w telewizji! - wykrzyknęła czarnoskóra strażniczka przy wejściu, przeprowadzając Kate przez bramę. Kate podała kobiecie legitymację, a potem przeszła przez wykrywacz metalu, patrząc na nieustający potok ludzi przesuających się przez stanowiska ochrony. - Kochana, po tym, co przeszłaś, powinnaś siedzieć w łóżku, z głową pod kołdrą. Co, u licha, pani tu robi?

Kate udało się zmusić do uśmiechu i lekceważącego ruchu ramion.

- Trzeba jeść.

Kobieta zrobiła współczującą minę i zwróciła Kate legitymację.

- Ano właśnie. W porządku, może pani iść.

Gdy już siedziała na tandetnym plastikowym krześle w jednym z pokrytych graffiti boksów, przeznaczonych na spotkania adwokatów z więźniami, znów poczuła się zagrożona. Niemal wszyscy ludzie, z którymi się zetknęła, pytali ją o wydarzenia z poprzedniego dnia lub sami je komentowali. Inni, nie mając okazji pomówić z nią wprost, rzucali jej zaciekawione spojrzenia. Na szczęście dla jej samopoczucia w więzieniu panowało wielkie zamieszanie, co oznaczało, że nikt nie miał czasu na dłuższe rozmowy. Wydział karny został zamknięty z powodu śledztwa dotyczącego strzelaniny i próby ucieczki. W samym więzieniu panował wysoki stan gotowości. Wszystkie wyznaczone na najbliższy czas rozprawy zostały przeniesione lub zawieszono, co oznaczało straszliwy nieład, tłumy adwokatów odwiedzających klientów i mnóstwo dodatkowej pracy.

Dla Kate ten chaos stał się błogosławieństwem. Miał dla niej podwójną wartość, gdyż sprawiał, że wszyscy byli za bardzo zajęci, by zbyt dociekliwie myśleć, a także zapowiadało się niezłe zamieszanie co do terminów, akt, zleceń i procesów.

A dzięki temu żądanie Maria stawało się bardziej wykonalne.

Jeśli nie zrobi, czego chciał...

Znowu ścisk w gardle. Oblizwała wargi. Podświadomie zacisnęła dłoń w pięści. Konsekwencje byłyby nie do zniesienia.

Wykorzystująca dla siebie wszelkie okoliczności Kat nie miałaby kłopotu z tym, co trzeba było zrobić. W przeciwieństwie do uczciwej Kate.

W komputerze bez trudu znalazła akta Maria. Do sprawy przydzielono asystenta prokuratora z działu kryminalnego, ale najwyraźniej niewiele zostało zrobione. Kate kilkakrotnie przeczytała wszystkie materiały. Na liście widniały głównie drobne przestępstwa, kilka spraw o posiadanie narkotyków, błaha kradzież, czeki bez pokrycia. Dwa wyroki dotyczyły poważnych przestępstw, jeden był za napad i uszkodzenie ciała, drugi za handel narkotykami. Mario odsiedział sześć miesięcy za napad i dziewięć za dealerkę, resztę zawieszono mu za dobre sprawowanie. Wypuszczono go warunkowo przed ośmioma miesiącami i znów aresztowano trzy i pół tygodnia temu. Tym razem ktoś postanowił potraktować go surowo. Zarzut o posiadanie broni palnej liczył się jako następne ciężkie przestępstwo, co oznaczało, że podpadał pod kategorię: „do trzech razy sztuka i jesteś ugotowany”. Jak powiedział Mario, czekały go lata w więzieniu.

Osobiście Kate uważała, że niewielu zasługiwało na to bardziej.

Tyle że ona właśnie przygotowywała grunt do wypuszczenia go na wolność.

Na tę myśl ścisnęło ją w żołądku. Poza przestępstwami, za które poszedł do więzienia, był także winny udziału we wczorajszej próbie ucieczki, podczas której zginęło tyle osób. Gdyby ktoś o tym wiedział, oskarżono by go o morderstwo pierwszego stopnia. Ale nie wiedział nikt - poza Kate. A ona nie miała możliwości zrobienia z tym czegokolwiek.

Gdyby dowiedzieli się o Davidzie Bradym, przede wszystkim zostałaby zwolniona. Potem aresztowaliby ją i odebraliby jej Bena...

Ucisk w piersiach sprawił, że na moment zabrakło jej tchu.

Może powinna po prostu wyznać wszystko? Wyrzucić z siebie i zmierzyć się z konsekwencjami?

Ta myśl przyszła jej do głowy podświadomie. Kate od razu ją odrzuciła.

To nie wchodzi w grę. Co stałoby się z Benem?

Właśnie ponownie zaczynała ją ogarniać panika, gdy drzwi boksu się otworzyły. Spojrzała przez kuloodporne szkło przegrody w połowie przyśrubowanego do podłogi stołu, do którego akurat, potykając się, podchodził Mario.

- Zesztywniała - każdy mięsień jej ciała napiął się do niemożliwości. Przerazenie niczym kamień zaciążyło w żołądku. Zaciśnęła zęby, walcząc z przemożną chęcią natychmiastowej ucieczki, i przywarła dłońmi do gładkiej metalowej powierzchni.

Pozostała na miejscu.

Mario dostrzegł ją przez szybę i badawczo jej się przyjrzał. Wyraźnie zadowolony, wykrzywił wargi, potem obejrzał się przez ramię, by powiedzieć coś do kogoś - jak sądziła, do eskortującego go zastępcy szeryfa.

Ten sam arogancki szmaciarz.

Głęboko zaczerpnęła powietrza, aby się uspokoić. Spróbowała rozluźnić mięśnie i odwróciła wzrok. Otworzyła leżącą na stole obok jej lewej dłoni aktówkę, wyjęła długopis i kartkę żółtego, firmowego papieru i zamknęła teczkę z powrotem. By się czymkolwiek zająć, napisała u góry kartki swoje nazwisko. Najgorzej byłoby zdradzić się

przed Mariem, jak bardzo była zestresowana, jak ją przerażał. Nigdy nie okazuj im strachu.

Najwyraźniej poprzedniego dnia udało mu się dołączyć do pozostałych lokatorów więzienia w taki sposób, by nikt nie zauważył, że odegrał jakąś rolę w nieudanej ucieczce. Inaczej nie byłoby go tutaj. Ponownie miał na sobie pomarańczowy kombinezon, który nosili wszyscy więźniowie, a łysa czaszka lśniła w jaskrawym, fluoryzującym świetle. Jako młody chłopak miał gęste mocno skręcone włosy, a ich brak plus starannie przystrzyżony wąsik i bródka, a także nadmiernie rozwinięte mięśnie z trudem pozwalały jej sobie uzmysłwić, że ten przerośnięty zbir był chłopakiem, którego kiedyś znała. W tym małym, zamkniętym pomieszczeniu sprawiał wrażenie jeszcze bardziej brutalnego, barczystego i groźnego. Po raz pierwszy zauważyła wytatuowanego wokół jego nadgarstka czarnego smoka, a może węża. Symbol jakiegoś gangu? Jeżeli tak, to nie widziała go wcześniej. Była zaskoczona, że poprzedniego dnia nie dostrzegła tatuażu, ale wtedy całą uwagę skoncentrowała na czym innym.

Jak na przykład na utrzymaniu się przy życiu.

Uniosła wzrok, gdy Mario zbliżał się do stołu. Ich spojrzenia się zetknęły i Kate wydało się, że w jego oczach dostrzega błysk triumfu.

I na tym skończyło się jej postanowienie, by rozegrać sprawę na chłodno.

Zrobi, co będzie chciał, i on o tym wie.

Eskortujący więźnia zastępcą szeryfa spojrział na Kate, skinął głową, powiedział do Maria coś, czego z powodu szklanej przegrody nie mogła usłyszeć, a potem się oddalił, pozostawiając ich samych. Znała zasady: gdy będzie chciała odejść lub wezwać pomoc, wystarczy nacisnąć guzik na ścianie, obok jej łokcia. Dla bezpieczeństwa zastępcy szeryfa przez cały czas stali na straży w korytarzu, tuż za drzwiami.

W boksach nie było kamer ani żadnych innych urządzeń nadzoru. Zgodnie z przepisami adwokaci i więźniowie mieli prawo do absolutnej prywatności.

Nie mogę tego zrobić, pomyślała w przypiływie paniki, gdy Mario usiadł na krześle. Wsparł łokcie po swojej stronie stołu, skrzyżował ręce i pochyliwszy się do przodu, z pewną siebie miną patrzył na nią przez szybę.

Po prostu nie da rady tego zrobić.

Co nie znaczy, że wyciągnięcie go z więzienia stanowiłoby jakiś problem. Asystent prokuratora wyznaczony do tej sprawy nawet by nie zauważył jej braku. W przeciętny dzień pracy każdy z nich musiał rozpatrzyć około czterdziestu przypadków, a z większością zaznajamiał się w ostatnim momencie. Prokuratura miała na głowie około siedemdziesięciu tysięcy spraw rocznie; obowiązujący system wręcz zalewał ich pracą. Choćby poprzedniego roku na wstępnych rozprawach oddalono zarzuty w sześćdziesięciu procentach przestępstw tylko dlatego, że ktoś - prokurator, świadek, policjant - nie stawiał się albo przyszedł nieprzygotowany. Ten system sądowy

działał niczym obrotowe drzwi, każdego dnia wypuszczał zbrodniarzy na wolność. Wszyscy o tym wiedzieli: sędziowie, prawnicy, policjanci, przestępcy. Tylko społeczeństwo pozostawało w błogiej nieświadomości.

Mario to jeszcze jeden przestępca w ich oceanie. Tuziny takich jak on wracają na ulice każdego dnia. Wypuszczając go, nie uczyniłaby niczego, co nie zdarzyło się już milion razy wcześniej.

Musiała jedynie wziąć jego sprawę; a potem po prostu nic nie zrobić. Przyjść do sądu nieprzygotowana, bez świadków oskarżenia. Byłoby to jak celny rzut do kosza: zarzuty oddalono. Jeszcze jeden oprych na ulicach.

Nikt by się nie dowiedział. Mogłaby kontynuować dotychczasowe życie.

Tylko że ona będzie wiedziała.

Uśmiechając się do niej, Mario uniósł słuchawkę pozwalającą im się komunikować. Po ledwie zauważalnej zwłóce Kate zrobiła to samo i mocno przycisnęła plastikową słuchawkę do ucha. Serce zabiło jej szybciej, dłonie zwilgotniały. Ale gdy ich oczy spotkały się przez szybę, wytrzymała jego wzrok i za wszelką cenę starała się zachować kamienną twarz.

- Dobrze wyglądasz, Kici-kotku - rzucił do mikrofonu.

- Prawdziwa klasa wyższa. I tak seksownie.

Pieprz się, Mario.

- Jeżeli zajmę się tym... - Głos miała chłodny, szorstki. Nie mogła po prostu dać mu się złamać, upaść tak nisko. Przecież należała

teraz do tych dobrych; zbyt ciężko pracowała, by zawrócić, cofnąć się. Musi być jakiś sposób na uratowanie jej i Bena bez ulegania szantażowi. Ale jaki? Nie wiedziała. Jeszcze nie. Trzeba opanować panikę, trochę pomyśleć. Dlatego zdecydowała: będzie zwlekać, przeciągać sprawę, i jeszcze raz zwlekać.

- Ależ tak, zajmiesz się - powiedział. I uśmiechnął się szerzej.

Kate wbiła w niego stalowe spojrzenie. Udawaj, że jesteś górą, choć może tak nie jest. Nie pozwól mu myśleć, że ma nad tobą przewagę, nawet jeśli - a raczej: chociaż z pewnością - ją ma.

- Jeżeli się tym zajmę - powtórzyła lodowato - chcę od ciebie coś w zamian: może nazwisko twojego dostawcy. Lub szczegóły jakiegoś przestępstwa, informacje o sprawcy.

Zmrużył oczy, a uśmiech znikł z jego ust.

- Co takiego? Do diabła, nie.

- Nie noszę w kieszeni zwolnień z więzienia, chyba wiesz. Jeżeli chcesz, żebym cię stąd wyciągnęła, musisz ze mną współpracować. Daj mi coś do wykorzystania jako materiał dowodowy. Coś, co można zaprezentować sędziemu.

- Możesz o tym zapomnieć. Nie jestem kapusiem.

- A ja nie cudotwórcą. Zmrużył oczy.

- Wczoraj, suko, uratowałem ci życie. Rodriguez z pewnością by cię wykończył. Nie zapominaj o tym.

- Jeszcze raz nazwiesz mnie suką, a gwarantuję, że zapomnę, że kiedykolwiek się znaliśmy.

- Będę do ciebie mówił, jak chcę. - Zrobił nieprzyjemną minę. -
Trzymam cię w garści, dziecinko. Lepiej mnie stąd zabieraj.

- Nic nie masz w garści. - Przez szybę posłała mu równie groźne spojrzenie. - Zaczynij paplać, a sam siebie wykończysz. Byłeś uzbrojony tamtej nocy. Myślisz, że dwadzieścia lat przedawnia sprawę? Szykuj się na karę śmierci.

- Wierz mi, jeśli ja mam się na to szykować, zrobię to razem z tobą. Zresztą to nie ja nacisnąłem spust. Prowokuj mnie dalej, a przysięgnę na moją kochaną zmarłą matkę, że to byłaś ty.

Impas.

- Bądź realistą. Ja jestem prokuratorem, a ty przestępcą. Jeżeli zaprzeczę wszystkiemu, jak myślisz, komu uwierzą?

Uśmiechnął się ze spokojem. Wokół jego złych, małych jak u pitbulla oczek ukazały się zmarszczki. Nad bródką błysnęły białe zęby.

Serce w Kate zamarło. Na szczęście nie mógł się tego domyślić.

- Nazwiska i miejsca, Kici-kotku. Znam nazwiska i miejsca.

I tak było, oboje o tym wiedzieli. A ponadto Kate miała świadomość, że zanim pozwoliłaby, aby doszło do jego zeznań, złamałaby się niczym zeschnięty krakers z samego dna paczki.

Pora, by trochę spuścić z tonu.

- Słuchaj, Mario, chcę ci pomóc, przez pamięć dawnych czasowi w ogóle, ale pracuję tu dopiero kilka miesięcy. Nie mogę im po prostu powiedzieć, żeby cię puścili, i sprawa z głowy. W dalszym ciągu szef ma obowiązek podpisywać wszystko, co robię, a jeśli pójde do niego i

powiem mu, że chcę dobić targu i wypuścić cię, muszę dostarczyć jakiś powód. Daj mi więc coś, co mogłabym wykorzystać.

Zacisnęła wargi. Po raz pierwszy miał niepewną minę.

- Nie zamierzam ci nic dawać.

Wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: „twoja kolej”, a potem nacisnęła okrągły, szary guzik, służący do wezwania strażnika. Mario patrzył na nią zdumiony.

- Co, u diabła, kombinujesz?

- Wychodzę. Muszę wracać do pracy.

- A co z wyciągnięciem mnie stąd?

- Jak powiedziałam, do tego potrzebuję twojej pomocy.

- Kat... - W jego głosie mieszały się strach i gniew.

- A przy okazji, żebyś wiedział, zwracanie się do mnie inaczej niż „pani White” jest błędem. Zdradzisz się, że znasz mnie z jakiegokolwiek innej strony poza prawniczą, to masz rzecz z głowy, bo jeśli wyjdzie na jaw cokolwiek na temat naszej wcześniejszej znajomości, odbiorą mi tę sprawę. A chyba nie o to ci chodzi.

Otworzyły się drzwi. Do pomieszczenia wszedł zastępca szeryfa; Kate uśmiechnęła się do Maria przez szybę.

- Będziemy w kontakcie - powiedziała i odwiesiła słuchawkę.

Poruszył ustami i była całkiem pewna, że rzucał przekleństwa. Jego oczy ciskały w nią gromy przez szybę. Ale zastępca szeryfa był już obok, położył Mariowi dłoń na ramieniu i patrząc na Kate, kazał mu się rozłączyć.

Gdy wstał i wyprowadzono go, już na niego nie patrzyła, rozmyślnie zajęta chowaniem papieru i długopisu do aktówki.

Kiedy została sama, wstała powoli. Nie zdziwiło ją, że nogi ma jak z waty. Serce jej łomotało, ścisnęło ją w żołądku.

Czuła się niczym nabity na haczyk robak, rozpaczliwie starający się uniknąć spotkania z głodnym pstrągiem.

Przynajmniej udało jej się trochę zyskać na czasie. Co jej to da, nie miała pojęcia. Ale zawsze to coś.

Gdy znalazła się z powrotem w imponującym budynku przy rogu Juniper i Penn, w siedzibie prokuratury, już niemal całkiem się uspokoiła. Nerwy wciąż miała rozedrgane, ale oddychała normalnie, a nogi znów zdawały się zdolne utrzymać jej ciężar. Zrobiło się trochę po drugiej, za późno na powrót z przerwy na lunch, więc w tłumie czekającym na windę nie spotkała nikogo znajomego. Wokół niej tłoczyła się grupka różnych typów - obdarty, starszy mężczyzna, wyglądający (i roztaczający woń), jakby spędził poranek z butelką, wciśnięta w dzinsy studentka z college'u, dwóch pięćdziesięciolatków w garniturach, dobrze ubrana starsza para omawiająca coś szeptem. Naciskając guzik na dziewiąte piętro, Kate wpatrywała się w lśniący, mosiężny panel przed sobą i starała się rozluźnić mięśnie twarzy.

Jej mina odpowiadała jednemu tylko określeniu: ponura.

Wydział ciężkich przestępstw zajmował całe dziewiąte piętro i, jak zauważyła, gdy drzwi windy się rozsunęły, panowało tu spore ożywienie. John Frost z działu kontaktów ze społeczeństwem oprowadzał grupę nastolatków wyglądających na licealistów.

Wydającą głośne jęki starą kobietę - zapewne ofiarę albo świadka - w czerwonych poliestrowych spodniach i brązowym poncho prowadziła do pobliskiej toalety o wiele młodsza od niej kobieta, w której Kate rozpoznała asystentkę prokuratora, choć nie od razu przypomniała sobie jej nazwisko. Asystentka do spraw administracyjnych, Nancy jakaś tam, zgrabna blondynka w niebieskim podkoszulku z długimi rękawami i falującej spódnicy, z filiżanką parującej kawy w ręce wyszła z pomieszczenia tuż obok toalet, przeznaczonego na odpoczynek w czasie przerwy i pospieszyła korytarzem, rozlewając po drodze napój na talerzyk. Aromat kawy uniósł się w powietrzu. Kate wyszła z windy i pomachała ręką do Cindy Hertnett, dwudziestopięcioletniej recepcjonistki, której półkoliste biurko stało zwrócone przodem do wind. Brunetka o zmysłowych kształtach odpowiedziała jej tak samo, równocześnie sięgając po słuchawkę dzwoniącego telefonu. Ron Ott, tak jak Kate asystent prokuratora w wydziale ciężkich przestępstw, nachylał się nad biurkiem Cindy, prawdopodobnie starając się namówić ją na randkę, co robili niemal wszyscy nieżonaci mężczyźni pracujący w tym budynku. Gdy Cindy pomachała ręką, obejrzał się, ujrzał Kate i także ją pozdrowił. Obszerne pomieszczenie za recepcją zajmowali studenci-praktykanci, pomagający przy sprawach. Niektórzy stali i rozmawiali, wymieniając uwagi nad siedzącymi kolegami, których Kate nie mogła widzieć, inni chodzili tam i z powrotem z aktami lub komórkami w rękach. Ścianki oddzielające biurka miały niespełna dwa metry wysokości, tak więc światło dnia wpadało przez rząd wychodzących na ulicę okien i

promienie słoneczne rozjaśniały salę oraz miejsce zajmowane przez recepcję, przez którą właśnie przechodziła Kate; widać było unoszące się w powietrzu drobiny kurzu. Na lewo i na prawo od biurka Cindy ciągnął się długi, jasnozielony korytarz, z licznymi, ciemnymi drewnianymi drzwiami prowadzącymi do gabinetów. Kate skierowała się na prawo, w kierunku swojego pokoju. Idąc, machnęła na powitanie kilku kolegom, których drzwi stały otworem. Jak zauważyła, pokój Bryana był zamknięty. Wieczorem poprzedniego dnia rozmawiała z nim przez telefon, gdy zadzwonił, aby sprawdzić, jak ona się czuje, ale nie widziała się z nim jeszcze. Co jej całkiem odpowiadało. Im mniej spotka osób palących się do omawiania wczorajszych wydarzeń, tym lepiej.

Muszę się przygotować do tego wszystkiego.

- O mój Boże! - Mona poderwała się na nogi, gdy Kate pospiesznie mijała sekretariat, mieszczący się na prawo od jej gabinetu. - Gdzie się podziewałaś?

Kate miała nadzieję, że uda jej się zamknąć w swojej kryjówce, unikając jastrzębiego wzroku Mony. Gdy tak się nie stało, a Mona biegła ku niej niczym pocisk do celu, Kate przystanęła i odwróciła się twarzą do sekretarki. Zmusiła się do uśmiechu.

- Co się dzieje? - zapytała, zdając sobie sprawę, że nie odpowiedziała na pytanie tamtej. Nerwowy skurcz żołądka sprawił, że odezwała się ostrzejszym tonem, niż sugerowałby jej uśmiech, ale nic nie mogła na to poradzić. Wyraźnie coś się działo, jeśli Mona tak zerwała się na jej widok.

Sekretarka chyba nie zauważyła nic nadzwyczajnego. Krótkie, jaskraworude włosy okalające twarz zdominowaną przez ogromne, piwne oczy, szerokie, umalowane szkarłatną szminką usta, a także szczupła sylwetka i ubranie - golf w kolorze ciemnej pomarańczy, złocista układana spódniczka, brązowe, nieprzezroczyste rajstopy i buty na wysokich obcasach, wszystko to razem sprawiało, że Mona swoim wyglądem przypominała migoczący płomień.

- Nie uwierzysz. - Przystanęła, obejmując podbródek dłońmi o długich, szkarłatnych paznokciach. Na palcach połyskiwało kilka pierścionków. - Dzwonili z „The View”.

- Co takiego?

Mona przytaknęła z ożywieniem.

- Będiesz gościem w ich show. Nazwali cię heroiną sali sądowej nr 207! Zapewnią ci przelot na miejsce i całą resztę.

Przez chwilę Kate nie mogła wydobyć z siebie głosu. Stała jak wryta, sparaliżowana narastającym uczuciem lęku. Natomiast Mona aż promieniowała podekscytowaniem. Przerazone niebieskie oczy na moment zetknęły się z entuzjastycznie błyszczącymi piwnymi. Potem Kate odwróciła wzrok, potrząsnęła głową.

- Wykluczone.

Próbując nie zwracać uwagi na puls, zachowujący się jak wyścigowy samochód, gdy kierowca naciska na gaz i auto w kilka sekund od zera przyspiesza do dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, odwróciła się i ruszyła w stronę swojego gabinetu.

- Dlaczego, o co ci chodzi? - zawołała Mona, która z pewnością nie należała do nieśmiałych, zamkniętych w sobie osób. Zazwyczaj głośno i apodyktycznie wyrażała swoje zdanie, i nic nie mogło zmienić jej opinii na temat Kate, którą, jak utrzymywała, należało się zaopiekować. - Czy zdajesz sobie sprawę, jaka to dla ciebie szansa? Zostaniesz sławna!

- Nie chcę być sławna. - Kate już niemal przywykła do szaleńczego bicia serca. Co nie znaczyło, że je polubiła.

- Ale przecież... - wyjąkała Mona. - Pomyśl, jakie miałyby to znaczenie dla twojej kariery. Zostałabyś zauważona. Mogłabyś to wykorzystać, dostać własny program w telewizji, jak Greta Van Susteren czy inni.

- Nie chcę żadnych programów.

Sama myśl o pojawieniu się w programie ogólnokrajowej telewizji przyprawiła ją o ciarki. Ta cała historia „heroina sali sądowej 207” była okropnym kłamstwem, od którego pragnęła możliwie jak najprędzej się odciąć. Wciąż mówiono o tym w wiadomościach. Pomysł, by włączyła się do tej szopki i wystąpiła na żywo w ogólnokrajowej telewizji, raz jeszcze opowiadając o wczorajszych wydarzeniach, przeraził Kate. Nie mówiąc już o tym, że taki występ dałby Mariowi do ręki następne argumenty i mógłby przyciągnąć inne szczury z jej przeszłości.

- Ale, Kate. - Mona podążała tuż za Kate, która z determinacją odwróciła się plecami i szybko szła do gabinetu. Wbiła wzrok w portret gubernatora w pozłacanych ramach, wiszący na końcu

korytarza, ale nawet nie patrząc za siebie, wiedziała, że Mona załamuje ręce.

- Żadnych „ale” - oświadczyła, stając pod drzwiami.

Przekręcając gałkę, obejrzała się na Monę. - Nie chcę występować w „The View” ani w żadnym innym telewizyjnym show, wielkie dzięki.

- Nie możesz po prostu... - zaprotestowała Mona. Dalszych jej słów Kate już nie dosłyszała, gdyż weszła do środka i zobaczyła stojącego przed swoim biurkiem mężczyznę, który najwyraźniej już się u niej rozgościł, a na dźwięk jej kroków odwrócił się do niej twarzą.

Czarnowłosego policjanta, który wydawał jej się jedynym ratunkiem w sali 207.

Rozdział 11

Co pan tu robi?

Była tak zszokowana, że odezwała się o wiele ostrzejszym tonem, niż gdyby miała kilka sekund na zebranie myśli. Widok policjanta - nawet tego, a zwłaszcza tego, z którym, jak odkryła, łączyło ją coś niezwykłego, zupełnie jakby wydarzenia w sali sądowej w pewien tajemniczy sposób związały ich ze sobą - czekającego w jej gabinecie akurat w tym momencie, gdy wróciła z wizyty i rozmowy w tamtym miejscu, zdenerwował ją tak bardzo, jakby nagle ujrzała za biurkiem szkielet. A nawet jeszcze bardziej. Biegająca za nią Mona niemal nie wpadła jej na plecy. Wdychając nieodmiennie towarzyszący sekretarce słaby, ale trudny do pomylenia z czymkolwiek innym zapach dymu, wyczuła, że tamta zagląda jej przez ramię.

- Aha, miałam ci właśnie powiedzieć - dodała Mona przepraszająco - że w gabinecie czeka na ciebie dwóch policjantów.

- Dziękuję za ostrzeżenie - odrzekła sucho Kate. Dwóch policjantów...

Zauważyła tego drugiego, gdy wyłonił się zza pleców siedzącego przy biurku. Elegancko ubrany w ciemnogramatowy garnitur w prążki, z jasnoniebieską koszulą i żółtym krawatem, miał około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, był krzepki, o krótko obstrzyżonych, piaskowego koloru włosach, rumianej cerze i dobroduszej, grubokościstej twarzy. Oczy, o krótkich rzęsach,

przypominające kolorem garnitur, z aprobatą przesunęły się po jej postaci. Ten drugi - policjant z sali sądowej - uśmiechnął się do niej. Był rzeczywiście przystojny, jak zapamiętała: wysoki, śniady i szczupły, o surowej, pociągłej twarzy i brązowych jak kawa oczach. Wyciągnął do niej rękę.

- Pomyślałem, że wpadnę i sprawdzę, jak się pani czuje - powiedział, gdy ujęła ją i uścisnęła - w ten energiczny, profesjonalny, typowy dla prawników sposób.

Miejsce wdzięczności za jego wysiłki, aby ocalić jej życie, zajęła teraz czujność: Czego on chciał? Jak oparzona puściła jego dużą, ciepłą i mocną dłoń, gdyż w wyobraźni ujrzała, jak złapał ją w ramiona, gdy ugięły się pod nią nogi, i wyniósł z sali sądowej, wzywając na pomoc sanitariusza. W luźnej marynarce koloru jasnego brązu, miękkiej, białej koszuli, czerwonym krawacie i granatowych, nijakich spodniach nie wydawał się nadmiernie muskularny, choć był barczysty. Jednak zapamiętała, że jest silny. Kate, wprawdzie szczupła, ważyła trochę więcej niż piórko, a podniósł ją bez trudu.

- A tak przy okazji, jestem Tom Braga, detektyw z wydziału zabójstw. - Jego oczy zatrzymały się na małym plastrze na jej policzku, a potem pospiesznie przesunęły się po całej postaci. - Cieszę się, że tak szybko doszła pani do siebie.

Zakrztusiła się.

Serce jej przyspieszyło, bynajmniej nie dlatego, że był przystojny. Pewnie ze względu na zawód, który wykonywał - detektyw do spraw zabójstw - a Kate czuła się jak kryminalistką. I

zdawało się jej, że on o tym wiedział. Jakby w jakiś sposób domyślił się, że skłamała, opowiadając, co się rzekomo wydarzyło w monitorowanym korytarzu poprzedniego dnia.

Ale to niemożliwe. W żaden sposób nie mógł nic wiedzieć.

A może jednak?

Weź się w garść, Kate. Według niego jesteś ofiarą, pamiętasz? Zmusiła się do uśmiechu i wciągnęła powietrze - nosem, by tego nie zauważył - w nadziei, że głęboki oddech podziała uspokajająco.

Nie podziałał.

- A to detektyw Howard Fischback, także z wydziału zabójstw - dodał Tom Braga, wskazując na drugiego mężczyznę. Ten wystąpił do przodu z wyciągniętą dłonią. Jego ręka była bardziej mięsista, o krótszych, grubszych palcach. Gdy uśmiechnął się do Kate, odsłaniając białe zęby, po obu stronach ust pojawiły się głębokie dołeczki. Garnitur miał bez zarzutu, koszula i krawat wyglądały na nowe. Może nie był tak klasycznie przystojny jak jego partner, ale wyraźnie o siebie dbał.

- Kate White. - Wymienili uścisk dłoni.

- Miło mi panią poznać. - Uśmiech miał szeroki i przyjazny.

Oczy ciepło wpatrywały się w jej twarz.

No tak, wyraźnie starał się ją oczarować. Akurat tego jej trzeba. Rzuciła okiem na zegarek - druga pięćdziesiąt pięć - rozpaczliwie szukając pretekstu, by się pozbyć nieproszonych gości. Może powinna być w sądzie? Nie, sądy dziś nie działały. Pilne spotkanie? Mona wiedziałyby, że to kłamstwo.

- A ja jestem jej sekretarką, Mona Morrison. - Najwyraźniej sądząc, że Kate całkiem o niej zapomniała, co było prawdą, Mona wysunęła się z wyciągniętą ręką. Obaj mężczyźni pospiesznie uścisnęli jej dłoń, a Fischback posłał nawet kobiecie pełen dołeczków uśmiech, ale wyraźnie to Braga wywarł na niej wrażenie. Oczywiście. Mona nie ukrywała swej nieustającej gotowości w sprawach damsko-męskich, a Braga z pewnością był seksownym facetem.

- Od lat widuję pana w tym budynku, więc miło mi w końcu pana poznać - wypaliła Mona, świdrując go oczami niczym laserem.

- Pani pracuje tu od lat? - Gęste, czarne brwi lekko uniosły się w zdziwieniu.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Och, jestem z Kate dopiero od czerwca, odkąd do nas przyszła. Przedtem pracowałam w dziale informacji.

- Ach tak - rzucił.

- Dziękuję, Mona - powiedziała Kate. Zdenerwowana do niemożliwości, nie miała ochoty znosić jej flirtowania. Rozpaczliwie pragnęła zostać sama, aby mieć choć trochę czasu na uporządkowanie myśli i opanowanie emocji.

Akurat jej się to uda.

Sekretarka rzuciła jej pełne wyrzutu spojrzenie, ale zrozumiała.

- Gdybyś czegoś potrzebowała, będę w sekretariacie. Skinęła głową. Fischback odprowadził spojrzeniem wychodzącą z pokoju Monę. Natomiast Braga obserwował z uwagą Kate, co zauważyła, gdy ich oczy się spotkały. Uśmiechnął się do niej. Gabinet nagle wydał jej

się o wiele za mały. Dzielił ją od tego mężczyzny najwyżej metr, byli tak blisko siebie, że dostrzegła przetarte miejsca na krawędziach klap jego marynarki i już widoczny po rannym goleniu zarost.

- Zważywszy na wydarzenia wczorajszego dnia, jestem zaskoczony, zastając panią w pracy - odezwał się Braga.

- Pan także dzisiaj pracuje - odrzekła.

- Na ten rok wykorzystałem już urlop zdrowotny. Nuta rozbawienia w jego głosie uświadomiła Kate, że żartował. Gdy to mówił, przeszła obok obu mężczyzn i postawiła aktówkę na biurku, by stworzyć między sobą a nimi większy, tak bardzo potrzebny jej dystans. Zyskała dla siebie chwilę czasu, gdy odwrócona do nich plecami starała się rozluźnić. Miała tak napięte mięśnie twarzy, że gdy zmusiła się do uśmiechu, poczuła się, jakby wyciągała go na siłę z zastygającego cementu.

Musi zachować spokój. Nie mają żadnego tropu.

Gdy znów odwróciła się twarzą do nich, rozglądali się po gabinecie. Jak wszyscy asystenci prokuratora okręgowego w jej wydziale miała niewielki pokój o ścianach pomalowanych na jasnozielony kolor (oficjalnie nazywano go seledynowym, ale jak zauważył Ben, bardziej przypominał barwę zgniecionej gąsienicy). Centralne miejsce zajmowało biurko w kształcie litery L - konstrukcja z czarnego metalu z drewnopodobnym blatem i czarną, metalową półką na książki w tym samym stylu. Dwie upchnięte przy ścianie za biurkiem szafki na dokumenty i duże, obite czarną skórą krzesło przy biurku, na którym zazwyczaj siedziała, oraz ustawione po drugiej

stronie dwa, także metalowe, z czarną skórzaną tapicerką krzesła dla odwiedzających dopełniały umeblowania. Na ścianie za biurkiem powiesiła swoje oprawione dyplomy. Na biurku postawiła fotografię Bena zrobioną na zakończenie roku szkolnego. W kącie znajdował się pusty wieszak na płaszcze. Obok podwójnego okna stał samotnie wiotki, sztuczny fikus - Kate od dawna zrezygnowała z prawdziwych roślin, bo zawsze zapominała o podlewaniu. Wąskie, szare rolety niemal zawsze pozostawały uniesione, dzięki czemu Kate miała ekscytujący widok z okna na gładką, frontową ścianę budynku po drugiej stronie ulicy. Od czasu do czasu urozmaicała sobie dzień obserwowaniem gołębi siedzących na jej parapecie lub, dla większego urozmaicenia, tych na parapetach po drugiej stronie ulicy.

Z okna miała widok na skrawek nieba nad kanionem wysokich budynków - w jednym z nich mieściło się jej biuro.

- Widziałam, jak pan wczoraj szedł za noszami, na których wieźli zastępcę szeryfa. Czuje się lepiej, mam nadzieję? - Najlepszą obroną zawsze była skuteczna ofensywa, a przejęcie prowadzenia w rozmowie zaliczało się do klasycznej strategii przy odwracaniu uwagi przeciwnika. Kate starała się mówić serdecznym, pełnym zainteresowania tonem. Nie była pewna, czy jej się udało. Słyszała, że głos ma spięty, nienaturalny.

Braga wzruszył ramionami, po twarzy przesunął mu się cień.

- Żyje i według lekarzy nic już mu nie grozi. Choć wciąż przebywa na oddziale intensywnej opieki. - W jego oczach pojawił się błysk. - To mój brat.

Mimo nadal odczuwanego napięcia zarejestrowała tę informację. Oczywiście zależy mu na bracie. Współczująco pokiwała głową.

- Zdawało mi się, że widzę jakieś podobieństwo. Takie same czarne włosy.

Skinał głowę, a słaby uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Co sprowadza mnie do tego drugiego powodu, dla którego przyszliśmy. Czy zechce pani odpowiedzieć na kilka pytań?

Zaskoczona Kate poczuła nagły chłód. Serce jej zadrżało. Żołądek się skurczył. Mając bezsensowną nadzieję, że jeszcze nie jest za późno, próbowała za wszelką cenę ukryć swoją instynktowną niechęć.

- Wczoraj złożyłam zeznania. Dwóch policjantów przyszło do mnie do domu.

Boże, była tak zdenerwowana - czy w ogóle pamięta, co powiedziała? Wóz telewizyjny zapoczątkował natarcie przedstawicieli mediów. Pukali do drzwi i nieustannie naciskali dzwonek, dopiero jeden z policjantów kazał im się wynosić. Kiedy skończyła składać zeznanie i odprowadziła policjantów do wyjścia, na trawniku przed domem ujrzała mnóstwo reporterów i kamer, parasoli i pojazdów telewizji satelitarnej; gdy stanęła na ganku, przez ścianę deszczu flesze błyskały w jej stronę jak błyskawice.

- Kate, czy to prawda, że zastrzeliłaś porywacza z jego własnej broni? Kate, czy myślałaś, że umrzesz? Pani White, jak się pani czuje? Pani White, co Rodriguez pani powiedział? Kate, spójrz w tę stronę!

Z przerażeniem patrzyła na tłum; wreszcie, gdy jakiś reporter podsunął jej mikrofon, oświadczyła: „Nie mam nic do powiedzenia”. Potem cofnęła się do domu, zatrzasnęła im drzwi przed nosem i starannie przekręciła w zamku klucz. Jeszcze słyszała, jak policjanci głośno nakazują dziennikarzom opuścić to miejsce. I choć tamci, wprawdzie z niechęcią, ale posłuchali, jej telefony natychmiast się rozdzwoniły, zarówno domowy, jak i komórka. Spięta do niemożliwości, zaciskając zęby, wyłączyła dzwonki w obu aparatach, a potem przeszła przez dom, po kolei zasuważając wszystkie zasłony i sprawdzając drzwi i okna dla pewności, że je zamknęła. Zajrzała do pokoju Bena, który czytał coś, wyciągnięty na łóżku. Odruchowo włączyła mu lampę - jak zwykle czytał po ciemku - a on na chwilę oderwał się od książki i spojrzał na nią.

- Mamusiu, co ci wszyscy ludzie tam robią? Czy ty rzeczywiście kogoś dzisiaj zastrzeliłaś? - W jego ogromnych ze zdumienia oczach malowało się zainteresowanie, a także podziw, że matkę stać było na podobny wyczyn.

Najwyraźniej zamieszanie na zewnątrz zakłócało mu czytanie, więc wyjrzał przez okno. I oczywiście usłyszał niektóre z wykrzykiwanych do niej pytań.

Serce w niej zamarło.

- Nie - odrzekła, choć nie powinna go okłamywać w tak poważnej sprawie. Nie chciała, aby matka kojarzyła mu się z przemocą, nie takich życiowych doświadczeń pragnęła dla niego. Ale nie miała wyjścia, nie mogła pozwolić, by zapytany odrzekł: „moja

mama powiedziała, że nikogo nie zastrzeliła". Zmieniła odpowiedź na „tak”.

I wtedy jego oczy zrobiły się jeszcze większe, oparł się wyżej na poduszkach, by lepiej ją widzieć, a Kate siadła obok niego i opowiedziała mu całą historię. Do pewnego momentu prawdziwą, a potem złagodzoną i zawierającą kilka istotnych kłamstw.

I tak właśnie zamierzała poradzić sobie z tymi policjantami. Tak samo postąpiła, składając oficjalne zeznanie.

Mówiła prawdę - większa część jej historii była całkowicie prawdziwa. Gdyż niemal pod każdym względem, który miał znaczenie, to ona była ofiarą. Nie miała nic do ukrycia. Poza końcem... i początkiem.

Serce zabiło jej mocniej na tę myśl.

- To nie zabierze dużo czasu. - Braga właściwie zinterpretował jej wahanie jako niechęć, choć mylił się co do jej przyczyny.

Kate opanowała chęć przełknięcia śliny. Dłońmi - te cholerne zdrajczynie - nieświadomie ścisnęła się w pasie. Teraz, gdy już to zauważyła, mogła tylko zrobić jedno -nie opuszczać rąk zbyt gwałtownie. Gdyż taki gest także mógł ją zdradzić.

Na szczęście Braga patrzył na jej twarz, nie na dłonie. Nieznacznie pozwoliła im opaść i oparła czubki palców o blat biurka.

- Wszystko jest w moim zeznaniu - spróbowała ponownie.

- Przeczytałem je dzisiaj rano. Ale chciałbym wyjaśnić kilka szczegółów, dopóki ma je pani jeszcze świeżo w pamięci.

- Nie będzie bolało, słowo skauta - zapewnił ją Fischback, połyskując w uśmiechu zębami. Przyciągnął sobie przeznaczone dla gości krzesło. Ciężkie, metalowe nogi głośno zaszurały o podłogę. - Możemy...? Usiadł, nim zdążyła odpowiedzieć.

- Ależ oczywiście, bardzo proszę - odrzekła, jakby miała jakiś wybór.

Braga także usiadł i wyjął z kieszeni marynarki niewielki notatnik z odrywanymi kartkami i długopis. Kate opadła na krzesło, odgradzona od nich biurkiem, nieprzyjemnie świadoma, że tamten szuka czegoś w swoich notatkach. Z pewnością - co do tego nie miała wątpliwości - dotyczących jej zeznań.

- Czy w korytarzu, gdy Rodriguez tam panią wciągnął, widziała pani jeszcze kogokolwiek?

Kate z nadzwyczajnym wysiłkiem udało się ukryć zaskoczenie. Wiedzą o Mariu; taka była jej pierwsza, instynktowna myśl. Poczula przeraźliwy chłód. Zmartwiała. Żołądek jej się skurczył. I zaraz pomyślała o bracie detektywa i tym drugim, martwym zastępcy szeryfa, a także o więźniu leżącym na posadzce celi aresztu. Pewnie Braga ich miał na myśli.

Wzięła do ręki długopis i przez chwilę bawiła się nim, by ukryć uczucie ulgi.

- To znaczy, kogoś poza Rodriguezem? - zapytała głosem zdumiewająco opanowanym, biorąc pod uwagę fakt, że nim doszła do siebie, w ułamku sekundy usta wyschły jej niczym Sahara. Z satysfakcją pomyślała, że udało jej się zrobić właściwą minę,

wyrażającą zaledwie przykrość związaną z bolesnymi wspomnieniami i nieco zaciekawienia, nic więcej.

- Poza Rodriguezem - przyznał Braga.

- W jednej z cel na podłodze leżeli trzej mężczyźni. Dwaj zastępcy szeryfa - jednym był pański brat, naturalnie wtedy o tym nie wiedziałam, a drugi miał na sobie pomarańczowy kombinezon, uznałam go więc za więźnia. Ja... myślałam, że wszyscy są martwi. - Na wspomnienie nieruchomych ciał lekko zaciął jej się głos - reakcja aż nadto autentyczna.

Skinał głową i zapisał coś w notatniku. Fischback, jak zauważyła, lustrował wzrokiem blat biurka. Szybkim, uważnym spojrzeniem upewniła się, że nie mógł tam zauważyć nic obciążającego - jak choćby akta Maria, które wcześniej znalazła w komputerze. Laptop był włączony, ale w stanie uśpienia, zresztą nie sądziła, by policjant mógł wypatrzeć cokolwiek na monitorze, siedząc z drugiej strony biurka. Telefon, stos akt i dokumentów, tacka z pocztą, kilka plastikowych pudełek z upchanymi w nich dyskietkami, parę rozmaitych książek, puszka oblepiona brystolem (Ben ją zrobił; miał to być pies) pełna ołówków i długopisów - jej biurko było czyste. Nie odważyła się spojrzeć za siebie, ale wiedziała, co tam zobaczą: na górnej półce dużą stertę brązowych teczek, mnóstwo książek, brązowych kopert i rozmaitych papierów oraz wielką muszlę, którą znaleźli z Benem nad brzegiem morza. Obie szafki na akta były zamknięte, jedynie kilka żółtych karteczek z adnotacją „wysłać” zdobiło ich drzwiczki. Na jednej z szafek stał faks. Kalendarz

przyczepiony parą magnetycznych piesków Scottie na bocznej ścianie drugiej szafki na akta także dostała w prezencie od Bena z okazji ostatniego Dnia Matki i nie zaznaczyła w nim nic, co by się odnosiło do jej dzisiejszej wizyty w więzieniu. Była na tyle doświadczoną prawniczką, by nie zapisywać informacji, które mogłyby później zostać użyte przeciwko niej.

Z całą pewnością w tym pomieszczeniu nie znajdują żadnego śladu prowadzącego do Maria.

Właśnie w duchu westchnęła z ulgą, gdy jej spojrzenie znów padło na Bragę. Obserwował jej dłonie.

Nadal bawiła się długopisem i obracała go bez końca.

Musiała użyć całej siły woli, by nie zacisnąć dłoni w pięści.

Udało jej się spokojnie odłożyć długopis, a potem wyciągnęła rękę przed sobą, ze splecionymi palcami, aby niczego nie zdradziły.

W żaden sposób nie mógł wiedzieć, że dłonie jej się spociły.

- A w jaki sposób udało się pani zobaczyć wewnątrz celi? - zapytał Braga.

Zmarszczyła brwi. Był to jedyny punkt jej opowieści, co do którego musiała skłamać, jako że udało jej się zobaczyć wewnątrz celi, w chwili gdy wychodził z niej Mario.

- Rodriguez na moment otworzył drzwi, nie wiem w jakim celu. Wcześniej pchnął mnie na ścianę, więc zdołałam rzucić okiem do środka.

- I co pani tam zobaczyła?

- Już mówiłam. Trzech mężczyzn - zastępców szeryfa i więźnia - leżących na podłodze. Jak powiedziałam, to był zaledwie moment.

- Czy widziała pani jakąś broń? Palną?

- Nie. Oczywiście poza tą, którą miał Rodriguez.

- W porządku. - Braga znów zajrzał do notesu. Kate usiłowała się nie spocić.

- Czy przychodzi pani do głowy wyjaśnienie, jak Soto zdobył broń, pani White? - włączył się Fischback.

Tu Kate znalazła się na bezpiecznym gruncie.

- Nie mam pojęcia. Najmniejszego. - Wróciła myślami do tamtych wydarzeń. W jednej chwili ten człowiek siedział za stołem obrony, a w następnej zerwał się na nogi, z pistoletem w ręce. - On był uzbrojony od samego początku, już na sali sądowej.

- I wtedy po raz pierwszy widziała pani tę broń? -upewniał się Fischback z nieodgadnioną miną.

Mógł sobie myśleć, co chciał, ona, dzięki Bogu, znów mogła powiedzieć prawdę. -Tak.

- A gdzie znalazła pani broń, z której zastrzeliła pani Rodrigueza? - zapytał Braga, trzymając długopis w powietrzu, nad notesem. Kate zauważyła, że w jego wzroku widać było zaledwie niewielkie zainteresowanie. Żadnych podejrzeń.

Mimo to poczuła, że cała jest mokra.

- Była tam, na podłodze.

- W korytarzu?

- Tak.

- Wcześniej nie zauważyła jej pani?

- Nie. - Musiała opanować chęć odwrócenia wzroku i oblizania warg. - Pchnął mnie na ziemię, upadłam i zobaczyłam tę broń; po prostu leżała na podłodze, przy ścianie. Nie widziałam jej wcześniej.

W pokoju zapadło milczenie; Braga zdawał się czekać, by kontynuowała. Spojrzała mu prosto w oczy, podczas gdy serce łomotało jej jak oszalałe, nerwy napięły się do niemożliwości i z całej siły walczyła z wręcz namacalną potrzebą, by zerwać się na nogi i uciec. Instykt podpowiadał, żeby tak zrobiła, ale nie mogła, musiała dalej siedzieć, sprawiać wrażenie spokojnej, kłamać i czekać. Jako prawniczka nieraz miała okazję się przekonać, jak nadmierna rozmowność ściąga na podejrzanych kłopoty. Nie zamierzała sama wpaść w tę pułapkę, zrobi wszystko, by temu zapobiec.

- A więc ujrzała pani broń na podłodze, pod ścianą - powiedział w końcu Braga. - Po prawej czy po lewej stronie?

Kate próbowała wyobrazić sobie obraz, który malowała.

- Na prawo ode mnie.

- W porządku. - Umilkł i zapisał coś w notesie. Nerwy

Kate przypominały już struny fortepianu. - Powiedziała pani, że pchnął ją na ziemię. W jakiej pozycji pani upadła? - Kate zapewne zmarszczyła brwi, bo natychmiast wyjaśnił: - Na brzuch, na plecy...?

O Boże, niech to się wreszcie skończy.

- Na siedzenie. Wylądowałam na pupie i zobaczyłam broń.

Wiedziała, że Rodriguez przygotowuje się, by mnie zastrzelić, więc złapałam ją, wycelowałam i nacisnęłam spust. - Wzięła głęboki

oddech, po części dla wywarcia odpowiedniego wrażenia, ale także dlatego że rzeczywiście zabrakło jej powietrza. -I zastrzeliłam go.

- Gdzie stał wtedy Rodriguez?

Kate czuła spływający wzdłuż kręgosłupa pot. Jej dezodorant z pewnością już przestał działać. Na szczęście żakiet ukryje zdradzieckie plamy pod pachami.

- Pod ścianą, na końcu korytarza, mam na myśli tę, na której jest zamocowany telefon. Stał twarzą do mnie. - Kate próbowała wyobrazić sobie scenę, którą właśnie kreowała. Czy udałoby jej się pochwycić pistolet, wycelować i wypalić, podczas gdy Rodriguez stał tam z bronią w ręce? Raczej nie. - On upuścił pistolet i schylił się, by go podnieść. Wolałam nie czekać na lepszą okazję. Więc... wykorzystałam ją. Tę broń z podłogi.

Braga znów coś zapisał, a potem ponownie na nią spojrzął.

- Więc Rodriguez upuścił broń, a gdy ją podnosił, pani złapała pistolet, który leżał na podłodze. Czy on już podniósł swój w momencie, gdy pani do niego strzelała? W jakiej znajdował się pozycji?

Medycyna sądowa. Nie wolno o tym zapomnieć. Po torze, jaki pokonała kula, zdołają określić, jak staliśmy, Rodriguez i ja, w momencie śmiertelnego strzału.

Jeżeli będzie im się chciało zadać sobie tyle trudu. Jednak należało założyć, że tak.

- Trzymał już broń, podnosił ją. Stał wyprostowany. Myślę... jestem całkiem pewna, że zamierzał mnie zastrzelić. - Znów

odetchnęła głęboko, by zyskać na czasie, i nie wątpiła, że w tym momencie jej reakcja na wspomnienie przeżytego stresu nie wzbudzi wątpliwości.

Obraz Maria strzelającego do Rodrigueza wyraźnie pojawił jej się przed oczami. Próbowwała postawić się na miejscu Maria.

- Wtedy ja już zerwałam się z podłogi. Gdy do niego strzeliłam, oboje staliśmy.

- Proszę więc powiedzieć, czy dobrze zrozumiałem: gdy nacisnęła pani spust, staliście do siebie twarzą w twarz.

Kate przytaknęła ruchem głowy.

- Broń była zabezpieczona?

Zaskoczył ją, miała jednak nadzieję, że się nie zdradziła. Nawet nie mrugnęła. Jej usta pozostały nieruchome. Nie okazała napięcia. Była całkowicie opanowana, absolutnie rozluźniona - co kosztowało ją naprawdę wiele wysiłku. Na prawie, gdy przygotowywała się do pracy w prokuraturze, uczono ją języka ciała. Umiejętność ta należała do arsenału środków pozwalających stwierdzić, czy świadek kłamie. Kate miała absolutną pewność, że tym detektywom chodziło dokładnie o to samo.

Tak więc lekko zmarszczyła brwi, jakby usiłowała sobie przypomnieć. Jej żołądek zachowywał się tak, jak gdyby motyl urządził sobie w nim trampolinę. W uszach pulsowała jej krew. Ledwie powstrzymała się od przełknięcia śliny.

Na jej twarzy pojawił się ledwie widoczny grymas zamyślenia, podczas gdy myśli kłębiły się szaleńczo, tyle że, jak miała nadzieję, nie było tego po niej widać.

Gdyż w istocie nie dopracowała sobie szczegółów dotyczących technicznej strony zdarzenia, choćby takich jak działanie broni palnej w podobnych okolicznościach. Oczywiście Kate nieraz miała ją w rękach, zarówno w czasach swej nieszczęsnej młodości, jak i później, gdy na strzelnicy wypróbowała kupiony za pięćdziesiąt dolarów pistolet, ale tak naprawdę niewiele o niej wiedziała. Pospiesznie zbierała myśli, próbując przewidzieć możliwe wpadki związane z każdą odpowiedzią - na przykład, Braga mógł powiedzieć: „Proszę pokazać, jak pani to zrobiła” i wręczyć jej broń identyczną z tą, której ponoć użyła - musiałaby ją odbezpieczyć - więc wybrała według niej najmniej ryzykowną odpowiedź.

Zmarszczki na czole wygładziły się.

- Nie - odrzekła pewnym głosem, ze spokojnym wyrazem twarzy.

Brawo.

Skinął głową, zapisując także tę informację. Takie proste. I łatwe. Więc dlaczego pocila się jak ruda mysz? Słyszając sygnał komórki, niemal podskoczyła.

Rozdział 12

Kate zupełnie nie rozumiała, co ją aż tak wystraszyło. Może na jej napięte nerwy podziałał w ten sposób nieoczekiwany dźwięk. Sygnał pochodził z jej komórki i brzmiał jak zwykle. Tyle że po poprzednim dniu miała go dość do końca życia.

W każdym razie, niezależnie od przyczyny serce znów biło jej szybko, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. Braga i Fischback obserwowali ją z zaciekawieniem.

Nigdy nie okazuj nikomu, że się pocisz ze strachu. Czują, że pod ubraniem cała jest mokra.

- Przepraszam, muszę odebrać.

Skinęli głowami.

Ben. Wiedziała, że to on, już po pierwszym, alarmującym sygnale, jeszcze zanim wyjęła aparat z aktówki, sprawdziła numer na ekranie i odebrała telefon. Tego dnia wszystkie połączenia skierowane do niej przechodziły przez Moneę, gdyż od momentu, gdy pojawiła się rano w pracy, telefony się urywały. A tylko Ben i osoby w jakiś sposób z nim powiązane znali jej numer. Zresztą syn zawsze dzwonił do niej, gdy tylko znalazł się w samochodzie Suzy, by wiedziała, że cały i zdrowy wraca ze szkoły.

Aby się nie niepokoiła.

Wróc na ziemię. Ty zawsze się niepokoisz.

- Cześć, skar... Ben - powiedziała, w porę przypomniawszy sobie, że „skarbie” było zabronione.

- Cześć, mamó. Właśnie jadę do Perrych.

- Miałeś dobry dzień?

- W porządku.

Wyobraziła go sobie siedzącego na tylnym siedzeniu blazera Suzy. Radio pewnie ryczy na cały regulator -Samantha lubiła głośną muzykę - a dzieciaki Perrych, a także Suzy, rozbawione kołyszą się w takt melodii. Ale nie Ben. Niewątpliwie kulił się przy drzwiach, by jak najbardziej zdystansować się od hałasu, a rozmawiając przez telefon, zapewne osłaniał palcami drugie ucho.

Westchnęła. W idealnym świecie sama odbierałaby swoje dziecko. Niestety, coś takiego nie istniało.

- Przyjadę po ciebie, jak zdołam najszybciej. Dzisiaj pewnie nieco wcześniej. Zjedz coś. Baw się dobrze. Odrób pracę domową.

- Taa, jasne.

Kate nie zdołała powstrzymać się od uśmiechu. Jej ostatnie słowa można by porównać do swego rodzaju rodzicielskiej litanii, takie „Zdrowaś Mario” dorzucone w formie rozgrzeszenia. U Suzy niemal nigdy nie odrabiał prac domowych, czas tam spędzony w całości poświęcał na rozmowę z Samantha. Lekcje odrabiało się w domu i mama miała obowiązek pomagać.

Co w niejeden wieczór sprawiało im istne katusze, gdyż matka i syn byli zmęczeni, poirytowani, a matematyka na poziomie czwartej

klasy dawała obojgu nieźle w kość. Jednak, biorąc wszystko pod uwagę, Kate nie chciałyby, aby ten zwyczaj uległ zmianie.

Braga i Fischback nadal ją obserwowali. Oczy Bragi były ciemne i niezgłębione, a Fischbacka błyszczały zaciekawieniem. Kate zorientowała się, że wciąż się uśmiecha; napięcie mięśni jej karku i ramion ustąpiło nieco.

Rozbrzmiewający na drugim końcu linii głos Bena nie tylko ją uspokoił, ale także jeszcze wzmocnił jej determinację.

Zamierzała przeprowadzić ich przez to wszystko bez szwanku, cokolwiek przyjdzie jej uczynić. Dla Bena.

- Muszę kończyć, kochanie - powiedziała do telefonu.

- Mamusiu - zaprotestował przeciwko czułemu epitetowi. I zaraz dodał: - W porządku, cześć.

- Cześć - odpowiedziała echem, choć już dotarł do jej uszu sygnał świadczący, że rozmówca się wyłączył. Zamknęła klapkę telefonu i położyła go na biurku.

- To pani syn? - Braga ruchem głowy wskazał na stojącą na biurku fotografię Bena.

Było to zwyczajne szkolne zdjęcie, zrobione zeszłego roku. Ben patrzył poważnie w obiektyw; nie uśmiechał się, gdyż brakowało mu jednego zęba na przodzie, do tego wśród falujących jasnych włosów pozostał ubytek po solidnym kosmyku, który sam wyciął sobie nożyczkami, by usunąć plamę czerwonej farby - pojawiła się podczas lekcji malowania. Tamtego dnia wyczyn syna oburzył Kate. Teraz wywoływał jej uśmiech.

- Tak. - Skinęła głową.

- Fajny dzieciak.

- Dziękuję. - Rozmowa z Benem na nowo uświadomiła jej, o jak wysoką gra stawkę. Opanowała się i znów stała się czujna. Położyła dłonie płasko na biurku, jakby przygotowywała się do wstania, i chłodno, pytająco spojrzała na detektywów. - Czy coś jeszcze?

- Nie. - Braga zamknął notatnik i wraz z długopisem schował do kieszeni, a następnie podniósł się z krzesła. Fischback poszedł jego śladem sekundę czy dwie później. Kate wstała razem z nim. - Myślę, że to wszystko.

- Bardzo nam pani pomogła - stwierdził Fischback i uśmiechnął się do niej. - Mamy do zbadania mnóstwo nowych wątków.

Kate postanowiła nie dopatrywać się w jego słowach drugiego dna.

- Jeżeli coś jeszcze sobie przypomnicie, wiecie, gdzie mnie szukać, panowie - oznajmiła ożywionym tonem. Wyciągnęła rękę, najpierw do Bragi, potem do Fischbacka, i wyszła zza biurka, by odprowadzić ich do drzwi (z nadzieją, że gorliwość, z jaką to czyni, nie jest zanadto widoczna).

- Oczywiście - zapewnił Braga.

Przystanął i spojrzał na nią przez ramię; jego partner już wyszedł na korytarz. Braga zatrzymał się w otwartych drzwiach i Kate, choć w duchu wypychała go z pokoju, też musiała przystanąć. W butach na płaskim obcasie ledwie sięgała mu do ramion i zweryfikowała swoją ocenę jego wzrostu, dodając mu kilka centymetrów, w sumie do około

stu osiemdziesięciu. Patrząc na niego od tyłu, widziała imponująco szerokie ramiona. Czarne włosy, choć krótkie, wiły się na karku, nad kołnierzykiem. Z profilu czoło miał wysokie, długi nos z małym garbkiem, wargi raczej cienkie, ale ładnie zarysowane, kwadratową szczękę i zdecydowany podbródek. Wyglądał na zmęczonego, a nawet trochę starszego, niż z początku sądziła. Nie można mu było odmówić urody, chociaż w jego oczach krył się jakiś cyniczny błysk, dostrzegało się surowość w kącikach ust oraz posępną powagę w układzie szczęk - wszystkie te cechy przypominały, że to doświadczony detektyw, mający wieloletnią praktykę w przekopywaniu się przez góry kłamstw. Gdy ich oczy się spotkały, uniósł gęste, czarne brwi i patrzył na nią ze zmarszczonym czołem.

Ona także zmarszczyła brwi, ponownie zdenerwowana, i miała tylko nadzieję, że nie daje tego po sobie poznać.

- Coś jeszcze? - zapytała.

- Chciałbym, aby pani wiedziała, że wczoraj nie byłem pewien, czy uda się pani wyjść z tego cało. Już wcześniej miałem do czynienia z Rodriguezem: załatwiła pani naprawdę paskudnego gościa.

Kate instynktownie przełknęła ślinę i zaraz pomyślała, że zareagowała całkowicie naturalnie, wzięwszy pod uwagę złe wspomnienia wywołane, jak uważał, jego słowami.

- Przez co trochę mi lżej - oświadczyła, gdyż było jasne, że próbował jej ulżyć, zmniejszyć poczucie winy, jakie powinna mieć z powodu odebrania komuś życia. - A przy okazji, nie pamiętam, czy już podziękowałam panu za próbę uratowania mnie.

Uśmiechnął się lekko, w kącikach oczu ukazały się drobne zmarszczki.

- To moja praca.

I wyszedł z gabinetu.

Fischback czekał na niego na korytarzu i razem skierowali się w stronę wind; szli swobodnie, zsynchronizowanym krokiem, ani razu nie obejrzawszy się za siebie. O ile Kate mogła to stwierdzić, nie rozmawiali ze sobą. Drzwi od pokoju Mony stały otworem, ale sekretarka albo odbierała telefon, albo była zajęta czymś innym, bo nie wyjrzała, by ponowić próbę wywarcia wrażenia na przystojnym detektywie, co, Kate nie miała wątpliwości, zrobiłaby, gdyby miała okazję.

Gdy policjanci oddalili się już na tyle daleko, by dać jej pewność, że rzeczywiście odeszli, Kate zamknęła drzwi i przez chwilę stała z dłonią na gałce, oparta o nie plecami, czując przez ubranie chłodne drewno. Oblepiający ciało podkoszulek niemile uświadomił jej, jak bardzo się spociła. Serce nadal biło zbyt szybko, kolana lada chwila mogły odmówić posłuszeństwa. Rozpaczliwie walczyła ze sobą, by nie usiąść na podłodze i wyciągnąć nóg do przodu. Zamknęła oczy, usiłując uspokoić nierówny oddech i pokonać chwilowe załamanie. Musi być silna.

- Śliczna kobieta. - W głosie Fisha zabrzmiał refleksyjny ton. Zjeżdżali windą w dół, oprócz nich w kabinie nie było nikogo.

-Taa.

Tom stał oparty o ścianę z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i obserwował migające numery pięter. Kate White była wyjątkowo urodziwa, nawet jeśli nieco za chuda jak na jego gust. Zazwyczaj nie przepadał za przesadnie szczupłymi kobietami. Pewnie miało to coś wspólnego z włoską krwią płynącą w jego żyłach.

- Zauważyłeś, że coś jest nie tak?

- Tak jakby.

- A więc, co o tym myślisz?

Gdy dotarli na parter, rozległ się dzwonek i drzwi zaczęły się rozsuwać. Jednocześnie ruszyli do wyjścia, Fish pierwszy, a Tom za nim, gdyż znajdował się głębiej w kabinie.

- Dobre pytanie - zauważył.

W holu kręcili się jacyś ludzie. Czterech ochroniarzy miało trzymać z daleka dziennikarzy, więc detektywi umilkli i podjęli rozmowę dopiero po wyjściu przez podwójne drzwi na ulicę. Na wąskim, betonowym chodniku przed budynkiem grupa gapiów otoczyła reportera z telewizji, przeprowadzającego wywiad z jakimś nieszczęśnikiem, który właśnie wyszedł z prokuratury; zatrzymywali się przy nich zmierzający z obu kierunków ulicy przechodnie.

Detektywi bez słowa minęli zgromadzonych, zmierzając prosto do samochodu Toma. Taurus stał zaparkowany przy krawężniku po prawej stronie, diabelnie nieprzepisowo, gdyż jedyne wolne miejsce udało im się znaleźć tuż przed znakiem: „Zakaz parkowania o każdej porze”; jednak odpowiednio wybrana pora albo policyjny identyfikator zawieszony przez Toma na wstecznym lusterku w

nadziei, że przechodząca kontrolerka taksometrów dostrzeże policyjne oznakowanie i okaże miłosierdzie, uratowały ich od mandatu. W Filadelfii parkowanie stanowiło problem. Miasto zostało rozplanowane jakby według sennego marzenia projektanta; ulice poprowadzono bardzo starannie: Broad Street biegła na północ i południe, Market Street na wschód i zachód, a wszystkie pozostałe równoległe do tych dwóch. Tyle tylko, że wtedy, gdy Filadelfia była miastem Billy'ego Penna, samochodów jeszcze nie wynaleziono. A teraz, gdy już istniały, zabrakło dla nich miejsca. Większość mieszkańców dawno już się z tym pogodziła i z ponurą rezygnacją wybrała tramwaje.

- Wygląda, że to nasz szczęśliwy dzień - zauważył Fish, otwierając drzwi od strony pasażera. Tom spojrział tam, gdzie jego partner, i dostrzegł znajomy trzykołowiec dziewczyny od taksometru: pojazd o białej, przypominającej pocisk masce połyskiwał w jaskrawym świetle słońca, wolno sunąc w ich stronę wzdłuż rzędu zaparkowanych pojazdów. Za kierownicą siedziała kobieta w niebieskim mundurze.

Tom przyspieszył, działając według zasady, że lepiej uciec przed mandatem, niż próbować wywinąć się od kary gadaniem. Gdy obchodził maskę samochodu, mając w uszach szum jadących aut, poczuł podmuch wiatru nadlatującego ulicą. Chłodna świeżość powiewu nie pasowała do zwykłej woni miasta, tej mieszanki wyziewów z rur wydechowych, topiącej się gumy i asfaltu. Nagłe dmuchnięcie wiatru potargało mu włosy i uniosło poły marynarki.

Gdy odruchowo sięgnął, by ją zapiąć, górny guzik urwał się, poszybował w górę, następnie z ledwie słyszalnym stukiem uderzył o chodnik i potoczył się dalej.

Cholera.

Obejrzał się pospiesznie - kobiecie od taksometrów zostało do nich jeszcze z dwanaście samochodów; reporter telewizyjny nadal był zajęty, więc Tom, zaryzykowałszy życie lub całość swych członków, podniósł guzik leżący obok lewego przedniego koła, wsiadł do samochodu, włożył kluczyk do stacyjki, a guzik wrzucił do zagłębienia na kubek znajdującego się między siedzeniami.

- Co to było? - zapytał, marszcząc brwi, Fish, gdy silnik zaskoczył.

- Odpadł mi cholerny guzik. - Tom włączył bieg i skierował wóz w stronę jezdni. Jak zwykle w centrum miasta, ruch uliczny był wprawdzie duży, ale samochody poruszały się wolno, więc ich manewr włączenia się do ruchu polegał raczej na wymuszeniu wolnej przestrzeni między pojazdami niż czekaniu na swoją kolej.

- Od marynarki? - Zignorowali wściekłe trąbienie z tyłu, a Fish obejrzał zwisające strzępy nitek, wyznaczające miejsce, gdzie znajdował się guzik, i potrząsnął głową. -I chwała Bogu. Może nareszcie kupisz sobie nową.

Kąciki ust Toma uniosły się, gdy, już bezpieczny w strumieniu samochodów, mijał kontrolerkę taksometrów.

- Głupie gadanie. Chyba potrafię przyszyć sobie guzik.

Fish jęknął, a potem opuścił szybę. Zanim Tom uświadomił sobie, co zamierza partner, ten wyjął guzik z pojemnika i wyrzucił na ulicę.

- Czemuś to zrobił? - Tom kątem oka dostrzegł ruch Fisha.

- By cię ocalić przed samym sobą. Jezu, Tom, musisz wybrać się na zakupy. Ta marynarka mogłaby już otrzymać prawo jazdy!

Tom zahamował przed światłami. Tłumy turystów ściskających w rękach kamery i przewodniki po mieście, ludzie załatwiający rozmaite interesy, studenci jednego z czterech głównych uniwersytetów Filadelfii, mieszkańcy przedmieść, wybierający się po południu na zakupy w centrum, a także włóczędzy uliczni - wszyscy oni spieszyli przez skrzyżowanie, od którego detektywów dzieliły jeszcze dwa stojące przed nimi samochody. Braga dzięki długiej pracy w policji podświadomie szczegółowo rejestrował wszystko, co działo się wokół.

- No i?

- A więc zasłużyła na emeryturę. Kup sobie nową. Do cholery, nawet kilka. Wymień całą garderobę. Użyj trochę życia.

- Wiesz co, Fish? Odpieprz się.

Te słowa padły bez złości. Obaj wiedzieli, do czego Fish pije. Przyjaźnili się od czasów, odkąd grali razem w piłkę w St. Aloysius, szkole średniej mieszczącej się w południowej części Filadelfii. Fish wstąpił do policji rok po Tomie, a przez ostatnie cztery lata był jego partnerem. Znał dzieje przyjaciela, wiedział o nim wszystko, o rozwodzie i innych sprawach, i obserwował, jak od tamtej pory Tom

unikął wszelkich możliwości stabilizacji życiowej, przedkładał nieustannie zmieniający się kalejdoskop kobiet nad znalezienie stałej przyjaciółki; Braga nawet nie miał w domu żadnego zwierzaka, a jeździł wymienianym co cztery lata samochodem służbowym. Do licha, w domu używał nawet papierowych talerzy. Tom starał się żyć skromnie, pracował jak najlepiej potrafił, a pieniądze oszczędzał, zamiast wydawać. Nie mógł zrozumieć, dlaczego wszyscy, poczynając od członków jego rodziny, a kończąc na Fishu, widzieli w tym jakiś problem.

Tyle że specjalnie go to nie obchodziło.

- W porządku. - Fish był wyraźnie doprowadzony do rozpacz. - Wiesz co, kretynie, noś te swoje obskurne ciuchy. Pracuj dzień i noc. Nie pozwalaj sobie na przyjemności. Sam zobaczysz, komu dostaną się te wszystkie panienki.

Tom wyszczerzył zęby. Obaj wiedzieli, choć Fish niechętnie to przyznawał, kto był numerem jeden, gdy chodziło o kobiety, a kto bardziej się wysiłał. Choć trzeba przyznać, że Fish, gdy mocno się postarał, na ogół wychodził na swoje.

- Nie uważasz chyba, by to ona podrzuciła broń? - zapytał po chwili Fish, nawiązując do poprzedniego tematu.

- Prokurator White? - Tom był w sali sądowej i na własne oczy widział, jak bardzo Kate się bała, gdy dopadł ją Rodriguez. Jeśli udawała, to on chyba powinien oddać odznakę. - Nie sądzę.

Odpowiedź na pytanie, jak Soto zdobył pistolet, z którego zastrzelił sędziego Morana, stanowiła, według detektywów, klucz do

rozwiązania zagadki spisku zakończonego zabójstwem. Tom i Fish byli tylko jednym z wielu zespołów rozpracowujących tę zbrodnię, każdy pod innym kątem, a zostali wyznaczeni głównie z powodu Charliego, gdyż jego udział i zranienie czyniły tę sprawę osobistą, a także ponieważ Tom od samego początku znajdował się na miejscu zdarzenia i w przeciwieństwie do innych detektywów widział wszystko z bliska. Jednak przestępcy nie żyli, a to do pewnego stopnia zmniejszało intensywność śledztwa. Rodriguez, Soto, Lonnie Pack i Chili Newton - bezpośredni sprawcy zabójstwa - zapłacili najwyższą cenę. Nie było mowy o zatrzymaniu, oskarżeniu, karze śmierci, choć środowisko stróżów prawa gwałtownie domagało się odwetu. A w zaistniałych okolicznościach dotarcie do chwili, gdy można będzie wymierzyć karę, łączyło się ze żmudnymi, a więc i powolnymi działaniami śledczymi.

Niewątpliwie zabójcy nie działali sami, nie mogliby obejść się bez pomocy, i właśnie na tej kwestii miało się skoncentrować śledztwo. Tom był niemal pewny, że broń zostawiono albo w sali sądowej numer 207, albo w celi aresztu lub w korytarzu prowadzącym do tej konkretnej sali, a może w jednym i w drugim miejscu, bo gdyby więźniowie uzbroili się gdziekolwiek indziej, mieliby więcej możliwości ucieczki. A przecież nic na to nie wskazywało. Jediną próbę podjęto w sali sądowej 207.

Co by znaczyło, że broń podrzuciła osoba mająca wstęp do tej strefy. Co wskazywało na pomoc od wewnątrz.

Światła się zmieniły i Tom skręcił w lewo. Jechał, jak obaj wiedzieli, w stronę policyjnego budynku przy Ósmej i Race, z powodu wyjątkowego kształtu znanego także jako Okraglak.

- Ona coś kręci. Była jakaś nerwowa - zauważył w zamyśleniu Fish.

Tom także to zauważył. Bardzo starała się coś ukryć, ale jednocześnie wysyłała zbyt wiele, choć ledwie zauważalnych, sygnałów, by można je było zignorować. Jednak nie wiedzieć czemu poczuł się za nią odpowiedzialny. Może sprawiło to wspomnienie przerażonych, błękitnych oczu wpatrujących się w niego, gdy pochwycił ją Rodriguez, jakby Tom był jej jedyną nadzieją, a może ten rozedrgany, błagalny głos, gdy przez telefon wyznała mu, że jest samotną matką, lub tak bardzo kobiecy kształt jej ciała, gdy niósł ją do sanitariuszy. Jakakolwiek była przyczyna jej zdenerwowania, Tom nie sądził, by to Kate podrzuciła broń lub w jakiś inny sposób uczestniczyła w przygotowaniu ucieczki więźniów. Mimo to był gotów sprawdzić taką ewentualność, choćby nawet miałby odkryć, że się pomylił; na tym polegała jego praca.

- Może to na mój widok. Może moja osoba obudziła złe wspomnienia z wczorajszego dnia.

- Możliwe - zgodził się Fish.

- A może aby otrzymać tę pracę, sfalszowała coś w swoich danych i teraz się boi, by w trakcie śledztwa i ta sprawa nie wyszła na jaw.

- Też możliwe - przyznał Fish.

Tom skreślił w prawo, w Market i już wyłonił się przed nimi Okrągłak. Był to duży, wielopoziomowy, owalny budynek z dodaną na tyłach prostokątną przybudówką. Według opinii Toma - a nie krył się z nią od lat - całość przypominała spermę kamiennego giganta. Od frontu stały wozy telewizyjne, a mundurowi strzegli dostępu do wejścia do budynku i na parking. Opuszczone do połowy masztu flagi nad środkową kopułą smutno powiewały na tle jasnoniebieskiego nieba, przypominając o koszmarze poprzedniego dnia i o tych, którzy zginęli.

Miał prawdziwe szczęście, gdyż bratu udało się przeżyć.

- A może ona już z natury jest nerwowa i wpada w histerię, kiedy cokolwiek coś nie pójdzie po jej myśli - zauważył.

Fish mruknął coś bez przekonania.

- Wierzysz w tę jej historyjkę, jak to niby znalazła broń Charliego tak po prostu leżącą sobie w korytarzu? Akurat wtedy, gdy jej potrzebowała?

Z laboratorium medycyny sądowej nadeszła już informacja, że Rodriguez zginął od strzału oddanego z pistoletu Charliego. Natomiast ustalenie, w jaki sposób ta broń znalazła się w rękach Kate White, było głównym celem wizyty detektywów w jej biurze.

- Na razie nie widzę powodu, by jej nie wierzyć. - Tom umilkł, zbliżając się do parkingu, a nadzorujący wjazd mundurowy, poznając jego i Fisha, przepuścił ich machnięciem ręki. - Powiedziała, że pistolet był odbezpieczony, co znaczy, że jeszcze zanim wzięła go do ręki, ktoś przygotował się do strzału. Może doszło do szamotaniny i

Charlie upuścił broń. A może wypadła komuś, kto odebrał ją Charliemu.

- A może ona kłamie jak z nut.

Tom zacisnął wargi. Prawdę mówiąc, jemu także zaświtała w głowie ta myśl.

- Ale po co?

- Ma coś do ukrycia? Tom nie odpowiedział.

- Czujesz do niej miętę, co?

- Co takiego? - Wystarczyła sekunda, by dotarła do niego prawda i oszołomiony, zdumiał się, że wcześniej tego nie rozumiał. To komplikowało sprawę, a dalszych komplikacji z pewnością nie potrzebował. Ale musiał zaakceptować oczywisty fakt: gdy tylko ujrzał tę smukłą, bardziej niż urodziwą blondynkę o oczach ogromnych ze strachu, a jednocześnie tak szaleńczo odważną, gdy Rodriguez trzymał ją w morderczym uścisku, siła jego emocji przekroczyła wszelkie granice normalnej reakcji policjanta spieszącego na ratunek ofierze. Dlaczego? Bo jak taktownie zauważył Fish, poczuł do niej miętę. Ale do licha, nie zamierzał się do tego przyznać. I z pewnością nie miało to znaczenia dla prowadzonego przez niego śledztwa. - Jesteś idiotą.

Czarno-biały samochód najwyraźniej zwalniał miejsce. Tom ruszył i zdążył na czas, by wyprzedzić odrapaną niebieską furgonetkę, którą bez trudu zidentyfikował jako należącą do brygady antynarkotykowej. Oficer Phil Wablonski, w cywilu, niemal nie do rozpoznania z gęstą brodą i w przeciwsłonecznych okularach, opuścił

matową szybę okna i w obscenicznym geście pokazał Tomowi palec, gdy taurus zajechał mu drogę. Tom odwzajemnił się tym samym.

- Pozostań obiektywny, tylko o to mi chodzi. - Gdy Tom zaparkował i wyłączył silnik, Fish rozpiął pas. - Tylko dlatego, że wygląda jak anioł, nie znaczy, że nim jest.

Tom także odpiął pas.

- Chcesz na mnie zwalić to, co sam czujesz - odparował, gdy partner już wysiadł. - To ciebie zafascynowała.

- Nie przeczę, natomiast różnica między nami jest taka, że ja się z tym nie kryję - odrzekł Fish, gdy szli w stronę budynku.

Na widok czekających od frontu reporterów detektywi bez słowa skierowali się do bocznego wejścia. Ani jeden, ani drugi nie chcieli ryzykować, że zostaną pokazani na żywo w telewizji w związku z toczącym się dochodzeniem. Komisarz założył knebel całemu wydziałowi: żadnego gadania, koniec kropka. Fish pierwszy dotarł do nierzucających się w oczy metalowych drzwi, otworzył je i przytrzymał.

- Ty, przeciwnie, zaprzeczasz, a to już jest niebezpieczne. I choć nie ukrywam, chętnie na nią patrzę, zapewniam cię, że to nie we mnie wbija te swoje ogromne, niebieskie oczy pani White.

- Odpięrz się, Fish - powiedział Tom po raz drugi tego dnia i minąwszy partnera, wszedł do Okrąglaka.

Dyżurka wydziału zabójstw mieściła się na parterze. Było to obszerne, prostokątne pomieszczenie, zapewniające miejsce do pracy dla sześćdziesięciu czterech zastępców szeryfa, plus obserwatorów i

personelu pomocniczego. Tom wszedł pierwszy przez szklane drzwi, Fish za nim. W dyżurce zawsze wiele się działo - Filadelfia była trzecim miastem w kraju co do liczby morderstw, co miało wiele złych stron, ale przynajmniej pracujący tu, wiecznie zmęczeni detektywi nie musieli się martwić o swoje posady - martwych ciał nigdy nie brakowało. Tego dnia jednak panujący tu chaos, zamieszanie i stopień natężenia hałasu osiągnęły nieznany dotąd poziom. Wielokrotne morderstwa nie były niczym nowym w Filadelfii, ale dokonane przez więźniów, gdy ofiarami padli zastępcy szeryfa i sędzia, do tego przebywający na własnym terenie, w sądzie to coś całkowicie nowego. I także wielce żenującego. Czarna plama na honorze całej społeczności przedstawicieli prawa w Filadelfii.

Innymi słowy to morderstwo nie tylko zyskało szeroki rozgłos, było także sprawą osobistą. Niezwykle osobistą. Wydział filadelfijskiej policji zamierzał pracować ze wszystkich sił.

Zaraz po wejściu powitał ich chór głosów; potem rozdzielili się i każdy podążył do swojego biurka. Tom odpowiedział na powitania machnięciem dłoni i właśnie siadał na rozklekotanym krześle, gdy dyżurny inspektor, sierżant Ike Stella, policjant o dwudziestoosmioletnim stażu, zatrzymał się przy jego biurku. Stella był potężnym mężczyzną, mierzył sto osiemdziesiąt centymetrów, a ważył około stu pięćdziesięciu kilogramów, z których większość przypadała na okolice brzucha. Miał pięćdziesiąt pięć lat, mocno ogorzałą cerę i zniszczoną twarz. Łysinę na środku głowy zakrywał pasmem czarnych włosów, sięgającym od ucha do ucha. Cechował go

szorstki, rzeczowy sposób bycia. Nie wszyscy lubili Ike'a, ale z pewnością cieszył się ogólnym szacunkiem. Potrafił nieźle człowieka skłąć, prosto w oczy, lecz gdy ktoś wpadł w tarapaty, zawsze był gotów pomóc potrzebującemu.

- Masz coś? - zapytał Toma, wykrzywiając się jak zwykle.

- Nic ważnego - jak dotąd.

- Jakies przypuszczenia co do sposobu, w jaki zdobyli broń?

- Pracuję nad tym.

- To pracuj szybciej - powiedział Stella, rozciągając wargi. - Ci, co pytają, chcą już wiedzieć.

Oddalił się, a Tom zabrał się do roboty i następną godzinę spędził przy biurku, spisał zeznanie Kate White, odpowiadał na telefony, przeglądał wypowiedzi świadków, próbował zaznajomić się z treścią sterty dokumentów narosłej w związku z bieżącą sprawą. Niestety, nie znalazł w nich potrzebnych informacji. Już nagromadził się stos papierów, a oni dopiero zaczynali śledztwo. Nie wątpił, że gdzieś tu się kryła prawda, zakopana w górze notatek, która będzie narastała aż do końca sprawy. Tylko że odnalezienie jej przypominało szukanie na plaży jednego, konkretnego ziarenka piasku.

Gdy wybiła piąta - koniec dnia pracy - Tom właśnie rozmawiał przez telefon z lekarką, Mary Hardy, która potwierdziła, że zarówno nabój znaleziony w ciele Charliego, jak i ten, który zabił zastępcę szeryfa Dino Russo, pochodził ze służbowej broni tego ostatniego, znalezionej obok ciała Chiliego Newtona. Pozostały na niej odciski palców Newtona i Russo.

Tom rozłączył się i ponownie zamyślił nad swoimi notatkami. Niewątpliwie broń zabrano Russo, przed lub po śmierci, tak więc pochodzenie narzędzia zbrodni zostało ustalone. Jednak sig, z którego Soto zastrzelił sędziego i zastępcę szeryfa, należał do wyposażenia wydziału, nie dało się też od razu wyśledzić jego pochodzenia, gdyż wszystkie identyfikacyjne oznaczenia zostały spiłowane. Pozostałe dwa pistolety - z każdego zabito zastępcę szeryfa i cywila - psm i niepochodzący z wydziału glock, także pozbawione cech identyfikujących, niemal na pewno przeszmyglowano z zewnątrz. Pozostawało dowiedzieć się, kto i jak to uczynił.

Tom musiał rozwiązać tę zagadkę.

- Zamierzasz zostać tu całą noc? - zapytał Fish.

Tom uniósł głowę znad papierów, spojrział na stojącego obok biurka kolegę. Fish miał na sobie płaszcz, co oznaczało, że szykował się do wyjścia. Elektroniczny zegarek na biurku wskazywał, że zrobiło się już kilka minut po szóstej. Nagle Tom poczuł się straszliwie zmęczony. Całą poprzednią noc spędził w szpitalu, co dwie godziny przez piętnaście minut siedział przy łóżku nieprzytomnego brata (czyli tak długo, jak pozwalali lekarze z oddziału intensywnej terapii), a pozostały czas w poczekalni, z matką, siostrami, bratową i całą masą innych krewnych, a także przyjaciół i kolegów funkcjonariuszy, którzy wpadali pocieszyć dotkniętą nieszczęściem rodzinę.

- Nie. - Odłożył ołówek i wyprostował się, wyciągając ramiona i szyję, by rozluźnić zeszywniałe mięśnie. Wstał i włożył marynarkę, która wisiała na oparciu krzesła. - Wynoszę się stąd.

- Sprawdziłem w laboratorium medycyny sądowej. Odległość się zgadza - przyznał Fish niechętnie, gdy obaj opuszczali budynek. - Na broni, od której zginął Rodriguez, pełno jej odcisków palców.

Wygląda na to, że ta twoja śliczna asystentka prokuratora rzeczywiście mogła go zastrzelić, tak jak mówiła.

Nazwanie Kate White jego śliczną asystentką prokuratora było celową złośliwością ze strony Fisha. Tom zdawał sobie z tego sprawę i zignorował uwagę.

- Dobrze wiedzieć - stwierdził obojętnie.

Wyszli z budynku i przystanęli na chodniku. Samochód Fisha stał na parkingu na tyłach, więc ich ścieżki się rozchodziły. Zmrok zamieniał się już w całkowitą noc, kilka wyjątkowo jasno świecących gwiazd przebiło się przez ciemne niebo. Białe, delikatne światło lamp halogenowych rozjaśniało przestrzeń przed budynkiem, a także otaczające go parkingi. Lekki wietrzyk niósł wydobywającą się z tłumików woń spalin.

- Idziesz na kolację? - zapytał Fish. Tom potrząsnął głową.

- Wpadnę do szpitala.

- Może potrzebujesz towarzystwa?

Fish pojawił się w szpitalu poprzedniej nocy, ale musiał szybko wyjść, by zająć się śledztwem. Także Tom ze względu na wagę

prowadzonej sprawy przyszedł tego dnia do pracy, pozostawiając reszcie członków rodziny udzielanie wsparcia Charliemu.

- Do diabła, cała moja rodzina tam jest. Wczoraj w nocy pojawili się kuzyni, których nigdy nie widziałem na oczy. W szpitalu mam towarzystwo.

- Tak czy owak później prawdopodobnie zajrzę. Tom skinął głową, uniósł dłoń w pożegnalnym geście i rozeszli się, każdy do swojego samochodu.

- Jeszcze drobna rada! - zawołał przez ramię Fish i Tom pytająco spojrzał w jego stronę. - Zanim tam dotrzesz, wyrzuć tę marynarkę.

Tom spojrzał na siebie, na kępkę nitek w miejscu, w którym wcześniej był guzik, i skrzywił się. Rzeczywiście, marynarkę należało spisać na straty - i to przez Fisha. Może wrzasnąłby za kumplem: „idź do diabła”, ale wolał, by nie usłyszały go koczujące przed budynkiem typy z telewizji; zanim by się obejrzał, puściliby program o rzekomych sporach w wydziale zabójstw.

Co nie byłoby dobre.

Pół godziny później, nadal w marynarce, niezbędnej do ukrycia kabury, którą nosił pod pachą - nie zamierzał iść do domu i przebrać się tylko po to, by dać satysfakcję Fishowi - Tom wszedł do zatłoczonej, jasno oświetlonej poczekalni przed oddziałem intensywnej terapii i znalazł się, jak przewidywał, pośród całej hordy krewnych.

- Tommy.

Matka podniosła się z obitej czerwonym winylem kanapy, na której siedziała wraz ze swoją siostrą Miriam i średnią siostrą Tomą, trzydziestoletnią Vicky. Przytuliła go, a Tom odwzajemnił się serdecznym uściskiem, wdychając lekki zapach perfum Shalimar, których używała, odkąd pamiętał. Na każde Boże Narodzenie ojciec kupował jej dużą ich butelkę, a po jego śmierci lojalnie pozostała przy tym samym zapachu. Sześćdziesięcioletnia Anna Braga była niskiego wzrostu i miała przyjemnie zaokrągloną figurę - w przeciwieństwie do swoich dzieci, gdyż wszystkie odziedziczyły sylwetkę po ojcu. Modnie ułożone, czarne włosy (siwiznę ukrywała pod farbą) otaczały delikatną, ładną twarz z nielicznymi tylko zmarszczkami. Tego dnia wokół jej piwnych oczu widniały czerwone obwódki; łzy wylane poprzedniego dnia pozbawiły jej wzrok zwykłego ożywienia, ale pomalowała usta głęboką, odważną czerwienią i nałożyła róż na policzki. Zawsze powtarzała swym dzieciom, że stan wdowieństwa bynajmniej nie oznacza śmierci za życia. Ubierała się z wielkim smakiem, tego dnia włożyła jasnoróżową bluzkę i szare spodnie. Pracowała jako hostessa w Rocco na Italian Market i nawet od czasu do czasu umawiała się na randki. Całym jej życiem były dzieci, jak zresztą nieraz im przypominała.

- Dzięki Bogu, Charlie ma się lepiej. - Anna zrobiła znak krzyża.

- Jadłeś coś?

- Po drodze kupiłem sobie burgera - skłamał, gdy matka cofnęła się o krok i spojrzała na niego krytycznie.

Odpowiedział tak w zwykłej samoobronie. Gdyby się przyznał, że nic nie jadł, matka wysłałaby kogoś - zapewne Natalie, najmłodszą siostrę - by coś mu przyniósł, a potem dopilnowałaby, aby zjadł do ostatniego okruszka. I jeszcze narzekałaby, że powinien więcej jeść, bo przydałoby mu się kilka dodatkowych kilogramów.

- Zgubiłeś guzik. - Wpatrywała się krytycznym wzrokiem w zwisające nitki. Zmarszczyła brwi, a potem przyjrzała się Tomowi, kręcąc głową. - Potrzebujesz kogoś, kto zająłby się podobnymi sprawami. Żony. Mężczyzna nie ma do tego głowy.

Z trudem powstrzymał się od przewrócenia oczami. Jedynym hamulcem była pewność, że gdyby się ośmielił, dostałby od matki szturchańca. Niemal przez cały ostatni rok uporczywie ogłaszała: „Tom potrzebuje żony”, doprowadzając go do szaleństwa. Odszukał wzrokiem dwudziestodziewięcioletnią Natalie, smukłą i atrakcyjną w dżinsach i pomarańczowym swetrze, o gęstych, ostrzyżonych na chłopca czarnych włosach i leciutkim makijażu - przynajmniej o ile mógł dostrzec - na pociągłej twarzy. Mężatka od siedmiu lat, matka dwójki dzieci, dla których zrezygnowała z pracy poza domem, stała teraz zajęta rozmową z nieznaną Tomowi kobietą. Gdy ich oczy się spotkały, uśmiechnęła się do niego filuternie i pogroziła mu palcem - najwyraźniej dotarły do niej utyskiwania matki.

- A więc, co z Charliem? - Uznał, że najlepiej będzie odwrócić uwagę matki od swojej osoby i skoncentrować na bracie.

- Odłączyli go od respiratora. Terry jest przy nim. Przepisy obowiązujące na oddziale intensywnej terapii dopuszczały obecność tylko jednej osoby naraz w pokoju pacjenta.

- To dobrze.

- Hej, Tom.

Vicky podniosła się i także go uściskała. Obejmując średnią siostrę, zauważył, że najstarszej Tiny, trzydziesto-dwuletniej matki trójki dzieci, nie było w pokoju. Wysoka, szczupła Vicky nosiła swoje długie, czarne włosy splecione w sięgający na plecy warkocz. Była mężatką od dziesięciu lat - członkowie rodziny Braga żenili się młodo i płodzili dzieci niczym króliki - i zdążyła urodzić dwie dziewczynki i chłopczyka. Z zawodu przedszkolanka, była także artystką, teraz miała na sobie luźną, sięgającą do kostek niebieską sukienkę w małe białe kwiatki. Wypuściła Toma z objęć, spojrzała na niego i zmarszczyła czoło.

- Biedaku, masz worki pod oczami. Czy ty w ogóle spałeś?

- Na Boga, tylko nie mów tego przy mamie - odrzekł przyciszonym głosem, rzucając przerażone spojrzenie na matkę, która na szczęście właśnie odwróciła głowę i mówiła coś do cioci Miriam. - Jeszcze każe mi położyć się tutaj, na tej kanapie.

Vicky uśmiechnęła się od ucha do ucha. Dobrze wiedziała, tak jak i Tom, że to absolutna prawda. Anna Braga martwiła się o wszystkie swoje dzieci, ale najbardziej o Toma, gdyż był mężczyzną, najstarszym z całego potomstwa i bez własnej rodziny.

- Chyba pójdę zajrzeć do Charliego. - Tom mówił już głośniej, z nadzieją, że zdoła się wymknąć, zanim mama dostrzeże zmęczenie widoczne na jego twarzy. - Może Terry chciałaby odpocząć.

Jego bratowa Terry, niska, o wysportowanej sylwetce, ruda i piegowata, pod każdym względem samodzielna księgowa, według Toma spodobała się Charliemu, gdyż stanowiła całkowite przeciwieństwo przytłaczających go kobiet, wśród których dorastał. Gdy Tom stanął w drzwiach sali intensywnej terapii, uśmiechnęła się, podniosła z krzesła i podeszła do szwagra.

- Cieszę się, że jesteś - powiedziała cichym głosem, gdy wymienili uściski. - Idź do niego.

Oddaliła się, a on wszedł do środka, wykrzywając się na drażniącą nozdrza mocną woń środków antyseptycznych i Bóg wie czego jeszcze. Dyżurna pielęgniarka spojrzała nań badawczo, gdy szedł w stronę zajmowanego przez Charliego łóżka - w sali stały cztery - i pewnie uznała, że wszystko w porządku, bo znikła za białą zasłoną otaczającą łóżko innego chorego.

Przystanął w nogach łóżka i wtedy dotarły doń chłód i niesamowita cisza panująca w tym pomieszczeniu. Poza odgłosami wydawanymi przez ratujące życie urządzenia nie słychać było żadnych innych dźwięków: rozmów, telefonów, telewizji, nawet kroków. Jakby pacjenci przebywali w stanie zawieszenia, w świecie bieli, między życiem a śmiercią.

Przytrzymał się dłonią poręczy. Zasłona oddzielała brata od kogoś leżącego bliżej drzwi. Tom zauważył ustawione dookoła łóżka

przyrządy wydające brzęki i piski i stojak na kroplówkę; dostrzegł rurki biegnące od ciała brata i zwój bandażu wokół jego klatki piersiowej. Coś ścisnęło go w żołądku.

Tak łatwo sprawy mogły się potoczyć w odwrotnym kierunku.

Potem spojrział na twarz brata - ociągał się z tym, gdyż widok nienaturalnie bladego i nieruchomego Charliego poruszył go bardziej, niż chciał się do tego przyznać nawet przed samym sobą - i ujrzał, że ranny patrzy na niego.

RS

Rozdział 13

Chyba mam twoje geny - ponuro oznajmił Ben, patrząc, jak piłka Kate uderza o cegłę nad garażem, około metra na lewo od kosza i toczy się dalej, podskakując. Owady krążące wokół pordzewiałej lampy, która rzucała mdłe światło na ostatni odcinek podjazdu, rozpierzchły się i zaraz wróciły, ponownie zataczając pętlę. Ich brzęczenie nie ucichło nawet na chwilę.

- Mówisz tak, jakby było w tym coś złego - wydyszała, biegnąc w ciemności zalegające ogródek, by odnaleźć piłkę.

Czuła się tak, jakby robiła to już po raz tysięczny. Minęła ósma trzydzieści wieczorem i Kate z trudem starała się zachować pozory dobrego samopoczucia w sytuacji, gdy zaledwie poprzedniego dnia na jej oczach zamordowano około tuzina osób, a całe jej dotychczasowe życie rozsypało się w jednej chwili. Z przerażenia miała mdłości, a przy każdym niespodziewanym dźwięku aż podskakiwała. Zmusiła się jednak, by po kolacji i odrobieniu z Benem zadań domowych wyjść na dwór i starać się pomóc niezbyt entuzjastycznie nastawionemu do sprawy synowi przygotować się do meczu koszykówki, który w następnym tygodniu miał odbyć się w szkole w ramach zajęć sportowych.

I tak należy robić, gdy ma się dziecko, pomyślała Kate, biegnąc przez podwórze w poszukiwaniu po trzykroć przeklętej piłki: niezależnie od katastrof wydarzających się w naszym życiu, szkoła,

zadania domowe i dodatkowe zajęcia wciąż pozostają te same; to samo dotyczy problemów naszego dziecka.

Żółtawa poświata padająca na postać Bena jeszcze pogłębiała ciemność zalewającą resztę ogrodu. Błady, cienki księżyc i parę wstydliwych gwiazd grały w chowanego z pędzącymi po niebie chmurami. Drzewa się kołysały, a liście szeleściły, poruszone wietrzykiem niosącym ledwie wyczuwalny zapach dymu zapowiadający jesień. Czarne, puszyste niczym mgiełki cienie falowały nad wysepkami poszarzałej trawy. Ziemia, jeszcze wilgotna po deszczu, który padał poprzedniego dnia, ugiwała się lekko pod stopami, a opadłe liście były mokre i zdradziecko śliskie. Kate wypatrzyła wreszcie piłkę w szeregu rozrośniętych krzaków, wyznaczających granicę między posesjami, i pochyliła się, by ją podnieść. Zapach wilgotnej gleby wypełnił jej nozdrza. Wstając, rozprostowała plecy, nie spiesząc się zbytnio do dalszej gry. Miała na sobie dżinsy, znoszoną, rozciągniętą aż po kolana szarą bluzę Phillies i tenisówki; włosy niedbale związała w koński ogon. Pomimo że temperatura spadła do około dziesięciu stopni, było jej gorąco, pocila się i niemal padała ze zmęczenia.

A poza tym z całego serca nie znosiła koszykówki.

- Czy mój tata był dobry w sporcie? - zapytał smętnie Ben, gdy Kate, niosąc piłkę, weszła na plamę światła. Już od około piętnastu minut wykonywali rzuty do kosza i każde miało na koncie mniej więcej dziewięćdziesiąt procent nietrafionych. Z wolna od biegania za piłką zaczynało ją kłuć w boku. Ale Ben tak bardzo się bał, by nie

okazać się najgorszym graczem w całej klasie, nie wyjść na głupka i nie stać się obiektem kpin kolegów, że gotowa była uczynić wszystko, by temu zapobiec. Co nie znaczy, by zdradził się przed nią ze swoich obaw. Za żadne skarby nie zdobyłby się na to. Ale ona wiedziała. Gdy w czasie powrotu od Suzy powiedział jej o zbliżającym się tygodniu meczów koszykówki rozgrywanych w sali gimnastycznej, bez trudu domyśliła się prawdy: zamierzał pozostać w domu przez cały ten czas. Na to nie mogła się zgodzić, tak więc pozostał jedynie trening.

A teraz mały znów łamał jej serce pytaniem o ojca.

- O tak, był niezły - skłamała.

O ile było jej wiadomo, Chaz White, za którego wyszła w wieku osiemnastu lat i który opuścił ją, gdy miała dziewiętnaście, dwa miesiące po urodzeniu Bena, nigdy nie uprawiał żadnej dyscypliny grupowego sportu. Poznała go w Atlantic City, dokąd uciekła po śmierci Davida Brady'ego. Ten przystojny, brutalny nicpoń był ochroniarzem w kasynie, gdzie Kate dostała pracę kelnerki roznoszącej koktajle (posługując się fałszywym dowodem osobistym, podobnie jak niepełnoletni klienci). Już po roku przekonała się, że poza urokiem osobistym, na który się nabrała, Chaz odznaczał się także gwałtownością i skłonnością do wpadania w tarapaty. Zginął niecały miesiąc po ich rozstaniu - ktoś strzelił do niego z jadącego samochodu. Wyczuła grożące jej niebezpieczeństwo, zabrała Bena i znów uciekła, tym razem do Filadelfii, gdzie harowała z całych sił, by zapewnić ukochanemu synkowi lepsze życie. Oczywiście Benowi nie opowiedziała prawdziwej historii swego życia, a w każdym razie nie

zamierzała tego robić jeszcze przez wiele, wiele lat. A o niektórych szczegółach nigdy mu nie wspomni.

- Był dobry w wielu dziedzinach, łącznie ze sportem. Chyba nawet nieźle radził sobie z koszem. Ale pamiętam, jak mówił, że dopóki nie poszedł do szkoły średniej, nie za dobrze mu to szło. Musiał do tego dorosnąć.

Rzuciła piłkę do Bena, by odwrócić jego uwagę i przerwać pytania o ojca.

- Mówisz prawdę? - Spojrzał na nią podejrzliwie, trzymając piłkę w obu rękach.

- Czy skłamałabym ci? - Kate oparła ręce na biodrach.

Cóż, znał ją przecież dobrze. Od czasu do czasu okłamywała go, gdy uznała to za konieczne. A z biegiem lat manipulowała faktami, by wykreować miłszego, łagodniejszego, bardzo kochającego tatę, który zginął w wypadku samochodowym krótko po narodzinach syna. Kiedyś może powie Benowi coś więcej, ale nigdy przenigdy nie wyjawia, że Chaz po prostu odszedł, gdy ich rozwrzeszczany, cierpiący na częste kolki synek wrócił do domu ze szpitala.

Ben nie musiał o tym wiedzieć.

- Czemu miałabym kłamać - odrzekła, walcząc z całych sił z pragnieniem, by się pochylić, oprzeć dłonie na kolanach i łapać oddech. Strasznie się zadyszała. Zapewne tak działał na nią stres, a może to po prostu rezultat zwykłego braku kondycji. - No strzelaj wreszcie, dobrze?

- To bez sensu. - Ben stęknął z niezadowoleniem, ale odwrócił się posłusznie, wycelował i rzucił. Tym razem piłka trafiła w obręcz i odskoczyła.

- Dobra robota. Było blisko - pochwaliła go Kate, szukając wzrokiem przeklętej piłki, która potoczyła się po trawie w stronę wielkiego dębu rosnącego przy chodniku. - Twój rzut, twoja piłka.

- Nie moglibyśmy już iść do domu?

Ben począłapał za piłką, która znikła wśród atramentowych cieni u stóp drzewa. Kate podążyła wzrokiem za jego małą postacią. Dłonie trzymał wciśnięte w kieszenie dżinsów, ramiona pochylone do przodu. Całą swoją postawą wyrażał zrezygnowanie. Podobnie jak ona, miał na sobie bluzę, tyle że w dobrym stanie, z kapturem, w kolorze soczystej zieleni. Oświetlenie na werandzie było włączone, świeciły się także lampy na ulicy, a tu i ówdzie z niezastłoniętych okien biło żółte światło. Jednak noc była tak ciemna, że chodnik jawił się niczym biała wstążka wijąca się między ulicą a drzewem. Kate widziała Bena głównie dzięki jego jasnym włosom.

Obok domu przejechał wolno jakiś samochód, reflektory na moment oblały Bena światłem. Cień chłopca padł na szarą korę wielkiego dębu. Ben niemal dotarł do schowanej wśród korzeni piłki. Kate odprowadziła wzrokiem przejeżdżający samochód i gdy czerwone tylne światła znikły na końcu ulicy, odczuła ulgę. Podjeżdżając do domu po odebraniu Bena, zastała od frontu grupę reporterów, i ponownie poczuła wdzięczność za dobudowany garaż, do tego automatycznie otwierany. Mogła od razu wjechać do środka i

opuścić drzwi, unikając spotkania z przedstawicielami mediów. Zasunęła zasłony w oknach, nie wychodziła z domu ani nie odbierała telefonów, więc po zapadnięciu zmroku zrezygnowali i odjechali. Kate zachowała jednak czujność. Gdy samochody zniknęły i mogła już się rozluźnić, znów zwróciła uwagę na Bena, poruszającego się tak ślamazarnie i niechętnie, jakby był upośledzonym ruchowo żółwiem.

Właśnie poważnie zastanawiała się nad ewentualnym wysłaniem w poniedziałek zawiadomienia do szkoły, że chłopiec skreślił nogę i nie będzie mógł grać w kosza przez cały tydzień, gdy zauważyła jakąś postać wylaniającą się zza dębu i podchodzącą do Bena, który pochylił się po piłkę.

Z przerażenia nie mogła złapać tchu.

Choć znajdowała się za daleko, by cokolwiek usłyszeć, nieznajomy musiał odezwać się do Bena, bo ten, z piłką w rękach, wyprostował się pospiesznie, by spojrzeć na intruza.

Kate poczuła, jak włosy stają jej na karku. Z powodu ciemności zdołała jedynie zauważyć, że człowiek, mówiący coś cicho do jej synka, to dorosły, potężnie zbudowany mężczyzna.

Prawdopodobnie któryś z sąsiadów. Albo reporter. Tyle że miała niedobre przeczucie. Coś było nie tak.

- Ben! - Niczym pocisk przebiegła te kilka kroków. Ciemności połknęły ją, tak jak wcześniej Bena, i przez kilka sekund, dopóki oczy jej się nie przyzwyczyły, widziała niemal wyłącznie kontury.

- Mamusiu.

Przyciskając piłkę do piersi, Ben wycofywał się w jej stronę, jeszcze zanim do niego dotarła. Przez całe życie przestrzegała go przed nieznajomymi, a teraz pojawił się właśnie taki ktoś - groźny... rzeczywisty. Kate opiekuńczym ruchem położyła dłonie na wątych ramionach synka. Wyczuwała jego napięcie i gwałtowny oddech. Gdy Ben przycisnął się do niej mocno, ciepły, lekko spocony od biegania za piłką, z rozwichrzoną czupryną, popatrzyła nad nim przed siebie, na nieznajomego, który stał niespełna metr od nich. Zauważyła, jak uważnie ich obserwował, i serce podeszło jej do gardła.

Nie rozpoznała go w ciemnościach, ale jej szósty zmysł sygnalizował niebezpieczeństwo.

- Kate... White - odezwał się, zanim zdołała wykrztusić słowo; w jego ustach jej nazwisko zabrzmiało jak wyrok.

To nie było pytanie, lecz stwierdzenie. Głos miał niski, głęboki, mówił z szorstkim akcentem zachodniej Filadelfii. Kate nie miała najmniejszego pojęcia, kim był. Zauważyła włóczkową czapkę nasuniętą nisko na oczy i ciemną, zapiętą na błyskawiczny zamek pod samą szyję kurtkę lub koszulę nieznajomego. W stu procentach nie potrafiłaby określić jego rasy, ale światło księżyca pozwoliło jej dostrzec bladą cerę i mocno zarysowane szczęki. Miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, był barczysty, muskularnej budowy. Ale noc kryła rysy jego twarzy. Kate widziała tylko błysk w oczach. Nie widziała natomiast dłoni, co odnotowała ze zdziwieniem, gdy skrzyżował ręce na piersiach; zaraz jednak pomyślała, że zapewne miał ciemne rękawiczki. Choć nie było zimno.

- Wejdz do domu - polecila stanowczo Benowi i pociagnela go za siebie.

- Mamusiu... - W jego glোসie zabrzmial lek. Zawahal sie.

- Rób, co mówię! - Popatrzyła na niego przez ramię. Nigdy nie zwracała się do niego podobnym tonem, więc Ben zrozumiał, że matka nie żartuje. Nadal przyciskając do siebie piłkę, popędził kłusem w kierunku pilota do otwierania wrót od garażu, leżącego w trawie obok chodniczka. Frontowe drzwi domu były zamknięte. Wyszli przez garaż i tylko tak mogli wrócić. Przez moment Kate zastanawiała się, czyby nie pobiec za synem, próbowała ocenić szanse na bezpieczne dotarcie ich obojga do domu, uznała jednak, że jeśli ten człowiek zechce ich dopaść, nie uda im się przed nim uciec. Choćby nie wiadomo jak się starali, tamten i tak okazałby się szybszy. Wrota garażu podnosiły się długo i tyle samo czasu zajmowało ich opadanie. Ich krzyków mógł nikt nie usłyszeć; albo nie zareagować.

Stanęła przed intruzem, z determinacją zagrządzając mu drogę.

- Kim jesteś? - rzuciła ostro. Serce biło jej w przeraźliwie szybkim tempie. Podświadomie zacisnęła dłonie w pięści.

- Mam wiadomość - oświadczył, nie odpowiadając na pytanie. Nie ruszył się, nie podszedł bliżej, nie wykonał żadnego oczywistego gestu, ale Kate wyczuła emanującą z niego straszliwą groźbę. - Mario twierdzi, że jesteś mu coś winna.

- Co takiego?

Przerażona docierającą do niej wiadomością, Kate wciągnęła powietrze. Usłyszała głucho stęknięcie podnoszących się drzwi

garażowych i wiedziała, że Ben czeka i wypatruje jej w ciemnościach, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę. Gdy tak stała niczym sparaliżowana, niezdolna do najmniejszego ruchu, reflektory nadjeżdżającego auta przecięły ciemności na początku ulicy i stopniowo przybliżały się w ich stronę. Akurat gdy wiązka światła miała wyłonić z nocy twarz nieznajomego, mężczyzna cofnął się ze ścieżki. Kate wytrzymała za nim wzrok.

Głos mężczyzny przybrał jeszcze bardziej nieprzyjemne brzmienie.

- Mówił, żebyś nie próbowała wystawić go do wiatru.

Poczuła falę mdłości. Wcześniej nie brała pod uwagę możliwości, że Mario miał wspólników, nie sądziła także, by mógł zagrozić jej fizycznie. Teraz, na myśl o grożącej im przemocy, serce łomotało jej jak oszalałe, w gardle zaschło. Oświetliły ją reflektory i instynktownie odwróciła się w stronę nadjeżdżającego samochodu. Ku jej zdziwieniu, zamiast przejechać dalej, światła skrzyły do ich ogródka i usłyszała, że auto wjeżdża na podjazd. Zaszurały opony na kamieniach. Kate znów spojrzała w stronę obcego mężczyzny, ale już go nie było. Znikł, rozpląnął się w mroku.

O mój Boże!

Przeniosła wzrok na samochód parkujący właśnie przed domem. Jego reflektory oświetliły Bena, który odwrócił się, by spojrzeć na wjeżdżające auto. Mały blondynek w dżinsach i ciemnozielonej bluzie z kapturem, błądzący w jaskrawym świetle reflektorów, miał szeroko otwarte oczy i wyglądał na wystraszonego. Ścisnął w dłoni pilota od

garażu, tak jakby to urządzenie mogło ochronić go przed grożącym mu niebezpieczeństwem.

- Idę, kochanie! - zawołała Kate i jego oczy, pełne niepewności, zwróciły się w jej kierunku.

Przerażona lękiem widocznym na twarzy synka, popędziła do niego przez podwórko. Ktokolwiek właśnie się pojawił, przyjaciel, sąsiad, reporter, nieważne kto, przyjęła z wdzięcznością obecność tej osoby. Choć ani jej, ani Benowi nie grożono użyciem przemocy, czuła smak strachu na wargach, gwałtownie pulsująca krew szumiała jej w uszach.

Mogli zostać pobici. Lub jeszcze gorzej.

Samochód zatrzymał się tuż przed kręgiem światła z ganku. Kate nie mogła go rozpoznać.

Gdy reflektory zgasły, przyszło jej do głowy, że to także może być ktoś związany z Castelanesem. Przeraziła się. Szum krwi był nie do wytrzymania. Przed chwilą jeszcze biegła, teraz jak strzała pogoniła w stronę syna.

- Mamusiu! - Ben wyteżał wzrok, szukając jej w ciemnościach. Tuż za jego plecami drzwi garażowe uniosły się prawie do połowy, odsłaniając czarną czeluść. Mógł już wejść do środka - ale drzwi nie zamknęłyby się na tyle szybko, by powstrzymać intruza, kimkolwiek był. Może jeśli Ben wbiegłby dalej, do mieszkania, które dzieliły od garażu zaopatrzone w lichy zamek drzwi, gdyby dopadł do telefonu i przy odrobinie szczęścia pamiętał, że należy zadzwonić pod numer 911...

- Tu jestem. - Właśnie dotarła do kręgu światła, gdy drzwiczki od strony kierowcy się otworzyły. Rzucając wylęknione spojrzenia w stronę, skąd rozległ się dźwięk, dobiegła do Bena akurat w chwili, gdy jakiś mężczyzna wysiadł i wyprostował się. Był wysoki...

Z sercem w gardle złapała Bena za ramię i już miała wraz z nim wpaść do garażu, a potem do domu, gdy nowo przybyły odwrócił głowę i promień księżyca zaśnił w jego czarnych niczym skrzydło kruka włosach.

W jednej chwili ten wzrost, sylwetka i czarne włosy uświadomiły jej: detektyw Braga.

Zdażyła go rozpoznać, gdy się odezwał:

- Pani White?

- Kto to, mamusiu? - chciał się dowiedzieć Ben. Nadal ścisnął pilota do drzwi, wciąż wystraszony i gotowy, by uciec do garażu.

- W porządku - uspokoiła synka Kate, a sama aż osłabła, gdy zalała ją potężna fala ulgi. Jeszcze kilka godzin wcześniej widok tego człowieka niemal przyprawił ją o atak serca. Teraz miała ochotę paść mu do stóp. - Znam go. To oficer policji. Nic nam nie zrobi.

- Coś się stało?

Dał się słyszeć trzask zamykanych drzwi samochodu, a potem cichy dźwięk, gdy detektyw zamknął centralny zamek przy użyciu pilota. Wyłonił się z ciemności i podszedł do nich, w niewielki krąg światła, a Kate uświadomiła sobie, że syn przyciska się do jej boku, a ona kurczowo trzyma go za ramię. Jeśli miała minę mniej więcej taką

jak Ben, oboje wyglądali, jakby właśnie uniknęli śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Nie byłoby sensu udawać, że nic się nie stało. Tom Braga najwyraźniej zauważył, że wydarzyło się coś złego, świadczył o tym wyraz jego twarzy i zmarszczone czoło. Kate nie zdołała się powstrzymać i rzuciła spojrzenie w stronę dębu, próbując przeszukać wzrokiem cień wokół drzewa i teren za nim. Czy posłaniec Maria jeszcze tam był? Czy ich obserwował?

Ta myśl przyprawiła ją o mdłości.

- Kate? - Zmarszczki na czole detektywa pogłębiały się, w miarę gdy zbliżał się do matki i syna. Odwrócił głowę i podążył wzrokiem za spojrzeniem Kate, lustrując otaczające ich ciemności.

Zmusiła się do zachowania spokoju.

- Nie, nic. Tylko... och, proszę do środka, dobrze? Patrzył na nią bardzo uważnie. Głos jej się łamał, wciąż nie mogła się opanować. Serce jej waliło, puls galopował, adrenalina szumiała jej w żyłach. Ich oczy się spotkały, ale detektyw już się nie dopytywał.

- Oczywiście, dzięki.

To jej wystarczyło. Odwróciła się i ruszyła do środka.

- Czy jesteś pewna, że on jest w porządku, mamusiu? -szepnął z niepokojem Ben, gdy ciągnęła go przez ciemny garaż.

- Jak najbardziej - odpowiedziała także szeptem. Braga szedł tuż za nimi, więc zapewne usłyszał ich wymianę słów, ale było jej wszystko jedno. Teraz przede wszystkim zależało jej na uspokojeniu

synka. Już sama myśl, że mały nie czuje się bezpieczny, doprowadzała ją do szaleństwa.

Ona też nie czuła się bezpieczna, nawet w obecności prawdopodobnie uzbrojonego detektywa, który oddałby zapewne własne życie w ich obronie, a był teraz tuż obok. Ogarnął ją nieoczekiwany, paraliżujący lęk. Nagle cały świat stał się nieprzyjazny, nawet wszystkie rzeczy wokół, i to jej własne, gdy teraz na nie patrzyła, stały się jakieś złowrogie. Pojemniki na śmieci i rowery, a nawet jej poczciwa, niezawodna camry wydawały się niebezpieczne i podejrzane. W cieniu mógł się ukryć każdy. I pojawić się, gdy się tego nie spodziewała, tak jak zbir, który zza dębu wyskoczył na podwórko przed domem.

Kate zaczynała powoli rozumieć, że przez te osiem i pół roku, odkąd uciekła z Benem z Atlantic City, stopniowo zapomniała o strachu.

Teraz przypominała sobie, co znaczy to słowo.

- Zamknij garaż, proszę - zwróciła się do Bena z całym spokojem, na jaki było ją stać, gdy już dotarli do drzwi prowadzących do domu. Posłusznie nacisnął guzik pilota i zgrzyt opadających wrót towarzyszył im w drodze do kuchni.

Powitało ich ciepłe, jasno światło i zapach pasztecików z mielonym mięsem i fasolki z puszki, które jedli na kolację. A także piętrzące się w zlewie talerze i porozrzucane na stole kartki papieru, kalkulator i ołówki - ślady po pracy domowej Bena. Na blacie stała do połowy opróżniona torba z kupionymi artykułami żywnościowymi;

wprawdzie Kate schowała do lodówki łatwo psujące się produkty, ale masło orzechowe, banany i chleb wciąż pozostawały na wierzchu. Wielka, żółta paczka Cheerio miała stałe miejsce obok lodówki, gdyż oboje każdego ranka jedli na śniadanie płatki i Kate nigdy nie mogła się zdobyć na schowanie pudełka do szafki. Jej torebka, komórka i tornister Bena leżały na blacie, rzucone razem obok drzwi. Niewątpliwie w kuchni panował bałagan i zrobiło jej się nieprzyjemnie, bo nagle wyobraziła sobie, jak widzi to pomieszczenie Tom Braga, który właśnie wszedł.

Co za idiotyzm. Utrzymywanie nieskazitelnego ładu w domu nigdy nie miało dla niej większego znaczenia. W końcu było tu czysto (no, do pewnego stopnia), jeśli nawet nie całkiem porządnie.

- Kim był ten człowiek, mamusiu? - zapytał Ben, gdy Kate zamknęła drzwi prowadzące z garażu do kuchni i przekręciła klucz w zamku.

Stała twarzą do synka i skrzyżowała ręce na piersiach, rozcierając dłońmi ramiona, jakby nagle zrobiło jej się zimno, chociaż miała na sobie bluzę. Braga uważnie obserwował jej zachowanie. Próbując ukryć przed nim zdenerwowanie, opuściła ręce wzdłuż ciała i rzuciła Benowi wymuszony uśmiech. Chłopiec, wyraźnie zaniepokojony, zacisnął małe usta. Martwił ją wyraz jego twarzy, ale próbowała nie zdradzić się z tym przed obserwującym ich detektywem.

- Nie mam pojęcia. - Potrząsając głową, odebrała od Bena pilota i odłożyła na miejsce, na blacie obok drzwi, koło innych rzeczy, których będą potrzebowali, spiesząc się rano do wyjścia.

- Może dowiem się wreszcie, co się stało?

Braga nie odrywał wzroku od jej twarzy. W jasnym świetle jego oczy wydawały się prawie czarne. Zauważyła, że sprawiał wrażenie nawet bardziej zmęczonego niż przedtem, niemal na granicy wytrzymałości. Stanowczo zarysowany podbródek pokrył się lekkim zarostem, usta zastygły w grymasie. Pogłębiły się linie wokół nosa i ust, a pod oczami pojawiły się delikatne rysy i cienie, których wcześniej nie widziała. Górny guzik białej koszuli miał odpięty, a węzeł ciemnoczerwonego krawata poluzowany. Był w tej samej jasnobrązowej marynarce - teraz brakowało górnego guzika - i w granatowych spodniach.

- Przyszedł do nas jakiś mężczyzna - wyrwało się Benowi, zanim Kate zdążyła odpowiedzieć. Oczywiście mały powie wszystko, co wie; nie oczekiwała ani nie chciała, by postąpił inaczej. W przeciwieństwie do niej syn nie miał powodu kłamać. - Był okropny.

- Przed chwilą? - Detektyw zeszywniał i popatrzył w stronę drzwi, jakby zamierzał wyjść na podwórko. - Wtedy, kiedy przyjechałem?

- Poszedł sobie - powiedziała Kate. - Nic się nie stało.

- Jak się zachowywał?

- Wychylił się zza drzewa i zapytał: „Czy ty jesteś Ben?”. A potem przyszła mama.

Świadomość, że ktoś obcy zna imię jej syna, pozbawiła Kate tchu. Znowu zakręciło jej się w głowie. Ale nie mogła się zdradzić ze swoim przerażeniem, nie teraz, nie przy tym człowieku. Braga był zbyt spostrzegawczy, a ona miała za dużo do ukrycia.

- Zwrócił się do mnie imieniem i nazwiskiem - wyjaśniła. - Powiedział: „Kate White” - powtórzyła, naśladowując złowrogi ton nieznajomego. I zadrzała, ostentacyjnie, na użytek Bragi, jakby samo wspomnienie głosu intruza przyprawiło ją o dreszcze.

- To wszystko? - Policjant zmarszczył brwi.

- Mamusia kazała mi biec do domu. Właśnie wtedy pan przyjechał.

Detektyw spojrzał pytająco na Kate. Przytaknęła ruchem głowy.

- Kto to był? Zna go pani?

- Nie. - Kate potrząsnęła głową.

- A jak wyglądał? Opisała intruza.

- Myślałem, że nas zabije. - Ben spojrzał z powagą na Bragę, rozpinając bluzę. - Mama też. - Rzucił na nią okiem, oczekując potwierdzenia, a gdy nic nie powiedziała, dodał: - Przecież widziałem.

Braga znów zatopił wzrok w jej twarzy.

- To było trochę... denerwujące - przyznała. Ostatnie słowo można by zaliczyć do rozmaitych poważnych niedomówień, jakimi przyszło jej się posługiwać w życiu.

- Chyba przede wszystkim wystraszyliśmy się tak z powodu ciemności, no i... pojawił się nie wiadomo skąd. -Z uśmiechem

wzruszyła ramionami, pomniejszając wagę wydarzenia. - Tak jakoś dziwnie.

Detektyw najwyraźniej nie odczytał właściwie języka ciała Kate, bo szybko i zdecydowanie ruszył w jej stronę - wyraźnie zmierzał do drzwi - zanim jeszcze skończyła mówić. Spod rozsuniętej marynarki, pod lewą pachą błysnęła profesjonalnie czarna kabura z tkwiącym w niej pistoletem.

- Dokąd pan idzie, detektywie? - Wciąż stała mu na drodze. Jednak poza użyciem siły fizycznej nie miała sposobu, by zatrzymać go w kuchni. Z rezygnacją godząc się z tym co nieuchronne, odsunęła się, by go przepuścić.

- Na dwór, rozejrzeć się. - Sięgając ręką do drzwi, rzucił przez ramię: - Na wypadek gdyby ten dowcipniś jeszcze się tu kręcił. Jak wrócę, opowie mi pani wszystko dokładnie.

- Już dawno sobie poszedł. - Kate była tego pewna. A nawet jeśli nie, nie chciała, by Braga go dopadł. Woląca, aby ten doświadczony detektyw nie wywąchał, że coś ją łączy z Mariem. Ta myśl była niemal prawie tak samo przerażająca jak nagłe pojawienie się nieznajomego.

Prawie.

- Tylko sprawdzę. - Wziął pilota od garażu i wyszedł z kuchni, zamykając za sobą drzwi.

Kate zacisnęła wargi, próbując się uspokoić. Czując szaleńcze tempo pulsującej krwi, stała wpatrzona w obite białymi panelami

drzwi. Wsłuchana w stłumiony zgrzyt otwierającego się garażu modliła się, aby zbira naprawdę już nie było.

- Wszystko w porządku, mamusiu? - zapytał zza jej pleców Ben.

Kate podskoczyła, ale natychmiast się opanowała i z uśmiechem odwróciła twarz do synka. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, to jeszcze bardziej przestraszyć dziecko.

- Oczywiście, wszystko w porządku. W jak najlepszym.

- Coś kiepsko wyglądasz. - Mierzył ją krytycznym spojrzeniem.

- Jakbyś była naprawdę zdenerwowana.

- Bo jestem - przyznała, gdyż nie było sensu zaprzeczać temu, co sam widział. - Ale już mi przechodzi. Na widok obcego człowieka pojawiającego się nie wiadomo skąd każdy by się zdenerwował. Ale tak naprawdę to on nic nie zrobił.

- To było jak z horroru - powiedział Ben. - Myślałem, że zaczniesz nas ciąć czy coś w tym stylu. Jak na „Halloween”.

Kate uspokoiła się wystarczająco, by móc udawać przed Benem, że wszystko wróciło do normy. Spojrzała na synka zmrużonymi oczami. Nie wolno mu było oglądać tego rodzaju filmów, i dobrze o tym wiedział.

- Kiedy go oglądałeś?

- No... Kiedyś u Samantha. - Miał minę winowajcy.

- Aha. - Wszakże zmartwienie z powodu oglądania przez Bena zabronionych filmów akurat teraz znajdowało się na końcu jej listy. Z dezaprobatą pokiwała głową, potem podeszła do syna, objęła go i mocno przycisnęła do siebie. Jakie byłoby jej życie bez Bena? Wolą

nigdy tego nie sprawdzić. - Tam na dworze zachowałeś się bardzo dzielnie. I zrobiłeś dokładnie to, co ci kazałam. Dobra robota.

Zamiast protestować czy próbować uwolnić się z ramion matki, co normalnie by zrobił, Ben też ją uściskał, szybko i mocno. Co wyraźnie powiedziało Kate, że nadal jest wstrząśnięty incydentem na podwórku.

Usłyszeli zgrzyt opadających garażowych drzwi, a po sekundzie otworzyły się kuchenne. Ben już się uwalniał z uścisku matki, gdy Braga wchodził do środka.

- Nie ma nikogo - odpowiedział na pytające spojrzenie Kate. - Na wszelki wypadek polecę ludziom z patrolu przeszukać sąsiedztwo. - Spojrzał na Bena, który bacznie go obserwował, stojąc obok Kate, uśmiechnął się i wyciągnął dłoń. - A przy okazji, jestem Tom Braga.

- Ben White. - Chłopiec uściskał mu rękę, zachowując się i mówiąc jak ktoś dorosły, aż Kate ścisnęło coś w gardle. Przez moment w wyobraźni widziała, jakim mężczyzną stanie się pewnego dnia jej syn.

Jeśli tylko uda jej się wystarczająco długo trzymać z dala potwory.

Ta myśl wystarczyła, by znów poczuła, jak ogarnia ją napięcie.

- A tak przy okazji, co pan tu robi? - Ruszyła w stronę stołu, aby pozbierać pozostałości po domowym zadaniu. Popatrzyła na Bragę pytająco i rzuciła przez ramię do syna: - Ben, możesz to pochować?

Podawała mu ołówki, których zawsze używali, a on bez słowa włożył je do kubka stojącego obok mikrofalówki, w którym trzymali

rozmaite potrzebne drobiazgi. Musiała naprawdę wystraszyć się nie na żarty, jeśli pojawienie się policjanta przyjęła jak cudowne zrządzenie losu.

- Chciałem z panią porozmawiać. - Mimo swobodnego tonu w oczach Bragi pojawił się jakiś dziwny wyraz, który ponownie wyprowadził Kate z równowagi.

Próbowała jednak nie okazywać niepokoju.

- O czym?

- O niczym ważnym. Chciałbym jedynie wyjaśnić kilka szczegółów dotyczących tego, co wcześniej nam pani opowiedziała.

Serce jej zamarło. Po zastanowieniu uznała, że bagatelizował sprawę wyłącznie ze względu na Bena.

- Jeżeli tak, to nie rozumiem, czemu nie poczekał pan do jutra.

W odpowiedzi wzruszył ramionami, a Kate zadowolona, że może ukryć twarz, dopóki się nie opanuje, odwróciła się i przykucnęła, by schować notatnik i kalkulator do szafki, w której trzymała przybory szkolne. Przez cały czas czuła na plecach wzrok detektywa.

- A więc jest pan przyjacielem mojej mamy? - ni stąd, ni zowąd zagadnął nastroszony Ben, nagle ogarnięty poczuciem odpowiedzialności za matkę.

Kate - jak miała nadzieję, niepostrzeżenie - wciągnęła gwałtownie powietrze. Całe życie byli tylko we dwoje, więc nic dziwnego, że wzajemnie się sobą opiekowali, nie chciała jednak, by Ben staczał o nią walki. Chłopiec patrzył teraz poważnie na

detektywa, z widocznym w oczach wyzwaniem. Najwyraźniej wyczuł w panującej wokół atmosferze coś, co go zaniepokoiło.

Braga odpowiedział, nim zdążyła się odezwać.

- Jestem jej przyjacielem - oznajmił.

Rzuciwszy okiem na matkę, która przytaknęła ruchem głowy, Ben się odprężył. Braga spojrział na Kate. Wargi rozciągnęły mu się w niesięgającym oczu uśmiechu.

- Ma pani w domu przypadkiem trochę kawy?

Miała. Nie przetrwałyby dwóch ostatnich dni, ciągnących się bez końca i tak bardzo męczących bez olbrzymich dawek kofeiny.

Spojrzała na detektywa, mrużąc oczy. Choć była mu wdzięczna za odstraszenie zbira, a także za uspokojenie Bena, co właśnie przed chwilą mu się udało, nie miała jednak złudzeń co do demonstrowanej przez niego dobroduszości - po prostu udawał. Wyraźnie miał wątpliwości związane z jej zeznaniami, a próba domyslenia się, o co chodzi, przyprawiła Kate o ból żołądka. Co nie znaczy, że się z tym przed nim zdradzi.

- Ma pan ochotę na filiżankę kawy, detektywie? - zapytała, nie kryjąc ironii.

- Dziękuję. Byłoby cudownie - odpowiedział z klasą. I po króciutkiej przerwie dodał: - Kate.

A więc teraz jesteśmy Tom i Kate, naprawdę? Nie wyobrażaj sobie, że dam się nabrać na tę naszą rzekomą przyjaźń, pomyślała.

- Mleko czy cukier, Tom? - W jej tonie zabrzmiałyby większa uszczypliwość, gdyby Ben nie stał obok.

- Czarną - odrzekł Braga i odwrócił się do chłopca. -

Może ty i ja usiądziemy gdzieś sobie i opowiesz mi raz jeszcze, co dokładnie wydarzyło się przed domem. Chcę mieć pewność, że dobrze zrozumiałem.

- W porządku. - Ben zdjął bluzę i rzucił ją na stół. -Pójdziemy do dziennego? - Nagle, niepewny, poszukał wzrokiem Kate, prawdopodobnie nieświadomie wyczuwając jakieś przesłanie, które chciała mu przekazać wyrazem twarzy lub postawą. - Możemy, mamusiu?

Kate w ostatniej chwili powstrzymała się od zaciśnięcia ust. Przypuszczała, że Braga ma nadzieję na wyciągnięcie z Bena więcej informacji, jeśli jej nie będzie w pobliżu. Zapewne detektyw rozumował właściwie, jednak oprócz kilku nieistotnych szczegółów, jej syn powiedział już wszystko.

Dzięki Bogu nie słyszał ostatniej części wypowiedzi tamtego człowieka.

- Pewnie. - Spojrzała na duży okrągły zegar wiszący na ścianie za lodówką. Za dziesięć dziewiąta. - Tylko uwińcie się szybko z tą rozmową. Daję wam czas do dziewiątej. Jutro trzeba iść do szkoły.

Ben jęknął.

- Nienawidzę szkoły - oznajmił ponuro i ruszył w stronę pokoju dziennego, a Tom Braga poszedł za nim.

Kate odwróciła się, by wyjąć z szafki kawę - sprawdziła, że w dzbanku na cztery kubki pozostały tylko fusy po tej, którą zaparzyła,

wróciwszy do domu po pracy - i poczuła, że serce bije jej tak mocno,
jakby chciało wyskoczyć z piersi.

RS

Rozdział 14

Pokój dzienny mieścił się na tyle blisko kuchni, że było słycać, jak Kate przygotowuje kawę, pobrzękując naczyniami. Ben wgramolił się na złocisty, pluszowy bujak, który zakołysał się pod jego ciężarem. Chłopiec rozsiadł się z poważnym wyrazem twarzy, opierając ręce na poręczach fotela. Stopami nie dotykał podłogi. Tom usiadł obok niego na obszernej, wygodnej kanapie i rozejrzał się po niewielkim, przytulnym pokoju. Dwie mosiężne lampy rzuciły ciepłe światło na pomieszczenie. Na stojaku obok kominka na drugim końcu pokoju stał telewizor, a drewniane drzwi z wieloma małymi szybami najwyraźniej prowadziły do jeszcze jednego pomieszczenia. Telewizor był wyłączony, a ten drugi pokój ciemny. Po lewej stronie Toma znajdowały się frontowe drzwi i schody na piętro.

Zapach kawy ściągnął wzrok Toma z powrotem na otwarte drzwi do kuchni.

Prawdopodobnie popełnił błąd, nie wróciwszy do domu, by przed konfrontacją z Kate uciąć sobie krótką drzemkę, ale słowa Charliego zaniepokoiły go do takiego stopnia, iż wiedział, że nie zaśnie, dopóki przynajmniej nie spróbuje wyjaśnić swoich wątpliwości. Otóż Charlie twierdził, że gdy został postrzelony i leżał na podłodze w celi, pozostawiony sam sobie do czasu nadejścia pomocy, chwilami odzyskiwał przytomność na tyle, by zorientować się, że w korytarzu znajdowało się dwóch mężczyzn i jedna kobieta -

cała trójka żywa i zdrowa. Dwóch mężczyzn, a nie jeden, ubranych w więzienne pomarańczowe kombinezony. Gdy leżąc, udało mu się przez szparę w drzwiach spojrzeć na kobietę, zauważył jej wyjątkowo zgrabne łydki i kostki, a także czarne, seksowne czółenka na wysokich obcasach.

Bingo. Tom także zapamiętał te łydki i kostki oraz te buty: szpilki Kate White.

Tyle że nie powinno tam być dwóch mężczyzn.

- A więc, co pan chce wiedzieć? - wyrwało go z rozmyślań pytanie Bena.

Tom spojrział na dzieciaka. Podobnie jak matka był szczupły, drobnej budowy, z czupryną jasnoblonde włosów i wielkimi, wyraziście niebieskimi oczami. Detektyw przypuszczał, że mały ma jakieś siedem, najwyżej osiem lat. Akurat był w wieku jego dwóch siostrzeńców i siostrzenicy.

- Dobra, zaczynamy od początku: po pierwsze, co robiliście na dworze?

Ben się skrzywił.

- Trenowaliśmy koszykówkę.

- Nie lubisz kosza? - Nie miał wątpliwości, sądząc po tonie chłopca.

Ben potrząsnął głową.

- No to dlaczego ćwiczyłeś? Po zmroku? - Przypomniał sobie słowa Kate. - Wieczorem, gdy następnego dnia masz szkołę?

- Bo jestem w tym beznadziejny. A w przyszłym tygodniu na zajęciach z wychowania fizycznego mamy ten idiotyczny turniej koszykówki.

Tom kiwnął głową.

- A więc trenowaliście rzuty na podwórku. I co potem?

- Piłka potoczyła się gdzieś dalej i poszedłem po nią, a wtedy ten mężczyzna po prostu wyszedł zza drzewa i zapytał, czy nazywam się Ben.

- Co powiedziałeś?

- Nie odezwałem się. Byłem zbyt przestraszony.

- Gdzie stała wtedy mama?

- Przy obręczy. Chyba widziała, jak ten człowiek do mnie mówił, bo zaraz przybiegła.

- Kiedy wyszła na podwórko?

- Była tam przez cały czas. Pomagała mi trenować. - Ben wykrzywił się, ściszył głos, zrobił tajemniczą minę i poszukał spojrzeniem oczu Toma. - Niech pan jej nie zdradzi, że to powiedziałem, ale tak naprawdę to nie na wiele się przydaje. Także jest beznadziejna w koszykówce.

- Twój tata nie mieszka z wami? Ben potrząsnął głową.

- Zginął w wypadku samochodowym, gdy byłem całkiem mały.

Teraz jesteśmy tylko mama i ja.

- Przykro mi to słyszeć. - Tom żałował, że poruszył ten temat.

Gdyby nie zmęczenie, wcześniej zauważyłby brak jakichkolwiek śladów obecności ojca Bena. Na przykład na biurku Kate stała tylko

jedna fotografia: jej syna. Żadnego rodzinnego zdjęcia czy podobizny męża. - Musisz wiedzieć, że mój tata także umarł, gdy byłem dzieckiem. Choć nie niemowlakiem. Miałem dziewięć lat.

- Tyle, ile ja teraz.

- Naprawdę? - Pomylił się o rok. Chłopiec był mały jak na swój wiek.

Ben kiwnął głową.

- Czy zwykle wychodzicie na dwór i trenujecie kosza - lub tylko wychodzicie na dwór - mniej więcej w tym samym czasie? Po zmroku?

Ben potrząsnął głową.

- To było pierwszy raz. Bo mama uważa, że jeśli będę ćwiczył, poprawię się. - Podciągnął kolana pod brodę i objął je rękami. - Ale to nieprawda. Nie rozumiem, jak ktoś może lubić tę głupią koszykówkę.

- Czasem to niezła zabawa. Jak już się zaskoczy. - Tom spojrzał na skuloną postać Bena i poczuł ukłucie współczucia. Dorastanie bez ojca - dobrze pamiętał, jak to jest: ciężko. - Twoja mama ma rację, trening pomaga. Jeśli rzucisz piłką do kosza wystarczająco wiele razy, z początku trafisz od czasu do czasu, a pewnego dnia po prostu zaczniesz ci to wychodzić.

- Grał pan kiedykolwiek w koszykówkę?

- Byłem niezły w liceum. Dostałem się do drużyny, ale odszedłem po pierwszym roku studiów.

- Dlaczego?

Tom wzruszył ramionami.

- Musiałem znaleźć sobie pracę po szkole i pomagać rodzinie. Było nas pięcioro rodzeństwa, potrzebowaliśmy pieniędzy. - Powrócił do sprawy. - Posłuchaj, Ben, czy ostatnio zauważyłeś kogoś kręcącego się w pobliżu waszego domu lub podwórka?

Chłopiec pokręcił głową.

- Twoja mama ma jakichś przyjaciół, facetów, którzy mogliby być na nią wściekli?

Ben ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

- Ona nie ma żadnych facetów. Cały czas jest bardzo zajęta.

Tom nie skomentował tego, choć pomyślał, że to niemal niemożliwe, by kobieta o powierzchowności Kate White nie miała w zanadrzu przyjaciela lub dwóch. Najwyraźniej ukrywała przed dzieckiem swoje życie miłosne.

- Widziałeś, w którą stronę odszedł ten gość? Znowu przeczący ruch głową.

- Byłem wtedy przy garażu. Mama kazała mi wejść do środka, popchnęła mnie w stronę domu.

Tom zmarszczył brwi.

- A sama została? Ben skinął głową.

- Słyszałeś, co ten gość do niej powiedział?

- Nie. Próbowałem dostać się do domu i wezwać policję. A potem pan przyjechał. - I zanim Tom miał czas o coś jeszcze zapytać, dodał cichym głosem: - Czy ktoś próbuje zrobić mamie krzywdę?

- Co takiego? - Tom się zastanowił. Pomyślał trochę, a po chwili, nagle zainteresowany, pochylił się do Bena, przyciskając ręką gruby wałek kanapy. - Skąd ci to przyszło do głowy?

Ben zastanowił się, marszcząc czoło.

- Wczoraj wydarzyło się tamto, w miejscu, gdzie ona pracuje. Ktoś w szkole powiedział, że omal jej nie zabili. Dzisiaj wieczorem jakiś człowiek przyszedł do naszego domu. A pan jest policjantem, i też się pan u nas pojawił. I... i... - zamilkł i po chwili, patrząc Tomowi w oczy, ciągnął dalej. - Ona chyba się boi.

Mądry dzieciak. Tom omal nie wypowiedział swojej myśli głośno, a w duchu przyznał, że właśnie to wyczuwał u Kate. Bała się. Nie tylko tego wieczoru, ale i wtedy, gdy on i Fish złożyli jej wizytę w biurze. Dalsze rozmyślania przerwał mu cichy brzęk naczyń i zbliżające się kroki. Pewnie pani domu nadchodziła z kawą. Należało zmienić temat rozmowy, a przede wszystkim przemyśleć całą sprawę.

- Więc pobiegłeś za piłką, a ten człowiek po prostu wyskoczył zza drzewa - pytał dalej. - Odezwałeś się do niego?

Mały pokręcił głową i przeniósł wzrok na mamę, która pojawiła się obok nich z dwoma białymi, grubymi kubkami, kilkoma serwetkami i talerzykiem.

- Dziewiąta - powiedziała do Bena stanowczym tonem. Podała Tomowi kubek i talerzyk i położyła serwetki na stoliku do kawy. Na talerzyku leżało kilka drobnych czekoladowych ciasteczek. Takich z pacuszki. Jeśli się nie mylił, nazywały się Chips Ahoy.

Dopiero gdy na nie patrzył, uświadomił sobie, jak bardzo jest głodny. Zupełnie zapomniał o obiedzie.

- Dzięki - powiedział szczerze i sięgnął po ciasteczko.

- Proszę bardzo. - Kate spojrzała na Bena. - Kąpiel i do łóżka.

Chłopiec jęknął, ale najwyraźniej ta kwestia nie podlegała negocjacom, bo bez protestu wstał z fotela. Tom był pod wrażeniem. Jego siostrzeńcy i siostrzenice opierali się, gdy wysyłano ich do łóżka. Protestowali głośno i gwałtownie za każdym razem, gdy był u nich o tej porze.

- Powiedz „dobranoc” detektywowi Bradze - upomniała syna Kate, gdy Ben powoli przechodził obok nich w stronę schodów.

Mały spojrzał na Toma spod oka. W jego spojrzeniu malowała się wyraźna prośba, by nie powtarzać matce jego słów.

- Dobranoc.

- Dobranoc, Ben - odrzekł Tom.

- Zawołaj mnie, jak będziesz gotowy - powiedziała Kate.

Ben skinął głową. Potem Tom stracił chłopca z oczu; gdy Kate z parującym kubkiem w ręce usiadła na złocistym fotelu, który właśnie zwolnił jej syn, detektyw automatycznie skupił na niej całą uwagę.

Z włosami związanymi w koński ogon - kilka luźnych kosmyków okalało jej twarz - wyglądała bardziej jak nastolatka niż asystentka prokuratora. Niewielki kawałek plastra tuż pod kością policzkową przypominał, jak niewiele brakowało, by wczoraj zginęła, i Tom w myślach podziękował niebiosom, że przeżyła. Jej rysy - sam nie wiedział, czy można nazwać je klasycznymi; co, u diabła, wiedział

o klasycznych rysach twarzy? - bardzo mu się podobały. Lekko wypukłe czoło, wysokie kości policzkowe, mocna linia brody - wszystko to zdawało się świadczyć o jakichś przodkach wikingach. Usta - szerokie, łagodne i bardzo różowe - były zarazem kobiece i stanowcze. Nos miała wąski, o wytwornym kształcie, zarys podbródka świadczył o uporze. Luźne wycięcie zbyt obszernej, szarej bluzy odślaniało obojczyki; do rzucania piłki włożyła spłowiałe dzinsy i tenisówki. Za duża bluza, w której ginęło ciało, sprawiała, że jego krągłości - mimo szczupłej sylwetki Kate nie była ich pozbawiona, widział to wyraźnie - nie były przesadnie demonstrowane. W sumie była raczej smukła i gibka, o drobnych kościach, ale jej figura wydała mu się bardziej seksowna niż zmysłowe, obfite kształty, w jakich dotąd gustował.

W oczach Kate - Tom próbował nie pamiętać, że Fish określił je jako wielkie, niebieskie i łożkowe - wyraźnie malowała się czujność.

Ta kobieta coś ukrywa. Był tego niemal pewien.

- Dziękuję za ponowne przyście mi na ratunek. - Kate upiła następny łyk kawy, obserwując Toma znad krawędzi kubka.

- Nie ma sprawy. - Uśmiechnął się do niej. - To należy do obowiązków policji.

- Czy Ben umiał dodać jeszcze coś do tego, co powiedział wcześniej?

Czyżby go indagowała?

- Właściwie nie. - Dokończył jeść ciasteczko, popił je łykiem kawy. - A tak przy okazji, masz wspaniałego dzieciaka. - Znow się do niej uśmiechnął.

- Dziękuję. - Tym razem zrewanżowała mu się uśmiechem, ale ta pozorna wesołość nie obejmowała jej czujnych oczu. Teraz zaczynał widzieć to coraz wyraźniej. Coś z nią nie tak. Ale co? Pomyślał o Benie i nagle zapragnął, by to, czego zaczynał się obawiać, nie okazało się prawdą: że Kate brała udział we wczorajszym zbrodniczym spisku.

- Musi być ci ciężko wychowywać go samotnie.

- Dajemy sobie radę. - Pewnie usłyszała chłód w swoim głosie, bo zaledwie ułamek sekundy później dodała łagodniej: - Faktycznie, było ciężko.

- Masz tu jakąś rodzinę, która mogłaby ci pomóc?

- Nie. - Nawet nie próbowała ukryć niechęci. Wypiła jeszcze trochę kawy, a potem odstawiła kubek na dzielący ich stół i spojrzała Tomowi prosto w twarz. - Tak więc, detektywie, co mogę dla pana zrobić?

- Tom - poprawił.

- Tom. - Jeżeli w jej głosie zabrzmiała niecierpliwość, to potrafiłby to zauważyć wyłącznie ktoś taki jak Tom, który zaczynał poznawać jego niuanse.

- Na początek powiedz mi, czego się boisz.

Był to strzał w ciemno, ale definitywnie trafiony. Jej oczy stały się większe, zatrzepotała rzęsami. Wargi rozchyliły się i wciągnęła

powietrze. A Tom już wiedział, że jest na właściwym tropie. Jednak jej twarz tak szybko, jak się zmieniła, na powrót ukryła się pod maską spokoju. Oczy na powrót stały się duże, niebieskie i niewinne.

- O czym, u licha, mówisz? - Uniosła pytająco brwi. Była dobra, musiał jej to przyznać. Ale niewystarczająco szybka: zdążył zobaczyć wszystko, czego było mu trzeba.

- Co naprawdę wydarzyło się wczoraj, Kate? - Nie odrywał oczu od jej twarzy. Jego głos brzmiał niemal czule.

I znowu wydało ją drgnienie powiek. I ten nagły, zapewne nieświadomy trzepot rzęs. Potem spojrzała mu prosto w oczy.

- Wiesz dokładnie, co się wydarzyło, powiedziałam ci. Złożyłam zeznanie pod przysięgą i odpowiedziałam na twoje pytania. Na wszystkie. - Siedziała wyprostowana na fotelu. Jej paznokcie - owalne, zadbane, lśniące od jasnego lakieru - niemal wbijały się w poręcz. Popatrzyła na niego z wściekłością. - O co mnie oskarżasz?

Przejście do ofensywy wypadło znakomicie. Głos jej nawet nie zadrzał. Plecy trzymała prosto. Podbródek uniosła w górę. Oczy rzucały błyskawice.

Tylko że wszystko to było ułamek sekundy za późno.

- O nic cię nie oskarżam. Ale jest coś, czego mi nie mówisz.

Przez chwilę po prostu nie odwracała wzroku. Potem zaśmiała się krótko i pogardliwie.

- Na przykład co? Jaki mam numer butów? Co jadłam na lunch? Panięskie nazwisko mojej matki? Wyjaśnij mi, o co ci chodzi, a odpowiem, czy coś wiem na ten temat.

- Kim był ten drugi mężczyzna w korytarzu, oprócz Rodrigueza?

Nie poruszyła się ani nie drgnęła. Nie mrugnęła oczami, nic.

- Już przerabialiśmy tę kwestię. Twój brat, jeszcze jeden zastępca szeryfa i jakiś więzień leżeli na podłodze w jednej z cel. Poza nimi nie było tam nikogo.

- A ja myślę, że był ktoś jeszcze. Ściągnęła brwi.

- Ben wierzy w Świętego Mikołaja, co nie znaczy, że ten istnieje.

Punkt dla niej.

Jeśli kłamała, najwyraźniej robiła postępy. A może Charlie się pomylił. Może w korytarzu nie było innego mężczyzny poza Rodriguezem? Do diabła, Charlie mógł po prostu mieć halucynacje. Albo widział podwójnie. A nawet jeśli nie, jeśli w stu procentach miał rację, jego niczym niepotwierdzone zeznanie nie przejdzie w sądzie.

- A według pana, detektywie, kto mógł tam jeszcze być?

Musi zapomnieć o nazywaniu go Tomem. To wróg. W jej oczach pojawił się wojowniczy błysk, wargi przypominały cienką kreskę, zacisnęła szczęki. Wszystko to miało ukazać niewinnie oskarżaną kobietę.

Albo bardzo dobrą aktorkę.

W każdym razie zyskała nad nim przewagę. Nic nie wiedział - jeszcze nie.

Co nie znaczy, że zamierzał się jej do tego przyznać. Niech się poci.

- Słuchaj no, Kate. Mamy tak dużo zabitych, łącznie z sędzią i kilkoma zastępcami szeryfa. Zastrzelonych w biały dzień, w sali rozpraw, na terenie pozostającym pod nadzwyczajnym nadzorem. Zamordowanych przez próbujących uciec więźniów. Mam za zadanie dowiedzieć się, jak do tego doszło. Usiłuję to zrobić.

- Sugerujesz, że miałam z tym coś wspólnego? Niedowierzenie dźwięczące w jej głosie wydawało się autentyczne. Tom zmrużył oczy. Prawie-prawie uwierzył w jej niewinność.

Ale jeśli była niewinna, to czego się bała?

- Mamusiu! - Głos z piętra zaskoczył ich oboje. Dopiero wtedy, gdy wołanie Bena dotarło do nich, Tom stał się świadom napięcia panującego w pokoju. - Jestem gotowy!

Oczy Kate pozostały wpatrzone w niego jeszcze przez chwilę. Potem spojrzała w stronę schodów i wstała.

- Idę! - zawołała. Ponownie obrzuciła Toma wzrokiem. Miała kamienny wyraz twarzy.

- Zawsze idę na górę, otulam Bena i czytam mu, nim zaśnie. Więc...

Głos jej się urwał, ale miną wyraźnie dała mu do zrozumienia, że prosi, by już sobie poszedł. Uśmiechnął się.

- Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zaczekam tutaj do twojego powrotu? Gdybyś mogła jeszcze zejść, byłbym ci wdzięczny.

Pozostało mi jeszcze kilka pytań. W jej oczach pojawił się lód.

- Powiedziałałam wszystko, co wiem. Nie mam nic do dodania.

- Rozumiem. Muszę jednak zadać te pytania. Oczywiście, jeśli wolisz, możemy zrobić to jutro. W Okrąglaku.

Najwyraźniej zrozumiała ukrytą w tych słowach groźbę. Jeśli nie będzie współpracować, Tom zawsze może pojawić się w jej biurze i zabrać ją na komisariat, na dodatkowe przesłuchanie. Oczywiście, jeśli wziąć pod uwagę jej pozycję asystentki prokuratora okręgowego, sprawa była skomplikowana. Gdyby wyszła na jaw jego natarczywość, co z pewnością by się stało, biuro prokuratora okręgowego nie omieszkałoby zademonstrować oburzenia. Władze filadelfijskiej policji też nie zareagowałyby dużo lepiej. W każdym razie nie wątpił, że Kate mogłaby zatelefonować w kilka miejsc, złożyć zażalenie na niego lub w jakiś inny sposób zapobiec przesłuchaniom, a przynajmniej odwlec je dzień lub dwa. Oczywiście w końcu postawiłby na swoim, wyjaśnił sprawy w biurze prokuratora i u swoich przełożonych, ale stawiał na to, że jej nie zależy, by tak się stało. Gdyby pojawiła się informacja, że chcą ją przesłuchać w głównej komendzie policji i że istnieją wobec niej jakieś podejrzenia w tak poważnej sprawie, wielu osobom dałoby to do myślenia. Coś takiego nie pomogłoby w karierze zawodowej, zwłaszcza młodej, dopiero co zatrudnionej pracownicy prokuratury.

Z drugiej strony, jeśli Kate nie ma nic do ukrycia, może po prostu odesłać go do diabła.

A ona tylko spojrzała na niego wściekle.

- Próbujesz mnie zastraszyć?

- W żadnym wypadku.

- Mamusiu!

- Idę! - zawołała. Potem znów spojrzała na Toma i zacisnęła dłoń w pięści. Nie starała się ukryć niezadowolenia. - Dobrze. Zostanę na górze około pół godziny. Rozgość się, proszę.

Ostatnie zdanie ociekało wręcz sarkazmem.

- Dziękuję - odrzekł miękko Tom. Odprowadził ją wzrokiem, gdy z wyprostowanymi sztywno plecami i wysoko uniesioną głową ruszyła w stronę schodów, ominęła słupek balustrady, poszła na górę i powoli zniknęła na piętrze.

Była piękną kobietą, bez wątpienia. Choćby te jej oczy, jak błękitne jeziora, wystarczająco głębokie, by utonął w nich mężczyzna niezachowujący koniecznej ostrożności. Usta, miękkie i urokliwe, nawet gdy - czego był pewien - kłamała na potęgę. Jedwabiste, jasne włosy, delikatne rysy twarzy i gładka, biała cera byłyby całkowicie na miejscu u bożonarodzeniowego anioła. Jej ciało - cóż, lepiej się nad nim nie zastanawiać. Nie miał najmniejszych wątpliwości - gdyby sobie na to pozwolił, paliłby się do niej na całego.

Ponadto miała dzieciaka, którego najwyraźniej kochała i który nie ukrywał, że darzy ją tym samym.

A w zaistniałych okolicznościach to wszystko jeszcze bardziej go przygnębiało.

Zaczynał żałować, że nie kazała mu iść do diabła.

Rozdział 15

Jak zdążyła się przekonać, uczucie paniki pozostawi-jej w ustach kwaśny smak. Około czterdziestu minut po zostawieniu Bragi na dole - czekał tam na nią niczym ogromny pajak, przyczajony pośrodku lepkiej, odwiecznej sieci - Kate stała w małej funkcjonalnej łazience przy swojej wprawdzie niewielkiej, ale wygodnej sypialni i energicznie czyściła zęby, by pozbyć się tego wrażenia. Z lustra spoglądały na nią ogromne oczy, jeszcze podkreślone bladością twarzy otoczonej plątaniną włosów; gdy czytała Benowi, zdjęła przytrzymującą koński ogon elastyczną opaskę, w nadziei, że ból głowy bierze się ze zbyt mocnego ściągnięcia włosów; suche wargi straciły kolor.

Istny obraz strachu: i nie bez przyczyny, gdyż śmiertelnie się bała.

Jak Braga dowiedział się o tym drugim mężczyźnie w korytarzu?

Samo zastanawianie się nad tą zagadką sprawiło, że serce Kate zaczęło szybciej uderzać. Przecież z rozbitej strzałem kamery nic nie pozostało. Dobrze zapamiętała zwisające nad jej głową szczątki urządzenia. Czy możliwe, by była tam jeszcze jakaś inna, której nie zauważyła? Wracając pamięcią do tamtej sytuacji, nie potrafiła tego stwierdzić ze stuprocentową pewnością. Ale im dłużej o tym myślała, nabierała przekonania, że Mario i jego kompani nie byliby na tyle

nieostrożni, by przeoczyć kamerę - chyba że została dobrze ukryta i jej nie zauważyli.

To, że ona sama nigdy nie słyszała, by w tym konkretnym sądzie umieszczono takie urządzenia, niczego nie wykluczało.

Aż się spociła na myśl, że policja dysponuje taśmą filmową z nagraniem tego wszystkiego, co działo się w korytarzu.

Gdyby jednak mieli Maria Castellanos na taśmie, Kate nie mogłaby z nim rozmawiać w więzieniu, bo ani chwili nie zwlekano by z przeniesieniem go do więzienia federalnego.

A więc pozostawała inna możliwość: nie była jedyną osobą w tamtym korytarzu, której udało się przeżyć. Charlie Braga nie umarł. Może coś zobaczył. Może zauważył Maria?

Na myśl o tym Kate ścisnął się żołądek. Widziała wtedy Charliego Bragę przez ułamek sekundy, wydawał się martwy. Ale może był przytomny przez cały czas i tylko udawał nieżywego. A może, zanim został postrzelony, zdążył zobaczyć Maria. Może... może...

Doprowadzi się do szaleństwa tymi wszystkimi „może”.

W każdym razie nie mógł widzieć jej z Mariem. Ani jak Mario zastrzelił Rodrigueza, a potem zmusił ją do wzięcia broni do ręki. Nie miał możliwości podsłuchania ich rozmowy. Zważywszy, gdzie się wtedy znajdował - na podłodze w celi - było to niemożliwe.

Prawie niemożliwe.

Tom Braga nie mógł niczego wiedzieć, próbowała się przekonać, dokładnie płucząc usta. Wykluczone. W przeciwnym razie

już by ją aresztował. Choć nie mylił się w swoich podejrzeniach, pozostało mu jedynie blefować i sprawdzać, czy uda mu się sprowokować ją do złożenia jakiegoś niekorzystnego zeznania. Wiele razy była świadkiem stosowania przez policjantów podobnej taktyki.

Ale nigdy wcześniej procedury tej nie wykorzystywano przeciwko niej. Dotąd nie doświadczyła na własnej skórze, jak przerażająca jest to metoda.

Zwłaszcza gdy się coś ukrywa.

Ale Braga też o tym nie wiedział. W przeciwnym razie siedziałaby teraz w którymś z pokoiów przesłuchań w Okraglaku i kręciłoby się wokół niej więcej gliniarzy niż pszczoł obok wyrzuconej do śmieci puszki po soku. Już odczytano by jej przysługujące prawa. Jej życie zostałoby zniszczone.

A na razie wszystko, co miało dla niej jakieś znaczenie, co z takim wysiłkiem zbudowała, pozostawało nietknięte.

Ale niewątpliwie jego podejrzenia podążały w dobrym kierunku.

Ktoś musiał skierować go na właściwy trop. Tyle że akurat nie miała czasu, by rozwikłać tę zagadkę, nie wiadomo nawet, czy w ogóle udałoby się jej uzyskać w tej kwestii całkowitą pewność.

Najważniejsze, że Braga najwyraźniej o niczym nie wiedział, a dopóki i jeśli się nie dowie, uda jej się, o ile zachowa przytomność umysłu, zapanować nad rozwojem sytuacji.

Doszedłszy do takiego wniosku, powinnam się poczuć lepiej, pomyślała z goryczą; szybkimi pociągnięciami szczotki przygładziła włosy, a na wargi nałożyła odrobinę różowego błyszczyku, by je

trochę ożywić, zanim wróci na dół zmierzyć się z wrogiem. Daremnie. Nadal miała mdłości i było jej przeraźliwie zimno; czuła się okropnie.

Czuła się winna.

Gaszenie światła z powodu oszczędności stało się podstawowym odruchem Kate. Wyłączyła lampę w łazience, potem w sypialni i wyszła na mały podest na szczycie schodów, które po opuszczeniu na jedyne okno rolety były teraz tak ciemne, że z trudem widziała cokolwiek w przypominającej oświetlenie jaskini poświacie bijącej z pokoju Bena po drugiej stronie korytarza. Zanim zeszła na dół, zatrzymała się w pobliżu drzwi do pokoju syna. Sprawdziła, czy przypadkiem się nie obudził, choć było to mało prawdopodobne, gdyż zazwyczaj spał jak kamień, ale nie chciałaby, aby cokolwiek usłyszał z jej rozmowy z Bragą. Chłopiec rzeczywiście zasnął, bo nie zaprotestował, kiedy wcześniej starannie go przykryła i pocałowała w policzek. Poczowała ogromną falę miłości do syna, a wraz z nią przypływ odwagi i determinacji.

Była dla Bena wszystkim, uczyni więc wszystko, co trzeba, by zapewnić mu bezpieczeństwo.

Łącznie z okłamywaniem Bragi tak często i tak przekonująco, jak będzie to konieczne.

Pomimo tej lodowatej, twardej jak kamień gruzy uciskającej żołądek.

Stojąc przed drzwiami Bena, spojrzała w dół, do pokoju, gdzie czekał na nią detektyw, głęboko zaczerpnęła powietrza, z nadzieją dodania sobie otuchy. Próbowała umocnić się w dopiero co podjętym

postanowieniu, zebrać na nowo odwagę, ale nic jej z tego nie wyszło, choć bardzo się starała.

Czuła wyłącznie strach. I samotność. Jeśli nawet uda jej się pozbyć Bragi, wciąż pozostaje Mario.

Postanowiła w tej chwili o nim nie myśleć.

Jeden problem naraz.

Braga w pierwszej kolejności.

Świadoma szalonego bicia serca, które przy każdym kroku omal nie wyskoczyło jej z piersi, schodziła pogrążonymi w ciemnościach schodami w stronę plamy ciepłego światła rzucanej przez stojącą na dole lampę. Gdy doszła do połowy schodów, zobaczyła przed sobą część stolika do kawy i kanapę.

Nagle uświadomiła sobie, że patrzy na długie, zdecydowanie męskie nogi w granatowych spodniach, na potężne stopy w czarnych butach i widocznych spod nogawek czarnych skarpetkach okrywających solidne kostki. Skrzyżowane, wsparte na stoliku do kawy nogi tworzyły most między nim a kanapą.

Zmarszczyła brwi. Detektyw opierał stopy na stoliku, co nie budziło entuzjazmu Kate. Tyle że teraz było jej to na rękę, gdyż dawało pretekst do wyrażenia protestu. Mogła rozpocząć tę ich wymuszoną rozmowę w cztery oczy, stawiając swego przeciwnika w defensywie.

Nieco pokrzepiona tym faktem ściągnęła usta i zmrużyła oczy, by okazać wyraźne niezadowolenie, i zeszła po schodach.

Gdy dotarła na dół, odkryła, że detektyw zasnął.

To ją zaskoczyło. Jak powinna się teraz zachować?

Podeszła do detektywa, aby go obudzić, ale gdy była już blisko, zawahała się. Przez chwilę stała po drugiej stronie stolika do kawy, patrząc na śpiącego. Siedział, oparłszy szerokie ramiona na kanapie ze stopami na stoliku do kawy, nadal kompletnie ubrany - nie zdjął nawet marynarki - a całe jego długie ciało wyglądało na zrelaksowane. Głowę odrzucił do tyłu na zaokrąglony tył kanapy. Wyłaniająca się z rozpiętego kołnierzyka szyja wydawała się jeszcze bardziej śniada na tle bieli koszuli. Szorstki, czarny zarost podkreślał linię szczęk. Oczy miał zamknięte; gęste rzęsy rzucały cień na policzki. Lekko uchylone usta odsłaniały rząd równych, białych zębów. Światło lampy oblewało oliwkową cerę ciepłym, złotawym blaskiem, nieco łagodząc zmarszczki, które wcześniej zauważyła na jego twarzy; na czarnej czuprynie połyskiwały niebieskie refleksy.

Choć niechętnie, musiała przyznać: nawet we śnie wyglądał seksownie.

Spomiędzy jego warg uleciało lekkie chrapnięcie. A jednak.

Kate zastanawiała się, czy go zbudzić. Jeśli to zrobi, będzie musiała odpowiedzieć na jego pytania. Powędrowała wzrokiem w stronę zegara na telewizorze. Elektroniczne cyfry wskazywały sześć po dziesiątej. Jeśli zostawi go samego na godzinę lub półtorej, a potem obudzi, będzie mogła natychmiast go wyprosić pod pretekstem późnej pory i swojej potrzeby snu.

To już jakiś plan.

Zostawiwszy w spokoju Śpiącego Królewicza, po cichu zabrała kubki po kawie i pusty talerzyk, zniosła je do kuchni i wraz z resztą naczyń włożyła do zmywarki. Pochowała leżące jeszcze na wierzchu produkty żywnościowe, zrobiła w kuchni porządek i upewniła się, że wszystko ma przygotowane na rano. Potem wyłączyła światło i wróciła sprawdzić, co porabia jej nieproszony gość.

Nadal spał jak niemowlę. O ile mogła się zorientować, odkąd widziała go ostatnio, nawet nie drgnął. Rzut oka upewnił ją, że jeszcze nie ma nawet wpół do jedenastej. By osiągnąć pożądaný rezultat, musiała pozwolić mu spać jeszcze co najmniej pół godziny. A najlepiej całą godzinę.

Zresztą i tak miała coś do roboty. Raz jeszcze rzuciła szybkie spojrzenie na mężczyznę chrapiącego na kanapie, cicho zgasiła stojącą w drugim końcu pokoju lampę i poszła do gabinetu, który, jako że wcześniej była to jadalnia, z pokojem dziennym łączyły przeszklone drzwi, znajdujące się w ścianie naprzeciw kominka, z dala od telewizora. Do kuchni wychodziło się przez otwarty łuk. Gabinet był niewielki; na białych, gładkich ścianach wisiały poprzyklejane taśmą artystyczne osiągnięcia Bena, a podwójne okno zakrywały białe, tanie zasłony. Jedyne umeblowanie stanowiły jej biurko, krzesło, kosz na papiery, wciąż niepootwierane kartony z książkami i sterty akt. Zarzucone szpargałami biurko było okazjnie zdobytym porysowanym, dębowym monstrualnym meblem; niegdyś zapewne, jak sądziła, należało do nauczyciela. Stało na środku pokoju, odwrócone w stronę drzwi prowadzących do pokoju dziennego, aby

siedząc przy nim, mogła mieć oko na oglądającego telewizję Bena. Jej aktówka leżała zamknięta na biurku. No to do roboty.

Nagle wyraźnie ujrzała przed sobą postać przyjaciela Maria, stojącego w ciemnościach przed domem. Pospiesznie podeszła do okna i starannie zsunęła zasłony, nie pozostawiając najmniejszej szpary. Jednak nadal wyczuwała niebezpieczeństwo, jakby ktoś krył się za oknem. Czy naprawdę ktoś tam jest? Nie potrafiła zmusić się do ponownego rozsunęcia zasłon, by to sprawdzić. Zresztą, powiedziała sobie, w panujących na zewnątrz ciemnościach nie zobaczyłaby nic oprócz otaczającej dom nocy

Nie warto się straszyć rozmyślaniami o tym, co zaszło niedawno.

Odwrócenie się plecami do okna wymagało prawdziwego wysiłku, ale zdobyła się na to. Otwarte przejście do kuchni było ciemne; dalej, już w pomieszczeniu, kłębiły się cienie. Jedyne światło pochodziło z pojedynczej lampy, która wciąż paliła się w pokoju dziennym. Poza cichym szmerem rozmaitych urządzeń w domu panowała upiorna cisza. Kate mimo woli zadrżała i pomyślała, że to dobrze, iż poza nią i Benem w domu jest ktoś jeszcze.

Nawet jeśli Braga stanowił dla nich niewiele mniejsze zagrożenie od Maria i jego bandy.

Nie wolno jej o tym myśleć. Musi wyrzucić to z głowy.

Usiadła na miękkim niebieskim biurowym krześle -także kupionym okazji - i świadomie starała się nie patrzeć na rozpartego na kanapie Bragę, choć gdy przysunęła krzesło, mogłaby go widzieć za każdym razem, gdy przyszła jej na to ochota. Wołała

także nie myśleć o niczym poza pracą. Włączyła małą lampę na biurku, otworzyła aktówkę i zabrała się do przeglądania informacji dotyczących spraw, którymi miała się zająć w najbliższej przyszłości. Miała przed sobą materiały dotyczące pobicia, rabunku, ciężkiego uszkodzenia ciała, usiłowania zabójstwa. Wiele z najcięższych przypadków kwalifikowało się jako podwójne, gdy ofiary miały na swoim koncie tak samo długą listę przestępstw jak podejrzany o dokonanie przestępstwa. Te okazywały się najtwardszym orzechem do zgryzienia, bo wzbudzenie u sędziów przysięgłych współczucia dla ofiary wymagało wiele wysiłku. Miała też kilka przestępstw, których ofiarami padły osoby całkowicie niewinne - istny raj dla prokuratora. Zazwyczaj najtrudniejszą rzeczą dla Kate było pamiętać, by pewnych spraw i ofiar nie traktować emocjonalnie, osobiście. Tej nocy jednak, gdy jej własnemu życiu zagroziła katastrofa, największą trudność sprawiała jej koncentracja.

Ci ludzie liczą na nią, wierzą, że pomoże im w walce o sprawiedliwość.

Nawet w tym chaosie, który spowodował atak na sąd, system musiał nadal funkcjonować. Należało rozpatrywać wnioski, rejestrować zarzuty, negocjować, sądzić. Choć z pewnością ten tydzień wydawał się stracony, i to dla wszystkich, nie powinna zapominać, że już w następnym wszystko wróci do normy, będzie jak dawniej. Musiała się więc przygotować. Była to winna społeczeństwu, które płaciło jej, by je reprezentowała.

Ale nawet mimo najlepszych chęci poddała się w końcu. Po trzykrotnym przeczytaniu zeznania jakiegoś świadka, uświadomiwszy sobie, że czyta w kółko to samo, zrezygnowała. Nie pomoże nikomu, siedząc i gapiąc się w papiery, mając umysł zajęty analizowaniem jej własnej sytuacji. Lepiej zrobi, jeśli się położy, a rano zacznie od nowa.

Zamknęła akta i wraz z innymi, które miały jej być potrzebne następnego dnia, włożyła do aktówki, a potem zajrzała przez oszklone drzwi do saloniku.

Braga wciąż spał. W tej samej pozycji. Chyba przez cały ten czas nawet nie drgnął.

Marszcząc brwi, spojrzała na mały budzik stojący na biurku i zdumiała się: jedenasta pięćdziesiąt siedem. Czas minął jej szybko, choć pewnie nie zapamiętała ani słowa z tego, co czytała.

Wstała, przeciągnęła się, zgasiła lampę na biurku i z aktówką w ręce poczłapała do kuchni. Była w samych skarpetach, tenisówki zostały pod biurkiem, gdzie je zsunęła. Starła się możliwie jak najdłużej odwlec moment obudzenia detektywa. Przede wszystkim nie miała ochoty na rozmowę z nim, ale po prawdzie nie paliła się także do chwili, gdy zostanie z Benem w domu sama. Obecność uzbrojonego w broń palną policjanta krzepiła na duchu, nawet jeśli ten człowiek nie zaliczał się do jej najlepszych przyjaciół.

Musi to wreszcie załatwić i samodzielnie uporać się z sytuacją.

W kuchni nie włączyła światła. Sączący się przez szybkę w górnej połowie kuchennych drzwi blask księżyca plus mdła poświata

bijąca od lampy w pokoju dziennym dawały wystarczające światło, by Kate bez trudu mogła położyć aktówkę na blacie, tuż przy drzwiach do garażu, a także znaleźć tylenol. Ból głowy powrócił, usta miała suche, piekły ją oczy. Była zmęczona. Wyczerpana znużeniem wynikającym prawdopodobnie w równym stopniu z ogromnego niepokoju, jak i z braku snu. Teraz, gdy już zostawiła odrywając ją od kłopotów pracę, ponownie poczuła sztywność ramion i ucisk w żołądku.

I choć bardzo potrzebowała snu, obawiała się, że długo nie będzie w stanie zasnąć.

Nie wolno popełnić najmniejszego błędu.

Z fiolki, którą wyjęła z szafki nad kuchenką, wytrzepała na dłoń dwie tabletki tylenolu o wzmocnionym działaniu i odwróciła się do lodówki, aby nalać sobie szklanek mleka - miała nadzieję, że jego działanie nasenne nie jest tylko legendą. Mdły, białawy błysk z wnętrza lodówki jeszcze podkreślił panujące w kuchni ciemności. Odetchnęła niemal z ulgą, gdy napełniła szklanek i mogła ponownie zamknąć drzwiczki.

Połknęła tabletki, jednym haustem wypila mleko i podeszła do zlewozmywaka, by wypłukać szklanek. Zakręciła kran, a szklanek zostawiła w zlewie, by następnego dnia włożyć ją do zmywarki. W końcu zdecydowała, że pora iść na górę. Zrobiła się północ i już nie pozostał jej żaden pretekst, by nie budzić detektywa.

Powie mu, że widząc, jak smacznie spał, nie miała serca...

Myśl tę przerwał jej jakiś dźwięk. Cichy, metaliczny, którego w normalnych warunkach pewnie by nawet nie wychwyciła. Ale teraz zwrócił jej uwagę, bo zabrzmiał nienaturalnie i nie na miejscu w ciemnej, spokojnej kuchni, o północy.

Szczęk obracającej się gałki drzwi.

Rozpoznała go i ogarnięta przerażeniem odwróciła głowę w stronę kuchennego wejścia. Odgłos dochodził właśnie stamtąd, a że nadal stała przy zlewozmywaku, po lewej stronie, dzieliło ją od drzwi jakieś półtora metra. Przez chwilę nie poruszała się, utkwivszy wzrok w miedzianej gałce połyskującej w mroku. W ogóle nie byłoby jej widać, gdyby nie padający przez szybkę tuż nad nią promień księżyca.

Powstrzymując oddech, Kate patrzyła, jak połyskująca kula obraca się raz w tę, raz w drugą stronę, jakby ktoś niecierpliwie mocował się z zamkiem.

Ktoś usiłował włamać się do domu.

Serce podeszło jej do gardła. W żyłach poczuła lód. Zrobiło jej się niedobrze.

I nagle uświadomiła sobie, że przez szybę w drzwiach nie widać już nocnego nieba. Zasłaniała je potężna, czarna sylwetka mężczyzny - wyraźnie rysowały się kontury głowy, ramion, pleców; stał po drugiej stronie drzwi, zasłaniając sobą widok na gwiazdy; próbował dostać się do jej kuchni, wejść do domu.

Rozdział 16

Kate wrzasnęła wniebogłosy.

Z krzykiem odskoczyła od zlewu i rzuciła się w stronę pokoju dziennego.

- Kate! - Braga już był w przejściu między pomieszczeniami. Wpadła na niego, z całej siły uderzyła w jego mocne ciało, które nawet nie drgnęło, i odbiłaby się od niego, gdyby nie przytrzymał jej za ramiona.

- Co, u diabła...

- Jakiś człowiek... przy drzwiach. - Oddychała szybko ze strachu i wysiłku. - Przed chwilą... o tam.

Uwolniła rękę i wskazała na kuchenne drzwi.

- Zostań tu.

Puścił ją i wpadł do kuchni, jednocześnie wyciągając broń z zamocowanej pod pachą kabury. Zanim dopadł do wyjścia, zasłonięty lodówką znikł jej z oczu, ale usłyszała odgłos pchniętych na oścież drzwi, a potem szybkie kroki na małym drewnianym podeście. Poczowała powiew chłodnego, nocnego powietrza.

To z pewnością Mario. Wysła zbirów, by włamali się do jej domu. By dostarczyli następną wiadomość. Może nawet zrobili jej coś złego, by wiedziała, że on nie żartuje.

Kolana ugięły się pod nią na myśl, co mogłoby się wydarzyć, gdyby byli z Benem sami, i nagle osunęła się na twardą, drewnianą podłogę. Usiadła, krzyżując nogi.

Tak dalej nie może być.

Adrenalina wypełniała jej żyły. Puls wręcz oszalał. Próbowwała rozważyć także inną ewentualność: że Mario nie miał nic wspólnego z tym, co się stało, i może po prostu jakiś złodziejasek lub psychopata zakradł się tu całkiem przypadkowo, ale zbieżność w czasie wykluczała podobną ewentualność. Kate zadrżała z zimna i objęła się rękami, a uświadomiwszy sobie, że szczęka zębami, zacisnęła je mocno.

Musi znaleźć jakiś sposób, by to się skończyło.

Braga wrócił do środka i zamknął za sobą drzwi. Kate usłyszała szczęk zamka. Po chwili wyłonił się zza lodówki - wysoka, ciemna postać z bronią w ręku. Patrzyła, jak wkładał pistolet do kabury, a potem schował całość pod marynarką; wreszcie ruszył w stronę Kate.

Teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, oddychała spokojniej.

Dzięki Bogu, że tu był.

Podszedł i spojrzał na nią, z rękami na biodrach.

- Nikogo tam nie ma.

Kate potrząsnęła głową, odrzuciła włosy z twarzy i spojrzała mu w oczy.

- Tak też przypuszczałam.

Rozluźnienie napiętych mięśni szczęk i opanowanie głosu, by zabrzmiał normalnie, wymagało trochę wysiłku, ale uznała, że jej starania osiągnęły zadowalający rezultat.

- Jesteś pewna...? - urwał.

Skinęła głową. Potem, ponieważ nie wiedziała, czy w ciemnościach dojrzał jej potwierdzenie, powtórzyła skinienie.

- Czy jestem pewna, że był tam mężczyzna, który usiłował dostać się do domu przez kuchenne drzwi? O tak.

- Rozpoznałaś go? Czy to ten sam, który wcześniej był na podwórku?

- Ledwie go widziałam. A ponieważ tamtego też dobrze nie zobaczyłam, więc nie wiem. Mógł być ten sam.

- Zastanowiła się. Zarys sylwetki i wzrost zgadzały się.

- Może tak. A może nie. Po prostu nie wiem.

- Zasnąłem na twojej kanapie - zauważył. - Dlaczego nie obudziłaś mnie, gdy zeszłaś na dół?

Wzruszyła ramionami.

- Wydawałeś się zmęczony.

-I byłem.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął niewielki przedmiot, mieszczący mu się na dłoni. W ciemnościach nie była do końca pewna, co to takiego, dopóki nie podniósł klapki. To coś rozjaśniło się ciepłym, błękitnym blaskiem. Telefon.

- Co robisz?

- Zgłaszam zajście. - Już wciskał guziki. - Ktoś...

- Proszę, nie rób tego - rzuciła ostro Kate.

- Co takiego? - Przerwał wybieranie numeru i spojrzał na nią zdziwiony. - Dlaczego?

Wzięła głęboki oddech i uznała, że przesadnie szacowano uspokajający efekt kilku łyków tlenu, gdyż nadal trzęsła się niczym pijak poddawany testowi na trzeźwość.

- Bo to nic nie da. Nikogo nie znajdą. A przez ostatnie dni tak długo znajdowałam się w samym centrum... -znalazła odpowiednie słowo - zamieszania, że po prostu nie zniósłabym więcej. Więc proszę, daj spokój, zostaw to. Zrób to dla mnie.

Przez długą chwilę patrzył na nią w milczeniu. Potem zatrzaskał komórkę i włożył z powrotem do kieszeni.

- Musimy porozmawiać. - Jego głos zabrzmiał ponuro.

- Wciąż to powtarzasz. A ja nadal nie wiem, na jaki dokładnie temat.

W odpowiedzi mruknął coś pod nosem, a potem wyciągnął dłoń do Kate, z wyraźną intencją, by pomóc jej wstać.

- No już. Hopla.

Spojrzała na jego dłoń i zebrała siły. Chwyciła ją i poczuła bijącą od niego falę ciepła i siły. Podniósł ją, aż całkiem się wyprostowała. To znaczy, prawie. Kolana się pod nią uginały; zachwiała się, potknęła i próbując odzyskać równowagę, zatoczyła się do przodu.

- Hej.

Gdy przechyliła się w jego stronę, złapał ją i na chwilę wsparła dłonie na jego ramionach. Był wysoki, silny i zdecydowanie męski. Muskularnymi, mocnymi rękami mocno przytrzymał ją w pasie. Przytulona policzkiem do jego piersi, pod bawełnianą koszulą wyczuła twarde mięśnie i ciepłą skórę. Owionął ją lekki zapach płynu do płukania o nazwie Downy. Rozpoznała go, bo sama używała tej marki.

I nagle zapragnęła pozostać tak na długo. Ukryć twarz na jego ramieniu, objąć go, przytulić się do niego całym ciałem. Na chwilę oddać komuś innemu swoje problemy. Braga poza tym, że był przystojny, przede wszystkim imponował jej profesjonalizmem i opanowaniem - uosobienie spokoju w samym centrum huraganu. Od momentu, gdy po raz pierwszy ujrzała go w sali numer 207, gdy Rodriguez przystawił jej pistolet do głowy, nie wątpiła, że detektyw uczyni wszystko, co w jego mocy, by wydostać ją z rąk zabójcy. Teraz zaczął coś podejrzewać, więc słusznie miała się przed nim na baczności, ale nadal wierzyła, że jak długo jest z nią i z Benem, nikt nie zrobi im krzywdy.

Czasem - po prostu od czasu do czasu - dobrze byłoby mieć się na kimś wesprzeć.

Ta myśl pojawiła się nie wiadomo skąd i ze zdumiewającą mocą ogarnęła ją całą. Od narodzin Bena musiała być silna i zaradna, i myśleć, co będzie najlepsze dla nich obojga. Jak cudownie byłoby na chwilę zwyczajnie pozbyć się tego obciążenia. Wiedzieć, że w pobliżu jest ktoś, kto jej pomoże; ktoś silny, mądry i pełen energii.

Żeby jak w bajce, pewnego dnia pojawił się książę. Ano, właśnie.

Ale życie nauczyło ją - a lekcja była bolesna - że nie tak łatwo znaleźć kogoś, kto zająłby się nią i Benem.

I okazała się po stokroć głupia, pozwalając sobie o tym marzyć.

- Wszystko w porządku? - Głos Bragi przerwał tę chwilę rozmarzenia.

- Doskonale. - Z ociąganiem odsunęła się od niego.

- Zawsze wpadasz komuś w ramiona, gdy czujesz się doskonale?

- To były naprawdę ciężkie dwa dni.

- Opowiedz mi o nich - powiedział sucho. Przesunął dłońmi po jej talii, lekko, ale opiekuńczo, jakby nie był do końca pewny, czy Kate ponownie nie osunie się na podłogę.

Czego, tak naprawdę, sama także nie była pewna.

- Jak się ma twój brat?

Wciąż stała bliżej Bragi, niż powinna, i patrzyła na niego z uniesioną głową. Nikłe światło z dziennego pokoju za jej plecami ledwie docierało do jego twarzy. Na jej pytanie zareagował lekkim zmarszczeniem brwi, ale chyba zauważyła w jego oczach smutek.

- Dochodzi do siebie.

- Cieszę się.

- Ja też. - Teraz jakby nieco mocniej zacisnął dłonie wokół jej talii. Wyczuwała ich dotyk przez ubranie; ich ciepło przenikało do samej skóry. Czarne w panującym półmroku oczy przesuwają się po jej twarzy. Było w nich coś...

Jej serce znowu uderzyło szybciej, teraz z całkowicie innego powodu. Nagle uświadomiła sobie, że pojawił się między nimi jakiś żar, jakaś chemia.

Uderzyło w nią to niczym grom - ten mężczyzna ją pociągał. Z wzajemnością.

Och nie, wykluczone. Tylko nie to.

- Może zechcesz mi powiedzieć, co się dzieje? Odezwał się, zanim zaczęła analizować powody, dla których takie uczucie do tego mężczyzny mogło się dla niej fatalnie skończyć. I cokolwiek mogłoby - lub nie - zacząć się między nimi, jego pytanie, zadane ostrym, bezosobowym, policyjnym tonem uśmierciło to coś w zarodku.

I dzięki Bogu.

Zesztywniała.

- Już to przerabialiśmy - odrzekła tonem równie chłodnym jak jego.

A teraz jego twarz stała się tak samo zimna. Oderwał dłonie od talii Kate.

- No to może zrobimy to jeszcze raz?

Odwróciła się od niego, mocniej obejmując rękami, by się rozgrzać i ukryć przed nim, jak bardzo drży.

- A może nie? - rzuciła, wlokąc się w stronę pokoju dziennego. - Zrobiło się późno. Chciałabym się położyć. Mogę?

Był tuż za jej plecami.

- A nie boisz się, że ten twój gość - och, przepraszam, jeden z twoich gości - powróci?

No tak, trafił w dziesiątkę. Owszem, myślała o tym z przerażeniem.

- Mam broń. - Nienaładowany pistolet w przeznaczonym specjalnym do tego celu sejfie w sypialni. Naboje przechowywała osobno. Jako matka uznała podobne środki ostrożności za absolutnie niezbędne. Ale praktycznie sprawiały, że pilne użycie broni, w nagłej potrzebie było problematyczne. -I wiem, jak jej użyć.

- Możesz mi wierzyć, co do tego nie mam wątpliwości - odparł sucho.

Dopiero po sekundzie Kate przypomniała sobie, że przecież ponoć zastrzeliła Rodrigueza. Czy chciała, czy nie, to kłamstwo stało się teraz częścią opinii, jaką wszyscy - koledzy, przyjaciele, znajomi i policja, ludzie w ogóle, Braga - mieli na jej temat.

Niech więc tak będzie.

- Opiekowałam się sobą i Benem przez długi czas.

Ruszyła długimi krokami przez pokój, zmierzając w stronę frontowych drzwi, aby wyprowadzić Bragę i mieć go wreszcie z głowy. Jak tylko detektyw odjedzie, ona od razu pójdzie na górę, sprawdzi, co u Bena, a potem wyjmie broń z sejfu, naładuje ją i na wszelki wypadek resztę nocy przesiedzi na krześle. Mało prawdopodobne, by typ, który próbował włamać się do jej domu, wrócił. Zresztą nawet gdyby udało mu się dostać do środka, pewnie nie zamierzał robić jej krzywdy, tylko ją nastraszyć, dla podkreślenia wagi wiadomości od Maria.

Ale gdy chodziło o bezpieczeństwo Bena, nie zamierzała ryzykować.

- Mamusiu. - Głos synka, dochodzący z góry, zatrzymał ją na miejscu. Detektyw także stanął, tuż za nią. Wyczuwała jego obecność za plecami. - Czy wszystko w porządku?

- W najlepszym, kochanie. - Opanowała się, podeszła do schodów i podniosła wzrok na syna. Stał tuż przed otwartymi drzwiami sypialni, w swojej ulubionej błękitnej piżamie we wzorek w koniki na biegunach, z twarzą rozgrzaną od snu. Nawet patrząc teraz na nią, jeszcze przecierał oczy. Na widok swojego dziecka, swojego chłopczyka, w jej sercu wezbrała gwałtowna miłość. Zrobi wszystko, by był bezpieczny. - Dlaczego wstałeś?

- Wydało mi się, że słyszę twój krzyk. Ale byłem bardzo zmęczony i zanim się podniosłem, minęło sporo czasu.

Kate zrobiło się zimno na myśl, że gdyby nie obecność Bragi, Ben mógłby zejść i znaleźć ją na łasce tego, kto usiłował włamać się do domu. A gdyby ten drań okazał się na tyle bystry, by pojąć, że to Ben jest jej najcenniejszym skarbem, mógłby spróbować wyrzucić na nią presję przez niego.

- To musiał być zły sen - stwierdziła stanowczo. - Wracaj do łóżka. Za chwilę do ciebie przyjdę.

- W porządku.

Ben ziewnął, odwrócił się i wszedł do pokoju. Kate jeszcze przez chwilę stała przy schodach, patrząc w górę, dopóki nie usłyszała wyraźnego skrzypnięcia oznaczającego, że chłopiec wrócił do łóżka.

Spojrzała na Bragę.

Nie ruszył się z miejsca, w którym go zostawiła, stał niemal na samym środku małego pokoju. Dłonie wcisnął do kieszeni spodni. Włosy miał potargane, dolną część twarzy pokrytą ciemnym zarostem, oczy bardzo zmęczone. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego sytuacją, w której się znalazł.

Ich oczy się spotkały. Czekala z otwarciem drzwi, dopóki nie nabrała pewności, że Ben ponownie zasnął, a sądząc po wyglądzie chłopca, nie sądziła, by zajęło mu to więcej niż kilka chwil.

Nagle Braga kiwnął głową, przywołując Kate do siebie.

Zmarszczyła brwi, ale odeszła od schodów i podeszła do niego, ponuro zaciskając usta. Gdy przed nim stanęła, ich oczy ponownie się spotkały. Lekko zakołysał się w tył na piętach.

- Co takiego? - zapytała niecierpliwie, niemal szeptem.

- Może bym został na noc?

Uniosła gwałtownie brwi. Zaskoczył ją. - Co takiego?

Nie wydawał się entuzjastycznie nastawiony do własnej propozycji. Po chwili Kate zrozumiała: jego oferta raczej nie miała nic wspólnego z seksem.

- Jest już po północy. Zanim dojadę do domu, zrobi się prawie pierwsza. Mógłbym położyć się na twojej kanapie, a rano wrócić do siebie na tyle wcześnie, by zdążyć się ogolić przed wyjściem do pracy.

Minęła sekunda, podczas której wzajemnie mierzyli się wzrokiem.

- Dlaczego miałbyś to zrobić? - zapytała w końcu.

- Jakoś nie mam ochoty zostawić was samych, ciebie i dzieciaka.

- Zacisnął usta. - W ciągu jednej nocy ktoś dwukrotnie tu wtargnął. Jak to mówią? Do trzech razy sztuka?

Nie odzywała się przez chwilę. Choć nie chciała się do tego przyznać, ją także dręczyły podobne wątpliwości.

- Dzięki za propozycję - powiedziała w końcu niechętnie. Ale nie odmówiwszy, w istocie przyjęła propozycję, i oboje o tym wiedzieli.

- Proszę bardzo. - Jego głos zabrzmiał obojętnie. Zlustrował ją wzrokiem. - Wyglądasz na wykończoną. Jeśli przyniesiesz mi jakiś koc i poduszkę, oboje możemy złapać trochę snu.

Kate zawahała się. Bardzo nie podobał jej się pomysł detektywa. Ale była zmęczona i wystraszona, a dzięki jego obecności w domu przynajmniej resztę nocy spędzi spokojnie.

I poza tym, jeśli zdoła kilka godzin porządnie się przespać, rano będzie w stanie pozbierać myśli i wykombinować jakiś sposób wyjścia z matni.

Jednak wahała się nadal.

- Dzisiaj od siódmej rano przed domem koczowali reporterzy, czekając, aż wyjdę do pracy. Jeżeli jutro się pojawią, twoja obecność w moim domu może się okazać bardziej kłopotliwa niż pomocna.

Zadrżała na myśl o opowieściach, jakie zaczęłyby krążyć w mediach. Nawet jeśli historia zatytułowana „heroina z sali sądowej 207 sypia z detektywem, który usiłował ją uratować” nie zappełniłaby

szpalt gazet ani programów telewizji - a niemal z pewnością taki nagłówek byłby wielką atrakcją - lokalni reporterzy dobrze znali policyjne i prawnicze kręgi Filadelfii. Plotka o niej i Bradze rozniosłaby się niczym pożar. Nie wiedziała, co on o tym myślał, ale ona nie marzyła, by uznano ją za trofeum wydziału kryminalnego policji.

- Wyjdę na długo przed siódmą, nie martw się - obiecał.

- Zazwyczaj wstaję o szóstej. Mogę cię zbudzić.

- O tej porze chyba już będę na nogach. Słuchaj no, idź do łóżka, dobrze? Sam sobie ze wszystkim poradzę. I przestań się zamartwiać.

Akurat zamartwianie się należało do dziedzin, w których naprawdę była dobra, nawet gdy życie przebiegało normalnie, ale skąd on miał o tym wiedzieć. Popatrzyła na niego zamyślona, mając pewność, że wszystko zostało powiedziane. I nie okłamywała się: pomysł pozostania z nim pod jednym dachem wydawał się zbyt nęcący, by mogła mu się sprzeciwić. Przestanie się opierać. Pójdzie na górę i położy się spać, wiedząc, że jest bezpieczna, że jej i Benowi nic nie grozi, przynajmniej tej nocy.

- No, niech będzie. Pójdę tylko po jakąś pościel.

Z tymi słowami odwróciła się i ruszyła w stronę schodów. Gdy wróciła z poduszką, kilkoma kocami i prześcieradłami w Żółwie Ninja - z większych tylko te zostały jej czyste - Braga już zdjął marynarkę. Spojrzała na niego przez pokój. Stał odwrócony do niej plecami - pod białą koszulą jego ramiona wydawały się bardzo szerokie. Czerni pasków umocowanej pod pachą kabury wyraźnie odcinała się od bieli

i Kate przypomniawsza sobie - jak by mogła zapomnieć! - że ten facet to policjant. Granatowe spodnie podkreślały jego wąskie biodra sportowca i zgrabne pośladki. Głowę trzymał pochyloną lekko do przodu, odsłaniając czystą linię czoła, policzków, szczęk. Dłoni nie widziała, gdyż trzymał je przed sobą, na poziomie klatki piersiowej, i Kate uznała, że pewnie rozpiął guziki koszuli. Na tę myśl zabrakło jej tchu, stała jak wryta na przedostatnim stopniu schodów, nie mogąc wykonać żadnego ruchu ani wykrztusić słowa, zaskoczona falą gorąca, która nagle ogarnęła jej ciało. I znów, ku przerażeniu Kate, wbrew woli poczuła gwałtowny pociąg do tego mężczyzny.

Serce biło jej szybciej, oddech się rwał, drżały kolana.

O rany. Musi ochłonać, opanować się, zapomnieć o tym. Nic się nie dzieje.

- Przyniosłam koce - oświadczyła, podchodząc do niego, chociaż wolałaby pozostać na schodach i patrzeć, jak zdejmował koszulę.

- Dzięki.

Spojrzał na nią przez ramię, zdejmując kaburę. Poskładał ją i odłożył - razem z bronią - na stolik pod lampą, obok kanapy, i wtedy zrozumiała: robił to przez cały czas, odpinał kaburę.

Wyrwało jej się ciche westchnienie - zarówno ulgi, jak i rozczarowania, a dźwięk ten zabrzmiał w jej uszach jak syk powietrza uchodzącego z balonika. Braga chyba niczego nie zauważył, ale Kate cały czas była świadoma szarpiących ją emocji, które ją zirytowały.

- Wiesz co, może byś tak pomyślała o zainstalowaniu systemu alarmowego - zauważył, gdy zostawiła poduszkę i koce na stoliku do kawy, zanim podeszła do kanapy z prześcieradłami.

- Rozważam to. - Skoncentrowała się na rozkładaniu prześcieradeł, zdecydowana nie zauważać, że on właśnie zdjął krawat i rzucił go na obite złocistą tkaniną krzesło, na oparciu którego wisiała już marynarka. - Ale system alarmowy sporo kosztuje, a ja tylko wynajmuję ten dom.

- Jeśli nie chcesz nadal prowadzić tak ekscytującej egzystencji, to może ta druga ewentualność byłaby jednak lepsza.

Zbliżył się, by jej pomóc. Stanęli po przeciwległych końcach kanapy; detektyw sprawnie wciskał brzegi prześcieradła pod poduchy.

- No cóż, mam nadzieję, że te ostatnie rozrywki znikną z mojego życia. Tak naprawdę zdecydowanie wolę nudę.

Skwitował jej słowa uśmiechem; Kate zrewanżowała mu się wymuszonym grymasem i przez chwilę stali w milczeniu i bez ruchu, a atmosfera w pokoju stała się jakby cieplejsza; Kate przyszło do głowy, że chyba zaczyna się za bardzo dobrze przy nim czuć.

Ściągnęła brwi i opuściła wzrok, rozglądając się za drugim prześcieradłem, służącym do przykrycia. Leżało na stoliku do kawy. Podniosła je i zaczęła rozkładać, ale Braga wyjął jej prześcieradło z rąk.

- Sam mogę to zrobić. Idź do łóżka.

Powiedział to ostrym tonem. Kate rzuciła okiem na jego twarz. Jej wyraz nie zdradzał niczego. Wszystkie oznaki świadczące o

wewnętrzny ciepło, poczuciu humoru, nawet grymasy, jakie robił, złoścąc się na nią, znikły bez śladu.

Nie wolno jej zapominać, że choć on spędzi tu noc, nie są przyjaciółmi. W najlepszym wypadku Tom Braga to policjant z przesadnym poczuciem zawodowej odpowiedzialności. A ona była potencjalną przerażoną ofiarą, wdzięczną za opiekę.

W najgorszym - on był detektywem z wydziału zabójstw, a ona podejrzaną w sprawie, w której prowadził śledztwo.

- W porządku. - Bez słowa protestu, jakby to wszystko jej nie dotyczyło, odsunęła się od kanapy, obeszła stół do kawy i skierowała się w stronę schodów.

- Dobranoc - rzucił za nią. Spojrzała przez ramię.

- Dobranoc - odrzekła z dłonią na słupku balustrady i zaczęła wchodzić na górę.

Rozdział 17

Pomimo tych wszystkich przejść Kate spała jak zabita. Jeśli miała jakieś sny, to ich nie zapamiętała. Gdy zadzwonił budzik, zanim usłyszała i wyłączyła przeszywający uszy dźwięk, wydawało jej się, że pogrążona w głębinach wodnych przedziera się na powierzchnię, aż w końcu udało jej się wynurzyć. Dopiero po chwili, gdy jeszcze z przymkniętymi oczami pomyślała: chciałabym dalej spać, ale wiem, że nie mogę, przypomniała sobie o Bradze.

Jak strzała wyskoczyła z łóżka.

Po pięciu minutach, po pobieżnej toalecie, bosy, w podniszczonym niebieskim szlafroku, zbiegła na dół, by sprawdzić, czy detektyw już wstał i czy zdąży wyjść, zanim ktokolwiek się dowie, że nocował u niej w domu. Na zewnątrz nadal panowały ciemności, ale dla Kate, teraz już całkowicie przytomnej, zaczynał się nowy dzień i czuła się zażenowana, że pozwoliła detektywowi zostać na noc.

Nie należało pogarszać sytuacji rozgłaszaniem tego faktu.

Na schodach powitał ją zapach kawy. Najwyraźniej Braga już wstał. Szybkim rzutem oka upewniła się, że kanapa jest pusta. Leżały na niej poskładane koce i prześcieradła, a na samym wierzchu poduszka. A choć pozostała część domu tonęła w ciemnościach, w kuchni paliło się światło.

Pobiegła tam szybko.

Stała w drzwiach i dokładnie rozejrzała się po pomieszczeniu. Zauważyła zapaloną górną lampę i włączony ekspres do kawy. Jeden z grubych, białych kubków jeszcze pusty stał obok ekspresu. Ale ani śladu jej gościa.

Wróciła do pogrążonego w mroku saloniku, gdy drzwi toalety pod schodami otworzyły się i wyszedł Braga, wycierając twarz ręcznikiem. Na szczęście miał na sobie spodnie. Choć przytrzymał je czarny, wąski pasek, opierały się głównie na biodrach. Detektyw nie włożył koszuli.

Kate nie zdołała się powstrzymać od zerknięcia na niego.

Miał bardzo męską klatkę piersiową o klasycznym kształcie litery V, szeroką u góry, a zwężającą się w stronę wąskiej talii i bioder. Ubranie czyniło detektywa pozornie smukłym. Kate dostrzegła jego niezwykłą muskulaturę i opaleniznę, mocno rozwinięte mięśnie klatki piersiowej, imponujące bicepsy, a także zbrązowiałe ręce. Pas kręconych, czarnych włosów biegł środkiem torsu, zwężając się ku dołowi, by zniknąć w spodniach. Płaskie, ciemne sutki ginęły pod owłosieniem. W półmroku trudno było ocenić umięśnienie niewątpliwie twardego brzucha.

A słowo „seksowny” nie wystarczyłoby na określenie męskich uroków detektywa.

Kate zmusiła się do odwrócenia wzroku akurat w momencie, gdy spod ręcznika wyłoniła się twarz Bragi.

- Dzień dobry - powitał ją, najwyraźniej zaskoczony.

Odpowiedziała całkowicie niewinnym spojrzeniem, jakby jeszcze kilka sekund wcześniej wcale nie patrzyła na niego - czego już żałowała - zupełnie inaczej. Z małym, brązowym ręcznikiem dla gości w dłoni podszedł do krzesła, na którym Kate dostrzegła białą koszulę, krawat i marynarkę.

- Dzień dobry - wykrztusiła z trudem. Plecy miał równie imponujące jak klatkę piersiową. Szerokie bary. Mocno zarysowane łopatki. Prosty jak strzała kręgosłup. Pod lśniącą skórą gładkie, potężne mięśnie.

- Dobrze spałaś? - Położył ręcznik na stoliku do kawy i spojrzawszy przez ramię na Kate, wziął do ręki koszulę. Zachowywał się swobodnie, jakby paradowanie przed nią półnago nie było niczym wyjątkowym.

I prawdopodobnie dla niego nie było.

- Wyśmienicie.

Jeżeli on mógł zachować obojętność, ona także. Mocniej zawiązała pasek zakrywającego ją od szyi po kolana szlafroka, bardziej ściągnęła klapy na piersiach. Pod spodem miała różową podkoszulkę sięgającą do połowy ud, z podobizną żaby i napisem: „Pocałuj mnie”. Na szczęście ta część jej garderoby była teraz absolutnie niewidoczna.

-A ty?

- Dobrze. - Włożył koszulę i zaczął zapinać guziki. Kate próbowała nie patrzeć. - To wygodna kanapa.

- Dzięki.

Ta wymiana słów wydawała się dziwaczna i sztuczna. Tak naprawdę, dopiero teraz, po nocy, którą podejrzewający ją o Bóg wie co policjant spędził w jej domu, Kate czuła się tym skrepowana. Jej zażenowanie jeszcze wzrosło, gdy ujrzała owego policjanta niekompletnie ubranego, a ponadto dotarło do niej, jak diabelnie jest pociągający.

Zastanawiała się, czy on także dostrzegł niezręczność sytuacji. Jeśli nawet, niczego po sobie nie pokazał.

- Idę napić się kawy - oświadczyła, zorientowawszy się, że całkiem idiotycznie jest tak stać i obserwować go podczas ubierania.

- Już zaparzona.

- Poczulałam zapach, kiedy schodziłam.

Poczłapała do kuchni i napełniła kubek Bragi, nie zapominając, że pije czarną. Potem także naląła sobie, nie żałując cukru, zamieszała i rozkoszowała się parującym napojem, jego smakiem i zapachem, z nadzieją, że kofeina postawi ją na nogi. Nie mogła się jednak powstrzymać, by nie zerkać ku okienku w drzwiach. Na zewnątrz nie było widać nic poza nadciągającym nad kuchenne podwórko delikatnym, szarym świtem. Na wspomnienie nocnych wydarzeń Kate zadrżała. Intruz niewątpliwie wiedział o jej obecności w kuchni, może ją obserwował, odkąd weszła do gabinetu. Ta szpara między zasłonami - czyżby dzięki niej widział, co robiła? Sama myśl przyprawiła ją o mdłości.

Kto będzie bronił jej i Bena dzisiejszej nocy?

Gdy Braga wszedł do kuchni, Kate opierała się o blat po drugiej stronie zlewu, ściskając w dłoniach gruby kubek. Wystarczył jej pobieżny rzut oka, by stwierdzić, że detektyw jest już kompletnie ubrany, łącznie z butami. Krawat okręcił byle jak wokół szyi. Ogólnie sprawiał wrażenie odrobinę mniej zmęczonego niż poprzedniej nocy. Oczy miał zaczerwienione, włosy potargane. Przydałoby mu się golenie.

Wyglądał niechlujnie i podejrzanie, bardziej na przestępcę niż na policjanta.

Jeśli wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności, trudno było jej pojąć, dlaczego w jego obecności czuje się taka bezpieczna.

- Czy w nocy wydarzyło się coś, co przespałam? - zapytała, a gdy do niej podszedł, podała mu kubek.

- Zupełnie nic. - Wziął od niej napój, wypił potężny łyk. Ich oczy się spotkały. - Może poza moim chrapaniem.

Kate uśmiechnęła się, choć niechętnie.

- Aha, za dużo informacji?

W odpowiedzi w jego oczach ukazał się błysk uśmiechu. I zaraz znikł, a po następnym dużym łyku kawy Braga odstawił kubek na blat i ruszył w stronę wyjścia.

- Już mnie nie ma - rzucił przez ramię. - Chodź, zamknij za mną drzwi na klucz.

Zostawiwszy kawę, poszła za nim przez kuchnię i wciąż pograżony w ciemnościach pokój dzienny. Detektyw przystanął z dłonią na gałce drzwi i otaksował wzrokiem umieszczone w nich małe

okienko. Najwyraźniej nie dostrzegł niczego wartego uwagi i otworzył drzwi. Kate poczuła na twarzy świeży powiew pachnącego jesienią powietrza; lekki podmuch wiatru uniósł jej włosy, odrzucił je do tyłu, zawirował wokół gołych nóg i bosych stóp, przyprawiając ją o gęsią skórkę. Gdy Braga wyszedł już na małą frontową werandę, podeszła do drzwi, by je za nim zamknąć, i wyjrzała mu przez ramię. Jego samochód nadal stał w mroku na podjeździe, a różowe pasemka świtu właśnie ukazywały się na niebie ponad domami po drugiej stronie ulicy. Wokół panowała zupełna cisza. Nikogo nie było widać.

Obejrzał się jeszcze.

- Staraj trzymać się z dala od kłopotów, dobrze? Kate zamrugowała powiekami. Mówił to tak, jakby sama się prosiła o wszystko, co ją spotkało.

Zanim zdążyła poczuć się oburzona, przypomniała sobie, jak dobrze jej się spało i co by mogło się stać, gdyby Braga zostawił ją samą z Benem.

- Hej - zawołała do niego. Schodząc z werandy, spojrzał na nią pytająco. - Dzięki, że zostałeś.

- Nie ma za co. - Wzrokiem powędrował w dół i nagle uśmiechnął się złośliwie. - Ładna żaba.

Zaskoczona, zmarszczyła brwi i nagle stanęła jak wryta i też spojrzała na siebie. Oczywiście poły szlafroka się rozsunęły i duży kawałek różowej koszuli nocnej, łącznie z wielkim zielonym żabim łbem z wybałuszonymi oczami i słowami „Pocałuj mnie”, był wyraźnie widoczny.

Czuła, jak ze wstydu palą ją policzki. Na odgłos zamykanych drzwiczek samochodu uniosła wzrok. Braga siedział już w aucie. Po chwili rozblęły światła reflektorów i wóz zaczął wyjeżdżać tyłem na ulicę.

Kate weszła do domu, natychmiast zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz. Gdy ogarnęła ją mroczna cisza teraz spokojnego już domu, poczuła zaciskającą się wokół żołądka obręcz strachu.

Braga podejrzewał obecność jeszcze jednego mężczyzny w monitorowanym korytarzu. A Mario groził jej, nasyłając na nią oprychów.

Gdy te nowe fakty z jej życia dotarły do Kate, serce zaczęło jej walić jak młot. Puls przyspieszył i zaschło w gardle.

A najsmutniejsze było to, że dzień dopiero się zaczynał.

Tom zorientował się, że wpadł w tarapaty, jeszcze zanim oddzwonił do niego Wade Bowling z medycyny sądowej.

W laboratoriach mieszczących się w podziemiach Okrąglaka zbadano broń wykorzystaną w strzelaninie, by ustalić, z której postrzelono poszczególne ofiary i który z przestępców jej użył. Zaraz po przyjściu rano do pracy Tom zadzwonił do Bowlinga z prośbą o dostarczenie mu informacji. Nie uważał ich za specjalnie ważne, gdyż był pewien, że już zna odpowiedzi; potrzebował jedynie opinii ekspertów. Później całkowicie pochłonęły go inne związane ze śledztwem kwestie i zupełnie zapomniał o porannym telefonie.

Gdyż usiłował dociec, w jaki sposób pistolety, których użyto na samym początku wydarzeń - był niemal pewien, że tylko dwa zabrano

zastępcom szeryfa - dostały się w ręce więźniów, nachodziły go myśli o Kate White. Zostając u niej na noc, złamał zasady profesjonalnego dystansu i wiedział o tym. Jednak odgrywanie roli nocnego opiekuna przerażonej kobiety i jej dziecka właściwie trudno byłoby uznać za działanie wbrew przepisom. Nie naruszył żadnych obowiązujących zasad. Ona nie była - w każdym razie oficjalnie - o nic podejrzana. A on spał na kanapie.

Problem w tym, że go pociągała.

No tak, bądźmy szczerzy. Napalił się na nią jak diabli.

Zeszłej nocy, gdy ktoś w ciągu czterech godzin przeraził ją dwukrotnie - wielce niezwykły zbieg okoliczności, jak podpowiadało mu doświadczenie - padła mu w ramiona. Tego, co czuł, gdy ją przytulał, w żadnym wypadku nie można by uznać za zainteresowanie zawodowe.

Pragnął jej. I to bardzo.

I nic dziwnego. Ta jego śliczna prokuratorka, jak nazwał ją Fish, była naprawdę atrakcyjna. Pożądałby jej każdy mężczyzna z odpowiednim poziomem testosteronu. Ale on upora się z tym problemem. Może to nie najszcześniejsza dla niego sprawa, ale poradzi z nią sobie.

Sytuację jeszcze bardziej komplikowała autentyczna sympatia, którą poczuł do tej kobiety. Polubił ją o wiele bardziej, niż powinien.

Jeśli nie była akurat śmiertelnie przerażona - zwykły stan jej ducha, odkąd się poznali - okazywała się zabawna, inteligentna i pewna siebie, ponadto, jak zauważył, była fantastyczną matką.

A jej synek wydawał się miłym dzieciakiem.

Normalnie w podobnych okolicznościach Tom zadarłby ogon i uciekał gdzie pieprz rośnie.

Co solennie postanowił uczynić, gdy tego ranka opuszczał dom Kate.

Niestety, nie zapowiadało się, by mógł spełnić to postanowienie.

Jak postąpiłby na jego miejscu każdy inny skrupulatny śledczy, Tom poświęcił część poranka na szybkie sprawdzenie przeszłości osoby związanej ze śledztwem, której zeznanie budziło niejake wątpliwości. Osobą tą była Kate.

Zaczął po kolei, od lat jej młodości; w stanie Pensylwania nie była notowana i choć nie zaskoczyło go to, poczuł pewną ulgę. Potem wrócił do terażniejszości i prześledził jej życie wstecz. Fakty, do których się dokopał, wprawdzie zwiększyły jeszcze podziw, jakim ją darzył, ale także objawiły wiele niejasności. W wieku dwudziestu ośmiu lat została zatrudniona, ze wspaniałymi referencjami, w biurze prokuratora okręgowego, trzy poprzednie lata, korzystając z pożyczek studenckich i stypendium, spędziła w szkole prawniczej Tempie, gdzie radziła sobie znakomicie pod każdym względem poza jednym, określonym przez źródło dostarczające informacji jako „stres związany z sytuacją samotnej matki”. Wcześniej ponad pięć lat zabrało jej zdobycie stopnia naukowego z psychologii na uniwersytecie Drexela. Obie uczelnie, na których studiowała, znajdowały się w dużych miastach i sporo ich słuchaczy odpadało, nie mogąc sobie poradzić ze specyfiką studenckiego życia. Przejście

przez college zajęło Kate aż pięć lat, bo aby utrzymać siebie i syna oprócz uzyskania finansowej pomocy musiała dodatkowo pracować nocami jako kelnerka.

Jej wcześniejsze losy były mniej czytelne, ale przy odrobinie wysiłku udało mu się prześledzić je aż do Atlantic City w New Jersey. Tam, według wpisu w miejskim biurze ewidencji, urodził się jej syn - miała wtedy dziewiętnaście lat i na świadectwie urodzenia jako ojciec chłopca widniał jakiś Chaz White. Cztery miesiące wcześniej Kate, wtedy Katrina Dawn Kaminski, poślubiła dwudziestoczteroletniego

Charlesa Edwarda White'a. W rubryce: zawód na podaniu o pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego napisała: kelnerka. White podał się za szefa własnej firmy ochroniarskiej. Tom przyjął, że Charles Edward White to Chaz White wpisany na świadectwie urodzenia, a więc albo ojciec Bena miał dziwaczne poczucie humoru, albo skłonność do dowartościowywania się, bo w innych dokumentach - a zwłaszcza na nekrologu - figurował jako bramkarz w kasynie Harraha. W chwili śmierci, nazwanej „nagłą”, choć nie podano jej przyczyny, miał dwadzieścia pięć lat.

Tom zapamiętał, jak Ben mówił mu, że ojciec zginął w wypadku samochodowym tuż po jego przyjściu na świat.

Na świadectwie ślubu wpisano także dane rodziców Kate - Lois Smolski Johansen i Walter Sykes Kaminski - i miejsce jej urodzenia: Baltimore, Maryland. Zarówno matka, jak i ojciec byli notowani, ona za narkotyki i inne liczne drobne przewinienia, on za narkotyki i wiele

poważniejszych przestępstw, część nawet związanych z przemocą. Oboje nie żyli.

Ale dopiero w Maryland znalazło się coś naprawdę interesującego. Kate posiadała wpis w rejestrze dla nieletnich, do którego Tom nie miał dostępu; odkąd skończyła dziewięć lat, w ramach działań opieki społecznej przenoszono ją z jednej rodziny zastępczej do drugiej, ale nigdzie nie przebywała dłużej niż rok. W wieku piętnastu lat znikła bez śladu i pojawiła się dopiero trzy lata później w Atlantic City, gdy wypełniała formularz podania o pozwolenie na ślub.

Wciąż rozważał, jakie mogłoby to mieć znaczenie dla obecnego śledztwa, gdy wreszcie zadzwonił Bowling z biura medycyny sądowej.

- No i co Bowling miał do powiedzenia? - zapytał Fish, gdy Tom odłożył słuchawkę na miejsce.

Tom siedział za biurkiem zarzuconym różnymi papierzyskami, obok jego łokcia stał kubek z kawą - szósty lub siódmy tego dnia, gdyż tak naprawdę detektyw nie wyspał się najlepiej na kanapie Kate. Przed sobą miał rozłożony notatnik, w ręce trzymał ołówek. Znajdowali się w dyżurce w Okrągłaku, a że właśnie mijała pora lunchu, Fish odjechał z krzesłem od biurka Toma i czekał, by wyruszyli, jak zawsze w połowie dnia, na cheestesteaki do Margee. Fish jak zwykle wyglądał olśniewająco w jednym z tych swoich odlotowych garniturów - tego dnia w ciemnogrnatowym kolorze - w koszuli w paski i wzorzystym krawacie. Tom wziął prysznic, ogolił

się i włożył swoją ulubioną sfatygowaną marynarkę z szarego sztruksu - dziwne, ale nie brakowało nawet jednego guzika - czarne spodnie, białą koszulę i czerwony krawat. (Czerwone krawaty, jak się przekonał przez te wszystkie lata metodą prób i błędów, pasowały niemal do każdego ubrania). Dzień zapowiadał się nieźle, przynajmniej o tyle, o ile było to możliwe, gdy najbardziej pilną sprawą stało się zabójstwo czterech kolegów policjantów i sędziego, a jednocześnie z rozmaitych części miasta wciąż nadchodziły sygnały o nowych morderstwach. Do tego jeszcze Tom czuł się śmiertelnie znużony i zarazem nieco wyprowadzony z równowagi kłopotliwym zauroczeniem kobietą - prawniczką o niejasnej przeszłości, notowaną w rejestrze dla nieletnich, a na dodatek być może w jakiś sposób zamieszana w zbrodnię, którą się teraz zajmował.

Potem zadzwonił Bowling i oprócz rutynowego potwierdzenia faktów już Tomowi znanych okazało się, że w sprawie nastąpił pewien zwrot, który mógł całkowicie zepsuć ten w sumie dobry dzień.

Dopiero wtedy Braga pojął, jak bardzo go dopadło. Bo gdy się rozłączył, a Fish zapytał go o informacje otrzymane od Bowlinga, Tom omal nie okłamał kolegi detektywa, swojego partnera i wieloletniego przyjaciela, odruchowo odpowiadając: „Nic nowego”.

Zawahał się jednak, stuknął w notatnik końcem długopisu i ze zmarszczonym czołem spojrzał na Fisha.

- Co jest? - Partner znał go wystarczająco, by usiąść prosto i czekać na dalszy ciąg.

Świadom swej niezwyklej niechęci do podzielenia się otrzymaną właśnie rewelacją, Tom zmusił się, by to uczynić.

- To co zwykle. O czym już wiedzieliśmy. Poza jednym szczegółem: osoba, która zastrzeliła Rodrigueza, była najpewniej leworęczna.

Wydusił to z siebie.

Fish na sekundę oniemiał, a potem zrobił wielkie oczy.

- A ta piękna prokuratorka jest leworęczna?

- Nie mam pojęcia. - Tego rzeczywiście nie wiedział, obawiał się wszakże, że odpowiedź brzmi: nie. - Ale mam zamiar się dowiedzieć.

- A więc... - zaczął Fish, ale przerwał mu nachylony nad jego plecami Ike.

- Cieszę się, że wy dwaj jeszcze tu jesteście. - Ike miał minę równie radosną jak samopoczucie Toma. - Właśnie otrzymaliśmy telefon. Znaleziono dwa ciała w spalonym wozie kempingowym w hrabstwie Montgomery. Wygląda, że to nasi chłopcy.

- Ci, co to mieli czekać w samochodzie przygotowanym do ucieczki? - Fish zapalił się, wyraźnie zainteresowany. Poderwał się na nogi. - Hura! No to mamy niezłą pieczeń.

Tom także się podniósł, ignorując niesmaczny dowcip, który rozbawił wyłącznie Fisha. Choć czuł się fatalnie, jako policjant nie miał wyboru. - W porządku, sprawdzimy to.

Coraz bardziej spięty, z nerwami niczym postronki, wyszedł za kolegą i usiłował porzucić rozważania, w jakim kierunku podąży śledztwo, jeśli, co podejrzewał, Kate White okaże się praworęczna.

- Co pani mówi, jak to: cofnięto zarzuty? - krzyczała Kate do komórki. Drugą ręką zasłaniała ucho, odcinając się od hałasu ulicy. - To niemożliwe!

- Sprawdzę jeszcze raz - powiedziała kobieta na drugim końcu linii i po wyraźnym kliknięciu włączyła się muzyka z taśmy. Zniecierpliwiona Kate zacisnęła zęby, ale nie miała wyboru: musiała czekać.

Były to jej pierwsze wolne chwile tego szalonego dnia, które mogła poświęcić na własne sprawy. Od za pięć ósma rano, odkąd znalazła się na dziewiątym piętrze, wciągnął ją wir pracy, nawet lunch zjadła przy biurku, a do łazienki zaglądała w biegu. Na cały wydział kryminalny spadło karkołomne wręcz zadanie przełożenia terminów wszystkich rozpraw. Pierwsze pogrzeby ofiar strzelaniny miały się odbyć już następnego dnia i uwzględnienie ich w rozkładzie zajęć wprowadziło jeszcze więcej zamieszania. Wszystko, czego nie dało się przesunąć na później, przeniesiono na dzień wcześniejszy, do budynku federalnego, a zgromadzenie świadków, obrońców, adwokatów, sędziów i rozmaitych innych pracowników pomocniczych w jednym miejscu i o tej samej porze okazało się logistycznym koszmarem. Jak większość pracowników prokuratury Kate przez cały dzień biegała z jednego miejsca na drugie. W końcu poinformowała Monę, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza, by trochę oprzytomnieć, i dzięki temu udało jej się wymknąć.

I właśnie teraz, kilka minut przed piątą, w piękne, późnojesienne popołudnie, tak pogodne, że wielu turystów skusiło się na spacer,

szybkim i zdecydowanym krokiem szła w stronę więzienia. Żłociste promienie słońca migotały, odbijając się od okien górnych pięter drapaczy chmur. Po chodniku przesuwał się tłum przechodniów. Na jezdni zrobiły się większe niż zazwyczaj korki, gdyż o tej właśnie porze zaczynało wyjeżdżać z pracy. W purpurowym autobusie turystycznym firmy Philly Phlash, który przejechał obok niej, były już wyłącznie miejsca stojące. Jak spod ziemi wyrosli sprzedawcy hot dogów, pojawiły się stoiska z obwarzankami i wózki z napojami, a uliczni handlarze zachwalali podkoszulki z jeszcze ciepłym nadrukiem w rodzaju „Kocham Philly” nad datą poniedziałkową lub „Ocalona: Sąd Karny”. Sensacyjne zabójstwo podziało niczym magnes, przyciągając do centrum jeszcze więcej przechodniów i drobnych handlarzy niż zwykle.

Na szczęście przed domem pojawiło się tylko kilku reporterów, gdy Kate rano wychodziła do pracy, a przed biurem prokuratury przez cały dzień nie widziała żadnego, widać więc jej stwierdzenie, że nikt z personelu nie będzie rozmawiał z prasą, poskutkowało.

- Przykro mi. - Jej rozmówczyni wróciła do telefonu. Kate musiała wyteńczyć słuch, by coś zrozumieć w hałasie panującym na ulicy. - Ale w rejestrze wyraźnie napisano, że wszystkie zarzuty przeciwko panu Castellanosowi zostały wycofane i jakąś godzinę temu zwolniono go z aresztu.

Kate stanęła jak wryta, nie zważając na przechodniów dookoła.

- To niemożliwe.

- Tak jest w aktach.

Głośno wciągnęła powietrze. Biegły ku niej zaciekawione spojrzenia ludzi przechodzących obok, ale niczego nie widziała.

- Kto podpisał nakaz zwolnienia? - zapytała.

Spóźniła się. Kobieta odłożyła słuchawkę. Zamiast odpowiedzi Kate usłyszała tylko sygnał brzęczący niczym rozwścieczona osa. Przez długą chwilę trzymała telefon przy uchu, wpatrzona niewidzącym wzrokiem w ruchliwe skrzyżowanie przed sobą, aż w końcu to do niej dotarło.

Mario chodzi wolny po mieście.

Poranny chłód zelżał, ale Kate, mimo że miała na sobie czarny blezer, spodnie i błękitną oksfordzką bluzkę koszulową z długimi rękawami, i mimo że jeszcze przed chwilą maszerowała żwawo w butach na płaskim obcasie, nagle poczuła lodowaty chłód. Żołądek jej się skurczył, a serce łomotało. Przyciskała do siebie komórkę; gdyby zadzwoniła ze służbowego aparatu, zarejestrowano by rozmowę, tego nie chciała, chociaż nikt nigdy tych rozmów nie sprawdzał. Właśnie przed chwilą zatelefonowała do więzienia, aby ustalić termin następnego spotkania z Mariem. Miała zamiar mu zagrozić, że jeśli któryś z jego kompanów pojawi się ponownie w pobliżu niej czy Bena, ona znajdzie przeciwko niemu tyle oskarżeń, by dostał dożywocie. I mniejsza z tym, że Mario z pewnością zareagowałby gwałtownie, próbując zmusić ją szantażem do wyciągnięcia go z aresztu.

Postanowiła, że obieca mu pomoc, a potem zapomni o całej sprawie. Byle tylko utrzymać Maria i jego kompanów z dala od Bena.

Musiała go nastraszyć. Od samego początku wiedziała jedno - nie wolno jej się załamać, prosić go czy błagać o litość. Gdyby Mario wiedział, że zeszłej nocy udało mu się ją przerazić, byłaby ugotowana. Już dawno temu lubił się znęcać nad słabszymi od siebie i wyglądało na to, że się nie zmienił.

Zaraz, a może Mario sądzi, że zrobiła, o co prosił. Że to Kate wy dostała go z więzienia. A może po prostu wystarczy mu, że jest wolny, i zostawi ją w spokoju.

Przez jedną, uspokajającą chwilę rozkoszowała się tą myślą, ale zaraz wróciła do rzeczywistości.

A wróżki istnieją naprawdę.

- Nic pani nie jest, panienko? - Męski głos przebił się przez mgłę, która ją otaczała.

Ujrzała przed sobą sympatycznie wyglądającego mężczyznę około czterdziestki, który zatrzymał się i patrzył na nią zatroskanym wzrokiem. Zauważyła także zaciekawiony wzrok innych przechodniów i zmusiła się do powrotu na ziemię.

- Wszystko w porządku, dziękuję.

Nawet udało jej się uśmiechnąć do miłosiernego samarytanina. Zamknęła komórkę i włożyła ją do kieszeni, a potem świadoma uwagi, którą na siebie ściągała, ponownie ruszyła przed siebie. Samarytanin kiwnął głową i odszedł w przeciwną stronę. Już nie miała po co iść do więzienia, więc zawróciła w kierunku biura. Była dumna ze swojego opanowania, dopóki w jakiejś wystawie nie mignęło jej własne odbicie. Szła przygarbiona. Drżała. Włosy miała

upięte w kok i ta profesjonalna fryzura wyraźnie odsłaniała jej twarz: każdy szczegół jej rysów zdradzał napięcie.

Wyglądała na kogoś, kto doznał szoku. Kto z przerażenia niemal oślepl.

W sumie nie była zaskoczona, gdyż dokładnie tak się czuła.

Mario jest wolny.

Już ta myśl wywołała w niej panikę. Co ja teraz zrobię?

Szukała odpowiedzi na to pytanie, gdy niespodziewanie ktoś złapał ją za ramię.

RS

Rozdział 18

Poderwała się, jakby ktoś strzelił jej nad uchem. By spojrzeć na intruza, odwróciła głowę tak gwałtownie, że omal nie uszkodziła sobie kręgow szyi.

- Wystraszyłem cię? Przepraszam. - Bryan uśmiechał się do niej szeroko.

To jego dłoń poczuła na ramieniu. Kate odetchnęła z ogromną ulgą. Uspokoiła się trochę i nie musiała już się martwić, jak jeszcze przed sekundą, że zaraz padnie trupem. Znowu mogła myśleć rozsądnie, oddychać, dalej iść ruchliwą ulicą.

- Wybierasz się do jakiegoś interesującego miejsca? -zapytał.

- Zależy, co nazywasz interesującym. Wracam do pracy. -
Zmusiła się do uśmiechu.

Odkąd Rodriguez wyciągnął ją spod stołu prokuratury w sali sądowej 207, widziała Bryana tylko przelotnie. Wydawało się, że kolega całkowicie doszedł do siebie po tych dramatycznych przejściach. Jego okrągła twarz pozostała pogodna. Brązowe oczy lśniły. Kiedy tak stał przed Kate w szarym garniturze, noszonym w sferach biznesu, wydawał się promieniować energią. Miał ze sobą aktówkę, wypchaną dokumentami - normalny stan w wypadku teczek używanych przez pracowników biura prokuratora okręgowego.

- A ty? - rzuciła.

- Właśnie wracam ze spotkania z burmistrzem. - Puścił jej ramię i szedł teraz obok niej. Mówił nonszalanckim tonem, ale zaróżowione policzki wskazywały, że rozpiera go duma. - A raczej powinienem powiedzieć: wracamy ze spotkania z burmistrzem.

Dopiero te słowa uświadomiły Kate, że Bryan nie był sam. Gdy dyskretnie spojrział w bok, podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła wysokiego postawnego mężczyznę o siwych włosach idącego po drugiej stronie kolegi. Zauważył, że na niego popatrzyła, i z uśmiechem skinął do niej głową.

Sylvester Buchanan, prokurator okręgowy we własnej osobie, ich główny szef. Zaskoczona Kate otworzyła szeroko oczy.

Wcześniej widziała go z bliska tylko jeden jedyny raz przez chwilę na przyjęciu wydanym na cześć przechodzącego na emeryturę naczelnika jednostki zajmującej się najcięższymi przestępstwami. Było to w lipcu, gdy pracowała dopiero miesiąc. Zostali sobie przedstawieni, wymienili krótki uścisk dłoni. Wątpiła, czy pamiętał, czy w ogóle miał pojęcie, kim była.

- Właśnie o tobie rozmawialiśmy - oznajmił Bryan radośnie, robiąc uniki przed nadchodzącym z przeciwnej strony tłumem przechodniów.

- Naprawdę? - Kate uniosła brwi. Jeśli tak, to może Buchanan wiedział, kim była. Zadrżała na myśl o swojej przyszłości zawodowej - jeśli po sprawie z Mariem w ogóle mogła liczyć na stanowisko w prokuraturze. Spojrzała jednak ponownie na Buchanana. Przynurzył się

do Bryana, by przepuścić przechodzące obok dwie kobiety z wózkami z dziećmi.

- Rzeczywiście - potwierdził, patrząc na nią z promiennym uśmiechem. - Cieszę się, mogąc pierwszy przekazać pani dobrą nowinę. Burmistrz chce panią udekorować odznaczeniem Błyszcząca Gwiazda. I pragnie uczynić to osobiście, w przyszły piątek wieczorem, podczas zbiórki funduszy na kampanię Jima Wolffa.

Sądząc z jego tonu, oczekiwał, że Kate poczuje się oszołomiona. I nie pomylił się, tyle że jego słowa nie wywołały tak wielkiego entuzjazmu, jakiego się spodziewał. James Wolff, inaczej James Arvin Wolff IV, miał być głównym kandydatem republikanów na prezydenta podczas wyborów w roku 2008. Nie tym, na którego zamierzała głosować Kate, choć do przyszłego listopada jeszcze wszystko mogło się zmienić. A odznaczenie Błyszcząca Gwiazda było nieodłącznym składnikiem inicjatyw burmistrza podejmowanych w celu zwalczania przestępczości: honorowano nim obywateli, którzy przeciwstawili się złoczyńcom. Ostatnie, o którym słyszała, jeszcze tego lata przekazano wdowie po właścicielu małego supermarketu, niedającym się zastraszyć rabusiom, którzy wciąż napadali na jego sklep. Jak zapamiętała Kate, odznaczenie zostało nadane pośmiertnie, bo podczas kolejnej strzelaniny właściciel supermarketu zginął - bandyci okazali się równie zdeterminowani.

A ona, jak powszechnie sądzono, zastrzeliła mężczyznę, który zabrał ją jako zakładniczkę.

Zważywszy, że Błyszcząca Gwiazdą nagradzano działania związane z walką z przemocą, była w tym jakaś ironia.

- To będzie niezwykle ekskluzywna uroczystość, myślę, że jest pani tego świadoma - tłumaczył Buchanan, patrząc na Kate nieco zaniepokojony, jakby nie miał pewności, czy ona do końca zdaje sobie sprawę, jak bardzo została wyróżniona. A jej przyszło do głowy, że może wyraz twarzy zdradza odczuwane przez nią przerażenie, i spróbowała zarówno miną, jak i językiem ciała ukazać reakcję bardziej odpowiadającą miłemu zaskoczeniu. - Strój wieczorowy. Pojawią się wszystkie lokalne szczy. Będzie to z korzyścią dla pani. I dla wszystkich w biurze prokuratora. Zrobi się o nas głośno. Może nawet wspomną o nas w ogólnokrajowych wiadomościach telewizyjnych.

O mój Boże. Czy mogłoby być jeszcze gorzej?

Kate gorączkowo szukała możliwości wykręcenia się od kłopotliwej propozycji, tak by nie obrazić Buchanana.

-Ja... wcale nie uważam, abym zasłużyła na odznaczenie.

A naprawdę miała ochotę powiedzieć: Mowy nie ma. Za żadne skarby. Wykluczone. Zapomnij o tym.

- A nie mówiłem, że jest skromna? - odezwał się Bryan, gdy dochodzili do imponującego, kamiennego budynku, w którym mieściła się prokuratura okręgowa, zajmująca cały jego narożnik. Pospieszywszy do najbliższego wejścia, otworzył przed Kate drzwi. - Ale jej postawa, przytomność umysłu, zachowanie - zasługują na odznaczenie. Wierz mi, byłem tam.

Kate aż jęknęła w duchu, przechodząc obok Bryana do przestronnego holu. Buchanan wszedł tuż za nią. Obejrzała się przez ramię, chcąc powiedzieć cokolwiek, co by przekonało obu mężczyzn, jak bardzo się mylą, zanim jednak zdołała cokolwiek z siebie wydusić, uderzył ją stukot kroków na marmurowej posadzce i aż za dobrze znana kakofonia terkoczących dźwięków.

Natychmiast odwróciła głowę i spojrzała przed siebie. Tak jak podejrzewała, w ich stronę biegło kilku wyposażonych w kamery reporterów. Z nadzieją, że jej twarz nie zdradza tego, jak się czuje, czyli jak królik złapany w światła reflektorów, gwałtownie skrzyła w stronę wind, a Bryan i Buchanan pospieszyli za nią.

- Pani White, jak przyjęła pani wiadomość o przyznaniu pani Błyszczącej Gwiazdy? Pani White, czy jest pani zwolenniczką Jima Wolffa? Kate, dlaczego nie chcesz rozmawiać o wydarzeniach w sali sądowej 207? Panie Buchanan, czy to pan zgłosił panią White do odznaczenia podczas dzisiejszego spotkania z burmistrzem?

- Bez komentarza - powiedziała Kate, czując się jak złapana w pułapkę, gdy dziennikarze niemal przyparli ją do ściany między dwiema windami. Z furią wcisnęła guzik, a kilka czekających na windę osób oddaliło się, jakby uznając nowo przybyłych za skażonych radioaktywnością. Kątem oka dostrzegła, że pierwsza pojawi się kabina po lewej stronie: zjeżdżała już w dół z trzeciego piętra.

Wycofała się ku lewym drzwiom.

- Pani White czuje się zaszczycona wyróżnieniem i na pewno zasłużyła sobie na Błyszcząca Gwiazdę - oznajmił Buchanan

głębokim, autorytatywnie brzmiącym głosem, jakim zwykł przemawiać na forum publicznym i całkowicie różniącym się od cichego, przyjacielskiego tonu, którego używał w rozmowach prywatnych, a w każdym razie gdy przed chwilą rozmawiał z nią. -1 absolutnie... - urwał, gdy dzwonek ogłosił pojawienie się windy - nie sugerowałem jej nazwiska burmistrzowi.

Kilka osób wysiadło z kabiny, zdumionych tym, że znaleźli się w samym centrum szalejących mediów. Kate wśliznęła się do środka. Buchanan i Bryan podążyli za nią żwawo, gdy już naciskała guzik dziewiątego piętra.

- Kate, będziesz jutro na pogrzebie sędziego Morana? Panie Buchanan, czy wie pan, kiedy nastąpi mianowanie sędziego zastępczego? Kate, czy myślisz...

Gdy drzwi się zamknęły, Kate z ulgą oparła się o ścianę kabiny.

- Jakim sposobem dostali się do budynku? - Zirytowany Buchanan potrząsnął głową, Bryan wzruszył ramionami.

- Pomówię z ochroną. Kate... mogę zwracać się do ciebie po imieniu? - Przyzwalająco skinęła głową. - Wciśnij czwarte, dobrze?

Bez słowa odszukała przycisk z numerem cztery.

- I gdzie, u diabła, zdobyli informacje? Burmistrz nie złożył jeszcze publicznego oświadczenia. Cholerne przecieki.

Winda zakołysała się i stanęła.

- No dobrze. Tym razem niech burmistrz sam się upora z problemem. - Buchanan poklepał ją po ramieniu. - A przy okazji, moje gratulacje. Widzimy się w przyszły piątek.

Do momentu gdy opuścił windę, Kate starała się, jak mogła, ukryć przerażenie.

- Nie wydajesz się zachwycona tą Błyszczącą Gwiazdą - zauważył Bryan, gdy znów ruszyli w górę. Spojrzawszy na swoje odbicie w miedzianym panelu przy przyciskach, Kate zrozumiała, co miał na myśli. Ogromne oczy w przeraźliwie bladej twarzy; gdyby kazano jej opisać swój własny wygląd, użyłaby słowa „udręczona”. - To odznaczenie bardzo ci się przyda. Da ci szansę na szybsze dotarcie na szczyt.

Kiedyś podobna uwaga zabrzmiałaby w jej uszach jak wspaniała muzyka.

- Nie mam się w co ubrać - bąknęła, nie znajdując żadnej innej logicznej obiekcji.

Bryan zachichotał.

- Zabrzmiało jakoś znajomo. Moja żona powtarza dokładnie to samo za każdym razem, gdy szykuje się nam jakieś wyjście. Coś znajdziesz, jestem pewien.

- Tak, ale.... - Winda zadzwoniła - dotarli na dziewiąte piętro - i Kate, wychodząc z Bryanem z kabiny, postanowiła na razie się poddać. Miała ponad tydzień na wymyślenie przekonującego pretekstu, by nie wziąć udziału w imprezie z okazji zbierania funduszy. W najgorszym wypadku zawsze może udać chorą. Zresztą akurat w tym momencie miała do rozwiązania bardziej istotne problemy. Choćby Mario przebywający na wolności. W każdej chwili mógł się pojawić, na samą myśl o tym z przerażenia robiło jej się

niedobrze. Do jakiego stopnia stanowił dla niej zagrożenie w sensie fizycznym?

Niestety na to pytanie tak naprawdę nie umiała znaleźć odpowiedzi.

Zamyślona, ruchem dłoni odwzajemniła gest Cindy -zajęta rozmową telefoniczną recepcjonistka machnęła im na powitanie wypiełgnowanymi palcami - i zrównała krok z Bryanem, gdy podążali korytarzem w kierunku swoich gabinetów. Na dziewiątym piętrze jak zawsze panował wielki ruch. Telefony dzwoniły z dysharmonijną natarczywością, kopiarki warczały, przejeżdżający między boksami praktykantów kawowy barek na kółkach turkotał na deskach podłogi, a kakofonia rozmów tworzyła przypominające ryk tło. Pracownicy jakby pod presją niezbędnego pośpiechu śmigali od biurka do biurka, z gabinetu do gabinetu. Późne popołudniowe słońce znajdowało się zbyt nisko na niebie, by zapewnić zadowalającą ilość naturalnego światła, więc gdyby nie umocowane pod sufitem fluoryzujące lampy, korytarz zapewne tonąłby w mroku. Towarzyszył im zapach kawy i ciasta podgrzewanego w mikrofalówce. Normalnie ta woń sprawiłaby, że Kate poczułaby głód, ale tego dnia napięcie nie pozwalało jej na równie prozaiczne reakcje. Była zbyt zdenerwowana, by jeść: na lunch zadowolila się więc połówką jabłka i kawałeczkiem krakersa z masłem orzechowym.

- Jak się trzymasz? - Prawie dotarli do gabinetu, gdy Bryan na nią spojrzał. W jego tonie zadźwięczały nutki zażenowania. - To znaczy, czy wszystko w porządku? Bóg jeden wie, jak bardzo było

stresujące to, co się wydarzyło w poniedziałek, a tobie, o ile mi wiadomo, nic nie zostało oszczędzone.

Gdybyś tylko wiedział!

- Pomaga mi praca - wyznała. - Staram się nie myśleć o tamtym.

- Tak chyba trzeba. - Zamilkł i ponownie skierował na nią wzrok. - Mamy tu psychoterapeutów. Mówię, na wypadek gdybyś potrzebowała kogoś takiego. Tylko żeby porozmawiać. Sprawa pozostałaby absolutnie tajna, bez żadnej adnotacji, że kiedykolwiek korzystałaś z pomocy tego rodzaju specjalisty. Masz informacje w poczcie elektronicznej, łącznie z numerem telefonu, pod którym można się umówić. A także jest o tym wspomniane w biuletynie na tablicy ogłoszeń w pokoju socjalnym.

- Zastanowię się - obiecała. Rzeczywiście poniedziałek był niezwykle stresującym dniem i z pewnością przydałaby się jej wszelka możliwa pomoc. Problem polegał na tym, że Kate nikomu nie mogła wyznać prawdy o tym, co zaszło. Nie sądziła więc, by terapeuta zdołał w czymkolwiek jej pomóc. - A ty jak się czujesz? Też nieźle cię dopadło.

- Chcesz powiedzieć, że byłem śmiertelnie przerażony. - Bryan zrobił zażenowaną minę. - Już miałem rozmowę z terapeutą. Wczoraj. I pomogło. Ale nie rozgłaszaj tego faktu, dobrze?

- Oczywiście. - W tym momencie Kate przypomniała sobie o czymś.

- Pozwól, że cię o coś zapytam - zaczęła. - Czy znasz jakiś gang lub bandę, która używa znaku smoka jako logo, a jej członkowie mają taki tatuaż?

Bryan zmarszczył brwi.

- Dlaczego chcesz to wiedzieć? - Doszli do jego gabinetu.

Otworzył drzwi i ruchem ręki zaprosił Kate do środka.

Gdy przechodziła obok niego, wzruszyła ramionami, świadomie udając, że specjalnie jej na tej informacji nie zależy.

- Słyszałam takie tam... - rzuciła wykrętnie i opadła na jedno z dwóch krzeseł z chromu i skóry stojących przed biurkiem. Gabinet Bryana był trochę bardziej gustownie umeblowany niż jej pokój, no i większy, o dwóch oknach.

- To Czarne Smoki. - Postawił aktówkę na podłodze, usiadł za biurkiem i odchylił się do tyłu, opierając wygodnie ręce na poręczach krzesła. - Jakies cztery lata temu ściągnęli tu, głównie z Baltimore i z Kolumbii. Z początku mieszały się z innymi gangami i zbytnio się nimi nie interesowaliśmy, ale później zaczęli popełniać coraz cięższe zbrodnie. Pamiętasz, jak w zeszłym roku w domu mieszkalnym wybuchł pożar, który pochłonął szesnaście ofiar? To robota Smoków, zemsta za schrzaniiony interes narkotykowy. Była także pewna rodzina - rodzice, dwójka dzieci, babcia - kilka miesięcy temu wszyscy oni zginęli podczas napadu na dom, bo nie chcieli dłużej pomagać członkom gangu. Mieliśmy mnóstwo podobnych spraw. To gang taki jak Crips i Bloods, tyle że działający z jeszcze większym okrucieństwem i powiązany z mafią. Próbujemy ich zlikwidować,

przegnać z miasta, zanim urosną w siłę. Za każdym razem, gdy złapiemy jednego z członków, staramy się dopilnować, by dostał to, co mu się należy.

Niezbyt pocieszające. Zresztą jeśli to prawda, to jakim sposobem Mario wydostał się na wolność? Kate znów poczuła narastającą panikę.

- Prowadzisz sprawę dotyczącą któregoś ze Smoków? - zapytał Bryan ze zmarszczonymi brwiami. - Pewnie nie masz teraz ochoty samodzielnie rozpracowywać tego typu przypadku.

Kate potrząsnęła głową.

- Byłam tylko ciekawa, to wszystko. Tamtego dnia w więzieniu zobaczyłam tatuaż smoka i pomyślałam, że wygląda mi to na jakieś powiązania z gangiem.

- Miałaś rację - ciągnął Bryan, ale przerwał mu dzwonek telefonu. Po sprawdzeniu tożsamości dzwoniącego i krótkim „przepraszam” rzuconym w stronę Kate podniósł słuchawkę. Gdy się przedstawił, wstała, by odejść. Pomachał jej na pożegnanie. Cicho zamknęła za sobą drzwi i ruszyła do swojego gabinetu.

Na widok Mony zwolniła kroku. Dokładnie widziała rozanielenie na twarzy asystentki, widocznej częściowo gdy stała w drzwiach pokoju Kate, już prawie na korytarzu, z dłonią na klamce, i najwyraźniej rozmawiała z kimś, kto znajdował się w środku.

Jak zwykle ubrana była w podkoszulek z długimi rękawami, w kolorze jaskrawej zieleni, i w błękitną spódnicę do kostek, wykończoną na dole falbaną. Całość uzupełniały zielone getry i

zielone drewniaki na dziesięciocentymetrowych obcasach. I jeszcze szal - barwy jaskrawej zieleni i pawiego błękitu - otaczał jej szyję, jakby łącząc ze sobą poszczególne elementy stroju.

W pewnym sensie. Zresztą może nie do końca.

Mona spojrzała w kierunku Kate i twarz jej pojaśniała. Kate wyraźnie usłyszała wypowiedziane przez asystentkę słowa: „O, jest, właśnie idzie” - do osoby czekającej w gabinecie. Towarzyszył im szeroki uśmiech, na którego widok Kate nabrała niedobrych przeczuć. Potem Mona wyszła na korytarz i wpatrzona w Kate, ruszyła szybko w jej stronę, a cała jej drobna postać promieniowała podekscytowaniem i widać było, że tamta wprost marzy, by podzielić się nowymi wieściami.

Zrezygnowana Kate szła dalej.

- Kto to? - zapytała Monę szeptem, widząc, jak ta wachluje się przesadnie, jakby zaraz miała paść ofiarą udaru słonecznego.

- Ten seksowny gliniarz - poruszyła ustami, niemal nie wydając dźwięku. Potem, zrównując się z Kate, powiedziała specjalnie donośnie, by wszyscy ją usłyszeli. - Przyszedł do ciebie detektyw Braga.

Kate rzuciła jej przez ramię wymowne spojrzenie. Mona, już się oddalając, posłała jej szeroki uśmiech i uniosła w górę kciuki.

Kate weszła do gabinetu.

Braga stał przy oknie naprzeciw drzwi. Z pochyloną głową i rękami założonymi na plecach zdawał się studiować coś leżącego przed nim na podłodze. Gdy weszła, pospiesznie uniósł wzrok, i

natychmiast dostrzegła, jak mały był jej gabinet. Detektyw zajmował większą część wolnej przestrzeni. Lewym łokciem dotykał fikusa, a szerokimi ramionami zasłaniał niemal całe okno. Zlustrowała go wzrokiem - próbując zapomnieć, że gdy opuszczał jej dom po spędzeniu tam nocy, dostrzegł śmieszny napis na jej koszuli nocnej. Odkąd widzieli się ostatnio tego ranka, wziął prysznic i ogolił się, ale zarost już pojawił się ponownie, przyciemniając gładkie policzki. Detektyw miał potargane włosy, jakby właśnie przejechał po nich palcami. Z twarzy nic nie dało się wyczytać, choć nadal wyglądał na zmęczonego.

Rzecz w tym, że poczuła coś, do czego za żadną cenę nie chciała się przyznać - radość z jego widoku. Jakby był jej przyjacielem czy kimś w tym rodzaju.

A przecież na pewno nie był dla niej nikim bliskim. Mimo że ostatnią noc przespał w domu Kate.

Rozdział 19

Cześć - powitał ją Braga. Podążał za nią wzrokiem, gdy go obchodziła, by dostać się za biurko. - Pracowity dzień?

Spojrzała na niego przymrużonymi oczami. Było w nich coś...

- Czy to wizyta kurtuazyjna? - zapytała, stawiając aktówkę na podłodze, niemal pewna, że detektyw nie zjawił się przypadkowo. Podniosła się, wyprostowała ramiona i spojrzała mu w twarz, gotowa na przyjęcie tego, co ją czekało z jego strony. - Bo jeśli tak, nie mam czasu. Przed wyjściem muszę zająć się jeszcze kilkoma sprawami, a nie lubię się spóźniać po Bena.

- To zabierze tylko chwilę. - Wyjął ręce zza pleców. Trzymał w nich cienką plastikową torbę. - To dla ciebie.

- Dla mnie?

Zaskoczył ją. Zaciekawiona sięgnęła po torebkę, a że ani przez moment nie odrywała wzroku od twarzy detektywa, nie umknął jej uwagi ledwie zauważalny surowy błysk jego oczu, gdy brała do ręki reklamówkę. Kate zmarszczyła brwi, próbując odgadnąć, o co mu chodziło.

- Właściwie to dla Bena. - Jego głos zabrzmiał całkiem zwyczajnie. - Piłka do koszykówki. Akurat natknąłem się na taką z rysunkiem dłoni wskazującym, jak dokładnie należy ją trzymać przed rzutem do siatki. Pomyślałem, że to może mu pomóc.

Kate zajrzała do torby. Rzeczywiście, była w niej piłka do koszykówki. Na pomarańczowej skórze zobaczyła małe, purpuroworóżowe dłonie. Piłka treningowa dla początkujących? Tak jej się wydawało.

Ich oczy się spotkały.

- Dziękuję - powiedziała całkowicie szczerze. Wzruszył ją; przyniósł prezent dla Bena, pamiętał o nim i o problemach z zajęciami sportowymi, o których jej synek pewnie mu opowiedział. Posłała mu uroczy, słodki uśmiech, jakim ostatnio chyba nigdy nikogo nie obdarzyła.

Braga zareagował lekkim kiwnięciem głowy, a ich oczy spotkały się ponownie. Stał na lekko rozstawionych nogach, z nieprzeniknioną miną. Nie dostrzegła ani śladu uśmiechu. Jeśli miałyby scharakteryzować docierający do niej sygnał, określiłaby go jako złość.

No dobrze, wystarczy tych uprzejmości. Postawiła torbę obok aktówki i spojrzała na detektywa ponownie, tym razem bez uśmiechu.

- Czy coś jeszcze?

- Owszem.

Przeszedł przez pokój dwoma długimi krokami i zamknął drzwi. Kate obserwowała go z rosnącym zdziwieniem, gdy podszedł do biurka i spojrzał na nią, demonstrując tę swoją nieczytelną, pokerową maskę, która, jak zaczynało do niej docierać, oznaczała, że był teraz wyłącznie policjantem.

O rany.

- O co chodzi? - spojrzała na niego pytająco, starając się ukryć zdenerwowanie, które stopniowo zaczynało stawać się dla niej stanem normalnym.

- Musisz mi coś wyjaśnić. Zademonstrować, jak zastrześliłaś Rodrigueza. Wróćmy do tego raz jeszcze, dobrze?

Serce zaczęło jej dudnić niczym bęben, na piersiach zaciskała się ciasna obręcz. W jednej chwili zaschło jej w ustach. Nagła, podświadoma reakcja ciała, nad którą nie zdołała zapanować.

O Boże. Czy on coś wiedział? Mógł to widzieć?

Opanuj się, powtarzała sobie. On jest gliniarzem, nie jasnowidzem.

- Nie chcę więcej o tym mówić. Rozmowa na ten temat wyprowadza mnie z równowagi.

Zacisnęła usta. Detektyw położył dłonie płasko na biurku i pochylił się w jej stronę. Spoglądał na nią niemal z tego samego poziomu, na którym znajdowała się jej twarz. Jego oczy były pełne erotycznego czaru, a przynajmniej byłyby, gdyby nie uderzały w jej źrenice niczym lasery.

- Prędzej czy później będziesz musiała o tym z kimś porozmawiać. Na twoim miejscu wybrałbym mnie. I teraz.

Kate mocno przytrzymała się oparcia krzesła i hardo wysunęła brodę. Jako prawnik przynajmniej знаła swoje prawa.

- Nie muszę nic mówić. Mam prawo nie odpowiadać na pytania - twoje czy kogokolwiek innego.

- Racja, przysługuje ci. Wykorzystasz je?

Oboje wiedzieli, że jeśli jako asystentka prokuratora okręgowego odmówiłaby detektywowi z wydziału zabójstw odpowiedzi na pytania w sprawie, w którą jest zamieszana, wzbudziłaby swoją postawą szereg wątpliwości w prawniczych i policyjnych kręgach Filadelfii. Jednym słowem: jej przełożonym to by się nie spodobało. Podejrzewano by ją o ukrywanie czegoś.

Lepiej sobie tego nie wyobrażać.

- Nie. - Udało jej się tylko sprawić, by słowo to nie zabrzmiało zbyt ponuro. Do czego służą te wszystkie konstytucyjne prawa, jeśli w potrzebie nie można z nich skorzystać? - Co chcesz wiedzieć?

Jakby nie pamiętała. Jakby nie trafił w tę jedną jedyną rzecz, której się obawiała. Jakby kłamstwo, które mu wcisnęła, nie paliło jej duszy.

- Jak zastrzeliłaś Rodrigueza. Przykro mi, że to pytanie przywołuje niemiłe wspomnienia.

Kate zagryzła wargę. Jego ton nie świadczył, że jest mu przykro. Ani mina. Wydawał się dość zdecydowany.

Jakby czekał, że ona zapłacze się w zeznaniach.

Co dokładnie wiedział? Chodziło mu o tego drugiego mężczyznę w monitorowanym korytarzu? A może o coś innego?

Nie wolno jej teraz panikować.

Próbowała skoncentrować się na przypomnieniu sobie, co dokładnie zeznała. Najważniejsze, aby była konsekwentna. Jako asystentka prokuratora okręgowego zawsze wynajdywała nieścisłości

w zeznaniach, gdy ktoś podawał trzy różniące się wersje tego samego wydarzenia. Bo wtedy miała pewność, że ten ktoś kłamał.

Głęboki oddech. Nie, to zbyt zdradzieckie. Po prostu trzeba zachować zimną krew.

- A więc? - zapytał.

Palce Kate zacisnęły się na oparciu krzesła tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę.

- Pchnął mnie na podłogę. Pod ścianą zauważyłam broń. On upuścił swoją. Złapałam tę z podłogi, zerwałam się na nogi i strzeliłam do niego. Dostał w sam środek klatki piersiowej.

Niezwykłe realistycznie zadrżała na równie realistycznie udane wspomnienie chwili, w której rzekomo zastrzeliła Rodrigueza. Był niemal pewna, że właściwie odtworzyła kolejność wydarzeń. Pamiętała nawet, jak wspomniała, że pistolet był odbezpieczony. O co tu chodziło? Czy w jakiś sposób udało im się ustalić, że w rzeczywistości broń nie była odbezpieczona? W takim wypadku mogła...

- W której ręce trzymałaś broń w momencie oddawania strzału?

W jednej sekundzie świat wokół Kate się zatrzymał. Zrozumiała wszystko i całe życie przesunęło jej się przed oczami. O to mu chodziło. Wyraźnie jak nigdy dotąd uprzytomniła sobie, że Mario trzymał broń w lewej ręce, gdy zastrzelił Rodrigueza. Był mańkutem. Dlatego tam, w monitorowanym korytarzu nie dostrzegła smoka wytatuowanego na jego prawym nadgarstku. Bo strzelał lewą ręką.

- W lewej. - Miała tylko nadzieję, że w momencie gdy ta okropna prawda do niej dotarła, wyraz jej twarzy się nie zmienił. Chyba nie; wszystko wydarzyło się tak szybko. A nawet jeśli się myliła, zmiana wyrazu twarzy nie wystarczy do postawienia jej w stan oskarżenia.

- Jesteś przecież praworęczna, czyż nie?

Słyszając w jego głosie nutę pewności siebie, zmarszczyła brwi. I ponownie do niej dotarło. Oczywiście! Piłka do koszykówki - podał jej torbę z piłką. A ona wzięła ją prawą ręką. Bez wahania, automatycznie, w końcu była praworęczna.

Zrobił to celowo, jako test.

Ta świadomość eksplodowała w niej niczym fajerwerki na nocnym niebie.

Spojrzała wściekle na detektywa i wskazała mu drzwi.

- Dość tego. Wynoś się.

Wyprostował się, wyraźnie zaskoczony.

- Nie odpowiedziałas na pytanie.

- I nie zamierzam. Rozmowa skończona. Chcę, żebyś wyszedł.

Natychmiast.

Przedtem wzruszył ją prezentem i przez chwilę sądziła, że może są przyjaciółmi, pozwolił jej sądzić, że zależy mu trochę na Benie i na niej. Teraz czuła się skrzywdzona i oszukana, a to bolało bardziej, niż byłaby zdolna sobie wyobrazić. Wyszła zza biurka i ruszyła do drzwi z zamiarem otwarcia ich i pozostania tam, dopóki Tom Braga nie

wyjdzie. Ale gdy go mijala, złapał ją za ramię i odwrócił do siebie twarzą.

- Jesteś praworeczna, Kate.

Wyrwała ramię. Znajdował się tak blisko niej, że musiała unieść głowę, by spojrzeć mu w oczy. Były ciemne od gniewu. Usta zacisnęła w cieką kreskę i patrzył na nią surowo, ponurą miną - co jej odpowiadało.

Jego irytacja nie dorównywała targającej nią wściekłości.

- Trzymaj ręce z daleka. Wynoś się z mojego gabinetu!

- Jeżeli istnieje jakieś wyjaśnienie, dlaczego praworeczna kobieta zastrzeliła człowieka, trzymając broń w lewej dłoni, chciałbym je usłyszeć.

Rozłoszczona, szła dalej do drzwi, rzucając przez ramię:

- A więc ma pan pecha, detektywie, bo nie odpowiem już na żadne pytanie.

- Kate...

Doszła do drzwi, otworzyła je na oścież i odwróciła się twarzą do Bragi.

- Wyjdź!

- Nie tylko ja będę pytał. - Patrzył na nią surowo.

- Powiedziałam: wyjdź!

Mona wyjrzała ze swojego pokoiku i gapiała się zaskoczona w ich stronę. Za jej plecami jacyś oddalający się korytarzem studenci-praktykanci także się odwrócili. Dopiero wtedy Kate zorientowała się, że krzyczy.

Nie wolno jej robić sceny.

- Czy coś się stało? - zapytała Mona. Tom już szedł do drzwi.

- Detektyw Braga właśnie wychodzi. - Głos Kate zabrzmiał lodowato. Mona podeszła i przystanąła zadyszana obok Kate. Zdumiona gapiła się na mężczyznę, który właśnie groźnie pochylił się nad jej przełożoną.

Był tak blisko, że Kate dokładnie widziała delikatną fakturę jego skóry. Z kamienną twarzą wytrzymywała lustrujące ją spojrzenie.

Ustami niemal dotykając jej ucha, szepnął:

- A tak między nami, jesteś beznadziejną kłamczuchą. Twoja twarz wydaje cię za każdym razem.

I gdy rozwścieczona Kate wciągnęła powietrze, by coś powiedzieć, wyszedł.

- Trzeba przyznać, że to fantastyczny facet. - Mona, nadal nie kryjąc zdumienia, patrzyła wraz z Kate, jak Braga znika na końcu korytarza. - Żeby tak chciał szepnąć mi coś do ucha.

Kate przestała go obserwować i gniewnie spojrzała na Monę, która ruchem winowajczynie uniosła ręce w górę.

- Przepraszam. - Asystentka zrobiła skruszoną minę. Rzuciła jeszcze za detektywem ostatnie, pełne żalu spojrzenie i przeniosła uwagę na Kate. - No więc, o co tu chodziło?

- O nic. - Po jej minie Kate zrozumiała, że nie obejdzie się bez dalszych wyjaśnień. Tyle że tym razem Monie nie uda się zadowolić ciekawości. - Zirytował mnie, to wszystko.

-Aha.

- Przepraszam, mam masę roboty. - Kate wycofała się do gabinetu, zamykając drzwi przed nosem zaciekawionej Mony. Potem oparła się o nie i przymknęła oczy.

Była zbyt wstrząśnięta, by móc cokolwiek się zająć. Zamierzała zatelefonować do więzienia i dowiedzieć się, kto podpisał nakaz zwolnienia Maria. Miała też zadzwonić do kilku świadków, wezwanych do stawienia się w sądzie następnego dnia, i upewnić się, że zostali powiadomieni o przełożeniu terminów rozpraw w związku z całym tym zamieszaniem w pracy sądu. Planowała też raz jeszcze przejrzeć notatki dotyczące przesłuchania, które miało się odbyć wczesnym rankiem następnego dnia, zanim cała praca zostanie wstrzymana z powodu pogrzebu sędziego Morana, a później ceremonii pogrzebowych dwóch zastępców szeryfa. Zamierzała...

Do diabła z tym. Idzie do domu. Dla pewności rzuciła okiem na zegarek i okazało się, że wcale nie wyjdzie z pracy za wcześnie. Właśnie dochodziła szósta.

Wzięła aktówkę, nawet nie sprawdziwszy jej zawartości, co raczej jej się nie zdarzało, gdyż miała w zwyczaju zabierać do domu akta, nad którymi potem pracowała po wysłaniu Bena do łóżka. Torba z piłką do koszykówki leżała na podłodze za biurkiem. Kate spojrzała na nią z wahaniem. Choć wściekła i rozczarowana prawdziwymi intencjami detektywa, wzięła ją także, gdyż w przeciwnym razie piłka zostałaby w gabinecie do następnego ranka niczym złowieszczy symbol. Potem wyszła. Drzwi Mony były zamknięte, a w jej gabinecie nie paliło się już światło, jak zauważyła Kate, przechodząc, i

wywnioskowała, że sekretarka już skończyła pracę. W gabinecie Bryana lampa wciąż się świeciła, co oznaczało, że nadal pracował.

Gdy zbliżyła się do końca korytarza, spotkała ją niemiła niespodzianka.

Cindy wciąż siedziała za biurkiem, śmiejąc się i trzepocąc rzesami do mężczyzny stojącego naprzeciw niej, który nie widział nadchodzącej Kate, zwrócony do niej plecami. Miał wąskie biodra, szerokie ramiona i czarną czuprynę - nie dało się go pomylić z nikim innym.

Braga.

Kate poczuła niepokój. Co on tu jeszcze robi?

Wolała nawet nie myśleć, z jakiego powodu tu się znalazł. I nie zamierzała. Czy tylko flirtował z Cindy, czy może próbował wydobyć od niej jakieś informacje, nic jej to nie obchodziło.

Wciąż czuła się fizycznie i emocjonalnie wyczerpana. I ponownie śmiertelnie przerażona.

Bo Mario mógł być wszędzie. A dzisiaj wieczorem ona i Ben zostaną sami.

Nie powinna wczoraj pozwolić Bradze zostać na noc. Jakiegokolwiek kierowały nim pobudki - była zbyt wykończona, by rozważać ewentualne możliwości - fakt, że choć na krótko zrzuciła z siebie odpowiedzialność, jeszcze pogarszał dzisiejszą sytuację, gdy już nikogo takiego nie miała pod ręką.

Wiedziała o tym. Jak mogła zapomnieć?

Zdawkowo, bez słowa, machnęła Cindy na pożegnanie i ignorując Bragę, skrzyła ostro korytarzem w stronę wind, gdzie czekało około tuzina rozmaitych pracowników prokuratury. Dołączyła do nich i automatycznie odpowiadała na pozdrowienia, nawet nie słysząc, co tamci do niej mówią. Wykalkulowała sobie, że przy odrobinie szczęścia Braga się nie odwróci.

Niestety najwyraźniej szczęście ją opuściło.

- Może porozmawiamy? - Po chwili stał już za nią, a zapytał tak cicho, że nikt poza nią nie mógł usłyszeć. Odwrócona do Cindy i jej biurka plecami śledziła numery pięter wyświetlające się nad drzwiami windy i nie zauważyła, kiedy podszedł.

Świadoma zaciekawienia rzucających do niej jakieś uwagi kolegów z pracy, nie zareagowała na słowa Bragi. Jeszcze bardziej zdecydowanie wbiła wzrok przed siebie, w zamknięte drzwi wind. Niestety, były jak lustro. Tak więc miała przed oczami jego odbicie; stał za nią, trochę na lewo. I widziała, jak na nią patrzył.

Ich oczy spotkały się w obrazie odbitym na miedzianej powierzchni.

Spojrzała na niego wściekle.

- A więc nic z tego - doszedł do wniosku.

Jedna kabina właśnie przyjechała. Kate i pozostali oczekujący weszli do środka. I znowu Braga za nią stanął. Ponownie widziała jego odbicie w miedzianych drzwiach.

Przeklęty metal.

Gdy winda stanęła na parterze, Kate wypadła z niej przed wszystkimi. Ruszyła w kierunku najbliższych drzwi prowadzących do mieszczącego się w pobliżu podziemnego garażu, w którym zostawiła samochód, i ze zdenerwowaniem stwierdziła, że Braga idzie za nią.

- Odejdź - rzuciła przez ramię; dotarła do wyjścia, potem przeszła przez wąski zaułek między budynkami i pchnęła następne drzwi, a Braga dalej jej nie odstępował.

- Ja też zaparkowałem tu samochód - wyjaśnił przeproszającym tonem.

Kate nie odpowiedziała, tylko pośpiesznie zeszła w dół po kilku stopniach wiodących na przestronny parking. Opadał sześć poziomów w dół; na rozległym, betonowym sklepieniu paliły się małe, ukryte białe lampki, ale mimo to grube mury okrywał mrok. Pachniało tu spalinami i gumą. Parkować tu można było wyłącznie za specjalnym pozwoleniem. Kate je miała, ale była niemal pewna, że Braga go nie posiadał. Cóż, w końcu gliniarze chyba parkowali, gdzie chcieli. Kilka osób szło po najwyższym poziomie, w stronę zaparkowanych samochodów. Parking wydawał się najwyżej do połowy wypełniony, choć w godzinach pracy trudno tu było znaleźć wolne miejsce. Oczywiście wielu kierowców już zabrało swoje auta i odjechało do domu. Warkot samochodów pokonujących zakręty wyjazdu niósł się echem przez cały budynek. Od czasu do czasu dźwięk klaksonu przerywał ciszę. Ściemniło się - już niemal całkiem zapadła noc - i zrobiło się chłodniej. W garażu było nawet zimniej niż na zewnątrz i Kate lekko drżała, zmierzając w stronę najbliższej windy.

- Będziesz musiała ze mną porozmawiać, Kate - odezwał się tuż za nią Braga. Zapytany oczywiście wyjaśniłby, że także idzie do windy. - Możesz mi wierzyć lub nie: jestem po twojej stronie.

- No pewnie. - Ze złością nacisnęła guzik. Te drzwi, dzięki Bogu, były pomalowane żółtą farbą, w której nic się nie odbijało. Niech sobie stoi, przynajmniej nie musiała na niego patrzeć. - Czy wiele osób udało ci się w ten sposób nabrać? Bo mnie z pewnością nie.

Nadjechała winda. Ciasna, obskurna metalowa skrzynia, pachnąca nieprzyjemnie - Kate wolała nie zastanawiać się czym. Gdy drzwi powoli rozsunęły się z brzękiem, weszła do środka. Braga także.

- Może jesteś oburęczna - odezwał się. - Wiesz, nie przyszło mi to do głowy.

Udało mu się wyprowadzić ją z równowagi.

- Idź do diabła - rzuciła wściekle. -I zabierz tę przeklętą piłkę!

Wcisnęła mu torbę do ręki. Zaskoczony, nie zaprotestował. Wtedy Kate odwróciła się na pięcie i wysunęła przez szparę, nim drzwi zamknęły się do końca. Miała nadzieję, że on już nie zdoła pójść w jej ślady. Rozpaczliwie rzucił się w stronę przycisków. Drzwi się zamknęły.

Ha.

Jeszcze zdążyła zobaczyć, jak Braga z całej siły uderza w guzik i patrzy na nią bezradnie.

Aby mieć pewność, że już jej nie dopadnie, odwróciła się i zbiegła schodami przeciwpożarowymi na trzeci poziom, gdzie zostawiła samochód. Było tam teraz zupełnie cicho, własne kroki napełniały jej uszy echem, chłodny połysk pustej betonowej powierzchni przyprawiał o dreszcz. Gdy zmusiła się, by podejść do auta, przyszło jej do głowy, że Braga może zaraz się pojawić, szukać jej, ale ponieważ - jak zakładała - nie miał pojęcia, gdzie stał jej samochód, zanim zdoła ją znaleźć, ona wsiądzie do auta i odjedzie. A jeśli będzie miał czelność zjawić się później w jej domu, każe mu odejść.

Gdyby to od niej zależało, nigdy więcej nie zamieniłaby z nim słowa.

Nadal dysząc z wściekłości, nacisnęła guzik pilota i otworzyła drzwi. Wsiadając, rzuciła aktówkę na siedzenie pasażera, a następnie włączyła silnik i wyjechała tyłem. Zmieniwszy bieg, ruszyła w stronę pasa prowadzącego w górę, do wyjazdu i właśnie rozmyślała, jak bardzo pusty jest trzeci poziom parkingu, gdy wyczuła - nawet nie zobaczyła, lecz zarejestrowała w podświadomości - jakieś poruszenie na tylnym siedzeniu.

Wiedziona wewnętrznym impulsem obejrzała się za siebie i omal nie wyskoczyła ze skóry, gdy ujrzała podnoszącego się z podłogi Maria.

Rozdział 20

Pisnęła. W ostatniej chwili zacisnęła wargi, tłumiąc krzyk.

- Do cholery, patrz, dokąd jedziesz! - wrzasnął Mario. Rozsiadł się na środku tylnego siedzenia, ręką przytrzymując się oparcia przed sobą. Kate była przerażona, mając go tak blisko za plecami.

Ponownie spojrzała przed siebie i zauważyła, że pędzi prosto na potężny, betonowy słup podtrzymujący konstrukcję, i w samą porę skręciła kierownicą. Camry mocno zarzuciło, ale szczęśliwie ominęło przeszkodę.

Nagle zabrakło jej powietrza. Odetchnęła głęboko, mając nadzieję, że Mario uzna to za wyraz ulgi z powodu cudownego uniknięcia kolizji, i z całej siły nacisnęła na hamulec. Samochód zakołysał się i stanął dosłownie o kilkanaście centymetrów od szeregu małych aut zaparkowanych pod przeciwną ścianą.

Przez moment ze strachu nie mogła się poruszyć. Ani oddychać. Czowała krople zimnego potu na czole.

O mój Boże, co robić?

Błyskawicznie oceniła w duchu szanse ucieczki. Gdyby tak teraz wyskoczyła z samochodu i rzuciła się biegiem? Jeszcze nie zapięła pasa; zapomniała o tym, złościąc się na Bragę, choć pewnie przypomniałaby sobie przed wyjazdem na ulicę. Tak więc może udałoby jej się wydostać z samochodu. Tyle że na tym poziomie parking był całkowicie pusty, a do najbliższego wyjścia miała daleko.

Jeśli Mario za nią pobiegnie, zapewne ją złapie. Świadomość, że detektyw być może przebywał jeszcze gdzieś na terenie parkingu, dodawała jej trochę otuchy, ale Kate nie miała pewności ani pojęcia, gdzie dokładnie mógłby być. Wiedziała tylko, że na pewno nie na trzecim poziomie. Jeśli więc ona wyskoczy teraz z auta i pobiegnie z krzykiem, Tom Braga może jej nie usłyszeć. Być może nie usłyszałby ani nie zauważył jej także nikt inny, względnie pomoc nie nadeszłaby na czas. A gdyby złapał ją rozzłoszczony już nie na żarty Mario, znalazłaby się w sytuacji nie do pozazdroszczenia.

Lepiej zachować przytomność umysłu i czekać w pogotowiu.

Teraz gorzko żałowała sztuczki, którą wywinęła policjantowi przy windzie. I nadal nie zapinała pasa.

- Co ty, u diabła, sobie myślisz, chowając się w moim samochodzie? - zapytała celowo aroganckim, gniewnym tonem.

Nacisnęła ponownie na gaz, tym razem delikatnie, i oddaliła się od zaparkowanych samochodów, zmierzając w stronę wyjazdu. Nie dała po sobie poznać, że w środku cała trzęsie się jak galareta i że obecność Maria niemal ją sparaliżowała. Nie miała wątpliwości, że nie przybył do niej z przyjacielską wizytą.

Nigdy nie wolno okazać, że się ich boisz.

Dobrze.

- Czekałem na ciebie, dziecinko. - Głos Maria był jedwabisty i gładki, jednak przyprawił ją o zimny dreszcz.

Nie było najmniejszego sensu pytać, jak się dostał do zamkniętego samochodu. Ludzie z jego świata nie mieli trudności z takimi sprawami. Zresztą i ona kiedyś nie miałaby z tym kłopotu.

- Czego chcesz?

Dotarła do pasa wyjazdowego i ruszyła w kierunku ulicy. Cokolwiek się wydarzy, na pewno będzie miała więcej szans, gdy wydostanie się z garażu. Im bliżej wyjazdu, tym jaśniej i mocniej świeciły białe lampy. Sądząc po przesuwających się cieniach i szumach ponad nimi, zorientowała się, że inne auta także wyjeżdżają tą drogą z parkingu, ale ich nie widziała. Miała wrażenie, że ona i Mario zostali całkiem sami.

- Nie pomogłaś mi. Wściekłem się.

A więc zorientował się, że nie miała nic wspólnego z jego wyjściem na wolność. Poczwała, że zaczyna się pocić. Mario z przeszłości nigdy nie zapominał urazy i zawsze żądał jakiegoś zadośćuczynienia. Nie sądziła, by przez te wszystkie lata mógł się zmienić.

- Jesteś wolny, czyż nie?

- Nie dzięki tobie.

- Pracowałam nad tym. Mówiłam ci, że to nie będzie łatwe.

- Nie wciskaj kitu.

- W takim razie, dlaczego tu jesteś?

- Chcę, żebyś poznała pewnych moich przyjaciół.

- W jakim celu?

Pomyślała o „przyjacielu” Maria, który pojawił się w jej domu, i zadrżała. Czy chodzi o Czarne Smoki? Wiele wskazywało, że właśnie o nich. Tak mocno ścisnęła kierownicę, że aż zbieleły jej knykcie. Czowała ból w sztywno wyprostowanych plecach. Gdy camry pięło się miarowo spiralnym wyjazdem, reflektory rzucały światło na graffiti pokrywające ciągnącą się po prawej stronie prostą, gładką betonową ścianę.

- Przykro mi, ale to nieodpowiednia pora. Dziś wieczorem jestem zajęta.

- Ja nie prosiłem.

Mario pochylił się do przodu i niemal wcisnął w przestrzeń między siedzeniami. Rzuciwszy okiem w tylne lustro, zobaczyła, że miał na sobie czarne spodnie od dresu i czarną bluzę z kapturem; w lewym uchu lśnił diamentowy kolczyk. Standardowy strój filadelfijskiego punka. Grube, zgięte w kolanach nogi rozstawił szeroko, by móc przysunąć się do Kate. Poczwała lekką woń cebuli i czegoś jeszcze - może potu? Był o wiele za duży na niewielką przestrzeń z tyłu samochodu, swoją sylwetką sprawiał przytłaczające wrażenie. Kate wiedziała, że świadomie starał się ją zastraszyć, i robiła, co mogła, by mu się to nie udało. Nagle poczuła ucisk na lewym ramieniu i spojrzała, by sprawdzić, co się dzieje.

Mario trzymał w dłoni wielki, czarny pistolet. Ponieważ był leworęczny, broń znalazła się między Kate a drzwiami od strony kierowcy.

Serce aż podskoczyło jej w piersi, usta nagle zrobiły się suche. A więc koniec z nadzieją na szybkie wydostanie się z samochodu.

Jakoś udało jej się zachować spokój, żeby Mario nie zauważył, jak bardzo się go bała.

Zaśmiała się nieszczercze.

- Co to, czyżbyś zamierzał mnie zastrzelić?

- Nie. - Przesunął lufą po jej szyi.

W innych okolicznościach ten gest, jeśli nie byłby wykonany bronią, mógłby zostać uznany za przejaw swego rodzaju czułości. A tak była to tylko jej przerażająca parodia. Dotyk zimnego metalu przyprawił Kate o gęsią skórę. Zebrała całą odwagę, próbując nie zdradzić swoich emocji.

- Chyba że mnie do tego zmusisz. Zawsze cię lubiłem, Kici-kotku.

Ale szczęście!

- No to zabierz tę cholerną broń. Nie lubię takich sztuczek.

- Taa. Nie da rady. - Pistolet pozostał na miejscu. Postawienie mu się wprost nic by nie dało.

Auto wyjechało już na samą górę. Jak zwykle o tej porze budka parkingowego stała pusta, cholerny pech. Jeszcze tylko trzeba było podjechać do barierki, a automatycznie uruchamiane ramię zareaguje na obecność samochodu i się podniesie.

- Jedź w stronę drogi szybkiego ruchu, Vine Street -rozkazał Mario, gdy Kate zwolniła przed barierką.

Ramię uniosło się, przejechali. Znaleźli się na jednym z tych wąskich, ciemnych zaułków, z których niestety słynie Filadelfia. Tak jak szczury i koty, uwielbiali je pijacy i przestępcy. Reszta mieszkańców nie za bardzo. Gdy Kate skręciła, reflektory oświetliły pozbawione okien ceglane ściany, olbrzymi, pomalowany na zielono miejski pojemnik na śmieci i skupisko zdezelowanych kubłów na odpadki. Zaułek biegł równoległe do Arch Street i kończył się przy Trzynastej. Mogła tu skręcić w prawo, przejechać dwie przecznice, a potem wypaść na drogę szybkiego ruchu. Jeśli udało się „przypadkowo” minąć wyjazd, rozmyślała Kate, gdy auto podskakiwało na nierównej jezdni, Trzynasta poprowadziłaby ich przez najbardziej zaniedbaną część centrum miasta. Pełno tu było alfonsów, prostytutek, narkomanów i podejrzanych typów; roiło się od księgarni sprzedających tytuły „tylko dla dorosłych”, klubów ze striptizem i brudnych barów. Dzięki komunikacji miejskiej zawsze panował tu ożywiony ruch. Gdyby pojechała tamtędy i jakimś sposobem wydostała się z samochodu, przynajmniej uciekałaby ulicą pełną ludzi. Nie wiadomo, czy ktokolwiek pospieszyłby z pomocą Kate, gdyby Mario ją gonił, zwłaszcza gdyby groził jej bronią. W okolicach Trzynastej ludzie na ogół pilnowali własnych spraw.

Jednak i tak prawdopodobnie nie trafi jej się inna, lepsza szansa. Gdy wyjadą na drogę szybkiego ruchu, nie będzie okazji, aby wyskoczyć z auta. Kate w żadnym wypadku nie chciała się znaleźć z Mariem w jakimś opuszczonym miejscu lub poznać jego „przyjaciół”.

- Przy twoim trybie życia powinieneś dziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie, że znalazłeś przyjaciółkę w prokuraturze. -
Znów próbowała go zagadać, sprawić wrażenie, że jest gotowa pomóc mu, gdy następnym razem wpadnie w tarapaty.

Mario prychnął.

- Prawda jest taka, że zamierzałaś się na mnie wypiąć. Już ci nie ufam.

- Wcale nie chciałam cię wykiwać.

- To teraz bez znaczenia. Wyszędłem.

- Masz gdzie mieszkać? Może masz jakąś rodzinę? - Próbowała udawać, że się o niego troszczy, bo w tym momencie karta „stary przyjaciel” była jedyną, jaką mogła zagrać. Mario nie celował do niej z pistoletu, ale i tak Kate pociła się, czując obok ramienia broń.

- Są tacy, którzy się mną zaopiekują, tak jak i ja o nich dbam.

Czarne Smoki? Miała to pytanie na końcu języka, ale postanowiła nie zdradzać, że cokolwiek wie.

Zastanawiała się, czyby nie powiedzieć mu o Benie, że już się spóźniła po syna, że on ma tylko dziewięć lat i nikogo z rodziny poza nią, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Przecież Mario by się tym nie przejął. I choć wiedział o istnieniu Bena, wołała nie ściągać niepotrzebnej uwagi na swoje dziecko.

- Jesteś w kontakcie z kimś ze starej paczki? Z Jasonem, Leah lub kimś innym?

Roześmiał się.

- To ty nie wiesz, dziecinko? Wszyscy zginęli. Co do jednego. Wypadek samochodowy, jakieś trzy miesiące po tym, jak nas opuściłaś. Prawdopodobnie jechałbym wtedy z nimi, tyle że akurat siedziałem w kiciu. - Przysunął się bliżej. - A tak dla porządku, to twój chłopak zastrzelił tego ochroniarza, nie ja.

Kłamiesz! To nie był Jason, tylko ty, wykrzyczała w myślach; ale nagle zawirowało jej przed oczami. Wszyscy jej przyjaciele, Jason o błękitnych oczach, nie żyją!

Cóż to za straszliwy świat, że tylko ona i Mario ocaleli?

- Skręć w prawo na Trzynastą. I żebyś nie minęła wyjazdu na ekspresówkę. To by mi się nie spodobało.

Ostrzegawczo poklepał ją lufą po policzku.

Znów ten ucisk w żołądku. Dopóki nie spróbowała się odezwać, nawet nie uświadamiała sobie, jak bardzo ma napięte mięśnie twarzy.

- A mnie się nie podoba twój pistolet - warknęła. - Trzymaj to cholerstwo z dala od mojej twarzy.

Zachichotał.

Gdy dotarli do końca zaułka, zanim wyjechała na Trzynastą, przystanąła, by spojrzeć w prawo i w lewo. Na tej jasno oświetlonej ruchliwej ulicy, gdzie samochody jechały jeden za drugim w obu kierunkach, a chodnikami podążały tłumy przechodniów, na odcinku mniej więcej do następnej przecznicy, a może jeszcze trochę dalej, miała prawdopodobnie jedyną szansę na ucieczkę. Jednak broń dotykająca jej ramienia stanowiła największą przeszkodę.

Czy Mario odważy się strzelić, gdy ona otworzy drzwi i rzuci się do ucieczki? Nie była pewna, wołała wszakże nie sprawdzać. Trup to trup, powtórki nie będzie. Poza tym, jeśli okaże się wystarczająco szybki, po prostu złapie ją w momencie, gdy Kate sięgnie do klamki, i zatrzyma w samochodzie. Był tak blisko, że czuła ciepło bijące od jego ramienia, a także odór cebuli w jego oddechu.

- Masz jakąś forszę? - zapytał Mario. - Założę się, że prokuratorzy świetnie zarabiają.

- Niewiele.

Miała dokładnie sześć dolarów schowanych w aktówce, która leżała teraz przewrócona na bok na podłodze przed siedzeniem pasażera. Po wypłacie w ostatni poniedziałek tych sześć dolarów miało im wystarczyć do następnej. Kwota ta akurat wystarczyłaby na świeże mleko i chleb na lunche dla Bena.

Gdy skręcała w prawo, w Trzynastą, ostrożnie wciskając się między białą furgonetkę i małe, czerwone auto, zwróciła uwagę na oświetlające zaułek reflektory. Obejrzała się i zobaczyła czarnego taurusa czekającego u wylotu uliczki na możliwość włączenia się do ruchu. Serce zabiło jej mocniej.

Była niemal pewna, że to wóz Bragi.

- Ile? - warknął Mario.

Kate błyskawicznie dokonała kalkulacji; ma teraz najlepszą okazję na udaną ucieczkę, jeśli wyskoczy i pobiegnie w stronę wozu Bragi. Jednak aby jej szanse wyjścia cało wzrosły, musiała przeszkodzić Mariowi w użyciu broni.

Łap tę szansę!, nakazała sobie.

Na tę myśl jej serce zaczęło walić tak mocno, jakby miało zaraz wyskoczyć z piersi. Oblał ją zimny pot. Ukradkiem rzuciła okiem w tylne lusterko i spojrzała na Maria, modląc się, by nic nie zauważył. Przysiadł na skraju tylnego siedzenia i z widocznym zainteresowaniem obserwował przez okno ulicę. Broń trzymał opartą niedbale na ramieniu Kate. Miał zadowoloną, pewną siebie minę.

Sądzi, że złapał ją w pułapkę!

- Sto dorców - skłamała. - Około. - Odszukała wzrokiem leżącą na podłodze aktówkę, jednocześnie delikatnie hamując, podobnie jak z tuzin innych pojazdów zatrzymujących się przed czerwonym światłem na skrzyżowaniu, od którego odchodził zjazd na drogę szybkiego ruchu. Zrozumiała, że teraz, gdy samochód stał, miała największe szanse na ucieczkę. - Są w teczce. A bo co?

- Bo je chcę. - Mario spojrzał w dół, na aktówkę, podniósł się i sięgnął po nią między siedzeniami.

Broń przesunęła się. Nagle już nie czuła jej na ramieniu.

Serce Kate zamarło. Wstrzymała oddech. Oto ta chwila.

Chwyliła za klamkę, mocno pchnęła drzwi na oścież i gwałtownie wyskoczyła z auta. Dłońmi i kolanami uderzyła w chodnik. Zabolało, ale nie miała czasu się tym przejmować.

- Cholera! - wrzasnął Mario, gdy samochód szarpnął do przodu.

Kate poczuła mocny przypływ adrenaliny; kątem oka dostrzegła, jak zbiorczy się i odwraca w jej stronę, ale nie traciła czasu, by czekać, co zrobi. Błyskawicznie podniosła się na nogi i już biegła,

krzycząc, między stojącymi przed skrzyżowaniem pojazdami. Serce waliło jej głucho. Napięła mięśnie w okropnym oczekiwaniu na kulę, która w każdej chwili mogła przebić jej ciało. Rzuciła okiem za siebie i żołądek jej się zacisnął. Drzwi od strony kierowcy nadal były otwarte, samochód stał na światłach. I ani śladu Maria czy Broni. Ulica tętniła życiem, jaskrawe neony błyszcząły, wabiąc chętnych napisami: „Dziewczęta! Dziewczęta! Dziewczęta!” i „Całkiem nagie”. Zastawione czasopismami witryny księgarń dla dorosłych kusiły przechodniów. Obdarci mieszkańcy tej dzielnicy, biznesmeni w garniturach, a także swobodnie ubrani turyści - nawet kobiety - spieszyli chodnikami i przebiegali po pasach przed zatrzymującymi się samochodami. prostytutki, jedne w skórzanych minispódniczkach, w obcisłych wysokich botkach i ledwo zakrywających piersi topach, inne w krótkich obcisłych szortach lub połyskujących sukienkach - strojach stanowiących znak firmowy ich profesji, stały na rogach ulic i wzdłuż krawężników. Muzyka rozbrzmiewała z drzwi barów - otwartych, gdyż klienci bez przerwy wchodzili i wychodzili. W powietrzu unosiła się woń spalin i alkoholu. Kilka głów odwróciło się w jej stronę. Otwierały się drzwi samochodów, kierowcy wychylali się, krzycząc coś do niej, pewnie pytali o coś lub oferowali pomoc, ale Kate prawie ich nie zauważała. Całą uwagę skupiła na czarnym taurusie kilkanaście samochodów do tyłu.

Wreszcie do niego dotarła. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i wyskoczył z nich Tom, wyciągając broń.

- Kate!

- Tom! Pomocy, Tom!

Krzyknął coś, biegnąc ku niej, i Kate wydało się, że o coś pytał, ale szum gwałtownie pulsującej w jej uszach krwi zagłuszył jego słowa. W końcu wpadła prosto w jego ramiona. Wciąż z bronią w ręce, objął ją, mocno przytulił i przytrzymał.

Chwała Bogu, była bezpieczna.

Przywarła do niego i zanurzyła twarz w miękkim welwetowym kołnierzu, wdychając zmieszany z wodą kolońską Downy zapach ciała. Choć słyszała, jak Tom wypytuje ją, co się stało, była zbyt zszokowana, by dokładnie zrozumieć jego słowa i cokolwiek odpowiedzieć. Światła najwyraźniej się zmieniły, bo nagle wszyscy wokół ponownie wsiedli do samochodów i ruszyli, a kierowcy za taurusem, trąbiąc niecierpliwie, próbowali go objechać.

Kate obejrzała się i zobaczyła, że jej auto odjechało z innymi pojazdami, które stały przed nimi.

Mario ukradł mi samochód - taka była jej pierwsza, instynktowna reakcja. Ale zaraz pojawiła się następna myśl: udało mi się. Uciekłam.

Wyobrażając sobie, co mogło się wydarzyć, zadrzała gwałtownie od stóp do głów.

- A niech to szlag. - Detektyw mocno objął ją ramieniem, zaprowadził do drzwi od strony pasażera i niemal wrzucił do środka. Schował broń i ponownie wsunął się za kierownicę, machając odznaką poirytowanemu kierowcy, który przejeżdżając, wykonał

ordynarny gest. Na widok policyjnej odznaki tamten natychmiast schował ramię do środka i przyspieszył.

Z bijącym sercem, nie mogąc uspokoić oddechu, opadła roztrzęsiona na skórzane siedzenie, a Tom wrzucił bieg i ruszył. Kate zwróciła twarz w jego stronę. Spojrzał na nią, a w półmroku jego duże oczy wydały jej się jeszcze ciemniejsze.

- Co się stało? - zapytał ostro, lustrując Kate wzrokiem. -
Najświętsza Panienko, czyżby porwano cię razem z samochodem?

Znów będzie musiała go okłamać. Myśl o tym przyprawiła Kate o mdłości. Omal nie uległa pokusie, by wyznać mu prawdę i niech się dzieje wola boska. Ale straciłaby wszystko. Dla Bena musi być silna. Błyskawicznie oprzytomniała, próbując wymyślić jakąś historyjkę, i to przynajmniej w połowie prawdziwą. Nie może powiedzieć detektywowi o Mariu. Ale gdyby tak pominąć tożsamość człowieka w samochodzie...

Jeśli musisz kłamać, trzymaj się tak blisko prawdy, jak to tylko możliwe...

- Wsiadłam do auta i okazało się, że z tyłu ukrył się jakiś mężczyzna. - Głos jej zadrżał. - Miał broń.

Nie zdołała się opanować. Na wspomnienie tamtej chwili przeszył ją dreszcz.

Przekleństwa, które padły z ust Toma, zdawały się unosić w powietrzu. Na oczach Kate jego niemal idealne rysy twarzy wykrzywiły się w groźnym grymasie, usta przemieniły się w cienką kreskę, a szczęki zacisnęły ponuro.

- Coś ci zrobił? - zapytał i, podjeżdżając do krawężnika, wrzucił jałowy bieg.

Przesuwał po niej wzrokiem, jakby szukał jakichś niewidocznych śladów obrażeń. Tuż przed nimi był skręt na drogę szybkiego ruchu, Vine Street, i samochody pędziły w tym kierunku. Zastanawiała się, czy jej camry już wtedy zjechało.

Miała nadzieję, że oddalało się stąd bardzo szybko.

- Nie. - Pokręciła przecząco głową.

- To był ktoś, kogo znasz? Może ten nieproszony gość z wczorajszej nocy?

Ujrzała w jego dłoni komórkę - już wybierał numer. A więc dlatego zjechał na bok, chciał zgłosić kradzież jej wozu i podać okoliczności zdarzenia. Nie mogła prosić, by tego zaniechał; natychmiast nabrałby podejrzeń. Jakoś musi sobie poradzić.

I kłamać, kłamać i jeszcze raz kłamać.

Już rozmawiał z kimś przez telefon. Gdy zapytał, podała mu numery rejestracyjne i opis sprawcy, nie do końca dokładny, ale na tyle odpowiadający prawdzie, by nie podpadła, gdyby złapali Maria. Wyjaśniła, że właściwie nie przyjrzała się dobrze napastnikowi, bo było ciemno, a sama doznała szoku i temu podobne. Przez cały czas modliła się o szczęśliwą ucieczkę Maria, bo gdyby został schwytany, mógłby zacząć mówić. Z drugiej strony, jeśliby opowiedział policji o Baltimore, przynajmniej nie musiałyby dłużej kłamać, a Mario już nigdy więcej nie mógłby jej szantażować.

Gdyby nie Ben, pomyślała, niemal byłabym z tego zadowolona.

- Umieszczą twój samochód na liście poszukiwanych pojazdów. Ktoś później pojawi się u ciebie, złożysz zeznanie - oświadczył Tom, chowając komórkę. Nadal stali przy krawężniku, na Trzynastej, a obok nich niekończącym się strumieniem przejeżdżały samochody, przechodzili piesi. Różowo-zielony neon w kształcie palmy, z napisem „Oasis Bar” rzucał na czarną deskę rozdzielczą zmieniające się, kolorowe prostokąty. W świetle reflektorów aut i lamp stojących przy każdym rogu wyraźnie widziała twarz Bragi. Patrzył przed siebie przez przednią szybę, w zamyśleniu marszcząc czoło. Po chwili spojrzał na nią.

Przygotowała się na atak, ale powiedział tylko:

- Zapnij pas. - Gdy to zrobiła, uruchomił silnik i włączył się do ruchu. - Dokąd?

- Muszę odebrać Bena. - Podała mu adres.

Skinął głowę. Pożyczyła od niego komórkę, by zadzwonić do Suzy z wyjaśnieniem, że się spóźni; nie powiedziała, co się wydarzyło, bo nie chciała, żeby Ben dowiedział się i przestraszył. Wolą sama mu powiedzieć. Rozłączyła się i przez chwilę jechali w milczeniu. Po pokonaniu mostu na Delaware wreszcie zostawili daleko za sobą filadelfijskie drapacze chmur. Ruch zmalął, auta poruszały się teraz szybciej i poza okazjonalnym błyskiem pojawiających się z przeciwka reflektorów jazda przebiegała spokojnie, w ciemnościach. Kate, już spokojniejsza, patrzyła przez okno, podziwiając biały księżyc, wznoszący się nad poszarpaną linią dachów na wschodzie. Jego kulisty kształt odbijał się w czarnych

wodach rzeki płynącej wzdłuż drogi szybkiego ruchu. Jaki piękny widok, pomyślała... i jaki zimny.

Ona sama niemal czuła to zimno. Objęła się rękami i rzuciła okiem na Toma.

Popełniła wielki błąd.

- No więc, nadal zamierzasz iść w zaparte, wykręcać się od odpowiedzi? - zapytał.

Znajdowali się już w pobliżu zjazdu na West Oak; Kate zwykle jeździła tędy po Bena. Tom rzucił to pytanie jakby od niechcienia, całkowicie na luzie, ale gdy Kate przyjrzała mu się dokładnie, zauważyła zaciśnięte szczęki i cienką linię warg, wyraźne oznaki napięcia.

- Nie wiem, co ty... - zaczęła, ale przerwał jej niecierpliwie.

- Co my tu mamy: praworęczna kobieta strzela i zabija niebezpiecznego bandytę, wielokrotnego recydywistę, trzymając broń w lewej dłoni. Potem zjawia się u niej w domu inny przestępca, który przypadkiem zna imiona jej i jej syna. Później tej samej nocy znowu jakiś mężczyzna - ten sam drab? Inny przestępca? Kto to, u diabła, ma wiedzieć? Zupełnie jakby zaczął się sezon polowania na tę kobietę - próbuje włamać się do jej domu. Następnego wieczoru, gdy kobieta wsiada do samochodu, okazuje się, że ukrył się w nim uzbrojony porywacz i ledwie udaje jej się uciec. - Chłodno spojrzał na Kate. - No więc, co o tym myślisz, przecież jesteś asystentką prokuratora, podasz mi swoją zawodową opinię? Czy nasza dziewczyna faktycznie ma

paskudnego pecha, czy też tkwi po samą śliczną szyjkę w czymś, czego za żadną cenę nie chce zdradzić?

Gdy skończył, Kate spiorunowała go wzrokiem.

- Wiesz co, nie podobają mi się twoje wywody.

- Jakże się cieszę, czyż to nie wspaniały zbieg okoliczności? Bo mnie też się nie podoba, że robisz ze mnie idiotę.

- A wiesz, co mnie jeszcze napawa wstrętem? Że próbujesz mnie na czymś przyłapać. Dlaczego nie zapytałeś wprost, czy jestem praworęczna, czy nie? Wolałeś udawać, że masz prezent dla Bena? - Nadal czuła o tamto urazę.

Minęła sekunda.

- Wcale nie udawałem, przyniosłem Benowi prezent. Właśnie tę piłkę.

Kate prychnęła.

- Tylko po to, by mi ją osobiście wręczyć, sprowokować, żebym po nią sięgnęła.

- Po prostu kupiłem mu porządną piłkę do trenowania rzutów. Podając ją tobie, no cóż, może i kierowałem się wtedy także innym motywem.

- Może? - To słowo wręcz pulsowało pogardą. Ale na myśl, że prezent sam w sobie może niekoniecznie być częścią pułapki, Kate poczuła się lepiej. Jeśli mówił prawdę, ale chyba już mu uwierzyła. W końcu mógł sprawdzić ją, podając cokolwiek. - Następny zjazd - dodała, gdy zbliżyli się do zjazdu na West Oak.

Wjechał na właściwy pas. Zjazd był tuż przed nimi.

- A co do ukrytego motywu, to wydaje się, że ty go masz, zmieniając temat - zauważył, prowadząc taurusa krętym, ciemnym zjazdem. - Choćby jak unikanie wyjaśnień co do tego twojego pecha, o którym wspomniałem.

- No dobrze. - Głos jej zabrzmiał cierpko. - Chcesz wyjaśnień? Postaram się cię zadowolić. Czy nie przyszło ci do głowy, że może ten cały rozgłos, wywołany tym, że udało mi się wyjść cało, chociaż byłam zakładniczką bandyty, przyciągnął teraz rozmaitych świrów, zazwyczaj ukrywających się w jakichś ciemnych kątach? Że wzbudziłam ich zainteresowanie, bo przez cały czas pokazują mnie w telewizji? A może wyjaśnienia, dlaczego praworęczna kobieta - tak, przyznaję, nie jestem mańkutom - zastrzeliła człowieka, trzymając broń w lewej dłoni, należy szukać w tym, że kiedy podnosiłam się z podłogi, złapałam pistolet lewą ręką i już nie miałam czasu przełożyć go do prawej, tylko strzeliłam, żeby uratować życie?

Jej słowa dźwięczały jeszcze w powietrzu w chwili, gdy już dotarli do końca zjazdu, i Tom przyhamował, popatrzył w lewo i w prawo, i wjechał na West Oak. Kate odniosła wrażenie, że przez cały ten czas oceniał i analizował jej odpowiedź.

- To twoja wersja? Najeżyła się.

- Nie, to nie jest moja wersja. Tak było. - Patrzyła na mijane ulice, oświetlone jedynie poświatą księżyca i blaskiem padającym z okien domów tej mieszkalnej dzielnicy. - Powinieneś skrócić w prawo w Pine.

Dojechali do ulicy o tej nazwie i Tom skrzył w nią.

- Więc uważasz, że ten typ, który ukrył się w samochodzie, wybrał akurat ciebie, bo zobaczył cię w telewizji?

Sceptycyzm brzmiący w jego głosie nie poprawił sytuacji. Braga podejrzewał, że nie mówiła prawdy, ale Kate dalej upierała się przy swoim, tyle że już po prostu miała dość tych kłamstw. Mdlilo ją od tego uporczywego łgania, wymyślania kolejnych historyjek, a także - do czego trudno jej było się przyznać nawet przed sobą - trudno jej było okłamywać właśnie jego. Ale przecież nie mogła wyznać prawdy.

- Nie wiem. - Głos jej drżał z bezsilności i jakby na ironię czyniło to jej zachowanie bardziej przekonującym. Nie miała wyboru, musiała kłamać, ale przecież nie musiało sprawiać jej to przyjemności. - Nie mam pojęcia, rozumiesz? Wiem tylko, że był w moim wozie, miał broń i chyba zraniłby mnie - albo jeszcze gorzej - gdybym nie uciekła.

Sama myśl o tym, co mogłoby jej się przydarzyć, zdenerwowała go i zamknęła mu usta.

Aby się uspokoić, Kate odetchnęła głęboko i rozejrzała się wokół. Znajdowali się już zaledwie pół przecznicy od celu. W okolicy, w której mieszkali Perry, podwórka były większe, domy bardziej oddalone od siebie. W konsekwencji panowały tu też głębsze ciemności. Przy drodze lśniły wystawione czarne worki pełne liści, czekające, aż zabiorą je służby miejskie, a w świetle reflektorów ujrzeli, jak nad chodnikiem tuż przed nimi pofrunęło kilka zapomnianych listków, przypominających maleńkie, złociste,

zaczarowane dywaniki. Rozłożysty dom Perrych stał mocno cofnięty w głąb ogrodu; gdy się zbliżali, mignął jej między drzewami. Rosło ich sporo w różnych miejscach, większość była już całkiem pozbawiona liści, tylko kilka tych z gatunku wiecznie zielonych strzegło prywatności mieszkańców od strony ulicy. Kate zauważyła bijące z okien światło.

Na myśl o Benie czekającym tam na nią spokojnie poczuła ból w sercu. Synek nie miał pojęcia, w jak wielkim znaleźli się niebezpieczeństwie.

Postanowiła uczynić wszystko, by poradzić sobie z tą sytuacją; ze względu na Bena.

- Następny wjazd - poinformowała.

- Wiesz co, mamy tylko jeden problem. - Wjechał na długi podjazd prowadzący na tyły domu Perrych. Pod kołami samochodu chrzęścił żwir. - Nic z tego, co mi powiedziałaś, nie tłumaczy twojego przerażenia. Widziałem, jak bardzo się boisz, gdy po raz pierwszy wszedłem do twojego gabinetu. A przecież wtedy już wszystko minęło, nikt cię nie więził. Ale nadal się bałaś i wciąż się boisz.

Jakże pragnęła powiedzieć mu całą prawdę. Ale nie mogła, musiała zmyślać dalej, upierać się przy kłamstwie.

- Gdybym powiedziała, że się mylisz, i tak byś mi nie uwierzył, więc jaki jest sens tej rozmowy?

Dotarli do ścieżki prowadzącej pod dom. Wielka sosna zasłaniała drzwi frontowe i większą część garażowych, znajdujących się wprost przed nimi. Tom nacisnął hamulec i samochód stanął.

- Nie mylę się.

- Widzisz? - Zaśmiała się ostro. - Słuchaj, doceniam twoją pomoc, ale wolałabym, żebyś mnie teraz zostawił. Poproszę któreś z Perrych o podrzucenie mnie i Bena do domu.

Wrzucił luz i wyłączył stacyjkę. Światła reflektorów automatycznie zgasły. W samochodzie zrobiło się równie ciemno jak na zewnątrz, ale gdy Tom zwrócił ku niej twarz, widziała wyraźny zarys czoła, policzków i podbródka. I błysk oczu.

- Wcale nie chcesz, żebym odjechał. - W jego głosie zabrzmiała chłodna pewność siebie. - Chyba o czymś zapomniałaś. Gość, który zabrał twój samochód, ma teraz twoje klucze. Zakładam, że ten od domu jest z pozostałymi?

Kate głośno wciągnęła powietrze. O tym nie pomyślała. Teraz Mario i spółka nawet nie będą musieli się włamywać!

- Zawiozę was do domu i ponownie spędzę noc na kanapie. Jutro powinnaś wymienić zamki i zamontować ten cholerny system alarmowy. - I dodał twardym tonem: -Potem będziesz już musiała radzić sobie sama.

Kate chciała zaprotestować, posłać go do wszystkich diabłów, powiedzieć coś w rodzaju: po moim trupie, ale nie zdołała. Przeraziła ją myśl, że Mario mógł teraz po prostu wejść sobie do ich domu.

- Dobrze - warknęła, otworzyła drzwi i wysiadła.

Pod gałęziami olbrzymiego, wiecznie zielonego drzewa było ciemno i zimno, powietrze pachniało sosnowymi igłami i dymem z ogniska. Kate szybko obesła wóz od strony bagażnika i zdumiała się,

że detektyw także wysiadł. Zanim po zatrzaśnięciu drzwi zgasło światło w środku, zauważyła, że Tom idzie w jej stronę. Słyszała chrzęszczący mu pod nogami żwir, widziała jego ciemną sylwetkę na tle podświetlonych drzew.

- Nie ma potrzeby, żebyś ze mną wchodził - oznajmiła, gdy spotkali się tuż przed zderzakiem taurusa. Tom zatrzymał się, a ona szła dalej, zamierzając go ominąć. -Naprawdę wolałabym, abyś tego nie robił. Musiałabym tłumaczyć się z twojej obecności przed Suzy.

- Chcę tylko, żebyś odpowiedziała mi na jedno pytanie, a zapytam wprost. - Gdy zamierzała przejść obok niego, złapał ją za ramię. Nie trzymał jej mocno i łatwo mogłaby się uwolnić. Tyle że wcale tego nie pragnęła. Stał blisko, tuż przed nią, niczym solidna bariera odgradzająca ją od ścieżki, i musiała unieść głowę, by spojrzeć mu w twarz.

- O co chodzi?

- Czy miałaś coś wspólnego z zaplanowaniem lub pomaganiem w próbie ucieczki więźniów?

Jej oczy stały się ogromne.

- Nie! Wiedziała, że mnie o to podejrzewasz. Nie zrobiłam tego. Przysięgam.

- To właśnie musiałem usłyszeć - oświadczył. Wolną ręką objął ją za szyję, pochylił głowę i pocałował Kate.

Rozdział 21

Dotyk jego ciepłych, twardych i suchych warg sprawił, że ugięły się pod nią kolana. Gdy Tom wsunął język w jej usta, dostała zawrotu głowy. Lecz chociaż rozchyliła wargi, przywarła do niego, zarzuciła mu rękę na szyję i odwzajemniła pocałunek, uparcie przekonywała samą siebie, że to, co się dzieje, nie ma wiele wspólnego z tym konkretnym mężczyzną. Po prostu minęło tak wiele czasu - dokładnie od przyjścia Bena na świat - odkąd ktoś ją całował i od tamtej pory z nikim się nie kochała, więc jej ciało zareagowało tak gwałtownie.

Bicie serca, przyspieszony puls, urywany oddech - uznała swoją reakcję za normalną, odruchową. Jej kobiecie ja po prostu odpowiedziało na bliskość mężczyzny. Nie było w tym nic osobistego.

W każdym razie tak tłumaczyła sobie własne emocje, gdy Tom przyciskał wargi do jej ust, a jego muskularne, silne ramiona obejmowały ją w mocnym uścisku.

Zamknęła oczy. Jego usta, wilgotne i gorące, lekko smakowały kawą, a namiętne pocałunki rozpały w niej pożądanie.

Całowała go z taką pasją, z jaką reaguje ktoś będący na przymusowej diecie, gdy nagle podsuną mu czekoladowe smakołyki.

Rozkoszowała się jego bliskością. Ogrzewał ją bijący od niego żar. Jego dotyk napełniał ją podnieceniem.

Z rozkoszą pogładziła wijące mu się na karku włosy. Uniosła się na palcach, a może on ją podniósł - nie była pewna, jak to się stało - i przytuliła się do niego mocno, oszołomiona, gdyż jej nabrzmiałe piersi niemal parzyły w zetknięciu z jego muskularnym torsem. Nagle poczuła, że był równie podniecony jak ona i zaskoczony jej gwałtowną reakcją.

- Jezu - szepnął. Oderwał usta od jej warg i namiętnie przesunął nimi po policzku Kate, aż do zagłębienia pod uchem. Oddychał ciężko. Wyczuwała, jak jego pierś unosi się gwałtownie i opada. Trzymał Kate w tak ciasnym uścisku, że nie mogłaby się wyrwać, nawet gdyby chciała.

A nie chciała. Za żadne skarby.

- Tom.

Zadrzała i odchyliła do tyłu głowę.

Drobnymi, namiętnymi pocałunkami pokrywał szyję Kate aż do obojczyka. Jego wargi paliły jak ogień; ostry zarost drapał jej skórę. Osłabła, cała drżąca i bliska omdlenia.

Jakie to cudowne uczucie, pomyślała na wpół przytomnie, ale Tom znów przykrył wargami jej usta i w ogóle przestała myśleć. Całkowicie już poddając się fali pożądania, zacisnęła ramiona wokół jego szyi i przywarła do niego mocno, wyczuwając każdy skrawek jego napiętego ciała.

Oddała mu pocałunek. Łapczywie. Żarliwie. Gwałtownie.

- Kate, to ty?

Głos, który rozległ się w pobliżu, rozdzielił ich niczym huk wybuchającej bomby. Kate drgnęła i niemal podskoczyła do góry, a gdy się uspokoiła, ramiona Toma już jej nie obejmowały. Suzy - to był jej głos, rozpoznała go teraz, gdy żar ogarniający jej umysł zaczynał opadać - stała na małej frontowej werandzie, patrząc w ich stronę przez gałęzie gęstego zielonego krzewu.

Kate nawet nie usłyszała, kiedy Suzy otworzyła drzwi.

- Tak, to ja! - krzyknęła w odpowiedzi, wciąż oszołomiona, z mocno bijącym sercem. - Już idę.

Szybko rozejrzała się wokół i zobaczyła z ulgą, że miejsce, w którym stali, znajdowało się w całkowitym cieniu. Nie sądziła, by Suzy cokolwiek dostrzegła. Ale i tak nic nie mogła poradzić na żar zalewający jej policzki, gdy niepewnie popatrzyła na Toma.

Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć. Było zbyt ciemno i nie mogła rozszyfrować wyrazu jego twarzy, widziała jedynie błyszczące oczy. Z całej sylwetki emanowało napięcie. Już się nie dotykali, ale nadal niemal namacalnie iskrzyło między nimi.

Cholerna Suzy! Kate zapragnęła ponownie znaleźć się w ramionach Toma.

- Zaczekam na ciebie w samochodzie - szepnął i odwrócił się.

Wzięła głęboki oddech i z wielkim wysiłkiem próbowała wyrzucić z pamięci kilka ostatnich oszalamiających minut. Suzy wciąż czekała na werandzie. To nie była właściwa pora na zastanawianie się nad tym, co zaszło przed chwilą.

Pomyślę o tym później, przyrzekła sobie Kate i ruszyła w stronę domu.

Nie było jej zaledwie pięć minut, ale ta chwila wystarczyła Tomowi, aby się opanował. Gdy Ben pojawił się na ścieżce, ciągnąc za sobą tornister niczym psa na smyczy, Tom już był całkowicie spokojny, a jego twarz ponownie przybrała pokerowy wyraz. Tłumaczył sobie niedawne szaleństwo ciągłym napięciem i wysokim poziomem adrenaliny. Frustracja spowodowana krętowniczym Kate, niepokój o jej bezpieczeństwo, do tego brak snu, nadmierne dawki kofeiny i cały ten stres w końcu eksplodowały pocałunkiem. Jeszcze zanim Tom pojawił się w jej biurze, już miał za sobą piekielne popołudnie. Dwa zwęglone trupy w wozie kempingowym zidentyfikowano jako notowanych kryminalistów, powiązanych z Rodriguezem i Soto. Byli to na pewno przestępcy, których poszukiwano. Teraz obaj nie żyli, a zostali zastrzeleni, zanim jeszcze samochód stanął w ogniu. A to znaczyło, że ktoś ich zamordował. Ktoś, kto nadal pozostawał w mieście. Ktoś zamieszany w plan ucieczki z więzienia? Być może. Wszakże nie należało stawiać przedwczesnych hipotez. A może typ, który ukradł samochód Kate? Następna hipoteza, choć to powiązanie wydawało się wątpliwe. A jednak tamte zwęglone zwłoki natychmiast stanęły mu przed oczami, gdy tylko Kate opowiedziała mu, co jej się przydarzyło. Przeraził się, widząc, jak biegła ku niemu między stojącymi autami, wystraszona, jakby gonił ją sam diabeł, i zmartwiały, gdy usłyszał, przed czym ledwie udało jej się uciec. Wzbudzała w nim instynkt opiekuńczy. Nie

chciał, by stało jej się coś złego. Gdyby coś jej się przytrafiło, potraktowałby to jak sprawę dotyczącą go osobiście.

Co oznaczało, że zaangażował się uczuciowo. Nigdy nie pozwalał sobie na nadmierne emocje w związku z jakąkolwiek kobietą. Co do uciech cielesnych, owszem. Zawsze był gotów na trochę przyjemności, dbał także, by i jego partnerki miały dobrą zabawę. Ale za każdym razem stawiał sprawę jasno: nie ma mowy o jakimkolwiek związku. Gdy zabawa się kończyła, odchodził.

I po raz pierwszy od bardzo dawna nie wydawało się to takie łatwe.

Czy coś jej groziło? I czy ona sama była niebezpieczna? A może jedno i drugie? Próbował uzyskać odpowiedź na te pytania. A zresztą i tak jako policjant miał dobry powód, by nie spuszczać Kate z oka. Tyle że okazał się trochę zbyt gorliwy. W każdym razie pod pewnym względem.

Ta sprawa między nimi - nie nazwałby jej romanssem - pojawiła się ukradkiem, ni stąd, ni zowąd, i dawała mu się we znaki. Owszem, przyszło mu do głowy, czyby się nie przespać z Kate, ale wzięwszy pod uwagę okoliczności, jak mógł wzbraniał się przed wykonaniem jakiegokolwiek kroku w tym kierunku. Co z tego, że bardzo go podniecała, w końcu nie był głupi. A przynajmniej tak dotąd sądził. Teraz wydawało mu się, że może jednak się mylił.

Jako ktoś „pod parasolem podejrzeń”, jak z pewnością określiliby Kate koledzy z jego wydziału, powinna pozostać dla niego absolutnie nietykalna. Jednak na pytanie, czy była zamieszana w

próbę ucieczki więźniów, odpowiedziała przecząco. Tylko czego oczekiwał, że Kate się przyzna?

A jednak wierzył jej, przynajmniej w tej kwestii.

Co wciąż nie tłumaczyło jego zachowania. Całowanie jej można by uznać za najgłupszą rzecz, jaką mógł zrobić.

Postąpił tak pod wpływem impulsu, gwałtownego pragnienia, któremu nie umiał się oprzeć - okazał za mało samodyscypliny. Smak jej ust go rozplómił. Rzecz w tym, że Kate także paliła się do niego. W istocie oddała mu pocałunek w taki sposób, jakby umierała z chęci pójścia z nim do łóżka. Tom stłumił nieco dręczący go żar, ale wciąż odczuwał tłące się w jego ciele pożądanie. Niewiele było trzeba, by ogień wybuchł ponownie.

Powinien się poddać pokusie i mieć problem z głowy. Przeklęta kobieta. Przespać się z nią i mieć to za sobą. Cóż mogło być prostszego.

A może nie? Może Kate prowadziła z nim grę. Zorientowała się, jak bardzo na niego działała, i liczyła, że wykorzysta zdobytą nad nim władzę, by mieć go po swojej stronie.

Nie ufał jej, co nie powstrzymało go przed rozmyślaniami o niej o wiele więcej, niż powinien. Jej wymijające odpowiedzi doprowadzały go do szaleństwa, a zaraz i tak udawało jej się oszołomić go uśmiechem. Ostatnio miał taką samą ochotę mocno ją potrząsnąć, jak i ją pocałować. Jedno było pewne: to, co między nimi zaszło, stało się tak niespodziewanie. Nigdy w życiu nie przypuszczał, że może poczuć do tej kobiety coś tak silnego.

Jakby w dziwny sposób byli ze sobą związani. Jakby coś ich łączyło. Jakby był za nią odpowiedzialny.

Do diabła, nawet polubił tego jej dzieciaka.

Który akurat w chwili, gdy Tom o nim pomyślał, otwierał tylne drzwi samochodu i wsuwał się na tylne siedzenie za kierowcą.

- Cześć - powiedział Ben, gdy nagle światło rozjaśniło wnętrze auta. - Jesteś tu, bo mamie ukradli samochód?

Tom spojrział we wsteczne lusterko.

- No właśnie.

Ben wciągnął tornister do środka i zamknął drzwi.

- Ale co się właściwie wydarzyło?

Było to tak dorosłe pytanie, zadane tak dojrzałym tonem, że Tom odwrócił się, by spojrzeć na chłopca. Niebieskie oczy patrzyły wprost na niego spod wachlarza gęstych, ciemnych rzęs. Jezu, ten dzieciak wyglądał całkiem jak Kate.

- Musisz o to zapytać mamę. Ben się wykrzywił.

- Ona mi nie powie. Zawsze usiłuje mnie chronić przed tym, na co według niej jestem za młody.

Tom nie wiedział, co powiedzieć.

- No cóż, mamy tak właśnie postępują.

W tym momencie uchyliły się drzwi po stronie pasażera i wewnętrzne światło, które właśnie gasło, ponownie rozbłysło i pojaśniało, gdy Kate usiadła z przodu. Tom dostrzegł, że policzki jej się zaróżowiły, a usta były jakby pełniejsze niż zwykle. Sadowiąc się, posłała mu ukradkiem wstydlive spojrzenie, które natychmiast

roznieciło stłumiony z trudem żar. I ponownie rozpałiło całe ciało Toma.

Tylko tym razem nie było to przyjemne uczucie.

Gdy światełko w samochodzie znów przygasło i Kate powiedziała coś do Bena, Tom zacisnął zęby, by za wszelką cenę stłumić swoje instynktowne reakcje, i włączył silnik.

Przecież nie chciała go polubić.

Ta myśl przyszła jej do głowy, gdy obserwowała, jak Tom grał w piłkę z Benem.

Po odprowadzeniu do wyjścia policjantów, którzy przyjechali odebrać od niej zgłoszenie o skradzionym samochodzie, gdy tamci już rzucili „do widzenia” swojemu koledze, wsiedli do radiowozu i odjechali, Kate nadal stała w otwartych drzwiach, obserwując scenę rozgrywającą się u wylotu podjazdu. W kręgu mętnego światła lampy zamocowanej nad garażem Ben i Tom rzucali piłką do kosza i widok tego wysokiego, śniadego mężczyzny, który szeroko uśmiechał się do jej małego, jasnowłosego synka, gdy podawał mu piłkę, nie wiedzieć czemu dziwnie ją niepokoił. Stukot podskakującej piłki ginał wśród szelestu poruszanych podmuchami wiatru liści i skrzypieniu konarów wielkiego dębu. Zapadła wietrzna noc, zapowiadająca się na chłodną. Księżyc schował się za olbrzymią, puchatą ławicą chmur, tak więc poza kręgiem żółtawego światła trudno było cokolwiek dostrzec. Ciemności sprawiały, że Kate się denerwowała, gdyż wyobrażała sobie, że Mario kryje się gdzieś w cieniu, że jeszcze z nią nie skończył. Obawiała się, że Mario i jego kumple mogą zjawić się w

jej domu dzisiejszej nocy, ale nie miała najmniejszych wątpliwości: obecność Toma zapewniała jej i Benowi całkowite bezpieczeństwo. Choć zmęczona i pełna niepokoju o przyszłość, Kate wzruszyła się, widząc, jak jej synek bez trudu dogaduje się z mężczyzną, który zaczynał stawać się ważną postacią w życiu ich obojga. Pozostała w otwartych drzwiach, obserwując ich obu. Kiedy Ben wykonał niecelny rzut, Tom złapał piłkę spod kosza i zademonstrował chłopcu prawidłową postawę. Pokazał, jak należy trzymać piłkę - jak zauważyła, używali tej dla początkujących graczy - i jak robić unik. Ben rzucił - i udało mu się trafić. Gdy przy aplauzie Toma biegł po piłkę, widziała, że się uśmiechał i aż poczerwieniał z dumy.

Uśmiechnęła się także niezauważona przez nich.

Radość synka grzała ją niczym ciepły/promień słońca. W tym momencie poczuła się tak spokojna i zrelaksowana jak w żadnej innej chwili w ciągu ostatnich dni.

Bo gdy Ben był szczęśliwy, ona także.

I nie miała wątpliwości: droga do jej serca wiodła przez syna.

Była to niewielka szczelina w murze obronnym, który przez te wszystkie lata Kate wzniosła wokół siebie. Do tej pory starała się nie zaangażować się w żaden związek i nie pozwoliła żadnemu mężczyźnie nawet zbliżyć się do niewielkiego kręgu, należącego wyłącznie do niej i do Bena. Nie zdawała sobie jednak sprawy, że można dostać się tam od wewnątrz.

Pozwolenie sobie na jakąkolwiek słabość do Toma Bragi nie byłoby niczym mądrym. Nawet gdyby Kate nie starała się tak bardzo

ukryć prawdy, gdyby jej przyszłość nie przypominała tykającej bomby, w każdej chwili mogącej rozerwać jej życie na strzępy, nawet gdyby on nie był policjantem wężącym wokół niej i jej kłamstw, i tak już dość spoczywało na jej barkach. Wychowywanie Bena. Kariera. Na więcej ani na nikogo innego nie pozostawało w jej życiu miejsca.

Nie potrzebowała mężczyzny. Nawet jeśli nadal czuła dreszcz na wspomnienie zwałającego z nóg pocałunku.

O którym, jeśli tylko zdoła, nigdy więcej nie zamierza myśleć.

I jeśliby przyjąć, że była na tyle głupia, by zapragnąć akurat tego mężczyzny, najważniejszy powód, dla którego nie mogła go mieć, pozostał ten sam: nie chciała, by Ben przywiązał się do kogoś, kto potem zniknąłby z jego życia.

Mężczyźni odchodzą. Tyle wiedziała. Ale Ben nie.

I pragnęła, by życie oszczędziło mu tej lekcji, jak bardzo boli, gdy porzuca nas ktoś, kogo zaczęliśmy kochać.

Ben ponownie próbował wrzucić piłkę do kosza, a Tom starał się (była pewna, że nie do końca) mu przeszkodzić.

Nawet nie spojrzała, by sprawdzić, czy piłka trafiła do siatki.

Wyprostowała się i bez uśmiechu weszła z powrotem do domu.

- Ben - zawołała stanowczym głosem przez ramię. - Trzeba odrobić pracę domową!

Dźwięk odbijanej piłki podążył za nią do środka.

- Mamo!

- No już - powiedziała, nic a nic niewzruszona protestem, i weszła do kuchni.

Ben przyszedł po pięciu minutach, zaczerwieniony i spocony, ściskając w rękach nową piłkę. Już bez blezera, który zdjęła wcześniej, Kate siedziała przy stole w niebieskiej koszuli i czarnych spodniach i przeglądała zawartość tornistra synka: wyjmowała zeszyty i podręczniki oraz zmięte kartki, próbując się zorientować w tym bałaganie. Zmęczona i zdenerwowana, trzęsła się ze strachu na myśl, że Mario o niej nie zapomni, a także czuła się oszołomiona swoją reakcją na mężczyznę, którego kroki słychać było w pokoju dziennym. Teraz jednak szkoła i praca domowa stały się najważniejszym zajęciem jej i Bena. Aby odciąć się od nocy na zewnątrz, opuściła tanie rolety - dostały jej się wraz z domem - których wcześniej nigdy nie używała, jako że kuchenne okno wychodziło na tylne podwórko. W jasnej i przytulnej, nieco zabałaganionej kuchni unosił się jeszcze słaby zapach pizzy na wynos - Tom uparł się, by po drodze do domu kupić ją na kolację.

- Zapomniałeś notatnika - zauważyła, spoglądając na syna. Nauczyciel wymagał, aby uczniowie zapisywali w notesie tematy zadań domowych. W teorii był to niezły pomysł. W praktyce Ben albo zapominał całkiem o notesie, albo nie pamiętał, by cokolwiek w nim zapisać.

- Wiem, co muszę zrobić. - Jego ton wyrażał bardziej rezygnację niż niezadowolenie. - Naprawdę. - I dodał, już pogodniej: - Spójrz, co dostałem od Toma.

Pokazał jej piłkę. Oczy mu się śmiały, miał zaróżowione policzki i niewątpliwie był szczęśliwy. Choć ją samą nurtowały liczne

wątpliwości, chłopczyk z taką swobodą mówił o tym niemal obcym człowieku, nazywając go po imieniu, że Kate nie chciała zepsuć synowi nastroju.

- No, no. - Uśmiechnęła się do Bena. Z nawyku, a także ponieważ nie umiała się powstrzymać, dodała: -Podziękowałeś?

- Pewnie. - Sądząc po jego tonie, równie dobrze mógł powiedzieć: ba. - Myślę, że dzięki niej naprawdę nauczę się lepiej rzucać.

- To dobrze. - Nawet jeśli Tom miał jakieś ukryte powody, Kate szczerze się ucieszyła, że podarował Benowi tę piłkę. - Może byś tak ją odłożył? Zabierzemy się do zadania, dobrze?

- Nie znoszę zadań. - Jednak posłusznie odłożył piłkę, podszedł do stołu, usiadł i przysunął sobie zeszyt do matematyki. Z westchnieniem otworzył go, wziął do ręki ołówek i spojrzał na Kate, marszcząc brwi. - Co zrobimy bez samochodu?

Wcześniej powiedziała mu tylko o kradzieży auta, nie wspominając, co jeszcze się stało, a więc wydarzenie to wydawało się Benowi niezwykle ekscytujące. Może i naprawdę się martwił, jak sobie teraz poradzą, ale Kate na tyle dobrze go знаła, by wiedzieć, że chciał jak najdłużej odwlec moment zabrania się do pracy.

- Jutro podstawią mi auto z firmy ubezpieczeniowej. Bierz się do matmy.

- Nienawidzę matmy.

- Wiem, ale i tak zabieraj się do zadania.

Przez cały czas, który poświęcili na odrabianie lekcji - mniej więcej godzinę, do dziewiątej, gdy Ben miał iść do łóżka - Kate miała świadomość, że nie są sami. Dom wydawał się jakby mniejszy, kiedy był tutaj Tom, mimo że został w pokoju dziennym, aby im nie przeszkadzać. Ale słyszała, jak chodził i zmieniał kanały w telewizorze, zanim wreszcie znalazł jakiś sportowy program, na który się zdecydował, a którego ona i Ben nigdy by nie oglądali; słyszała też, że rozmawiał przez komórkę. Te dźwięki, na pozór niezbyt rozpraszające, jednak ją niepokoiły, choć nie wiedziała dlaczego.

Gdy Ben wreszcie skończył odrabiać zadania, poderwał się od stołu i ruszył do pokoju dziennego.

Z wielką ochotą.

- Czas spać. - Kate także wstała i poszła za synkiem, już zdenerwowana na myśl, że zaraz zobaczy Toma. Od tamtego pocałunku obawiała się go w jakiś inny, nowy sposób.

- Czy nie mogę jeszcze trochę zostać? Jak już Tom u nas jest?

- Nie.

Doszli do drzwi saloniku, Ben kilka kroków przed nią. Tom, wygodnie rozłożony na kanapie, z głową wspartą na wałku, ze stopami - w samych skarpetach - na stoliku do kawy, z pilotem w ręce, wyglądał na całkowicie rozluźnionego, jakby był u siebie. Zdjął marynarkę, odpiął kaburę spod ramienia, ściągnął krawat i został w białej koszuli i czarnych spodniach. Kołnierzyk rozpiął pod szyją, podwinął rękawy.

Wyraźnie był zmęczony - i tak przystojny, że gdyby Kate miała bardziej romantyczny nastrój, zabrakłoby jej tchu.

Tyle że nie mogła sobie pozwolić na jakiegokolwiek romantyczne mrzonki. Gdy weszła z Benem do pokoju, Tom obejrzał się, popatrzył na nich i uśmiechnął się tym swoim leniwym, pełnym uroku uśmiechem, sięgającym oczu i sprawił, że coś ścisnęło ją w żołądku.

- Wszystko odrobione? - zapytał.

I wtedy do niej dotarło, czemu jego obecność w jej domu tak bardzo ją rozstrajała.

Gdyż mogłoby się wydawać, że są rodziną.

A na to w żadnym wypadku nie mogła pozwolić.

RS

Rozdział 22

- Tak - odrzekł Ben i wybrał najkrótszą drogę do kanapy.

- O nie, nic z tego. - Kate złapała go za ramię, odwróciła i pchnęła w stronę schodów. - Powiedz dobranoc.

Nie widziała wyrazu twarzy syna, ale nie uszła jej uwagi mina Toma: rzucił chłopcu współczujące spojrzenie. Ten tylko wzruszył ramionami. Kate postawiłaby całą swoją poniedziałkową wypłatę, zakładając się, że mały ponadto przewrócił oczami.

Zupełnie jakby porozumiewali się przeciwko niej. Jakby tych dwóch osobników rodzaju męskiego łączył jakiś wyjątkowy związek.

Zmarszczyła brwi.

- Dobranoc, Tom - posłusznie powiedział Ben. -Dziękuję za pomoc w koszykówce.

- Nie ma sprawy. Śpij dobrze.

Weszła po schodach za synem, gdyż nie miała ochoty zostawać z Tomem na dole. Wiedziała, że wcześniej czy później będzie musiała stawić mu czoło, poradzić sobie jakoś z tą wielką plątaniną problemów, które uosabiał, ale w tym momencie postawiła na „później”.

Najpierw musi pozbierać myśli.

- Tom jest miły - oznajmił Ben, gdy byli na piętrze.

Obejrzał się przez ramię na Kate, która szła za nim korytarzem w stronę łazienki.

- Aha. - Poczwała ucisk w piersiach. - Ale wiesz, on nam tylko chwilowo pomaga. Jak wszystko się już ułoży, pewnie więcej go nie zobaczymy.

Przy drzwiach łazienki Ben odwrócił się do niej raz jeszcze. Radosny błysk przed chwilą rozjaśniający mu buzię znikł. Gdy spotkali się wzrokiem, chłopiec wydawał się zmartwiony i nagle o wiele starszy niż te jego dziewięć lat.

- Czy ktoś chce cię skrzywdzić, mamusiu?

- Ależ skąd! Oczywiście, że nie. - Nie powinna być zaskoczona, że zauważył jej niepokój. Przecież tak dobrze ją znał. Ale to jej obowiązkiem było chronić syna, a nie odwrotnie, i w żaden sposób nie zamierzała wyjawić mu choćby odrobiny prawdy o tym, co się działo.

- Dlaczego pytasz?

- Bo ostatnio przytrafia ci się wiele złych rzeczy. A Tom jest policjantem i już drugą noc spędza w naszym domu.

No tak, powinna była pamiętać o spostrzegawczości synka.

- To dlatego że... dlatego... - Gorączkowo usiłowała coś wymyślić, ale jej się nie udawało. No myśl. - To tylko na wszelki wypadek. Po wydarzeniach w sądzie stałam się bardzo znana. Tom po prostu pokręci się wokół nas, dopóki sprawa nie ucichnie. Co szybko nastąpi.

Ben dalej badał wzrokiem jej twarz.

- Miałem nadzieję, że może zostanie twoim chłopakiem.

Kate usiłowała ukryć zaskoczenie i konsternację. Nigdy, odkąd na świecie pojawił się Ben, nie miała przyjaciela. Dlaczego podobna myśl w ogóle przyszła jej synkowi do głowy?

Nie zamierzała pytać. Jednego nauczyła się na wydziale prawa: nigdy nie zadawać pytań, jeśli nie ma się pewności, czy chce się usłyszeć odpowiedź.

Życiowa mądrość, którą należało stosować dosłownie.

- Nie - odrzekła stanowczo. - On nigdy nie będzie moim chłopakiem. To tylko miły człowiek, który wykonuje swoją pracę. I tyle. Idź do wanny.

Gdy wszedł do łazienki i zatrzasnął drzwi, oparła się o ścianę korytarza i zamknęła oczy.

Dopóki przed chwilą Ben nie obsadził Toma w roli jej sympatii, Kate nie do końca uświadamiała sobie, jak bardzo była samotna. Od dziewięciu lat każda myśl i wszystko, co robiła, nakierowane były na stworzenie Benowi dobrych warunków życia. Czyżby w całym tym pośpiechu całkiem zapomniała o własnej przyszłości?

Może. Ale robiła to, co należało.

Gdy skończyła czytać Benowi do poduszki, a on w końcu zasnął, ledwie trzymała się na nogach. W związku z utratą aktówki z całą jej zawartością, łącznie z laptopem i telefonem, a także prawem jazdy i kartami kredytowymi (niech ci się z nimi poszczęści, Mario - zostały maksymalnie wykorzystane) oraz innymi osobistymi drobiazgami, następny dzień zapowiadał się wyjątkowo pracowicie. W całej tej sprawie tylko jedno wydawało się pozytywnym zbiegiem okoliczności

- w żaden sposób nie mogła tego wieczora zająć się pracą. Wszystkie potrzebne jej akta i dokumenty zginęły wraz z aktówką.

Tak więc gdy Ben zasnął, a Tom czuwał, mogła zrobić to, o czym marzyła: iść spać.

Tyle że nie było to możliwe.

Bo należało zejść na dół i zająć się problemem, jakim był dla niej Tom.

Nie zastała go w pokoju dziennym, choć telewizor i lampy pozostały włączone. Gdy rozglądała się w koło, z kuchni dobiegły ją ciche odgłosy. Ruszyła tam, twardo trzymając się swojego postanowienia.

W kuchni nie świeciło się światło. Przy opuszczonych roletach i wątlej smudze poświaty sączącej się z pokoju dziennego pogrążone w ciemnościach pomieszczenie przypominało jaskinię. Przez chwilę Kate poczuła lekki niepokój, bo nigdzie nie zauważyła Toma. Czyżby coś się wydarzyło? Czy z jakiegoś powodu wyszedł na dwór? A może Mario i jego banda włamali się i go obezwładnili? Niemal sparaliżowana tą myślą, miała właśnie się wycofać z kuchni, gdy gdzieś obok niej zabrzmiało wyraźne: „cholera”. Rozpoznała głos Toma i wolna od przynajmniej jednego zmartwienia ostrożnie weszła dalej do kuchni. Znalazła go za lodówką; właśnie ustawiał krzesło pod drzwiami na podwórko i blokował gałkę, wpychając pod nią krawędź oparcia.

- Co robisz? - zapytała, całkowicie zaskoczona tym niespodziewanym widokiem.

Obejrzał się, nie przestając mocować się z krzesłem, by ustawić je w odpowiedniej pozycji. W panującym w pomieszczeniu mroku Kate nie była tego pewna, ale niemal przysięgłaby, że poczuł się trochę zażenowany, że został odkryty.

- Podejmuję kroki ostrożności.

Nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Wszystkie jej mrzonki o wielkim, groźnym policjancie-opiekunie rozwiewały się właśnie.

- Gdyby cię tu nie było, zrobiłabym dokładnie to samo. Tyle że zaraz uznałabym, iż taki zabieg nie ma sensu. - Oparła się biodrem o stół, z zamiarem asystowania Tomowi.

- I miałybyś rację. - Gdy krzesło znalazło się we właściwej pozycji, zostawił je i ruszył w jej stronę. - Chodzi o to, że ktoś zdobył klucz do twojego domu, więc jeszcze przed chwilą mógł tu po prostu sobie wejść. Teraz bandyci będą musieli się włamać, a ja, przynajmniej teoretycznie, ich usłyszę.

- Sprytne. - Kate rozejrzała się wokół i dostrzegła drugie krzesło, blokujące gałkę drzwi garażowych. Uśmiech rozjaśnił całą jej twarz. - Czy przed frontowymi drzwiami też ustawileś krzesło?

Jeżeli tak, to nie zauważyła, ale wzięwszy pod uwagę jej zmęczenie i senność, wszystko było możliwe.

- Jeszcze nie, ale mam zamiar to zrobić. Ponownie spojrzała w jego kierunku. Tom stał niespełna krok przed nią.

- To miło. - Uśmiechnęła się do niego jak kretyńka, a on odwzajemnił się chłodnym uśmiechem.

Ta sytuacja wydawała się miła i serdeczna i, a niech to, szczęśliwa, pomimo że omawiali kwestię zabarykadowania domu, aby naprawdę źli ludzie, którzy grozili jej i prawdopodobnie nie cofnęliby się przed niczym, nie weszli do środka. A więc stał przed nią, wysoki, śniady i groźny (mniejsza o te śmieszne krzesła) i jak diabli seksowny; i gdy tak uśmiechała się do niego, a serce biło jej szybciej i krew szumiała w uszach, wyczuwała między nimi iskrzenie naelektryzowanego powietrza. I nic nie mogła na to poradzić: złapała się na wspomnianiu ich płomiennego pocałunku.

I wszystko to przeraziło ją tak bardzo, że aż zacisnął jej się żołądek.

Nie. Nie. Nie.

Uśmiech znikł z jej twarzy, jakby go ktoś starł. Kate wyprostowała się i odsunęła od stołu, gdyż nie wiedziała, jak się zachować, kiedy ten mężczyzna znajdował się tak blisko niej. Spojrzała na niego surowo.

- Co jest? - Uniósł brwi.

- Musimy porozmawiać. - Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do (stosunkowo jasno oświetlonego) pokoju dziennego.

- No, teraz zaczynasz mówić tak jak ja. - Ruszył za nią.

Kate podeszła do stolika do kawy, zatrzymała się i odwróciła twarzą do detektywa. Stał niedaleko od niej, tuż za progiem. Dzielnie wytrzymała jego spojrzenie. Już nie myślała o napięciu między nimi ani o szalonym rytmie, w jakim wciąż biło jej serce.

- Przede wszystkim chcę ci podziękować za podarowanie Benowi piłki i za to, że trenowałeś z nim dzisiaj wieczorem.

Wzruszył ramionami. Stał z rękami w kieszeniach, z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

- Nie ma sprawy. Lubię Bena.

- Cieszę się, że to powiedziałeś. Bo Ben także cię lubi. A to część problemu.

- To jest jakiś problem?

Przez chwilę zbierała myśli i odwagę. W końcu, skwitowawszy jego słowa lekkim kiwnięciem głowy, mówiła dalej.

- Spójrz, co wydarzyło się dzisiaj wieczorem... - zaczęła i zaraz się zorientowała, że musi być bardziej dokładna, gdyż tego wieczoru wiele się wydarzyło - ...całowaliśmy się... - Jezu, do tego wszystkiego jeszcze zaczęła się jąkać. Jakie to żalosne. - Rzecz w tym, że nie mam zwyczaju z nikim się całować. Ani w cokolwiek angażować. Nie umawiam się na randki. Jestem zbyt zajęta, no i... to nie byłoby dobre dla Bena.

Nareszcie. Wyrzuciła to z siebie. W każdym razie większą część.

- A więc?

- A więc jestem wdzięczna, że zostałeś na noc, a także spałeś tu wczorajszej nocy, i doceniam wszystko, co robisz, ale... po dzisiejszym wieczorze chyba nie powinniśmy się więcej widywać.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że my się widzimy. Westchnęła niecierpliwie.

- Wiesz, o co mi chodzi. Myślę, że lepiej będzie, jeśli nie będziesz tu przychodził. Wolałabym, żebyś nie widywał się z Benem. Wiem, że musisz wykonywać swoje obowiązki, i zawsze chętnie odpowiem na każde twoje pytanie, ale od tej chwili chcę, by sprawy między nami ograniczyły się wyłącznie do sfery zawodowej. Żadnego więcej...

Głos jej się załamał i gorączkowo szukała najbardziej adekwatnego określenia do wyrażenia swych myśli.

- Całowania? - odpowiedział.

Wysunęła brodę.

- Właśnie.

- W porządku - odrzekł. - Masz to jak w banku.

Jego natychmiastowa zgoda ją zaskoczyła. A także, musiała uczciwie przyznać, trochę dotknęła. Bo przecież spodobały jej się te pocałunki.

Nawet bardziej - jeśli naprawdę miała być szczerą - były wręcz cudowne.

- No to w porządku. Wyśmienicie. - Czując się teraz przy nim dziwnie nieswojo, rzuciła pospieszne spojrzenie na kanapę. - Aha... prześcieradła i inne rzeczy, których używałeś wczoraj, są w suszarce. Pójdę po nie i...

- Sam je przyniosę - przerwał jej. - Wiem, gdzie stoi suszarka, i potrafię znaleźć sobie wszystko, czego będę potrzebował. Idź na górę, do łóżka. Prześpij się trochę.

Jego rada dawała jej pretekst, żeby się oddalić. Zwłaszcza gdy jakaś jej część z rozkoszą odwołałaby wszystko, co mu powiedziała.

- No to dobrze, idę sobie - oznajmiła i ruszyła w stronę schodów. Na plecach czuła wzrok detektywa. Obejrzała się jeszcze.

- Dobranoc - powiedziała.

W odpowiedzi tylko skinął głową.

Wchodząc na górę, choć świadoma, że w tych okolicznościach postąpiła właściwie, miała jednak niemiłe uczucie poniesionej straty.

I zaraz poczuła do siebie złość: Idiotka! Jak można stracić coś, czego się nigdy nie miało?

Przez następne dwa dni Filadelfia zamieniła się w morze błękitu. Tysiące policjantów z całego północnego wybrzeża ustawiło się wzdłuż ulic, którymi szły kondukt pogrzebowe, by pożegnać sędziego Morana i dwóch poległych zastępców szeryfa. Także obywatele Filadelfii zjawili się w komplecie. Na czas żałoby miasto dosłownie zamarło. Flagi opuszczono do połowy masztu. Dzwony dzwoniły niemal bez przerwy. Podczas celebrowania, w odstępie godziny, w olbrzymiej bazylice Świętego Piotra i Pawła mszy żałobnych za sędziego Morana i zastępcę szeryfa Russo pokazywano sceny z ich życia na monitorach, a w parku po drugiej stronie ulicy ustawiono olbrzymi ekran, by tłumy mogły uczestniczyć w ceremonii. Kate była obecna na wszystkich pogrzebach, a gdy siedziała między Moną a Bryanem i oboje trzymali ją za rękę, trudno by jej było powiedzieć, czy ją pocieszali, czy raczej sobie chcieli dodać otuchy. Msze wywołały wiele bolesnych emocji; Kate patrzyła na rozpacz

osieroconych rodzin i nie mogła się pozbyć myśli, że niewiele brakowało, by ją także pochowano tego dnia, a Ben, sam na świecie, wylewałby teraz morze łez.

Miejscowe i ogólnokrajowe media stawiały się także. Kamery i mikrofony tłumnie kierowały się w stronę Kate, Bryana, obrońcy z urzędu Eda Curry'ego, a także Sally Toner, sprawozdawcy sądowego - jedynych osób spośród personelu, którym udało się przeżyć w sądzie tamtego dnia. Gdziekolwiek się pojawili, zasypywano ich pytaniami. Przedsiębiorczej ekipie CNN udało się sfilmować ich czworo stojących razem obok windy towarowej, gdy przez podziemny parking usiłowali uciec przed niestrudżonymi przedstawicielami mediów. Reportaż oraz towarzyszące mu krótkie, wykrzykiwane pytania i odpowiedzi - Curry, jako obrońca z urzędu nie podlegał zakazowi udzielania informacji i to on odpowiadał na pytania - nadano w telewizji, ku przerażeniu Kate, prawdopodobnie na cały kraj.

Ale nic nie mogła na to poradzić. Zupełnie nic. Mogła jedynie postarać się jak najlepiej przejść przez to wszystko.

Kilka razy w pewnej odległości zauważyła Toma w grupie obecnych na pogrzebie policjantów. Stał z zaciśniętymi ustami, z poważną twarzą, tak uderzająco przystojny, że Mona aż szturchnęła Kate, by zwrócić jej uwagę (jakby Kate mogła go była przeoczyć) i wzdychając, rozplywała się nad urodą detektywa. Ale pozostała w swych zachwytach osamotniona, gdyż Kate nie miała nastroju do podziwiania męskich wdzięków.

Pomimo reprimendy, którą mu zaserwowała, i choć bez słowa protestu przyjął do wiadomości uwagi Kate, w czwartkową noc znowu wylądował na jej kanapie. Dlaczego? Bo gdy w czwartek rano, po odwiezieniu Bena do szkoły jechali do prokuratury, dokąd później w ciągu dnia pracownik firmy ubezpieczeniowej miał przyprowadzić jej zastępczy samochód, Braga wystraszył Kate nie na żarty.

- Dzisiaj powinnaś zachować wyjątkową ostrożność. -
Przejeżdżali właśnie przez most, zmierzając do centrum, gdy Tom, spojrzawszy na nią kątem oka, przerwał niemiłą ciszę panującą w samochodzie, odkąd wysiadł Ben. - Wczoraj po południu w spalonym wozie kempingowym znaleziono ciała dwóch mężczyzn. Prawdopodobnie to na tych dwóch czekali Rodriguez i jego kompani. Tyle że oni zginęli na długo przedtem, zanim ci dwaj zostali zamordowani. Co oznacza, że jest jeszcze ktoś - wciąż na wolności - kto ich zabił. A zważywszy na prześladowający cię ostatnio pech - w jego głosie zabrzmiała nutka ironii - powiedziałbym, iż nie jest wykluczone, że spotkasz tego kogoś. Więc podejmij odpowiednie kroki, dobrze? Na przykład po ciemku nie zapędzaj się samotnie na opustoszałe parkingi. I w ogóle pod żadnym pozorem nie zostawaj sama.

Gdy dotarło do niej znaczenie jego słów, Kate poczuła chłód.
Mario.

Motyw, metoda i okazja: trzy podstawowe elementy oskarżenia o morderstwo. Aż za dobrze wiedziała, że Mario poprzedniego dnia po południu wrócił na ulice miasta, co oznaczało, zależnie od

dokładnego czasu zgonu ofiar, że mógł mieć możliwość ich zabicia. A z pewnością miał motyw, jeśli zamordowani mężczyźni orientowali się, że był zamieszany w próbę ucieczki. Co do metody, nawet się nie zastanawiała nad tym aspektem sprawy; jeśli chodzi o stosowanie przemocy, pomysłowość Maria nie miała granic, Kate ani trochę w to nie wątpiła.

Ale nie mogła powiedzieć Tomowi o Mariu. Ani słowa, ani sylaby. Ryzykowałyaby zbyt wiele.

I doznała szoku, gdy to do niej dotarło: po śmierci wszystkich pozostałych świadków tamtego zabójstwa o jej obecności w tamtym miejscu, w czasie gdy zginął David Brady, wiedział jedynie Mario. Tak samo tylko ona mogła zeznać, że i on tam był. A miał wtedy już osiemnaście lat, czyli wobec prawa był dorosły i, wbrew jego zaprzeczeniom, zapewne to on nacisnął spust. Wiedziała także, że zastrzelił Rodrigueza. I był zamieszany w próbę ucieczki więźniów, która zakończyła się śmiercią sędziego Morana i innych.

Kate była dla niego nawet bardziej niebezpieczna niż on dla niej.

I wiedział o tym. Gdyż cokolwiek by można o nim powiedzieć, głupi z pewnością nie był.

Jeśli to Mario mordował świadków swoich zbrodni, ona powinna być numerem jeden na jego liście.

Kompletnie ją to oszołomiło.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi tego wczoraj wieczorem? - zapytała, odzyskawszy głos.

- Nie chciałem bez potrzeby cię niepokoić. Byłem przy tobie, wiedziałem, że nic ci nie grozi. Ale dzisiaj to już inna historia.

O tak. Z pewnością. Starła się opanować, próbowała ukryć przed Tomem nagłą potrzebę zaczerpnięcia powietrza; usiłowała uspokoić puls, uciszyć bicie serca.

Gdy nie odpowiedziała, rzucił jej pospieszne surowe spojrzenie i mówił dalej:

- Słuchaj, poprosiłem o przysługę moich znajomych, wyśmienitych fachowców. Po powrocie wieczorem do domu zastaniesz wymienione zamki i zainstalowany system alarmowy. Tyle że nic nie jest w stanie zapewnić stuprocentowego bezpieczeństwa. Jeżeli ukrywasz coś, co ci zagraża, powinnaś powiedzieć mi o tym, zanim ty - a może i Ben razem z tobą - skończysz jak tamci dwaj.

O Boże. Tego bała się najbardziej, wręcz odchodziła od zmysłów z przerażenia. Jeśli Mario zaatakuje, gdy Ben będzie w pobliżu, czy oszczędzi jej synka? Nawet nie musiała się nad tym zastanawiać: mało prawdopodobne.

Czy powinna wyznać Tomowi prawdę i w ten sposób przynajmniej zapewnić Benowi bezpieczeństwo?

Fizycznie byłby bezpieczny, ale miałby matkę w więzieniu i zrujnowane życie.

A może powinna wymyślić jakieś inne wyjście? Porzucić pracę, zabrać Bena i uciec? Tylko że do poniedziałku zostało jej zaledwie sześć dolarów - o nie, przecież straciła je wraz z aktówką; w słoiku w domu znajdzie jedynie trochę drobnych, poza tym jest bez grosza. A

więc może poczekać do wypłaty i potem uciec? Ta niewielka sumka nie wystarczyłaby jednak na długo. Nie zapewniłaby im mieszkania i utrzymania do czasu, gdy udałoby jej się znaleźć jakieś zajęcie. Zresztą Mario mógł i tak ich dopaść lub wysłać kogoś w swoim imieniu. I sądząc po tym, co o nim wiedziała, tak by zrobił. Nie może czuć się bezpieczny, dopóki ona żyje. A ona żyłaby w ustawicznym strachu, wciąż oglądając się za siebie. Nieustannie zagrożona.

Jak zapewni bezpieczeństwo Benowi, gdy sama będzie próbowała poradzić sobie z Mariem?

Tom spojrział na nią ponownie, czekając na odpowiedź.

- Ciągłe ci to powtarzam - odparła. - Niczego takiego nie ma.

- Rzeczywiście, powtarzasz - zgodził się Tom, ale chyba jej nie uwierzył. Cóż, nie miała siły dalej go przekonywać. Zmęczyły ją te ciągłe kłamstwa.

Przejechali most i znaleźli się w gęsto zaludnionej, przyciągającej turystów okolicy Chinatown. Patrząc niewidzącym wzrokiem na zatłoczone ulice, podjęła decyzję.

Zasady gry między nią i Mariem zmieniły się: teraz zwycięzca zabierał całą pulę.

Przede wszystkim musiała dopilnować, by nic nie stało się Benowi, gdy ona będzie realizować swój plan. Chociaż Tom w pewnym sensie stanowił dla nich zagrożenie, zatrzymanie go, by ich chronił, dopóki nie zabezpieczy Bena, byłoby sprytnym pociągnięciem.

- Wiesz co, przerażasz mnie na śmierć. - Lekko przechyliła się na siedzeniu, by na niego spojrzeć. - Czy rzeczywiście uważasz, że mnie i Benowi grozi niebezpieczeństwo?

Skrecił w Juniper. Byli niemal na miejscu. Z obu stron wznosiły się ściany drapaczy chmur. Przez szczelinę między budynkami ledwie było widać statuę Billy'ego Pena umieszczoną wysoko na ratuszu.

- Sądzę, że znasz odpowiedź lepiej ode mnie.

- Powtarzasz się z tymi ciągłymi podejrzeniami. Ale nie zamierzam się z tobą sprzeczać. Muszę... poprosić cię o przysługę.

- Jaka?

- Czy mógłbyś spędzić u nas dzisiejszą noc? Zacisnął wargi i rzucił jej spojrzenie, z którego niczego nie zdołała wyczytać.

- Dobrze.

- Tylko żadnego... żadnego... - Czuła się głupio, ale nie mogła się zdobyć na dokończenie zdania.

- Całowania? - Wykrzywił usta. - Nie musisz się tym martwić, więcej cię nie dotknę. Zresztą to był błąd, myślę, że oboje się z tym zgodzimy. Ale zostanę u was na noc, by zapewnić tobie i Benowi bezpieczeństwo, zanim złapiemy tych ludzi.

Zdumiała ją własna reakcja, przykrość, którą poczuła, gdy usłyszała, że nazwał ich pocałunek błędem. Zabolało, nawet jeśli miał rację.

- Dzięki. Doceniam to. I cieszę się, że rozumiesz, że tu nie chodzi o ciebie. Ja po prostu teraz nie mogę z nikim się wiązać.

- Nie ma sprawy - odrzekł chłodno.

Gdy wysadzał Kate przed biurem, w jej głowie już rysował się plan. Po pierwsze, musi załatwić, by Ben spędził piątkową noc u Perrych. Po drugie, powie Tomowi, że wyjeżdżają z miasta. I gdy już jej syn będzie bezpieczny, a Tom straci powód do opiekuńczego kręcenia się koło nich, ona zmierzy się z bandytą. Przypomniała sobie o komórce, którą Mario jej zabrał, i już wiedziała, jak się z nim skontaktuje. Umówi się z nim u siebie w domu, niby w celu omówienia sytuacji, a gdy Mario się pojawi -uznała, że prawdopodobnie tak zrobi, gdyż najwyraźniej nadal czegoś od niej chciał - zastrzeli go, a potem powie, że zabiła włamywacza. Biorąc pod uwagę przepisy prawa, jeśli on będzie już wewnątrz, gdy ona pociągnie za spust, nawet nie postawią jej zarzutów.

Problem zostanie rozwiązany.

W straszny sposób, przed którym przyzwoita matka, do tego prawniczka, powinna się wzdragać. Jednak gdy Kate uświadomiła sobie, że tak naprawdę walczy o życie, swoje i Bena, odrodziła się w niej dawna wewnętrzna twardość, dzięki której zdołała przeżyć okropne lata dzieciństwa.

W tym krytycznym momencie życia była gotowa na wszystko.

Dlatego też w piątek wjeżdżała sama, w pożyczonej hondzie civic, na podjazd pod domem. Tom sądził, że po odebraniu Bena od Perrych wyjadą oboje z miasta i spędzą noc w hoteliku w pobliżu Londwood Gardens, dawnej posiadłości du Pontów w Brabdine Valley, będącej wielką atrakcją turystyczną. Potem, jeśli Mario się pojawi i wszystko pójdzie zgodnie z planem, powie Bradze, że

zmieniła zamiary, postanowiła po prostu zostać w domu sama i odpocząć. Choćby nawet Tom coś podejrzewał -w końcu to nic nowego - Mario pożegna już świat żywych i nikt nigdy nie dowie się niczego, co mogłoby zaszkodzić jej lub Benowi.

Już na zawsze będą bezpieczni. I będą mogli żyć dalej, tak jakby ten koszmar nigdy się nie wydarzył.

Tyle że najpierw musi zabić człowieka.

Pomimo determinacji, by przeprowadzić sprawę do końca, sama myśl o tym przyprawiała Kate o mdłości.

Poprzedniego dnia zadzwoniła na numer swojej komórki i zostawiła wiadomość: „skontaktuj się ze mną”.

Na wypadek gdyby jej aparat wpadł w ręce policji, przygotowała proste tłumaczenie. Miała nadzieję przekonać złodzieja, by oddał jej rzeczy. Wreszcie Mario, na co liczyła, oddzwonił. Oświadczyła mu, że chce porozmawiać, i zaproponowała spotkanie w swoim domu w piątek około północy. Zgodził się.

Świadomość, że zastawia na niego pułapkę, by go zabić, przyprawiała Kate niemal o wymioty, już kiedy się rozłączyła. Ale dobrze wiedziała: jego życie albo życie Bena i jej.

Ben przeważył szalę.

Ponieważ w piątek nie miała powodu spieszyć się z pracy do domu, dochodziła siódma, gdy zatrzymała wóz na podjeździe. Pilot do drzwi garażowych znajdował się wraz z pozostałymi przedmiotami w ukradzionym samochodzie, ale dzięki kontaktom Toma dostała następny, z nowym systemem otwierania garażu i z automatycznym

włączaniem światła. Jeszcze nie przysłano jej rachunku i wołała o nim nie myśleć, dopóki nie będzie musiała. Zresztą obecnie kwestia pokrycia kosztów wszystkiego, co ostatnio zrobiono w jej domu, była najmniejszym z jej zmartwień.

Było już bardzo ciemno, gdy Kate nacisnęła guzik, by otworzyć garaż. Tylko srebrzysty, nisko zawieszony nad horyzontem księżyc dawał trochę światła. Ze wschodu dmuchał rześki wietrzyk i drzewa rzucały na dom i podwórko roztańczone cienie. W pokoju dziennym jaśniała lampa - rano celowo zostawiła ją włączoną - i ciepłe światło prześwitujące przez zasłony powinno dodać jej otuchy.

Ale tak się nie stało. Czuła się zbyt spięta.

Dziś w nocy miała zabić człowieka.

Poczuła ucisk w żołądku.

Może Mario nie przyjdzie. Po tej myśli, pełnej ukrytej nadziei, natychmiast pojawiła się następna, przygnębiająca:

jeśli się nie pokaże, Kate będzie żyła w strachu, dopóki wreszcie nie przyjdzie. Co było gorsze?

Na to pytanie nie знаła odpowiedzi. Na wszelki wypadek położyła broń obok siebie na siedzeniu pasażera. Chciała być przygotowana na wypadek jakiejś niespodzianki, gdyby na przykład Mario nagle na nią wyskoczył.

Serce uderzało jej mocno, gdy drzwi garażu powoli się podniosły. Zważywszy, że miała wymienione zamki i nowy system alarmowy, nie sądziła, by Mario już czekał na nią w domu. Ale wjechała do garażu z duszą na ramieniu, a zanim wysiadła, czekała

przez chwilę, zamknięta w aucie, aż drzwi z powrotem opadły. Wtedy poczuła się stosunkowo bezpieczna. Uznała, że zostało jej mnóstwo czasu na wejście do domu i przygotowanie się do tego, co musi zrobić, na zebranie całej swojej odwagi.

Na spotkanie z Mariem.

Jeszcze nerwowo rzuciła okiem w tylne lustro, na wypadek gdyby ktoś - Mario - zdołał zanurkować pod zamykającymi się drzwiami, i... niemal to przeoczyła.

A raczej - jego.

Mario już tu był, w jej garażu.

RS

Rozdział 23

Zauważyła go i na chwilę zabrakło jej tchu, nie mogła oderwać od niego spojrzenia. Wytrzeszczyła oczy zszokowana, dłonie zacisnęła na kierownicy. Zdawało jej się, że serce lada moment wyskoczy jej z piersi. Mario znajdował się w lewym przednim kącie garażu, częściowo zasłonięty skrzyniami z porcelaną i innymi rzeczami, których jeszcze nie rozpakowała. Widziała go tylko od połowy klatki piersiowej w górę i od kolan w dół, ale zorientowała się, że siedział na betonowej podłodze, z nogami przed sobą i z głową przechyloną na ramię.

I jeśli wzrok jej nie mylił, z dziurą po kuli w samym środku czoła.

Nie miała najmniejszych wątpliwości - z całą pewnością nie żył. Został zamordowany. O Boże. O Boże. O Boże.

Przerażenie zmroziło jej żyły. Przyszło jej do głowy, że jeśli Mario został zamordowany, ktoś musiał to zrobić. Morderca dostał się do jej garażu i równie dobrze on - lub oni - mógł jeszcze kręcić się w pobliżu. Wystraszona, z trudem łapiąc oddech, z bijącym sercem i galopującym pulsem błyskawicznie rozejrzała się wokół, upewniła się, że drzwi samochodu nadal są zamknięte i że nikt nie chowa się w mroku. Nacisnęła pilota, by ponownie podnieść te przeklęte garażowe drzwi i uciec gdzie pieprz rośnie, i skuliła się, w każdej chwili spodziewając się śmiertelnego strzału.

Mario miał otwarte oczy. Usta także. Z czarnego otworu, o średnicy dziesięciocentówki kapąła jeszcze krew. Wszystko to Kate ogarnęła serią przerażonych spojrzeń, podczas gdy ciężkie drzwi garażu unosiły się z nieznośną powolnością i hałasem zdolnym obudzić umarłego.

Musi zadzwonić pod 911. Powiadomić Toma.

Akurat poprzedniego dnia zaopatrzyła się w nową komórkę i teraz, biorąc ją do ręki, dziękowała za to Bogu. Jaki jest numer Toma? Nie pamiętała, ale na szczęście miała wpisany w aparacie.

Naciskając guzik, słuchała, jak ją łączą, i w tym samym czasie jedną ręką wrzuciła wsteczny bieg, czekając jeszcze, aż drzwi garażu podniosą się na tyle, by honda zmieściła się pod nimi. Ale przez cały czas, gdy się podnosiły i gdy wreszcie doczekała się sygnału na drugim końcu linii, nasłuchiwała bacznie i z przerażeniem zerkąła okiem na Maria, a także rozpaczliwie rozglądała się wokół, mając uczucie, jakby była zwierzęciem złapanym w sidła. Dopóki drzwi nie uniosły się na odpowiednią wysokość, nie mogła się wydostać. A do środka mógł wejść każdy.

Na samą myśl o tym poczuła gęsią skórę.

- Tom Braga.

Jego głos zabrzmiał w jej uszach jak najpiękniejsza pieśń, jaką kiedykolwiek słyszała.

- Tom. Musisz przyjechać. - Nawet gdy rozpaczliwie wyrzucała z siebie słowa, pamiętała, iż w żadnym wypadku nie może się

przyznać, że zna nazwisko zastrzelonego mężczyzny w jej garażu. Dla niej miał być to martwy intruz. Nie Mario.

- Kate? Co się stało?

- W moim garażu jest trup. Proszę, pospiesz się.

- Co takiego? Chryste! Czy jest tam ktoś jeszcze? Grozi ci niebezpieczeństwo? - Jego głos był ostry, natarczywy.

- Ja... nie sędzę.

Drzwi garażowe w końcu osiągnęły wystarczającą wysokość, by mogła wyjechać. Zdejmując nogę z hamulca, nacisnęła gaz i wystrzeliła do tyłu, pędem przejechała pod drzwiami, a potem ruszyła przez podjazd. Wreszcie ciemności niczym gigantyczne usta połknęły jej samochód.

- Nie wiem. W porządku, już wydostałam się z garażu.

Usłyszała, jak rzuca przekleństwa. Potem odpowiedział coś komuś, kto przy nim stał, ale Kate oddychała tak ciężko, a pulsująca krew tak głośno szumiała jej w uszach, że nie dotarło do niej, co powiedział. Honda wypadła gwałtownie na ulicę akurat w chwili, gdy przejeżdżało jakieś auto, i Kate byłaby w nie uderzyła, ale kierowca wykonał skręt, zatrafił i pojechał dalej, więc zmieniła bieg i oddaliła się w kierunku, z którego przybyła.

Uświadomiła sobie, że cała się trzęsie. Myślała tylko o jednym: jak najprędzej uciec z tego miejsca.

- Kate! - Z brzmienia jego głosu domyśliła się, że Tom woła ją już od jakiegoś czasu, nie otrzymując odpowiedzi.

- Jestem - odezwała się.

- W pobliżu znajduje się radiowóz. Będzie pod twoim domem za kilka minut. Ja już jadę.

- Dobrze. - Dotarła do końca ulicy, a słysząc policyjną syrenę, zahamowała przed znakiem stopu. Dostrzegła błyskające światła, które szybko zbliżały się w jej stronę. - Widzę ich.

- To dobrze. - Powiedział coś, czego nie zrozumiała, pewnie do tego kogoś, kto był obok, i wtedy wyraźnie zobaczyła pędzący ku niej wóz patrolowy. Przestała się trząść, serce uspokajało się powoli, puls zwalniał - chyba była już bezpieczna. Jeśli Mario nie żyje...

Tam myśl pozostała niedokończona, gdyż Tom znów się odezwał.

- Słyszę syrenę. Wszystko w porządku?

Nadal stała przy znaku stopu i czekała z wzrokiem wbitym w szybko zbliżający się radiowóz. Właśnie dojeżdżał do jej ulicy i pomyślała, że gdyby minął niewinną osobę zamieszkałą w tym domu, ta pojechałaby za nim, otworzyła garaż funkcjonariuszom, pokazała im zwłoki i odpowiedziała na pytania...

I nagle ją olśniło. Ona była tą niewinną osobą. Przynajmniej w tej sprawie. Nie zabiła Maria.

- Kate? - Głos Toma zabrzmiał niezwykle stanowczo.

- Czy wszystko w porządku? Co z Benem?

- Nic mi nie jest. A Bena tu nie ma. Właśnie wróciłam do domu i... ten człowiek tam był. Chyba ktoś zabił go strzałem w głowę. O mój Boże.

Radiowóz skręcił przed nią i wjechał w jej ulicę, w stronę domu. W oddali dostrzegła więcej błyskających świateł.

- Będę na miejscu za mniej więcej piętnaście minut - oznajmił Tom i przerwał. W tle usłyszała czyjś głos. -Właśnie dostaliśmy meldunek od funkcjonariuszy, którzy zatrzymują się przed twoim domem, jesteś tam?

- Jestem na końcu ulicy.

Akurat wjeżdżała na podjazd sąsiada i wycofywała, aby znowu ruszyć w stronę domu. We frontowych drzwiach pobliskich domów pojawiły się małe prostokąty światła - mieszkańcy wychodzili na ulicę, by sprawdzić, co się dzieje.

- Widzę ich. Powiadom ich, że zaraz tam będę. Słyszała, jak ponownie przekazywał komuś informacje. Na jej podjeździe stał radiowóz i wysiadali z niego policjanci. Kate zatrzymała się za nim, mrużąc oczy przed stroboskopowym światłem, gdy na rogu pojawił się następny wóz patrolowy pędzący w stronę jej domu.

- To ty stoisz na podjeździe za nimi, czy tak? - zapytał Tom. - Zameldowali mi, że kobieta w czerwonym aucie właśnie tam zaparkowała.

- Tak, to ja - odrzekła Kate i oddychając ciężko, patrzyła na ludzi w mundurach, którzy szli w jej stronę. Jej myśli gnały już z prędkością miliona kilometrów na sekundę, gdy rozważała, co powie.

- Rozłączam się i porozmawiam z nimi. Pospiesz się.

Odłożyła komórkę, wyłączyła silnik i wysiadła, by porozmawiać z czekającymi na nią policjantami.

Śledztwo w tej sprawie nie zostało powierzone Tomowi i Fishowi, co Bradze całkowicie odpowiadało. Poznał Kate zbyt dobrze, by mogły go zadowolić jej odpowiedzi, choć tę opinię zatrzymał dla siebie. Pozwolił prowadzącym sprawę detektywom, Jeffowi Kirchoffowi i Timowi Stone'owi, którzy stosunkowo niedawno przyszedli do wydziału zabójstw, postępować według własnego uznania. Wsparty ramieniem o ścianę w pokoju dziennym obserwował i nie wtrącał się, gdy Kirchoff raz jeszcze delikatnie wypytywał Kate, w jakich okolicznościach odkryła ciało.

Wciąż w klasycznym, granatowym kostiumie, w tym samym, który miała w pracy - wiedział to, bo widział ją, gdy wychodziła z domu, a potem pojechał za nią do biura - siedziała na kanapie i z dłońmi mocno zaciśniętymi na kolanach nachylała się w stronę Kirchoffa - szczupłe łydki i stopy trzymała skromnie razem, a odkryte pantofelki na wysokich obcasach sprawiały, że jej nogi wydawały się jeszcze dłuższe niż w rzeczywistości. Z włosami upiętymi na karku w luźny kok, wpatrzona w twarz policjanta niebieskimi, szeroko otwartymi oczami wyglądała atrakcyjnie i krucho, istny obrazek niewinności. Młody, niedoświadczony Kirchoff nie miał szans. Kiwając współczująco głową, chłonał każde słowo padające z pełnych słodczy, różowych ust Kate. Całkiem zapomniał o notesie, który trzymał na kolanach. Absolutnie przekonany, że ma do czynienia z niewinną ofiarą zbiegu okoliczności, nawet nie zadał sobie trudu, by spisać zeznanie lub sprawdzić z tym, co powiedziała poprzednim razem.

Tom natomiast doszedł do skrajnie przeciwnych wniosków. Te trzepoczące rzęsy, pospieszne spojrzenia spod opuszczonych powiek, mocno zaciśnięte dłonie - wszystko to już widział.

Jego mała prokuratorka kłamała ponownie jak z nut.

Uznał jednak, że nie będzie jej sprawdzać. A w każdym razie nie w obecności innych.

W końcu miał dość tej farsy.

Odsunął się od ściany i podszedł do Kate.

- Czy pani White może już iść? - zapytał Kirchoffa. Przerwał Kate w połowie zdania, ale nie dbał o to. Kirchoff, usadowiony na wyściełanym krześle, rzucił mu zdziwione spojrzenie, ale zaraz zrobił pełną szacunku minę, gdy zobaczył, że zwraca się do niego doświadczony detektyw z wydziału zabójstw.

- Oczywiście - odrzekł i spojrzał na Kate. - Przykro mi, że to trwało tak długo.

- W porządku. - Posłała mu nieśmiały uśmiech, zupełnie jakby pomimo tych wszystkich przejść starała uśmiechnąć się przez łzy. Oczywiście Kirchoff omal się nie rozpląnął. Kate wstała. - Jeśli mogłabym jeszcze coś wyjaśnić...

- Dam pani znać - obiecał Kirchoff; podniósł się także i odwzajemnił uśmiech.

Tom ledwo powstrzymał się od ironicznego grymasu. Spojrzenie Kate ledwie go musnęło, gdy do niej podchodził. Lekarz policyjny nadal był zajęty w garażu; błyskały flesze, gdy śledczy kończyli fotografować pomieszczenie. Już przekopali cały dom, zebrali odciski

palców, za pomocą specjalnej lampy szukali śladów krwi, wykonali jeszcze wiele innych czynności. Było po dziesiątej i praca śledczych na miejscu zbrodni dobiegała końca.

- Idź i spakuj jakieś rzeczy - zwrócił się Tom do Kate cichym głosem. - Zabieram cię do siebie.

Zatrzymała się zaskoczona i w milczeniu mierzyła go wzrokiem.

- Wolisz zostać tutaj?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Masz lepszy pomysł?

Ten sam ruch.

Kirchoff minął ich, patrząc ze zdziwieniem, ale gdy Tom spojrzał mu w oczy, odwrócił wzrok. Wtedy Kate ruszyła w stronę schodów, prawdopodobnie by spakować torbę.

Tom patrzył za nią i w myślach obrzucał się wyzwiskami, nazywając się po trzykroć głupcem. Przynajmniej Fish, którego samochodem tutaj dotarli, już odjechał. Inaczej palnąłby Tomowi niezłą gadkę. Szczerze powiedziałby mu, co myśli o sytuacji, i przedstawił sprawę z punktu widzenia zdrowego rozsądku, którego Tom już nie miał.

Stał w drzwiach między kuchnią a garażem i rozmawiał z Lally Cohen z wydziału medycyny sądowej, gdy Kate pojawiła się i położyła mu dłoń na ramieniu - wyczuł jej dotyk przez czarną, wełnianą marynarkę. W szarych spodniach, białej koszuli i w czarnym krawacie (dysponował tylko jednym innego koloru niż czerwony), był

ubrany odpowiednio, by pójść do pracy, później na dwa pogrzeby i wrócić do komendy.

- Gotowa? - rzucił przez ramię.

-Tak.

Skinął głową Lally na pożegnanie i odwrócił się twarzą do Kate. Na podłodze obok niej stała mała czarna walizeczka. Podniósł ją - nie ważyła wiele - i ruszył do frontowych drzwi, a Kate za nim. Otworzył je i cofnął się, przepuszczając Kate przodem, a w duchu cały czas z siebie drwił. Wyraźnie miał słabość do ładnych blondynek.

- Będziemy musieli wziąć twój samochód - oznajmił, gdy znaleźli się na zewnątrz. - Fish odjechał.

Skinęła głową i na moment przystanąła na werandzie, by jeszcze raz się rozejrzeć. Żółta taśma odgradzała miejsce zbrodni, odcinając część ogrodu przed domem, zaraz za ścieżką; na razie nie rozciągnięto jej do podjazdu, na którym stały liczne auta. Pierwszy był radiowóz, ciemny i nieruchomy. Za hondą Kate parkowała biała furgonetka medycyny sądowej, czekając, aż policja przekaze ciało. I jeszcze dwa czarno-białe radiowozy, także z wyłączonymi światłami jak ten pod samym domem, potem taurus Kirchoffa i Stone'a i kilka innych rozmaitych służbowych wozów zastawiało z dwóch stron ulicę przed jej domem. Wcześniej była jeszcze karetka, ale dawno odjechała, jako że jej usługi okazały się zbędne.

Człowiek w garażu na pewno nie żył.

- Jak sądzisz, długo tu zostaną? - zapytała Kate, schodząc z werandy na ścieżkę.

- Jeszcze kilka godzin. Jeśli będziesz chciała, pewnie pozwolą ci wrócić jutro wieczorem.

Poszedł za nią ścieżką, otworzył drzwi samochodu i wrzucił walizkę na tylne siedzenie. Potem przeszedł na drugą stronę i usiadł za kierownicą. Była jasna noc. Księżyc przypominał zawieszoną wysoko na niebie piłeczkę pingpongową. Tom poczuł na twarzy zaskakująco chłodny powiew wiatru.

To, co właśnie robił - zabierał do siebie Kate - było prawdopodobnie najgłupszym posunięciem, jakie wykonał w życiu. A najsmutniejsze, iż wiedział, że i tak nic go nie powstrzyma.

Wsiadł do auta.

- Kluczyki?

Podawała mu je bez słowa i włączył stacyjkę. Ponieważ furgonetka blokowała im wyjazd, by wydostać się na ulicę, przejechał przez trawnik. Oboje milczeli, gdy auto mknęło uliczkami jej dzielnicy.

- A więc - przerwał milczenie Tom, wyjeżdżając na drogę szybkiego ruchu - to ten gość, który porwał cię razem z samochodem?

Słyszał, jak mówiła o tym Kirchoffowi.

- Tak sędzę.

- Jak myślisz, kto go zastrzelił?

- Nie mam pojęcia.

- Musiałaś doznać szoku, widząc go martwego w swoim garażu.

- Owszem.

- Sądziłem, że chcesz wyjechać z miasta. Do Longwood Gardens, czy nie tak?

- Zmieniłam zamiar.

- A więc umieściłaś Bena u jego opiekunki, by móc pozostać na tę noc sama w domu.

Spojrzał na nią i zobaczył, że patrzyła na niego, mrużąc oczy.

- To prawda.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale czy to nie jeszcze zeszłej nocy spałem na twojej kanapie, na twoją prośbę, bo byłaś śmiertelnie przerażona?

Pragnąc uchronić się (daremnie) przed nieuchronną klęską, jaką byłby bliższy związek z tą kobietą, Tom pojawił się dopiero o jedenastej w nocy, gdy Kate już była w łóżku. Do tej pory czuwał nad nią Hank Knox, dobroduszny policjant z patrolu, winien Tomowi przysługę.

- Martwiłam się o Bena. - Jej ton stał się ostrzejszy. W świetle wielkich, zamocowanych nad ulicą lamp w samochodzie było jasno jak w dzień. Kate wyglądała blado - może przez te światła - i chyba miała oczy podkrążone. Ale nie mógł nie zauważyć jej zaciśniętych ust ani grymasu irytacji.

- A o sobie ani trochę.

- Właśnie.

Nie skomentował jej uwagi, tylko spojrzał na nią badawczo.

- Pamiętasz, co powiedziałem tamtego dnia w twoim gabinecie?

- Którego dnia?

- Gdy się na mnie wściekłaś, bo przyniosłem piłkę dla Bena.

- Chcesz powiedzieć, gdy podstępem zmusiłeś mnie, bym po nią sięgnęła, abys mógł sprawdzić, czy jestem leworęczna, czy nie.

- Właśnie. Powiedziałem ci wtedy, że nie umiesz kłamać, bo za każdym razem wydaje cię twoja twarz. Powinnaś wiedzieć, że nadal tak jest.

Kate usiadła prosto. Broda jej zadrżała. W oczach błyszczał ogień.

- No i znowu to samo. Mam tego dość. Niedobrze mi się robi od tych ciągłych pytań, za każdym razem, gdy tylko się pojawisz. Skręć teraz w prawo i...

- Nic z tego - przerwał jej w pół zdania. - Nic z tego, Katrina Dawn Kaminski.

Zatkało ją. Siedziała wpatrzona w niego, jakby wymierzył jej policzek.

Minęła cała minuta, nim Kate zdołała otworzyć usta.

- Sprawdziłeś moją przeszłość.

- Jestem śledczym. Tym właśnie się zajmujemy.

- Dobrze się bawiłeś, wkradając się w moje życie?

- To nie zabawa. To konieczność.

Wyjazd na Fitzwater, w który miał skręcić, zbliżał się po lewej stronie. Przygotowując się, Tom zmienił pas.

- A więc wiesz o mnie wszystko, czy tak?

Z drżenia jej głosu zorientował się, jak bardzo skrzywdzono ją w przeszłości; tak boleśnie, że za wszelką cenę starała się ukryć

wszelkie ślady doznanych kiedyś ran, odczuwanego wstydu. Niemal kopnął się za wywołanie tego tematu.

Niemal. Ale jeżeli miał kompletnie stracić głowę dla kobiety, która najwyraźniej kłamała z taką samą łatwością, jak oddychała, przede wszystkim musieli znaleźć choćby niewielki obszar pozbawiony kłamstw.

- Wiem dość dużo. Że miałaś trudne dzieciństwo, a potem umarł ci mąż, że od tamtego czasu dokonałaś imponująco wiele, by zbudować lepsze życie dla siebie i Bena, i to wszystko uczyniłaś całkiem sama, bez niczyjej pomocy. - Już odbili z drogi, zjeżdżali na Fitzwater we włoskiej dzielnicy południowej Filadelfii. Tom mieszkał kilka przecznic dalej. Spojrzał na Kate i powiedział łagodniejszym tonem: - Może opowiesz mi całą resztę?

Spojrzała na niego wściekle.

- A kim ty jesteś, tym dobrym gliniarzem, niepotrzebującym złego partnera?

Zjechał w prawo na Fitzwater.

- Teraz w ogóle nie jestem policjantem, Kate. Po prostu pytam.

- Aha. Odkąd ty i Fish pojawiliście się u mnie w biurze, próbujesz przyłapać mnie na kłamstwie. Przecież byłeś tam, w sali rozpraw. Widziałeś, co się stało. Jak możesz sobie nawet wyobrazić, że miałam coś wspólnego z tym, co się tam wydarzyło?

- Nie sędzę, żebyś była zamieszana w próbę ucieczki więźniów.

- Skręcił w Siódmą. Jego dom - ostatni segment w rzędzie potrójnych budynków, przez miejscowych nazywanych Trinity (niby jak Ojciec,

Syn i Duch Święty), stał tuż za następną przecznicą. W weekendowy wieczór w tej okolicy panował ożywiony ruch. W sąsiedztwie znajdował się Italian Market, włoska mekka żywnościowa, targ zajmujący odcinek trzech przecznic wzdłuż ulicy Dziewiątej. Samochody podskakiwały na kocich łbach, które niegdyś szczelnie pokrywały jezdnie, ale obecnie w wielu miejscach pozostały po nich tylko dziury. Jeszcze długo po północy po nierównych chodnikach snuli się turyści, parami lub w małych grupkach. Na rogach ulic stały lampy, ale większość żarówek dawno się przepaliła. Parkowanie w okolicy mogło stanowić problem. Rozmaite przestępstwa były tu na porządku dziennym. Architektura sprawiała nieciekawe wrażenie: znajdowały się tu stare, dwupiętrowe ceglane domy, wszystkie takie same. Betonowe schodki wiodły do obitych siatką drzwi w aluminiowych futrynach, nad maleńkimi werandkami od frontu widać było pordzewiałe łukowate daszki. Innymi słowy, nie ma jak w domu.

- No to o co ci chodzi?

- Myślę, że ukrywasz coś innego. Kłamiesz, czegoś się boisz, ponadto kręci się wokół ciebie zbyt wielu złych ludzi, by można uznać to za zbieg okoliczności. Choćby dziś wieczorem ten martwy gość. - Rzucił jej pospieszne uważne spojrzenie. Tymczasem po prawej stronie ulicy pokazało się jego własne miejsce do parkowania, zablokowane koziółkiem z tabliczką: „Zarezerwowane dla policji”, który Tom postawił ze względu na turystów. Przystanął równolegle do innego, już zaparkowanego auta, podniósł stojak, odstawił go na chodnik i ponownie usiadł za kierownicą. Kate cały czas siedziała w

samochodzie, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i wściekłą miną. Nie dbał o to. On także był zły i to wyłącznie z jej powodu. Lub, dokładniej, z powodu własnej reakcji na jej osobę.

- Idź do diabła - syknęła, gdy wjechał na miejsce. -

I zostaw kluczyki w stacyjce. Jak tylko wysiądziesz, odjeżdżam.

- Tak? - Wrzucił luz, wyłączył silnik, wyciągnął kluczyki ze stacyjki i wręczył jej, czym, sądząc po jej minie, jeszcze bardziej ją rozzłościł. - Czy tam, dokąd się wybierasz, zapewnią ci policyjną ochronę? Nie zamierzam cię straszyć, ale może pamiętasz, że ktoś zabił tego gościa w twoim garażu.

I wysiadł. Wciąż się nie ruszała, gdy obszedł wóz, by otworzyć jej drzwi. Wysiadła bez słowa. Wyjął jej walizkę, wziął stojak pod pachę, a Kate nacisnęła guzik pilota, zamykając samochód, i ruszyli chodnikiem w stronę wąskich, betonowych stopni prowadzących do frontowych drzwi domu.

Tam cofnął się, by ją przepuścić przodem. Gdy zamknął za nimi drzwi na klucz i odłożył stojak na miejsce, Kate już weszła do pokoju dziennego, który - z powodu jej obecności - zobaczył teraz jakby innymi oczami.

Aż się skrzywił w duchu.

W przeciwieństwie do Kate nie zwracał sobie głowy wystrojem mieszkania. Traktował je jako miejsce do spania; od czasu do czasu oglądał jakiś mecz w telewizji, robił pranie, zdarzało mu się także coś ugotować, gdy miał już dość jedzenia w mieście. Poza tym rzadko tu bywał. Jedną całą ścianę obszernego, prostokątnego pokoju zajmował

obłożony mahoniem kominek, nad którym widniało wbudowane w mur lustro. Wysłuzona kanapa o spękanej tapicerce z czarnego winylu raczej nie mogła wzbudzić zachwytu Kate. Krzesła nie pasowały do kompletu. Stoły (funkcję jednego z nich pełniła zwykła skrzynka) też nie harmonizowały z resztą umeblowania. Duża lampa stała na podłodze; druga, stołowa, niepewnie przycupnęła na skrzynce. Podłogę przykrywał dywanik. Jeden róg pokoju zajmował plazmowy telewizor. Na kominku stało kilka zdjęć. Oprawione w ramki rodzinne fotografie umieściła tam matka Toma; nieraz proponowała mu pomoc w urządzeniu mieszkania, ale zawsze ją odrzucał.

Kate stanęła przy kominku, rozglądając się po pokoju. Tom przeszedł obok niej do jadalni; pokoje ciągnęły się w amfiladzie, trzy na jednym poziomie, a z jadalni prowadziły schody na górę. Postawił walizkę Kate na podłodze i zniknął w kuchni. Wyjął piwo z lodówki.

- Jesteś głodna? - zawołał do Kate, otwierając puszkę. - Chcesz coś do picia?

- Nie - krzyknęła w odpowiedzi. Pociągnąwszy potężny łyk, wrócił do pokoju dziennego.

Obecność Kate, jak zauważył, sprawiła, że czuł się nieswojo we własnym domu. Zupełnie jakby zdążył w kierunku, w którym wcale nie chciał iść.

Tak więc, gdy po wejściu do pokoju dziennego zauważył, że Kate przypatruje się zdjęciom na kominku, spojrzał na nią poirytowany.

- Może powiedziałaś mi, za co byłaś notowana jako nieletnia?

Jej wielkie, niebieskie oczy oderwały się od fotografii, którą trzymała w ręce, i skupiły się na nim. - Te akta są tajne. Mógłbym postarać się o nakaz sądowy i zapoznać się z nimi, ale wolałbym, żebyś sama mi powiedziała.

Kate wyprostowała się sztywno.

- Kradłam w sklepie, wystarczy? Przyłapali mnie.

Przywłaszczyłam sobie dwadzieścia dolarów u rodziny zastępczej, u której mieszkałam. Też mnie złapali. I walnęłam jednego chłopaka butelką wody sodowej. Za to ostatnie spędziłam trzy miesiące w poprawczaku. - Patrzyła na niego wyzywająco.

Ponownie łyknął piwa.

- To wszystko zdarzyło się w Baltimore. - Nie pytał, lecz stwierdził fakt, wiedząc, że się nie myli. - Więc jak to się stało, że wylądowałaś w Atlantic City?

Twarz jej się napięła. Oczy pociemniały. Zaciśnęła usta.

A on miał już pewność, że wpadł na jakiś trop.

- Nie odpowiem na więcej pytań. Teraz twoja kolej. O tobie wiem tylko, że jesteś detektywem z wydziału zabójstw i masz cholernie podejrzliwą naturę. I brata. Są jeszcze jacyś krewni?

Tom dokończył piwo i wrzucił pustą puszkę do niemal pełnego kosza stojącego w kącie. Potem oparł się ramieniem o futrynę i zamyślony popatrzył na Kate. Stała kilka kroków od niego, przed kominkiem i wyglądała wręcz absolutnie cudownie; z koka wymknęło się kilka długich kosmyków i wiło jej się wokół twarzy, a szacowny,

oficjalny kostium jakby z przekory jeszcze bardziej podkreślał smukłe kobiece kształty, które okrywał.

Odznaczała się prawdziwym talentem, gdy chodziło o zmianę tematu, jeśli omawiana kwestia wprawiała ją w zakłopotanie.

A on nie miał nic przeciwko temu - na razie.

- Mam matkę, trzy zameżne siostry, brata, także żonatego, i tak dużo siostrzenic i siostrzeńców, że straciłem rachubę. Wszyscy mieszkają w Filadelfii, więc spotykamy się dość często. Mama gotuje w niedzielę obiad, na którym stara się zgromadzić nas wszystkich, ale kilka ostatnich ominąłem.

Twarz jej złagodniała, jakby Kate z przyjemnością wyobrażała sobie jego rodzinę.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami. Uznał, że wyjaśnianie prawdziwej przyczyny byłoby zapędzaniem się na grząski grunt.

- Byłem zbyt zajęty.

- A twoje rodzeństwo jest starsze czy młodsze od ciebie?

- Ja jestem najstarszy.

Kate uśmiechnęła się lekko.

- Powinam była się domyślić.

- A to czemu?

- Bo jesteś apodyktyczny. I lubisz manipulować innymi.

- Czyżby?

Nie odpowiedziała, wpatrzona w zdjęcia na kominku. Tom daremnie usiłował sobie przypomnieć, jakie fotografie tam stały.

- Czy to twoja rodzina? - Wskazała na rząd fotografii.

- Większość.

- Twój siostrzeniec? - Uniosła oprawione w srebrną ramkę zdjęcie, aby mógł je zobaczyć. Przedstawiało pulchnego malucha - chłopczyka w niebieskim sztruksowym kombinezonie. Siedział na przykrytej kocem skrzynce, jednej z tych, na których fotografowie sadzają dzieci, by zrobić im zdjęcie. Maluch trzymał w ręce grzechotkę w biało-niebieskie pasy. Miał duże, brązowe oczy i czarną czuprynkę. Śmiał się szeroko, ukazując dwa wyłaniające się ząbki.

Tomowi serce zabiło mocniej.

- Nie. - Z trudem udało mu się wyrzucić słowo. Nawet po tylu latach ciężko było mu o tym mówić. - To mój syn.

Jej oczy nagle stały się ogromne.

- Twój syn?

- Zginął w wypadku na łodzi, razem ze swoją matką - moją byłą żoną, niedługo po tym jak zrobiono to zdjęcie. Josh - nazywał się Joshua - miał wtedy dziesięć miesięcy.

- O mój Boże. - Kate nie odrywała wzroku od zdjęcia, a potem ustawiła je na gzymsie kominka i podeszła do Toma. - Przykro mi. Nie miałam pojęcia.

Wyprostował się i odsunął od drzwi, gdy go dotknęła - wręcz pogłaskała go po ramieniu. Czuł jej ciepłe palce przez materiał marynarki. I znów, choć jak mógł starał się opanować, jak zwykle coś ścisnęło go w gardle.

Już tak nie bolało. A nawet o wiele mniej. Ale ból nie znikł, a Tom nie wierzył, by kiedykolwiek mógł całkowicie zapomnieć.

- To się wydarzyło przed jedenastu laty, nie jest to świeża tragedia. - W jej oczach malowało się współczucie. Próbował pomniejszyć swój żal, starał się mówić pewnym głosem, bo przez te lata doświadczył boleśnie, że na serdeczność bliźnich reagował załamaniem. - Michelle i ja oficjalnie dostaliśmy rozwód jakieś dwa tygodnie wcześniej; popłynęła z Joshem łodzią swojego nowego przyjaciela na rejs po rzece Delaware i uderzyła w nich inna łódź. Wszyscy na pokładzie pili, nikt nie miał na sobie kamizelki ratunkowej. Co zresztą w przypadku Josha nie było istotne. Zginął podczas zderzenia.

Ta krótka opowieść nie mogła oddać rozpaczony Toma, nie mówiła o straszliwym pogrzebie z maleńką trumienką, o koszmarach, jakie przez lata widywał w snach, o synku pochowanym w zimnej ziemi. Nie objawiała piekła, w jakim jeszcze do niedawna się pograżał, gdy udawało mu się przetrwać kolejne bolesne dni.

- To takie.... smutne. - Jej niepewny ton sprawił, że Tomowi ścisnęło się serce. Kate nadal dotykała palcami jego ramienia. Rozchyliła wargi, w olbrzymich oczach malowało się współczucie. Stała tak blisko, że czuł delikatny zapach jej szamponu. - To musiało całkiem złamać ci serce.

Ujęła to dokładnie. Tak właśnie się stało: jego serce zostało złamane. I bolało tak bardzo, że nie zamierzał nigdy więcej ryzykować czegoś podobnego.

- Udało mi się przeżyć.

- Bardzo, bardzo mi przykro, Tom.

Nie mylił się: w zwróconych ku niemu oczach błyszczały łzy. Wzruszenie dławilo go w gardle. I gdy na nią patrzył, łzy wolno popłynęły po jej policzkach.

- Do diabła. Ty płaczesz? - Jego głos zabrzmiał niespodzianie surowo. - Z mojego powodu?

Wysunęła hardo podbródek.

- A żebyś wiedział. Może z jakiejś przyczyny nie powinnam?

No właśnie. To już było ponad jego siły. Ból, który dostrzegł w jej oczach i który odczuwała z jego powodu, rozdzierał go na strzępy. Tom przesunął dłońmi po jej ramionach i mocno przyciągnął ją do siebie.

Nie broniła się. Wręcz wcisnęła się w niego. Każdym nerwem wyczuwał delikatne ciepło promieniujące z jej ciała.

Ich oczy spotkały się. Jej były wciąż wypełnione łzami.

Popęlniał błąd, wiedział o tym, ale nic nie mogło go powstrzymać.

Przyłgnął ustami do jej warg.

Rozdział 24

Usta miał gorące, twarde i natarczywe; smakowały piwem i rozpłomieniły ją od stóp do głów. Kate zarzuciła mu ramiona na szyję, zamknęła oczy pełne łez i równie namiętnie oddała mu pocałunek. Tom oparł ją plecami o ścianę, przytrzymał i wsunął dłoń pod biały podkoszulek, który Kate miała pod zakietem kostiumu. Kiedy dotknął jej piersi, z gardła Kate wyrwał się cichy dźwięk; niemal rozplywając się z przyjemności, wyginała się ku jego dużej, mocnej dłoni, która pieściła jej ciało.

Dotyk ciepłej, nieco szorstkiej i tak bardzo męskiej ręki sprawił, że Kate niemal słyszała głośnie bicie swego serca. Jej zwykły, prosty bawełniany stanik nagle, gdy Tom przesunął po nim palcami, wydawał się uszyty z prawdziwego jedwabiu. Tom pogładził kciukiem sutek, przyprawiając Kate o zawrót głowy. Jęknęła rozpalona i przycisnęła się do niego z całej siły. Choć była świadoma popełnianego szaleństwa - zarzekała się przecież, że nigdy do tego nie dojdzie - pocałunki Toma pozbawiły ją ostatnich resztek ostrożności.

Po prostu nie mogła mu się oprzeć.

Nawet przez warstwy ubrań wyczuwała jego pożądanie. Oderwał usta od jej warg i gorącymi, wilgotnymi pocałunkami pokrywał nagie piersi Kate, pieszcząc brodawki, aż niemal nieprzytomna opadła z jękiem na ścianę.

Znowu odszukał wargami jej usta i całował ją mocniej, z oszalamiającą namiętnością, od której Kate słabła i drżała, jakby jej mięśnie rozpląwały się od gorąca, i oddawała mu pocałunki z równie żarliwą pasją. Kate poczuła jego dłonie na plecach, tuż nad talią - szukał zapięcia spódnicy. Pociągnięty do dołu zamek rozpiął się z cichym świstem i spódnica opadła na podłogę.

Tom na chwilę oderwał usta od jej warg i pochylił się, by zdjąć z niej resztę ubrania. Odchylona do tyłu, z zamkniętymi oczami oddychała ciężko, wsłuchana w łomot własnego serca; stała, przyciskając dłonie do chłodnej ściany, a on znaczył ustami gorący szlak wzdłuż jej prawego, potem lewego uda. Kolejno zdejmował jej buty, jednocześnie składając drobne, wilgotne pocałunki na kolanach Kate, potem zsunął jej całkiem rajstopy i figi.

I nagle stała przed nim naga, osłabła z pożądania, świadoma jego wzroku przesuwanego się po jej piersiach, a potem niżej, na talię i wreszcie ku trójkątowi miękkich włosów między udami. Drżała, wiedząc, że on wyczuwa jej podniecenie, że jej ciało nie ma już dla niego tajemnic, ale była zbyt rozpalona, by się poruszyć czy zasłonić. Przez chwilę nic się nie działo. A potem Tom głośno zaczerpnął powietrza i zaczął pieścić wargami jej sutki, delikatnie, namiętnie, jeden, a potem drugi. Wsunął dłoń między jej uda, a wtedy zabrakło jej tchu i nogi się pod nią ugięły.

Nie otworzyła oczu. Nie spojrzała na niego. Podniecenie nie pozwoliło jej nawet zebrać myśli. Serce biło jej jak oszalałe, oddychała ciężko, narastał w niej jakiś niecierpliwy żar, rósł coraz

szybciej i potężniał. Wreszcie poczuła dreszcz, odchyłona do tyłu wyprężyła się i napała na jego dłoń i usta.

Pragnę go, pomyślała oszołomiona, ale nie zdołała powiedzieć tego na głos.

Zarzuciła mu ręce na szyję, a wtedy Tom ją uniósł, i gdy objęła go nogami w pasie, swymi mocnymi dłońmi podparł jej pośladki. Był także nagi; i jeszcze przebiegła jej przez głowę myśl - jakaś cząstka świadomości Kate nadal funkcjonowała - że pewnie ściągając z niej ubranie, jednocześnie zrzucił własne.

Kilka chwil później zaniósł ją na kanapę. Ułożył Kate i mocno w nią wszedł. Był taki wielki i gorący, wypełnił ją całkowicie. Wydała krótki, ostry krzyk - całkowitego zaskoczenia i niewyobrażalnej rozkoszy.

Stłumił jej krzyk pocałunkiem, a potem zanurzał się w niej głęboko i coraz szybciej, wciąż od nowa doprowadzając ją do szaleństwa. Rozpłomieniona, gorączkowo łapiąc powietrze, przyciskała się do niego z jękiem, wiała się i drżała, bez reszty ogarnięta pożądaniem. Gwałtownie oddawała mu pocałunki, aż przeszedł ją dreszcz spełnienia i napięta do niemożliwości, krzyknęła raz, drugi i trzeci, a długie, rozkołysane fale rozkoszy w końcu uniosły ją w górę w szalonej eksplozji, intensywnością dorównującej trzęsieniu ziemi, które ogarnęło cały świat.

Wznosiła się jeszcze, gdy Tom wszedł w nią po raz ostatni i wydając niski, gardłowy jęk, także osiągnął szczyt.

Odzyskawszy zmysły, Kate uświadomiła sobie, że naga i mokra leży na kanapie, i nie było to najprzyjemniejsze uczucie. Nie mogła się poruszyć, i to nie tylko dlatego, że przyciskało ją mniej więcej sto kilogramów nagiego, spoconego męskiego ciała. Wydało jej się, że cała przykleiła się do skórzanego obicia.

Otworzywszy oczy, ujrzała potężne, opalone, muskularne ramię pokryte delikatną mgiełką potu. A wielka męska dłoń nadal przykrywała jej pierś. Tom wtulił głowę w zagłębienie między jej ramieniem a szyją i kłującym zarostem drażnił jej skórę. Miarowy oddech - słyszała jego cichy szmer - poruszał jej włosy.

Nagle uniósł głowę i spojrzał na Kate. Oczy nadal miał ciemniejsze niż zazwyczaj, wciąż błyszczące po tym, co właśnie między nimi zaszło, włosy trochę rozczochrane i zaróżowione policzki.

Miała dwadzieścia osiem lat i była prawniczką, a na Boga, nadal się rumieniła.

- To takie niespodziewane - powiedziała zdumiona, bo musiała coś powiedzieć, gdy tak na nią patrzył; jej słowa zabrzmiały jednak podejrzenie pogodnie.

Uniósł dłonie, by objąć jej twarz; przesunął kciukami po policzkach i otarł ślady łez.

- Tak - odrzekł. - Rzeczywiście.

Potem pocałował ją delikatnym, słodkim pocałunkiem, który szybko zmienił się w coś całkowicie innego. Przetoczył się wraz z nią i miał ją teraz na sobie - była pewna, że gdy ją podnosił, straciła

warstwę skóry - ale potem znów świat stanął w płomieniach i przestała o to dbać. Tym razem wszystko odbyło się wolniej, inaczej, ale tak samo intensywnie. W końcu siedziała na nim, dłońmi wsparta na biodrach, z głową odrzuconą w tył, podczas gdy Tom poruszał się, ledwie się kontrolując. I znów czuła wielką rozkosz... i znów.

Okolo trzeciej nad ranem Kate ocknęła się ponownie. Z głębi domu dobiegło trzykrotne uderzenie zegara. Leżała wciąż naga, częściowo na piersi Toma - spał na plecach - wciśnięta między niego a lepiące się do skóry oparcie kanapy.

Tom chrapał.

Te spokojne dźwięki wywołały uśmiech na jej twarzy.

Jej serce biło teraz normalnym rytmem. Dłoń, spoczywająca na piersi mężczyzny, podświadomie przesunęła się niżej.

Zły pomysł. Cofając rękę, przestraszona Kate spojrzała na twarz Toma. Nawet nie poruszył rzęsami.

No dobrze. Zabawa skończona.

Podniosła się ostrożnie, uważając, by go nie obudzić. Sytuacja była... niezręczna. Kate potrzebowała czasu, by się nad nią zastanowić. Łatwiej jej będzie uporać się z tym wszystkim, jeśli następnym razem, gdy spojrzą sobie w oczy, nie będzie leżała w jego ramionach, całkiem naga i zaróżowiona od seksu.

Mimo że gramoliła się trochę niezgrabnie, zanim udało jej się wstać z kanapy, najwyraźniej nic nie było w stanie go obudzić. Trochę zaskoczyły ją miękkie kolana, choć może nie było w tym nic dziwnego. Właśnie doświadczyła szalonego, nieprawdopodobnego

seksu, lepszego niż cokolwiek, co do tej pory jej się przydarzyło. Ostatni raz uprawiała miłość, mając dziewiętnaście lat. Najwyraźniej od tamtego czasu system bodźców kierujących reakcjami jej ciała bardzo się udoskonalił. Lub stało się tak, bo dojrzała i reagowała jak dojrzała kobieta. A może po prostu po dziewięciu latach postu głód seksu wziął w niej górę.

Cokolwiek to było, na samo wspomnienie cała trzęsa się w środku.

Trzeba z tym skończyć. Za wszelką cenę. Dopóki nie zdecyduje, jak uporać się z problemem - jak poradzić sobie z tym mężczyzną - należy opanować emocje, które w niej obudził. Bo uczucie wszystko komplikowało.

A Tom nie ułatwiał sytuacji.

Podświadomie spojrzała w jego stronę.

Leżał całkiem nagi, z jednym ramieniem pod głową, a drugim w miejscu, które właśnie zwolniła, i był taki silny, śniady i niesamowicie męski. Na jego ciele nie znalazłaby nawet cała, którego nie można by określić terminem nadużywanym przez Mone, czyli „fantastyczny”. Patrzyła na rozczochrane włosy, zamknięte oczy, czarne jak sadza rzęsy. Na twarzy pojawiło się sporo świeżego zarostu, a spomiędzy lekko rozchylonych warg wydobywało się ciche chrapanie. Jeśli kiedyś sądziła, że nie jest specjalnie muskularny, teraz widziała, że się myliła. Miał piękny tors; krzepkie bicepsy i mocne ramiona, szerokie plecy, wąskie biodra i doskonale płaski brzuch. Po lewej stronie pępka jaśniała długa, pomarszczona blizna. Smukłe nogi były silne jak u

sportowca; to, co odsłaniały muskularne uda, robiło duże wrażenie, pomimo że znajdowało się w stanie uśpienia.

Aż westchnęła na wspomnienie imponujących wyczynów owego detalu, gdy się przebudził. Nagle Tom drgnął i zmienił nieco pozycję, więc Kate pospiesznie odwróciła wzrok. Jeszcze trzeba jej było, by przyłapał ją na oglądaniu jego atrybutów.

Tak naprawdę to najbardziej nie chciała, by przyłapał ją nagą w swoim pokoju dziennym, gdyż wtedy musiałaby stawić czoło temu, co między nimi zaszło, zanim będzie do tego gotowa. I wszystko sobie przemyśli.

Pospiesznie zebrała poszczególne części garderoby (z miernym rezultatem próbowała sobie przypomnieć, gdzie mogła upaść każda rzecz), a potem poszła szlakiem, którym, jak zapamiętała, Tom podążał z jej walizką. I tak dotarła do następnego pokoju, jadalni, jak się zorientowała. Nie zwróciła zbytnej uwagi na umeblowanie - idealnie funkcjonalny stół i sześć krzeseł - gdyż najbardziej ucieszył ją widok walizki u podnóża schodów. Obejrzała się ukradkiem - Tom nadal chrapał na kanapie - wzięła walizkę i ruszyła na górę.

Pięć minut później wchodziła pod prysznic.

W korytarzu znalazła drzwi do łazienki, wąskiej i nieco archaicznej, z płytkami koloru awokado gdzieniegdzie urozmaiconymi czarnymi wzorkami. Umywalka i sedes także były czarne. Prysznic zamontowano w wannie odgradzonej od reszty pomieszczenia matową szybą, by woda nie pryskała na zewnątrz. Ale leciała obficie i była gorąca, a co ważniejsze, Kate znalazła mydło.

Z włosami skręconymi w węzeł na czubku głowy, by ich nie zamoczyć, stała pod prysznicem i rozmyślała.

Mario nie żył. To dobra wiadomość. W istocie do tej pory jakby to do niej nie dotarło, a przecież powinna naprawdę się cieszyć. Jednak odniosła wrażenie, że już nie jest tak bardzo spięta - może podziałała łagodząca stres gorąca woda - i w końcu do niej dotarło, że nigdy więcej ten straszny typ nie będzie jej szantażował. Skończyło się. Już nie pozostał przy życiu nikt, kto wiedział, że była przy śmierci Davida Brady'ego.

Innymi słowy, nagle zwrócono jej życie.

To dobra wiadomość.

Była jednak i zła: ktoś zastrzelił Maria w jej garażu.

Prawdopodobnie nie miało to nic wspólnego z nią osobiście. Może wrogowie dopadli go akurat w jej domu, gdy zjawił się tam wcześniej, chcąc ją zaskoczyć.

Ktokolwiek go zamordował, prawdopodobnie rozplynie się teraz i zniknie; zabójca nie będzie dla niej zagrożeniem.

Prawdopodobnie.

Choć ona sama, gdyby chciała złapać mordercę, w pierwszej kolejności sprawdziłaby, kto wyciągnął go z więzienia.

Ale to był problem Toma i jego kolegów z policji, nie jej. I z oczywistych powodów nie zamierzała dzielić się z nim wiedzą, którą miała na ten temat.

Należy pozwolić przeszłości odejść wraz z Mariem.

Z tą pocieszającą myślą Kate spłukała mydło, zakręciła krany i wyszła spod prysznic. Ręcznik, który znalazła, nie był ani gruby, ani nowy, ani nawet specjalnie duży. Ale pachniał czystością i mogła wytrzeć się do sucha; potem owinęła się nim i zacisnęła końce. Właśnie myła zęby, gdy zauważyła, że drzwi łazienki się uchylily i Tom, w czarnym szlafroku frotte, obserwuje ją przez szparę.

Omiał nie zadławiła się pastą. Gdy już wypłukała usta i mogła mówić, pchnął drzwi na oścież i stanął w świetle, uśmiechając się szeroko.

- Haczyk się wyrwał - powiedział, niby wyjaśniając swoją obecność, gdy Kate spojrzała na niego surowo zmrużonymi oczami. Stał z rękami na piersiach. - Te cholerne drzwi nigdy się nie domykają. Ale przecież nie wszedłem do ciebie.

No dobrze, musiała mu to przyznać. Gdyby zechciał, bez trudu mógł wtargnąć do środka, przynajmniej uszanował jej potrzebę prywatności.

- Podjąłeś dobrą decyzję - przyznała.

- Gdy się zbudziłem, a ciebie nie było i znikły też wszystkie twoje rzeczy, pomyślałem sobie, że przede mną uciekłaś. I wtedy usłyszałem szum wody, a gdy wszedłem na górę, z drzwi buchała para i już wiedziałem, gdzie się podziałaś.

On najwyraźniej także wziął prysznic, tyle że nie poświęcił tak wiele czasu, aby się wytrzeć. Zaczesane do tyłu włosy połyskiwały wilgocią, krople wody pozostały na widocznej w wycięciu szlafroka owłosionej piersi, na gołych łydkach i stopach.

Mokry czy nie, był tak przystojny, że zabrakło jej tchu.

Nagle poczuła się nieswojo, uświadomiwszy sobie, że nie ma na sobie nic poza skąpym, białym ręcznikiem niesięgającym nawet do połowy uda. W spojrzeniu Toma nie dostrzegła nic zdrożnego - na to był za sprytny - niemniej obejmował ją wzrokiem od stóp do głów.

Zmusiła się do obojętnej miny.

- Właśnie miałam włożyć piżamę i poszukać sobie jakiegoś łóżka na resztę nocy.

- Możesz wybierać wśród trzech. Mam dwa dla gości i trzecie, w którym śpię.

W gardle jej zaschło, serce wręcz załomotało. Ich oczy się spotkały. Tom nadal stał oparty o drzwi, ale po uśmiechu pozostały tylko resztki w kącikach ust. Pozornie wciąż był całkowicie zrelaksowany, Kate miała jednak wrażenie, że bacznie ją obserwuje.

I jak nieczęsto jej się zdarzało, zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

Nie odzywała się, a jego oczy nagle pociemniały. Znikły ostatnie ślady uśmiechu. Stała obok umywalki, jedną ręką oparta o blat i patrzyła na niego w milczeniu. Za plecami Toma korytarz tonął w półmroku. W łazience, choć wypełnionej parą, było stosunkowo jasno. Dzieliło ich od siebie zaledwie kilka kroków.

Powietrze zdawało niemal parzyć, a żar nie miał nic wspólnego z gorącym prysznicem.

Wiedziała, o co ją poprosił. I nie była w stanie zdobyć się na odpowiedź.

Spojrzał na nią stanowczo.

- Słuchaj, wiem, że nie chciałaś, by to się wydarzyło. Sam też nie widzę powodów do zachwytu. Ale już się stało. Pewnie moglibyśmy się po prostu rozejść i udać, że nic między nami nie zaszło, tylko czy miałoby to jakiś sens? Od pierwszego dnia czuliśmy, że coś nas łączy. Może byśmy dali sobie szansę?

Kate uświadomiła sobie, że dudnienie w jej uszach to przyspieszone bicie serca.

Mogłaby wyliczyć wiele powodów, by od niego odejść, zapomnieć o tym, co tego wieczoru wydarzyło się między nimi. Po pierwsze, Ben. Czy rzeczywiście chciała pozwolić, by jakiś mężczyzna - konkretnie ten właśnie - wszedł do ich życia, niezależnie od długości trwania ich rzekomego „związku”? Po drugie, jej kariera. By dotrzeć tam, dokąd zmierzała, potrzebowała każdej uncji energii i czasu, i koncentracji. No i jeszcze te kłamstwa, których mu naopowiadała, a także sprawy z przeszłości, o których nigdy nie mogła mu opowiedzieć.

I powód ostatni - ale równie ważny: ona sama.

Ci, których kochała, odchodzili. A to bolało. Czy naprawdę znowu chciała to sobie udowodnić?

Potem spojrzała na Toma i ujrzała niezwykle atrakcyjnego, silnego mężczyznę, odpowiedzialnego pod każdym względem, i znów serce zabiło jej szybciej. A gdy tak cała drżąca i bezgranicznie zażenowana stała na mokrych, śliskich kafelkach, w jej głowie

zaświtała całkiem inna myśl: czy przypadkiem nie zapomniała o sobie, budując to nowe życie.

- Niepewność mnie zabija - rzucił Tom ostrzegawczo ze słabym uśmiechem.

Już odwzajemniając uśmiech, wiedziała, że spróbuje, niezależnie od ceny, jaką może zapłacić za to w przyszłości.

- Myślę, że moglibyśmy zaryzykować - oznajmiła. Wtedy Tom uśmiechnął się jeszcze szerzej, odsunął się od framugi drzwi i wyciągnął do Kate ręce. A ona wtuliła się w jego ramiona.

RS

Rozdział 25

Oczywiście skończyło się na tym, że niewiele spali, choć noc spędzili w wygodniejszej pościeli w jego szerokim łóżku. Kochali się, rozmawiali i zasypiali, znowu się budzili i wszystko zaczynało się od nowa. Opowiedziała mu o swojej młodości, jak spotkała ojca Bena, gdy razem pracowali w tym samym kasynie, jak straciła dla niego głowę i pod wpływem impulsu poślubiła go w kaplicy ślubów w Atlantic City, a potem zaszła w ciążę i odkryła, że mąż bynajmniej nie marzył o rodzinie, która przeszkadzała mu w prowadzeniu takiego życia, jakie mu odpowiadało. Powiedziała Tomowi prawdę o Chazie, dlaczego odszedł i jak umarł. I o następnych miesiącach, gdy została bez grosza sama z niemowlęciem, a wspólnicy Chaza żądali zwrotu długów, które zaciągnął - tracił pieniądze, uprawiając hazard; i jak przyjrząwszy się dokładnie życiu, które dotąd wiodła, postanowiła, że nie chce podobnego dla swojego synka. Opowiedziała mu o dniu, gdy spakowała swój niewielki dobytek, wsiadła z Benem do starego samochodu i wyjechała z miasta; gdy dotarła do Filadelfii, by przeżyć, poszła po pomoc do opieki społecznej, a potem zapisała się do college'u i zmieniła się w Kate. Dla Bena.

Nie wspomniała tylko o tej nocy, kiedy uciekła z Baltimore, ani o Davidzie Bradym.

Tom opowiedział jej o swoim ojcu, który też był policjantem. I o jego śmierci - pewnego dnia poszedł do pracy i nagle po prostu się

przewrócił - zmarł na atak serca. Później Tom starał się jak mógł sprostać obowiązkom głowy rodziny. Ożenił się młodo z ukochaną ze szkoły średniej. I został policjantem, mimo protestów Michelle. Żona zaszła w ciążę, a jego zraniono podczas wypełniania służbowych obowiązków -na zawsze została mu pamiątka w postaci blizny na brzuchu. Gdy wyzdrowiał, na świat przyszedł Josh, ale małżeństwo rozpadło się z powodu nalegań Michelle, by Tom rzucił pracę. Josh miał zaledwie sześć tygodni, gdy jego matka odeszła od Toma, zabierając ze sobą niemowlę.

Nie powiedział nic więcej o okolicznościach śmierci synka. I Kate doskonale to rozumiała.

Jeśli to tylko możliwe, nie należy wracać do tych najgorszych, najbardziej bolesnych wspomnień.

W końcu chyba zasnęli, bo kiedy Kate wreszcie otworzyła oczy, ciemności panujące dotąd w pokoju zmieniły się w szarość, a przez zasłony na oknach do pokoju przenikało światło dnia. Usłyszała jakiś dziwny, brzęczący dźwięk, dochodzący nie wiadomo skąd, więc uniosła głowę, by znaleźć jego źródło. Odsunęła z oczu włosy, które uwolniły się z koka niemal natychmiast, gdy poprzedniego wieczoru padła Tomowi w ramiona. Łóżko z czarną kołdrą i zupełnie niepasującą do niej resztą pościeli znajdowało się na samym środku pokoju. Naprzeciwko stała dębowa komoda, a na niej niewielki telewizor. W kącie był podniszczony, brązowy fotel. Na okrągłym stoliku - służył za szafkę nocną - brakowało zwyczajowej serwetki, za

to stała na nim lampa z kloszem z przezroczystego szkła. Brzęczący odgłos zdawał się rozlegać z tej właśnie strony.

Gdy Kate zorientowała się wreszcie, że źródłem dźwięku jest wibrujący na stoliku telefon, Tom otworzył oko, spojrzął na aparat i sięgnął po niego.

- Tom Braga - powiedział akurat w momencie, gdy Kate, mrużąc oczy, patrzyła na cyfry wyświetlające się na elektronicznym zegarku obok lampy: 7.42.

Jęknęła w duchu i z powrotem oparła głowę na piersi Toma. Jego ramię objęło jej plecy.

- Mam cię podrzucić do pracy? - Kate usłyszała męski głos rozbrzmiewający na drugim końcu linii, ale go nie rozpoznała.

- Biorę dzień na załatwienie swoich spraw - oznajmił Tom.

- Bierzesz wolne? W głosie rozmówcy zabrzmiało zdumienie. -
W ciągu dziesięciu lat nie opuściłeś ani dnia.

- No to w samą porę, nie uważasz?

- Czy to nie ma przypadkiem czegoś wspólnego z czerwoną hondą civic, zaparkowaną na twoim miejscu?

Odwróciwszy głowę, tak by zobaczyć twarz Toma, Kate obserwowała go uważnie.

- Gdzie ty jesteś? - rzucił do telefonu.

- Objeżdżam przecnicę. Twój wóz stoi przy Okrągłaku, pamiętasz? Zamierzałem podwieźć cię do roboty.

- Ach tak. Przepraszam, zapomniałem. Dzięki za fatygę.

- Dopadła cię, mam rację? Ta śliczna prokuratorka okręciła cię sobie wokół palca.

Tom spojrział w dół, na nią.

- Ona ma na imię Kate, Fish.

- Do cholery, Tom...

Ale nie usłyszała niczego, cokolwiek Fish zamierzał powiedzieć, bo Tom się rozłączył. Potem wystukał jakiś numer i poinformował kobietę, która odebrała telefon, że bierze wolny dzień. Gdy skończył telefonować, Kate uniosła głowę i rzuciła mu surowe spojrzenie.

- Śliczna prokuratorka, no, no.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Ciekaw byłem, czy to usłyszałaś. Też tak uważam, śliczna, że hej.

Leżeli pośrodku łóżka, nakryci tylko prześcieradłem, gdyż tuż przed świtem zrobiło im się gorąco. Niewątpliwie, pomyślała Kate, sprawiali wrażenie bardzo sobą zajętych i zakochanych - i chyba właśnie tak było. Gdy zasypiała po raz ostatni, zanim obudził ją dźwięk telefonu, zastanawiała się, jak zareaguje rano: czy spanikuje, gorzko żałując tej nocy, czy w świetle dnia cała ta sytuacja nie okaże się wielce niewłaściwa? Nie zaznała zbyt wiele snu. Bolało ją lewe ramię, na którym Tom opierał głowę, gdy spali. Inne części jej ciała też dawały o sobie znać, ale w sposób, którego nie nazwałaby nieprzyjemnym. A co do jej księcia, miał zamglone oczy i potargane włosy, i z pewnością powinien się ogolić.

Ale uśmiechał się do niej czule, obejmując ją jedną ręką, drugą zaś trzymając pod głową. Był muskularny i ciepły, i działał na nią oszałamiająco. Miał rację, coś ich łączyło, coś wyjątkowego działo się między nimi, a ponadto po raz pierwszy w życiu mężczyzna podniecił ją do tego stopnia; oczywiście, nie zamierzała go o tym informować.

Najważniejsze, że niczego nie żałowała.

- A tak przy okazji, pięknie wyglądasz z samego rana - zauważył. Leżała teraz na plecach, a on zawisł nad nią, wsparty na łokciach.

Żartobliwie przesunęła palcem po jego szerokiej, muskularnej piersi.

- Ty także - odwzajemniła komplement, i nie skłamała, a gdy już było widać, na co się zanosi, dodała: - W południe muszę odebrać Bena.

- Nie ma sprawy - odrzekł i pocałował ją.

Może rzeczywiście zgłupiałem, pomyślał Tom. Znajdował się w nowej, wspaniałej kręgielni na Southland Lane, w pobliżu domu Kate, dokąd Ben i chyba cała czwarta klasa zostali zaproszeni na przyjęcie urodzinowe kolegi. Kate zaproponowała Tomowi, by spędził ten czas, jak chce, gdy ona pójdzie z Benem na przyjęcie, a później się spotkają. Jednak on nie chciał o tym słyszeć - nie tylko z powodu jej skłonności do wpadania w tarapaty, lecz także chciał się przekonać, jak sobie poradzi z tego rodzaju sytuacją. Zaproszony w ostatniej chwili, musiał pospiesznie udać się na poszukiwanie prezentu, a potem czekać w hondzie, gdy Kate odprowadziła Bena do środka.

Dwie godziny później wrócili po chłopca, tyle że dzieciaki dalej grały w kręgle. A niektórzy dorośli dołączyli do swych pociech. Także Ben, podekscytowany, poprosił Toma i Kate, by rozegrali z nim chociaż jedną partię. Kate wyglądała na przerażoną, a kiedy Tom ujrzał, jak rzuciła kulą, zrozumiał dlaczego. W tej dziedzinie okazała się beznadziejna, za każdym razem chybiała, robiła to jednak z wdziękiem, uroczą w swych przyciasnych dzinsach i czarnym pulowerze z rękawami podwiniętymi do łokci. Za to on sprawdził się znakomicie, każdym trafieniem wzbudzając podziw u Bena (zdarzyło się też kilka niecelnych rzutów) - a to wszystko działo się wśród bandy rozwrzeszczanych dzieciaków i ich rodziców, co każdego innego dnia szybko skłoniłoby Toma do odwrotu.

Dziś nawet nieźle się bawił. Oczywiście wiedział dlaczego: Kate była przy nim i bawiła się razem z nim, śmiejąc się sama z siebie, gdy niemal poleciała za kulą po torze; chwaliła go za dobrą grę, chwaliła także Bena, żartowała z innymi rodzicami - jeszcze nie widział jej tak zrelaksowanej i beztroskiej.

I pięknej. Tak, i pięknej.

I gdzieś między grą w kręgle a kolacją, którą zjedli we troje w znanej Tomowi małej włoskiej restauracji U Rotolo, dotarło do niego, że w tej kwestii nie ma mowy o żadnym może: był głupi. Zakochał się w tej kobiecie, a także w jej dzieciaku, co oznaczało, że otworzył serce, uczynił je bezbronnym, łamiąc obietnicę daną sobie samemu, że coś takiego nigdy mu się nie przydarzy. Ale ta sprawa między nim i

Kate spadła na niego tak niespodziewanie i teraz było już za późno, by coś na to poradzić. Tkwił w tym po uszy, cokolwiek miało się stać.

Właśnie wychodząc z restauracji, wpadli na jego matkę. Oczywiście. Ten dzień przebiegał zbyt gładko, by coś się nie zdarzyło.

Co nie znaczy, by spotkanie z matką oznaczało katastrofę. Jednak niewątpliwie interesowała się, i to nadmiernie, jego życiem miłosnym, więc gdyby to od Toma zależało, starałby się jeszcze przez długi czas nie ujawniać swojej znajomości z Kate i jej synkiem. Wychodząc za Benem i Kate na ulicę, natychmiast zauważył na chodniku matkę czekającą na wejście do restauracji. Zrobili wielkie oczy - ona przyjemnie zaskoczona, on przerażony. Mama uśmiechnęła się radośnie i zawołała: „Tommy!” - i zanim jeszcze objęła go pachnącym perfumami Shalimar uściskiem, dostrzegł za jej plecami Natalie i jej męża Deana oraz ich dwoje dzieci. Siostrzeniec i siostrzenica natychmiast podbiegli do niego, a zaraz potem witał się z siostrą i jej mężem.

I oczywiście pięć par wielce zaciekawionych oczu zwróciło się w stronę Kate i Bena, stojących trochę dalej i wyraźnie czekających na Toma.

Złapał więc Kate za rękę, przyprowadził bliżej i dokonał prezentacji, wiedząc, że już w tym momencie zaczyna oplatać go sieć rodzinnych plotek. Podczas gdy matka egzaminowała Kate: „Czym się zajmujesz? Skąd jesteś? O, wdowa, jakie to smutne” - Natalie lustrowała ją pełnym namysłu spojrzeniem. Gdy zauważyła

ziartywany wzrok brata, popatrzyła na niego tak entuzjastycznie, że nie miał wątpliwości: siostra go przejrzała, domyśliła się, że Kate jest dla niego kimś wyjątkowym. Dobrze wiedział, że Natalie aż pali się do przekazania swoich przypuszczeń pozostałym, nieobecnym tu członkom rodziny i natychmiast po jego odejściu złapie za telefon.

Boże, chroń mnie przed rodziną, pomyślał cierpko i gdy tylko wymogi dobrych manier zostały zachowane, zakończył tę rozmowę i oświadczył, że na nich już czas.

- To miła dziewczyna. Podoba mi się - szepnęła mu matka do ucha, ściskając go na pożegnanie. A do Kate powiedziała: - W każdą niedzielę jemy razem obiad. Całą rodziną. Jest mnóstwo dobrego jedzenia. Powinnaś przyjść razem z synkiem. - Potem ponownie spojrzała na Toma. - Tommy, przyprowadzisz ich.

Rzucił coś wymijająco, a potem znów wziął Kate za rękę i szybko odszedł, świadom, że dopóki cała ich trójka nie zniknie za rogiem ulicy, oczy matki i siostry będą za nimi podążać. Zapadła noc i bardzo się ochłodziło, a Tom miał na sobie jedynie białą koszulę, wypuszczoną na spodnie, by ukryć broń, do tego dżinsy, i był bez marynarki. Jednak nie czuł zimna, przeciwnie, zrobiło mu się zaskakująco gorąco, prawdopodobnie, co z niechęcią przyznał, z powodu zażenowania.

- Przepraszam za ten incydent - powiedział, patrząc na Kate kątem oka. Uśmiechnięta, z włosami opadającymi na ramiona, sprawiała wrażenie bardzo młodej i szczęśliwej; wyglądała cudownie.

Nic dziwnego, że cała jego rodzina gapiła się na nią niczym pstrąg, który wypatrzył muchę.

I do tego był jeszcze Ben. A oni znali Toma wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie spotykałby się ot tak sobie z kobietą, która ma synka.

On, taki supermen.

Więc nic dziwnego, jeśli uznali, że łączy go z tą kobietą coś wyjątkowego.

I może to prawda.

- Żartujesz? Byli cudowni. Twoja mama jest taka miła. A siostra całkiem do ciebie podobna. - Jej oczy śmiały się do niego. - Tommy.

Odpowiedział uśmiechem.

- Ilu was jest w rodzinie? - zapytał Ben, gdy ładowali się do hondy, którą jeździli, bo Tom nie miał jeszcze okazji do odebrania swojego samochodu z parkingu pod Okrągłakiem. - Wygląda na to, że mnóstwo.

- Tak, jest nas dużo.

Tom wyjechał na ulicę i skręcił w prawo na Chisholm, którą mieli dojechać do drogi ekspresowej, a tamtędy do domu Kate, gdzie - uzgodnili to między sobą w bardzo poważnej rozmowie, zanim odebrali Bena - zamierzali spędzić noc. Pozostała część ustaleń dotyczyła ich zachowania w obecności Bena: żadnych pocałunków, przesadnych czułości, żadnego spania razem. Tom miał wątpliwości, czy Kate pozwoli mu zostać na noc teraz, gdy sprawy między nimi przybrały taki obrót, zwłaszcza jeśli była całkowicie pewna, że ten,

kto zamordował człowieka w jej garażu, już nie wróci. A że podziwiał jej starania, by chronić syna, nie przeszkadzały mu nałożone przez nią restrykcje. Zresztą dzieciak chodził do szkoły, a oni mogli urwać się na lunch, a co do wieczorów - zawsze można zatrudnić opiekunkę do dziecka.

- Ostatnio naliczyłem dziewiętnaście sztuk.

- O rany. - Ben wyraźnie był pod wrażeniem. Dla tego jedyne dziecko samotnej matki taka duża rodzina wydawała się oszałamiająca. - Jak oni mieszczą się w jednym domu?

- Jest ścisk - przyznał Tom ze śmiechem.

Kate nie była w domu, odkąd zabrał ją stamtąd poprzedniej nocy, i widział, że poczuła się nieswojo, gdy wjeżdżali na jej ulicę całkowicie pogrążoną w ciemnościach, poza światłem padającym z kilku okien. Ze względu na samopoczucie Kate zaparkował na podjeździe. Tej nocy nie było sensu wjeżdżać do garażu, zresztą najpierw należało dokładnie sprawdzić, czy miejsce zbrodni doprowadzono do porządku, tak jak polecił. Tylko kilka śladów opon na podwórzu od frontu świadczyło o tym, że coś tu się wydarzyło. Poza tym dom wyglądał jak zwykle.

Na wszelki wypadek Tom wszedł pierwszy, włączając światła, i przeprowadził pospieszne i, jak miał nadzieję, dyskretne przeszukanie posesji. Wszystko wydawało się w porządku.

Wrócił do pokoju dziennego i kiwnięciem głowy dał znać Kate o pozytywnym wyniku inspekcji.

Dochodziła już ósma i zaczynał odczuwać skutki niemal tygodnia prawie bez snu. Niechętnie spojrzał na kanapę. Jednak w żaden sposób nie mógł zostawić tych dwojga samych, dopóki nie upewnił się na sto procent, że będą bezpieczni. Kate odrzuciła propozycję spędzenia następnej nocy w jego mieszkaniu, bo nie chciała, by Ben nabrał fałszywych podejrzeń (czy też raczej zgodnych z prawdą) co do łączącego ich związku. A że w trzeciej sypialni nie było mebli, do wyboru pozostała kanapa albo łóżko Kate, tyle że wyraźnie dano mu do zrozumienia, że to ostatnie nie wchodzi w grę, kiedy Ben przebywa w domu.

Pozostawało mu więc polubić kanapę.

Tom i Ben porzucali trochę piłką do kosza - chłopiec robił wielkie postępy, choć nadal miał ponure przeczucie, że w nadchodzącym tygodniu zblądni się w sali gimnastycznej, a później całą trójką zasiedli do oglądania filmu w telewizji, Tom z chłopcem obok siebie na kanapie, a Kate skromnie, sama na złocistym krześle. Tom nawet nie zauważył, kiedy się zdrzemnął, dopóki komórka w kieszeni jego dżinsów nie zaczęła wibrować jak oszalała, budząc go.

Właśnie na ekranie przesuwwały się końcowe napisy, gdy Kate i Ben zobaczyli, jak Tom otwiera oczy i sięga do kieszeni, zupełnie jakby zamierzał wyjąć broń, zanim uświadomił sobie, gdzie się znajduje i co go obudziło.

Dzwonił Fish.

- Chciałem cię tylko powiadomić, że znaleźli samochód twojej dziewczyny.

Tom obudził się na dobre. Usiadł i przetarł oczy.

- Co takiego? Gdzie?

- Jakaś przecznicę od jej domu, na Mulberry Street. Przyciągnęli go. Stoi na policyjnym parkingu.

- Tak? - Kate, nie chcąc, by Ben usłyszał coś nieprzeznaczonego dla jego uszu, popychała już chłopca w stronę schodów. Tom wstał i wszedł do ciemnej kuchni. - Czy jest coś, co powinienem wiedzieć?

- Wszędzie pozostały odciski palców tego zabitego gościa.

Jestem pewien, że to on zostawił tam wóz. Prawdopodobnie pozostałą część drogi do jej domu przeszedł na piechotę. Choć nadal nie wiadomo, jak się dostał do garażu. Żadnego śladu włamania czy wejścia na siłę.

- Może udało mu się uruchomić drzwi. Lub - Tom był wściekły, że podobna myśl w ogóle przyszła mu do głowy - może ktoś wpuścił go do środka.

- Może.

- Jakieś przypuszczenia co do osoby zabójcy?

- Jeszcze nie. - Zapadła chwila ciszy. - Gdzie się podziewasz?

- Jestem w domu Kate.

- Dziwne, ale nie jestem zaskoczony. - Tom niemal widział minę Fisha. - Staraj się być przynajmniej obiektywny, człowieku.

Tom usłyszał ostrzeżenie w głosie partnera. W tym momencie Kate weszła do kuchni. W świetle padającym z pokoju dziennego jej włosy wydawały się jeszcze jaśniejsze, smukła sylwetka bardziej widoczna. Samo patrzenie na nią, gdy kołysząc biodrami, szła w jego

stronę na swoich długich nogach, podniecało Toma. Oparł się o blat obok zlewu i rozkoszował się jej widokiem, jednak jakiś głos w jego głowie mówił mu:

Myślisz, że powiedziała ci o wszystkim? Nie łudź się. Nadal nie wiesz, w jakiej kwestii kłamie. Wciąż nie masz pojęcia, czego się boi. A co do jej opowieści o przeszłości, nie było w niej ani słowa - nawet jednego - z jakiego powodu wyjechała z Baltimore.

- Zadzwoń, gdy pojawi się coś nowego - obiecał Fish.

- Dobra. Dzięki. - Tom rozłączył się, wsunął komórkę z powrotem do kieszeni i powiedział do Kate: - Znaleźli twój samochód.

Stała tuż przed nim.

- Gdzie?

- Kilka ulic stąd. - W ciemnej kuchni, gdy światło padało zza pleców Kate, nie widział wyrazu jej twarzy. Zaniepokoiło go przypuszczenie, że zależało jej na ukryciu przed nim swojej reakcji.

Szalał na jej punkcie, co do tego nie miał wątpliwości. Co jednak nie znaczyło, że kompletnie zgłupiał. Ta kobieta nie grała z nim uczciwie, Tom o tym wiedział.

I bardzo go to denerwowało.

- Czy w wozie są jeszcze moje rzeczy? Aktówka? Komórka?

- Fish nic nie wspomniał na ten temat. Jeśli są, to minie pewnie kilka dni, zanim je odzyskasz.

- Tak naprawdę potrzebuję tylko aktówki. Udało mi się zdobyć duplikaty akt, ale potrzebne mi moje własne notatki.

- Spróbuję przyspieszyć procedury.
- Dzięki. - Uśmiechnęła się do niego.
- Gdzie Ben? - Przesunął spojrzeniem po jej twarzy.
- Kąpie się.

Może ona naprawdę prowadzi z nim jakąś grę. Tom modlił się w duchu, by tak nie było. A niedające mu spokoju wątpliwości wystarczyły, by zachował się nieco szorstko. Położył dłoń na jej karku, uniósł jej usta ku swoim i mocno ją pocałował, potem podniósł ją i posadził na blacie, nadal z językiem głęboko w jej ustach. Kate zarzuciła mu ręce na szyję, nogami objęła go w pasie i namiętnie oddała pocałunek, w jednej chwili rozpalając Toma do białości, aż sam się dziwił, że nie leci z niego para.

- Mamo!

Zesztywniała i cofnęła się gwałtownie. Tom niechętnie wypuścił ją z objęć.

Spojrzała na niego z przeproszającą miną, zeskoczyła z blatu i poszła poczytać Benowi przed snem.

Tak właśnie wygląda życie z dzieckiem.

Z tym potrafiłby się jednak uporać.

W końcu, ponieważ Natalie zadzwoniła i błagała; a Vicky i Tina dorwały się do telefonu i przekonywały Toma, grożąc mu rozczarowaniem matki, gdyby odmówił; ponieważ miał pojawić się Charlie, świeżo po wyjściu ze szpitala; no i Kate nie miała żadnych obiekcji, a Ben już się nie mógł doczekać, zdecydowali, że pójdą do matki Toma na niedzielny obiad. I wszystko odbyło się dokładnie tak,

jak Tom sobie wyobrażał - jego bliscy nie odchodzili od Bena i Kate, kurczak w parmezanie jak zawsze okazał się nie z tego świata, a Tom już się stęsknił za tym przysmakiem, a jeśli miał być szczery, także za rodziną. I musiał przyznać, że przyjemnie mu było patrzeć na Kate, w skromnej czarnej spódnicy do kolan i bladoniebieskim sweterku - przed wyjściem nerwowo wypytywała Toma, czy to odpowiedni strój na tę okazję - odpowiadającą na pytania i biorącą udział w ogólnej rozmowie, całkiem swobodną w tym cyrku, jakim była jego rodzina.

- Gorąca babka, braciszku - zauważył tonem pełnym uznania Charlie, gdy skończyli posiłek. Było około czwartej i w popołudniowym słońcu trzy grube, dominujące na podwórzu świerki rzucały długie cienie na małe patio, na którym siedzieli. Tom wyciągnął się na ogrodowym krześle, popijając piwo. Charlie, także z piwem w ręce, siedział obok na fotelu na kółkach, do którego, jak zrezygnowany przewidywał, będzie jeszcze przykuty przez kilka tygodni. Kobiety zostały w domu. Szwagrowie poszli po piwo i zaraz mieli dołączyć do Toma i Charliego. Dzieciaki biegały po podwórku za domem, bawiąc się w jakąś grę, której nieodłącznym elementem były głośne krzyki. Ben, jak Tom z zadowoleniem zauważył, świetnie się zaadaptował i bawił się wyśmienicie. I Tom z przyjemnością odkrył, że jest z tego faktu niezmiernie zadowolony.

- To prawda - przyznał bratu rację.

- Dziewczyna na stałe? Wzruszył ramionami. Charlie uśmiechnął się szeroko.

- Mama szaleje z radości. Uważa, że to Ta Właściwa.

- Jezu. - Tom obruszył się, ale zanim zdążył cokolwiek dodać, szwagrowie wyszli z domu i zaczęła się ogólna rozmowa.

Gdy wrócili do domu, byli zbyt zmęczeni i najedzeni, by robić cokolwiek poza dokończeniem pracy domowej (Ben) i oglądaniem telewizji (Tom, a także Ben po skończeniu lekcji). Kate umieściła w pralce kilka partii ubrań i trochę bielizny z sypialni, a potem poszła do gabinetu przejrzeć akta na następny dzień. Wyciągnięty na fotelu Tom właśnie rozmyślał, jak wszystko to zaczyna wyglądać normalnie, gdy chłopiec powiedział:

- Było tam dzisiaj dużo dzieci.
- Tak, rzeczywiście.
- Bawiliśmy się w naprawdę fajne gry.
- Na to wyglądało.
- A więc jesteś teraz chłopakiem mojej mamy, czy tak?

Te słowa natychmiast wyrwały Toma z zadumy. Usiadł nieco bardziej wyprostowany i rzucił Benowi badawcze spojrzenie. Niewątpliwie to bystry chłopak, ale czy Kate byłaby zadowolona, że prowadzą taką rozmowę?

- Sam musisz ją o to zapytać.
- Mama nic mi nie powie na ten temat. Wiesz, jaka jest.

Przesadnie opiekuńcza. - Ben potrząsnął głową z wyraźnym niezadowoleniem.

Ale miał rację. Zabawne, że takie słowa padły z ust dziewięciolatka. Jednak zapytał, a Tom chciał być z nim szczery.

- Myślę, że jestem jej chłopakiem. Przeszkadza ci to? Ben potrząsnął głową.

- Dobrze jest mieć jeszcze kogoś do pomocy, kto też by się nią zajął. Ona potrafi sprawiać kłopoty, sam wiesz.

Tom nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

- Owszem, wiem. Może nam dwóm razem uda się z tym uporać.

Akurat w tym momencie Kate wyszła z gabinetu, a że zapewne mieli miny winowajców, zapytała:

- Co się dzieje? - i spojrzała na nich surowo.

Ale Tom z niczym się nie wygadał, a Ben - nawet jeśli coś jej powiedział, Tom nic na ten temat nie usłyszał ani teraz, ani później, gdy Kate zeszła jeszcze po coś na dół i wylądowała na jego kolanach, całując go na dobranoc. W końcu Tom rozpalił się do tego stopnia, że schowali się w małej łazience pod schodami, zamknęli drzwi na klucz i zachowali absolutną ciszę, bo Kate bała się, by Ben (choć mocno spał) ich nie usłyszał. Kiedy wreszcie wróciła do swojej sypialni, Tom położył się na kanapie, gdzie rzucał się i obracał z boku na bok, tak więc zasada, że nie śpią w jednym łóżku, gdy Ben jest w domu, została zachowana.

Następny dzień zaczął się dobrze. Nastął zimny, ale jasny, słoneczny poranek, na niebieskim niebie nie widać było jednej chmurki. Tom i Kate odwieźli Bena do szkoły, a potem Kate przez pozostałą część drogi denerwowała się, jak chłopiec sobie poradzi na zajęciach sportowych. Tom uspokajał ją, że dzieciak przeżyje, niezależnie od tego, jak wypadnie podczas meczu koszykówki.

Zostawił ją przed wejściem do biura - następny ustalony punkt: żadnych więcej pustych parkingów - przynajmniej na razie - i odjechał do Okrąglaka, gdzie załatwił, by firma wynajmująca samochody zabrała hondę, dopilnował też zwolnienia samochodu Kate z policyjnego parkingu. Fish rzucił kilka niewybrednych dowcipów i kilka razy potrząsał głową, usiłując docinać Tomowi, ale ten był zajęty i nie zwracał uwagi na złośliwości partnera. Miał do załatwienia tysiące spraw i próbował metodycznie uporać się ze stertą papierów. Właśnie sprawdzał informacje o kontaktach dwóch mężczyzn znalezionych w spalonym wozie kempingowym - ustalono już ich tożsamość - gdy Kirchoff, dobrze ułożony blondynek, sprawiający wrażenie, jakby właśnie zszedł ze stron katalogu z odzieżą, zatrzymał się przy jego biurku.

Tom pytająco uniósł wzrok.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że ustaliliśmy tożsamość tego martwego gościa z garażu pani White.

- Tak?

Kirchoff przyszedł powodowany uprzejmością, bo Tom, którego wcześniej spotkał w domu Kate, najwyraźniej interesował się tym śledztwem. Ale była to sprawa Kirchoffa i jego partnera i oficjalnie w ogóle Toma nie dotyczyła.

- Wszystko masz tutaj. - Kirchoff stuknął palcem w podniszczoną teczkę, którą trzymał w ręce.

- Mogę rzucić okiem? Kirchoff podał mu akta.

- Gość nazywał się Mario Castellanos - ciągnął Kirchoff. - Kilka dni temu wyszedł z więzienia. Miał mnóstwo na koncie. Jak dotąd nie wiadomo, skąd się wziął w tym garażu.

Tom także nie znalazł niczego w aktach Castellanos. Ale nasuwało mu się wiele rozmaitych hipotez.

Choćby dotyczących kwestii, w których Kate go okłamała.

RS

Rozdział 26

Gdy Tom wszedł do gabinetu, Kate właśnie wróciła z prowizorycznej sali sądowej urządzonej w ratuszu - budynek sądu nadal pozostawał zamknięty. Udało jej się uzyskać stwierdzenie niesłuszności niedopuszczenia materiału dowodowego w sprawie o napad z bronią. Właśnie informowała Bryana przez telefon o wyniku, bo oficjalnie była to jego sprawa, dopóki Kate całkowicie się nie usamodzielni, chociaż zajmowała się nią, tak jak innymi powierzonymi im obojgu. Bryan zadzwonił, by zapytać o decyzję sędziego, przerywając Monie, która wpadła do Kate z propozycją pożyczania fantastycznej, jak zapewniała, czarnej, wieczorowej sukni na zbliżającą się uroczystość zbierania funduszy na kampanię Jima Wolffa; sama myśl o tej fecie napełniała Kate obawą.

- ...wyglądać fantastycznie - paplała jeszcze Mona, idąc do drzwi, i urwała, ale zaraz rzuciła: - Och, witam - tonem, który sprawił, że Kate, wciąż jeszcze rozmawiająca z Bryanem, uniosła wzrok.

Do pokoju wszedł Tom, jak zawsze przystojny i atrakcyjny. Za jego plecami Mona zrobiła do Kate wielkie oczy, wymownym gestem machnęła zadbanymi palcami i znikła. Chociaż nie sprawiał wrażenia zbyt uradowanego, jego widok napełnił serce Kate rozkosznym ciepłem.

Gdy chodziło o niego, nadal niczego nie żałowała. Uśmiechnęła się do niego.

Nie odwzajemnił uśmiechu. W istocie miał bardzo ponurą minę. Kate poczuła pierwszy dreszcz niepokoju.

Jak najszybciej się dało, zakończyła rozmowę z Bryanem i rozłączyła się.

- O co chodzi? - zapytała wprost, gdyż mina Toma nie pozostawiała wątpliwości, że coś było nie w porządku.

- Chodź na mały spacer. - Mówił głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji. Z wyrazu jego oczu, ciemniejszych niż zazwyczaj, też niczego nie dało się wyczytać. Miał oczy i twarz policjanta. Kate spojrzała na zegar: za trzynaście piąta. Znow popatrzyła na Toma. Serce zabiło jej szybciej.

- Dokąd? - zapytała. Z wyrazu jego twarzy wywnioskowała, że stało się coś bardzo, ale to bardzo złego i już wstając zza biurka, rozważała w głowie najgorsze możliwości. - Czy chodzi o Bena? Coś się stało?

Zmrużył oczy.

- O ile mi wiadomo, Ben ma się znakomicie. - Spojrzał za Kate, w stronę stojącego w kącie wieszaka. - Weź płaszcz.

Ponieważ ranek był zimny, a wiedziała, że drogę do ratusza i z powrotem musi pokonać pieszo, wzięła dziś czarny, wełniany płaszcz i długi, szary, zrobiony na szydełku szalik. Zaniepokojona, posłusznie zdjęła płaszcz z wieszaka i włożyła na siebie, szyję owinęła szalikiem.

- O co chodzi? - zapytała ponownie, gdy już była gotowa. Tom nie miał płaszcza, tylko ciemnoszary blezer, czarne spodnie, białą

koszulę i ciemnoczerwony krawat, ubranie, w którym rano wyszedł z domu.

Potrząsnął głową i ruszył do drzwi. Nawet jej nie dotknął.

Jej niepokój zaczął przechodzić w strach.

- Tutaj nie chcę o tym rozmawiać - oznajmił.

Szli korytarzem, nie zamieniając ze sobą nawet słowa. Kate poinformowała Mone, która wychyliła głowę zza drzwi, gdy przechodzili obok sekretariatu, że ma coś do załatwienia. Pomachała Cindy, a zanim wyszli z budynku, wymieniła kilka uwag z napotkanymi po drodze znajomymi. Tom, idący obok niej, milczał niczym Sfinks.

W końcu, gdy wreszcie znaleźli się na chodniku i oddalili nieco od biura, złapała go za rękaw.

- Może mi wyjaśnisz, co się dzieje? Śmiertelnie mnie wystraszyłeś - powiedziała przerażona.

Tom rzucił jej pospieszne spojrzenie, potem rozejrzał wokół, po twarzach osób, które stały obok nich - z tuzin przechodniów czekało na zmianę świateł przy skrzyżowaniu - i obrzucił uważnym wzrokiem samochody zaparkowane wzdłuż chodnika. Liczne rozmowy mieszały się z hałasem ruchu ulicznego, a szum wiatru dmuchającego betonowym wąwozem przechodził w niski pomruk. Dookoła unosiła się woń spalin. Promienie słońca odbijały się od drapaczy chmur, rozjaśniając budynki złocistym blaskiem.

- Za chwilę. - Złapał ją za łokieć i pociągnął na przejście, gdy nastąpiła zmiana świateł. Trzymał ją mocno i zdecydowanie.

Dwie przecznice dalej weszli na brukowany, wewnętrzny dziedziniec budynku Loży Masońskiej, zabytku architektonicznego z roku 1873, gdzie mieściły się sale konferencyjne, liczne wystawy, a nawet muzeum. Oddalony zaledwie kilka kroków od ruchliwej ulicy dziedziniec był niemal całkowicie opuszczony. Z trzech stron otaczały go ozdobne, kamienne ściany budynku ze strzelistymi oknami witrażowymi. Na dziedzińcu stały posągi, ławki, fontanny. Stado gruchających gołębi w spokoju wydziobywało okruszki ze szczelin między kamieniami bruku. Z pobliskiej kaplicy dolatywała woń palących się świec. Jesienne słońce, o tak późnej porze dnia już w kolorze moreli, zawisło nad neogotyckimi wieżami. Niebo, wcześniej czyste i jasnoblękitne, od zachodu zaczynało nabierać różowej barwy. Choć było cieplej niż rano, a do tej osłoniętej enklawy wiatr nie miał dostępu, Kate nie żałowała, że ma na sobie płaszcz.

Tom zatrzymał się w pobliżu dużego pomnika z brązu, przedstawiającego mężczyznę na koniu, i odwrócił Kate twarzą do siebie. W pobliżu nie było nikogo, tylko po drugiej stronie dziedzińca jacyś turyści wchodzili po stopniach do budynku. Jeśli szukał odosobnionego miejsca w tej ruchliwej części miasta, tu znalazł najlepsze z możliwych.

- A więc? - zażądała wyjaśnienia.

Stał z dłońmi wciśniętymi do kieszeni spodni i zdawał się badać ją wzrokiem.

- Czy mówi ci coś nazwisko Mario Castellanos? Nagle poczuła ucisk w piersiach. Razem z krwią w jej żyłach płynęły podobne do kostek lodu drobiny strachu.

- Czemu pytasz?

- Tak nazywał się człowiek zastrzelony w twoim garażu. - Tom zacisnął usta.

Nie odezwała się. Nie była w stanie. Nie mogła już znieść tych ciągłych kłamstw, zwłaszcza gdy okłamywała Toma. Ale także nie mogła wyznać mu prawdy. Wykrzywiła wargi w grymasie, który, jak miała nadzieję, wyrażał jej stanowczość i pewność siebie.

- Sprawdziłem go - ciągnął Tom, gdy nie odpowiedziała. - Był notowany, a długa lista jego występków zaczyna się od czasów dzieciństwa w Baltimore. I wiesz, to zabawne, mieszkał w tym mieście w tym samym czasie co ty. - Urwał, najwyraźniej spodziewając się jej reakcji. Twarz miał napiętą.

Kate nadal milczała. Miała wrażenie, jakby jej żołądek zmienił się w mocno zasupłany węzeł, a ucisk w piersiach promieniował już na krtań. Czowała, jak jej serce tłucze o żebra.

Gdy stało się oczywiste, że Kate nic nie powie, Tom mówił dalej:

- No dobrze, czyżby trafił nam się następny zbieg okoliczności? Ten człowiek był w poniedziałek w sądzie, przetransportowano go tam, by zeznawał w procesie tamtych dwóch. W tym całym zamieszaniu strażnicy stracili go z oczu, a odnalazł się podczas ewakuacji budynku - sam, w celi na drugim piętrze. - Tom uśmiechnął

się do niej, ale ten uśmiech trudno by nazwać miłym. -I wiesz, co jeszcze jest zabawne? Castellanos był leworęczny.

Nagle nie mogła złapać tchu, jakby dostała cios w żołądek i uszło z niej całe powietrze. W milczeniu spojrzała na Toma. Mocno zaciskał szczęki, jego usta przypominały prostą kreskę, tylko w kącikach widniały białe, trójkątne plamki - oznaka napięcia. A oczami zdawał się przebijać Kate na wylot.

- No powiedz coś, do cholery. - Zadrżały mu usta; złapał ją za ramiona, aż podskoczyła. Chociaż miała na sobie płaszcz i żakiet, czuła jego silne palce. Nie potrząsał nią, nie sprawiał bólu, tylko przyciągnął bliżej do siebie i pochylając się groźnie, mierzył Kate gniewnym spojrzeniem.

- Czego ode mnie oczekujesz? Co mam ci powiedzieć? - Była zaskoczona chłodem i stanowczością swojego głosu. Wbił w nią gniewny wzrok. Wysoko na policzkach wykwitły mu ciemnoczerwone plamy. Twarz miał jakby wyciosaną z kamienia.

- Chcę usłyszeć prawdę. Znałaś Maria Castellanosą?

Jako prawniczka nauczyła się jednej podstawowej zasady: gdy sprawy zaczynają przybierać zły obrót, należy trzymać buzię na kłódkę. Nie miała innego wyjścia, jak tylko milczeć. Tom wpadł na trop jej tajemnicy i choć najwyraźniej nie miał pewności, podejrzewał najgorsze. Ale wiedzieć coś, a udowodnić to w sądzie - to dwie różne sprawy. Może rzeczywiście coś ich łączyło, w końcu większość weekendu spędziła w jego łóżku, jednak gdy przyszło co do czego, na

powrót stał się policjantem. Zważywszy na to, Kate także nie mogła zapomnieć, że walczy o przetrwanie.

- Zabierz ręce. - Próbowała się uwolnić, ale Tom jeszcze wzmocnił uścisk.

- A więc zakładam, że się przyznajesz.

- Możesz sobie zakładać, co chcesz. Puść mnie.

Zignorował jej żądanie.

- Castellanos był owym drugim mężczyzną, którego Charlie widział w tamtym korytarzu, nie myłę się? Znałaś go, był tam z tobą, a mogę się założyć, o co chcesz, że to on zastrzelił Rodrigueza. - Kate poczuła, że krew odpływa z jej policzków. Twarz Toma zastygła w grymasie złości. - Do cholery, Kate, powiedz, że nie miałaś nic wspólnego z dostarczeniem tam broni ani przygotowywaniem próby ucieczki.

- Już ci to mówiłam.

- Owszem, a ja, cholerny idiota, uwierzyłem. Nagle uwolnił ją, odszedł kilka kroków, przeczesał palcami włosy i znów odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Słuchaj, czy myślisz, że tylko ja będę zadawał ci te pytania? Ja po prostu szybciej od innych dodałem dwa do dwóch, bo mam dostęp do akt sprawy morderstwa Castellanos i zabójstw w sądzie. I wiem co nieco na temat twojej przeszłości. Ale nie zdołam utrzymać tego w tajemnicy. Nie mogę, do cholery, milczeć.

- A więc po co mnie tu przyprowadziłeś? By mnie ostrzec?

Sporunował ją wzrokiem.

- Chcesz usłyszeć prawdę? Miałem nadzieję, że się mylę. Że istnieje jakieś wyjaśnienie. Liczyłem, że wszystkiemu zaprzeczysz. - Roześmiał się z goryczą. - Ale trafiłem w dziesiątkę. Widzę to na twojej twarzy.

Kate zacisnęła pięści. Kręciło jej się w głowie, miała mdłości, było jej słabo.

- Zastrześliś go? Zabiłaś Castellanosą? - zapytał ostrym tonem.

- Nie. - Tak ją zaskoczył, że automatycznie zaprzeczyła.

Spojrzał na nią badawczo. Po raz pierwszy odpowiedziała na jego pytanie. Pewnie i o tym pomyślał, bo przeszywał ją twardym, badawczym wzrokiem.

- Aha - powiedział. - Więc w końcu mamy jakieś nie.

- Idź do diabła. - Wściekła na siebie, odwróciła się i ruszyła w stronę ulicy. - I trzymaj się ode mnie z daleka! - rzuciła przez ramię. - Jeśli będziesz chciał zadać mi więcej pytań, podam ci nazwisko mojego adwokata.

Na wpół oczekiwała, że Tom za nią pójdzie, ale nie zrobił tego. Bez słowa pozwolił jej odejść. No i dobrze, pomyślała ze złością. Nie powinna była wiązać się z żadnym mężczyzną, a zwłaszcza z policjantem.

Poczuła, jak łzy napływają jej do oczu. I mocne uderzenia serca, a także ten ucisk w piersiach, którego nie znosiła. Ale musiała zaakceptować to, co oczywiste: jej biedne, kruche serce pękało na pół.

Powinna być mądrzejsza. Przecież wiedziała, jak to się skończy, a z zamkniętymi oczami weszła na drogę prowadzącą prosto do nieszczęścia.

A stało się tak, bo Tom opowiedział jej o swoim zmarłym synku. Gdy się o tym dowiedziała, twarda skorupa, która otaczała jej serce, pękła.

I ona sama wpuściła Toma do środka.

Teraz będzie musiała go stamtąd wyrwać. A to bolało, i to bardzo, ale w pełni sobie na to zasłużyła.

Ta odrobina szczęścia, której przy nim zaznała, była po prostu wstępem do dzisiejszej katastrofy. Tak jak się obawiała. Jak zawsze przewidywała.

Teraz musi zapłacić za swoją radość, a ceną jest ból. Gdy szła ulicą, ledwie widziała cokolwiek przez łzy; i jak zawsze zdeterminowana, zrobiła wszystko, by je powstrzymać.

Za żadne skarby nie będzie po nim płakać.

Jednak do tego stopnia było jej żal, że cokolwiek się między nimi zaczęło, już się skończyło, iż miała kłopot ze skupieniem się na pozostałych aspektach sprawy. Czego właściwie dowiedział się Tom. Jeśli uda mu się dopasować więcej kawałków układanki, nawet gdy nie zrobi tego do końca, Kate już wkrótce może mieć poważne kłopoty z prawem. I to ją przerażało. Jednak zważywszy, że Tom nic nie wiedział o Davidzie Bradym, a Mario nie żył, nie mogła sobie wyobrazić, jakim sposobem ktoś mógłby dogrzebać się do tamtej historii. A właśnie zarzuty związane z tamtym zabójstwem

zniszczyłyby ją. Gdyby została postawiona w stan oskarżenia, nic by jej nie uratowało.

Gdyż w świetle prawa byłaby winna.

Natomiast nie miała nic na sumieniu w związku z ostatnimi wydarzeniami.

I po prostu nie wolno jej o tym zapomnieć.

Wtedy może uda jej się wyjść z tarapatów. Zachować pracę i życie, nie doznając szwanku.

A w końcu także uświadomić Tomowi, jaki z niego podejrzliwy osioł.

Ale i tak nie zdoła wskrzesić ich wspólnych przeżyć z ostatniego weekendu.

Niech to diabli, znowu płakała. Na samym środku ruchliwego bulwaru Kennedy'ego. Czuła łzy spływające gorącym strumieniem po policzkach. Rozejrzała się i zauważyła, że ściąga na siebie zainteresowanie przechodniów, więc dyskretnie otarła twarz wierzchem dłoni.

Łzy płynęły nadal.

Cholera.

Wpadła w najbliższy zaułek, odwróciła się plecami do ulicy, wydmuchała nos i obiema dłońmi otarła policzki.

Nie mogła w takim stanie wrócić do pracy...

Ta myśl urwała się, gdy wielki, czarny SUV wjechał w zaułek i stanął obok niej.

Kate spojrzała zaskoczona i w tym samym momencie coś twardego uderzyło ją w tył głowy.

Zamknęła oczy i bez słowa osunęła się na ziemię.

RS

Rozdział 27

Gdy Tom wyszedł na ulicę, Kate już nigdzie nie było widać. Wciąż wściekły, obgryzał paznokcie i przeklinał pod nosem, przede wszystkim zły na samego siebie, gdyż po stokroć okazał się idiotą, angażując się w związek z kobietą, która, jak przypuszczał, wykorzystwała go; ale niezależnie od kłamstw, którymi go karmiła, umierał z niepokoju o nią, bo nadal mogło jej grozić niebezpieczeństwo, a takiego ryzyka nie zamierzał podejmować.

Castellanos zginął od jednej kuli, trafiony w sam środek czoła. Tak samo jak ci dwaj w wypalonym wraku wozu kempingowego. A wszyscy trzej zabici byli zamieszani w wydarzenia w sądzie. Nie trzeba było geniuszu, by założyć, że mógł ich wykończyć ten sam zabójca - lub zabójcy. Pytanie tylko, kto i dlaczego, i co wspólnego miała z tym Kate.

Dopóki nie dowie się, kto był odpowiedzialny za te zbrodnie, zamierzał chodzić za Kate jak pies, poza godzinami, które spędzała w pracy, gdzie, jak uznał, wśród tak wielu osób raczej nic nie powinno jej grozić.

I do diabła z tym, czy jej się to podoba, czy nie.

Tom domyślał się, że Castellanos był tym drugim więźniem, którego Charlie ponoć - brat nie był do końca pewny - widział w korytarzu. Należało jeszcze ustalić, jak przestępca wydostał się z monitorowanej celi, w której go umieszczono, i w jaki sposób później

tam wrócił. Im bardziej Tom starał się połączyć znane mu elementy, tym większej nabierał pewności co do stawianej przez siebie hipotezy. Castellanos o wiele bardziej pasował do roli zabójcy Rodrigueza niż Kate. Ale Tom wciąż nie miał na to dowodu - poza wyrazem jej twarzy. Obserwowanie reakcji Kate, gdy rozwijał przed nią swoją teorię, dało mu więcej, niż uzyskałby z całej sterty złożonych pod przysięgą zeznań świadków. Zamrugła powiekami i zbladła, jakby ujrzała ducha. Bingo.

Tyle że, jak jej powiedział, na razie wyłącznie on doszedł do takiego wniosku. Może nikomu poza nim podobne przypuszczenie nie przyjdzie do głowy. Choć gdyby zlecił ponowne sprawdzenie w laboratorium broni Charliego, tej, z której Kate rzekomo zastrzeliła Rodrigueza, pewnie znaleziono by na niej choćby częściowy odcisk palca, jakieś DNA, mikroślady, cokolwiek pochodzącego od Castellanos - i to byłby ten niepodważalny dowód, którego potrzebował. Powinien już telefonować, prosić o przeprowadzenie testów. Ale nie zrobił tego. Znajdował się poza miejscem pracy, na tej cholernej ulicy, usilnie starając się dotrzeć do sekretów kobiety, którą, skutą kajdankami, powinien właśnie prowadzić do aresztu. Nie podzielił się najnowszymi podejrzeniami ani z Fishem, ani ze Stellą czy Kirchoffem. Zamiast wykonywać swoje obowiązki, zachodził w głowę, w jaki sposób je obejść. Zakładając, że Kate знаła Castellanos - i to on zabił Rodrigueza - i była z tymi dwoma w monitorowanym korytarzu, możliwość, że i ona miała coś wspólnego z próbą ucieczki więźniów, wydawała się duża. A te ciągle kłamstwa, które powtarzała

i jemu, i wszystkim innym wokół, zmieniały tę możliwość w niemal całkowitą pewność. Co do pomocy, jakiej mogłaby udzielić niedoszłym uciekinierom, najbardziej prawdopodobne wydawało się podrzucenie broni do sali rozpraw, co w najlepszym wypadku skończyłoby się dla niej oskarżeniem o współudział w morderstwie pierwszego stopnia.

A o tym, jaki mógłby być najgorszy scenariusz, wolał nie myśleć.

Tyle że ona zaprzeczyła, by miała z tą zbrodnią coś wspólnego, a on - niech go Bóg strzeże - wciąż prawie jej wierzył.

Lecz jeśli była niewinna, dlaczego kłamała? Czego się bała? Co dokładnie wiązało ją z Castellanosem? I co, do cholery, naprawdę wydarzyło się w tamtym korytarzu? Gdy Tom wspominał tamte chwile, widział jasno, że ta przerażona kobieta, wciągana na siłę do środka, która nie odrywała od niego wzroku, w jakiś nieokreślony sposób różniła się od tej, która wyszła wolna.

I wiedział, że dopóki nie uda mu się poznać sekretów Kate, nikomu nie przekaze, do jakich doszedł wniosków. Pomimo tego, co jej powiedział.

Zachowując przy sobie informacje, stawiał na szali swoją reputację, dobro śledztwa, ryzykował pracę. Stawał się jej współnikiem, w cokolwiek była zamieszana. Nigdy jeszcze w ciągu tych wszystkich lat pracy w policji nie znajdował się pod tak mocną presją, by przekroczyć dozwolone granice. W przeciwieństwie do

kolegów, w wydziale cieszył się nieskazitelną opinią. Uważano go - i do cholery, przecież to prawda - za nie do skorumpowania.

I teraz przerażała i równocześnie do szału doprowadzała go świadomość, że dla Kate gotów jest wszystko to zniszczyć.

Ale to też była prawda.

Bo okazał się na tyle głupi, by się w niej zakochać.

- Pani White?

Usłyszała męski głos, cichy i ochryply. Wyraźnie brzmiąca w nim groźba sprawiła, że Kate, dopiero dochodząca do siebie, zadrżała.

- Słyszysz mnie pani? Pani White?

Drgnęła, gdy coś zimnego dotknęło jej karku. Szok przywrócił jej pełną świadomość. Otworzyła oczy - w całkowitych ciemnościach.

Zimny przedmiot znikł. Wydawało jej się, że był zrobiony z metalu - jak broń.

Serce w niej zamarło. Puls przyspieszył. A najbardziej przerażało ją, że nic, dosłownie nic nie widziała.

- Obudziła się pani. - W głosie zabrzmiało zadowolenie.

Jej oczy przykrywała jakaś gładka, śliska tkanina, przypominająca materiał, z jakiego szyje się prześcieradła lub poszewki na poduszki. A więc dlatego znajdowała się w ciemnościach. Mój Boże, czy wydarzył się wypadek? Obandażowano jej twarz? Tuż za prawym uchem czuła bolesne pulsowanie i przypomniała sobie, że coś ją uderzyło w głowę. Odruchowo sięgnęła w górę, by zsunąć opatrunek, koniecznie chcąc cokolwiek zobaczyć, i zorientowała się, że ręce ma skute z tyłu kajdankami.

Poczuła gęsią skórę, zrozumiałwszy, że to co wzięła za bandaż, jest przepaską zasłaniającą oczy.

- Kto tu jest? - Zamierzała zapytać ostrym tonem, ale w jej głosie zabrzmiało zdenerwowanie. I nagle uświadomiła sobie, że siedzi na obitej skórą lub winylem kanapie, ściśnięta z obu stron przez nieznanymi ludźmi. Wyczuwała obok siebie gorące ciała, zapach wody kolońskiej lub jakiegoś olejku i chyba także woń czosnku. Słyszała głośnie oddechy, ale głos, który do niej przemówił, nie należał do żadnego z jej sąsiadów. Dochodził gdzieś z przodu. Miała wrażenie, jakby znajdowała się w ruchu, słyszała rozmaite dźwięki, jakieś szумы i świsty, i w końcu się zorientowała: była w samochodzie, na tylnym siedzeniu. A ten, kto do niej mówił, siedział z przodu, na miejscu pasażera.

I natychmiast przypomniała sobie czarnego suwa, który wjechał do zaułka i stanął obok niej.

- Powiem tylko, że jesteśmy przyjaciółmi Maria. O mój Boże. Oblała się zimnym potem.

- Czego chcecie?

Chichot, który usłyszała, przyprawił ją o gęsią skórę.

- Zanim dojdziemy do sedna sprawy, powinna pani coś wiedzieć: Mario był gadułą. Wiemy o pani wszystko, także o tym incydencie, jak zastrzeliła pani gliniarza pod sklepem w Baltimore.

Och, nie.

Z trudem oddychała, zupełnie jakby coś ścisnęło jej płuca. Lepiła się od kolejnej fali zimnego potu. Już miała zaprotestować, ale

powstrzymała się i nie odezwała słowem. Ktokolwiek to był, czegokolwiek chciał, upierając się przy swojej niewinności, traciłaby tylko czas. Zresztą zaprzeczając, potwierdziłaby, że wie, o czym mówią, a to byłoby błędem. Lepiej milczeć.

- Jestem pewien, że pani to pamięta. - Na przednim siedzeniu coś zaszeleściło, a jeden z goryli - tak już w myślach ich nazwała (była niemal pewna, że po jej obu stronach siedzą mężczyźni) - jeszcze się przysunął i ją potracił. -To nie wszystko.

Odruchowo drgnęła, słysząc cichy, metaliczny dźwięk. Ale do zastraszenia jej nie zamierzali użyć broni palnej; tylko nagranej taśmy.

Zszokowana słuchała swojej rozmowy telefonicznej z Mariem. Zanim zginął w nocy, rankiem tego dnia zaproponowała mu spotkanie u siebie w domu.

- Mamy także broń, z której został zabity, pokrytą odciskami pani palców. Postaraliśmy się o to, gdy była pani nieprzytomna. Jest pani prokuratorem. Potrafi pani docenić wagę tych rzeczy.

Kate nagle poczuła mdłości. W głowie jej zaszumiało. Serce straszliwie załomotało. Jako prokurator świetnie wiedziała, że te wszystkie elementy uznano by za ważne dowody i podstawę do jej oskarżenia. Nie mówiąc już o prawdziwym samograju, jakim byłaby sprawa zabójstwa Davida Brady'ego.

- Czy to wszystko ma jakiś sens? - Jej głos zabrzmiał zdumiewająco spokojnie.

- Owszem: Mario już nie żyje i niczego nie potrzebuje, a my, przeciwnie. Należy nam się przysługa.

- To znaczy? - Na moment przestała oddychać. Znowu rozległ się chichot.

- Niech się pani nie martwi, powiemy, gdy przyjdzie pora. Na razie proszę nie zapominać, że jesteśmy w pobliżu.

Samochód stanął. Co się dzieje? Dlaczego się zatrzymują? Mężczyzna z prawej strony brutalnie pchnął ją do przodu i rozpiął kajdanki.

- Piśniesz coś komukolwiek, a jesteś martwa - oznajmił głos i coś w jego tonie sprawiło, że Kate mu uwierzyła.

Ściągnęli jej kajdanki, zerwali przepaskę z oczu, wypchnęli Kate na ulicę i zatrzasnęli za nią drzwiczki samochodu. Upadła ciężko na ziemię, na wyciągnięte dłonie i kolana. Samochód odjechał z piskiem opon. Był to czarny SUV, jednak w ciemnościach nie zdołała odczytać numerów rejestracyjnych.

Bo wypchnęli ją z auta w mrocznym zaułku między biurem a podziemnym garażem, w którym zawsze zostawiała swój wóz. Tylko dzisiaj było inaczej, ktoś miał przyprowadzić jej auto z policyjnego parkingu i zostawić klucze w dyżurce ochroniarzy. Zgodnie z umową Tom miał przyjechać po nią do biura o szóstej, by zaprowadzić Kate na parking, a potem jechać za nią do domu.

Zrobiło jej się zimno na myśl, że zbiry w SUVie orientowały się, gdzie ona zwykle zostawia samochód.

I jeszcze bardziej zmartwiła się, uświadomiwszy sobie, że Tom nie przyjedzie. Skończyli ze sobą. On był za bardzo policjantem, a ona miała za dużo do ukrycia.

Całe jej życie rozpadło się ponownie. Jednak wciąż musiała odebrać Bena. I wrócić do domu.

Ignorując ból głowy i pieczenie kolan, weszła do pomieszczenia ochrony, odebrała klucze i dowiedziała się od dyżurnego, gdzie odstawiono jej samochód. Ponieważ zrobiła się już szósta trzydzieści i parking opustoszał, strażnik zaproponował jej eskortę do stojącego na drugim poziomie samochodu. Kate mignęła jeszcze myśl o zostawionej w biurze aktówce - nie zdołała się zmusić, by po nią pójść, bo po drodze mogła się natknąć na kogoś z kolegów, kto jeszcze pracował na dziewiątym piętrze - i przyjęła propozycję. Oczywiście, przypominało to zamykanie stajni już po ucieczce konia, jednak zawsze istniała możliwość, że zbiry powrócą.

Na myśl o tym poczuła dreszcz.

Gdy tylko drzwi windy się otworzyły, a Kate i Bob, wielki, potężny ochroniarz, wyszli na drugi poziom, ujrzała Toma. Zaskoczona, zrobiła wielkie oczy. Serce jej się ścisnęło. Przez chwilę - zaledwie ułamek sekundy - ucieszyła się z jego widoku i poczuła, jakby nagle w jej wnętrzu wybuchła kula ciepła. Potem przypomniała sobie powody, dla których nie powinna być zadowolona z jego obecności i zmarszczyła brwi. Spacerował tam i z powrotem przed maską jej camry wyraźnie zdenerwowany; rozmawiając przez komórkę, palcami przeczesywał czuprynę. Odwrócił się, dostrzegł Kate i stanął jak wryty. Nie spuszczając z niej wzroku, powiedział coś do telefonu, a potem się wyłączył.

Spiorunował ją oczami. Jego twarz przybrała wyraz niewypowiedzianej wręcz wściekłości.

- Czy ten pan w jakiś sposób sprawia kłopoty, pani White? - zapytał zaniepokojony Bob, gdy w reakcji na gniewne spojrzenie Toma wyprostowała się sztywno i uniosła głowę. Ochroniarz już sięgał po przypięty do paska nadajnik.

-Nie.

- Jest pani pewna? Bo on wygląda na... - Bob urwał, gdyż zbliżyli się do Toma na tyle, że ten mógł ich usłyszeć. Kate wiedziała, że dalsza część zdania miała brzmieć: na straszliwie rozzłoszczonego, ledwie panującego nad sobą, niebezpiecznego.

- Gdzie się, u diabła, podziewałaś? - wybuchnął Tom, gdy podeszła. Ledwie rzucił okiem na Boba, co także wskazywało, jak bardzo się zdenerwował. - Śmiertelnie mnie przeraziłaś.

- Hej, kolego, uważaj, co mówisz w obecności... - zaczął Bob, wychodząc o krok przed Kate, by znaleźć się między nią a Tomem. Ten błysnął mu odznaką, jednocześnie świdrując go wzrokiem, co wywarło zamierzony efekt. Bob zamilkł i cofnął się.

- W porządku - rzuciła ochroniarzowi przez ramię, mijając go. - Znam go. Dziękuję za odprowadzenie mnie do samochodu.

Bob oddalił się z nieszczęśliwą miną.

- Gdzie ty się podziewałaś? - Tom zionął ogniem. - Kilka razy byłem w twoim biurze. Przeszukałem wszystkie cholerne piętra budynku. Sprawdziłem każdą drogę prowadzącą tu od budynku Łoży. Zupełnie jakbyś znikła z powierzchni ziemi!

Był tak bardzo poruszony, że jeśli na jej twarzy pozostały jakieś ślady po ostatnich przeżyciach, nie zauważył niczego.

Podeszła do niego już całkowicie spokojna i dumna ze swojego opanowania. Ujrzała samochód Toma zaparkowany obok jej auta.

Gdy przechodziła obok, złapał ją za ramię.

- Słuchaj no, odchodziłem od zmysłów przez pieprzone półtorej godziny, a ty nawet nie powiesz mi, gdzie byłaś?

- Nie twoja sprawa. - Kate uwolniła ramię i spojrzała na niego gniewnie. - Pamiętasz tę rozmowę z puentą „zadzwoń do mojego adwokata”, którą odbyliśmy tak niedawno? Na wypadek gdybyś zapomniał: rzuciłam cię.

Przez moment tylko na nią patrzył, jakby nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. A ona wykorzystała tę chwilę, by wsiąść do samochodu i zamknąć się od środka.

- Do diabła, Kate. - Patrzył na nią wściekle przez przednią szybę, gdy włączyła silnik. Potem, gdy wrzuciła bieg, zirytowany wałną dłonią w maskę i odsunął się z drogi.

Spryciarz.

Jechał za nią przez całą drogę do Perrych. Gdy dotarła do domu opiekunki Bena, miała już gotowy plan. Zabierze synka i razem uciekną.

Nie miała pojęcia, kim mogły być zbiry z suva. Ale ci ludzie wystraszyli ją nie na żarty. Bardziej niż kiedykolwiek Mario. Bo nie sądziła, że to jakieś typki z ulicy. Byli groźniejsi, bardziej zorganizowani, z większą ogładą. Jak zawodowcy. Jakby byli z mafii.

Czy Czarne Smoki współpracowały z mafią? Kto to, do cholery, wiedział! I kogo to obchodziło? Za kilka dni nie będzie to już miało dla niej żadnego znaczenia.

Bo sytuacja wyraźnie ją przerosła, groziło jej coś zbyt potężnego, by mogła sobie z tym poradzić. Postawienie się Mariowi - to jedno. Ale stając przeciwko grupie gangsterów, w żaden sposób - świetnie to rozumiała - nie mogła zwyciężyć. Z gorzkiego doświadczenia wiedziała, jak działali tego typu ludzie. Skończyłaby albo wysługując im się do końca życia, albo jako trup. Proste, a zarazem straszne.

Tej nocy nie mogła zabrać Bena i wyjechać, gdyż poza kilkoma dolarami w kieszeni była spłukana. Jeśli mieli uciec do Kalifornii - a może do Oregonu lub Waszyngtonu, byle jak najdalej od tego całego zła - potrzebowała każdego centa, jaki uda jej się zebrać. Na koncie w banku została tylko ostatnia wypłata. Może poczekać na następną? Im więcej uzbiera, tym lepiej dla nich, tylko że nie wiedziała, ile czasu jej pozostało.

Te zbiry w samochodzie żądały, by wyświadczyła im „przysługę”. Kate nie miała pojęcia, o jaką przysługę chodziło ani kiedy tamci się zgłoszą.

Jednak czekanie, by się tego dowiedzieć, raczej nie było najlepszym pomysłem.

Mogła wyczyścić swoje konto emerytalne, miała na nim około tysiąca dolarów. Ponadto zastawiłaby kilka drobiazgów. Choćby obrączką ślubną, której nigdy nie nosiła i w przyszłości zamierzała

dać Benowi. Kamerę wideo. Pewnie znalazłaby jeszcze coś. W ten sposób łatwo zdobywało się gotówkę - już wiele razy tak robiła. Nie uzbierałoby się wiele, ale razem z wypłatą musiałyby wystarczyć, gdyż nie sądziła, by mogła pozostać tu dłużej niż tydzień. Za te pieniądze opłaciliby jakieś lokum, przynajmniej na miesiąc, a jeśli byłoby to konieczne, dopóki nie znalazłaby lepszej pracy, zatrudniłaby się jako kelnerka.

Myśl o porzuceniu wszystkiego, na co tak ciężko pracowała, przyprawiła Kate o mdłości. Będzie musiała zostawić dom, meble, wszystko poza tym, co zdoła zmieścić w samochodzie. Bo nie byłoby dobrym posunięciem podjechać pod drzwi wozem transportowym i załadować cały dobytek. Tamci mogli ją obserwować.

Na myśl o tym serce jej zadrżało.

Także w pracy miała niedokończone sprawy. Przesłuchania. Kaucje. Przygotowania do rozpraw. Musi zostawić wszystko i uciekać - to okropne. Ale po prostu nie widziała innego sposobu na zapewnienie sobie i Benowi bezpieczeństwa.

Gdyby natychmiast wyjechała, nie sądziła, by te zbiry jej szukały. Nie stanowiła dla nich żadnego zagrożenia. Jeśli ulotniłaby się teraz, zanim ugrzęźnie głębiej, nie widziała powodu, by nie mieli zostawić jej w spokoju.

Taki był jej plan.

Za każdym razem, gdy o nim pomyślała, krwawiło jej serce.

Po przyjeździe do Perrych niełatwo jej było zachować pogodny wyraz twarzy, przeprosić za spóźnienie i udawać przed gospodarzami

i Benem, że wszystko jest w najlepszym porządku. Jak tylko pozająlatwia konieczne sprawy, wyjadą.

Ben będzie się smucił.

I jej będzie smutno.

Ale jaki miała wybór?

- Wszystko w porządku, mamó? - zapytał Ben, gdy zatrzymała się przed domem. Tego wieczoru wjechała do garażu, nie przejmując się więcej złą karmą związaną z duchem Maria. Chciała zanieść do samochodu kilka rzeczy, które następnego dnia miała zastawić w lombardzie, a wolała nie wychodzić z tym wszystkim na dwór. Wprawdzie uważała, że jest mało prawdopodobne, by zbiry obserwowały ją bez przerwy, jednak...

Nacisnęła guzik służący do podnoszenia drzwi - Boże, będzie jej brakowało nawet tej cholernej blachy, unoszącej się wolno niczym lodowiec - i spojrzała na Bena.

- Czuję się świetnie. Czemu pytasz?

- Bo powiedziałem ci, że na zajęciach sportowych trafiłem do kosza, a ty tylko coś mruknęłaś.

- Trafiłeś? O rany!

Pomimo tych wszystkich zmartwień, twarz jej pojaśniała. Po raz pierwszy, odkąd Kate odebrała syna od Perrych, skupiła na nim uwagę. Ben z radosnym uśmiechem przytaknął ruchem głowy.

- Trafił mi się fuks. Po prostu rzuciłem piłkę do góry, a ona uderzyła o krawędź tablicy i wpadła do środka.

- Wspaniale. A co pozostali...? - Drzwi się uniosły i właśnie miała wjechać do środka, gdy Ben jej przerwał.

- Muszę powiedzieć Tomowi. - Złapał za klamkę i jak pocisk wypadł z samochodu.

Kate zerknęła w tylne lusterko i ujrzała parkującego za nimi taurusa.

RS

Rozdział 28

Wyjechała do garażu i zatrzymała wóz. Gdy wysiadła, zobaczyła, że Tom zaparkował na podjeździe. Stał obok samochodu, a Ben, dosłownie wibrując z podekscytowania, dreptał przed nim i najwyraźniej opowiadał mu historię swojego trafienia do kosza.

Tom z uśmiechem słuchał chłopca.

Serce jej się ścisnęło. Żołądek miała niemal pod samym gardłem.

Najtrudniej będzie im opuścić Toma.

Choć bez wątpienia zbliżenie między nimi było błędem, mimo pewności, że nie miała innego wyjścia, jak zakończyć tę sprawę, zostawienie Toma będzie dla niej najbardziej bolesne ze wszystkich przeżyć do tej pory.

Zaciskając zęby, ruszyła w ich stronę.

- Kochanie, może wejdiesz do środka? - zwróciła się do Bena. Tom spojrzał na nią nad głową chłopca. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Jazda najwyraźniej go uspokoiła, bo już nie ział wściekłością. Ale gdy ich spojrzenia się spotkały, ujrzała w jego oczach błysk świadczący o wciąż tłącym się gniewie.

- Pewnie chcesz porozmawiać z Tomem?- Zaintrygowany Ben przenosił spojrzenie z jednego na drugie.

I na tym skończyła się próba utrzymania ich związku w tajemnicy przed chłopcem.

- Masz rację. Więc bądź miły i znikaj, dobrze?

Wykrzywił się do niej i spojrzał na Toma, który odwzajemnił się współczującą miną, a potem posłusznie wszedł do domu przez garaż.

- Możesz zacząć odrabiać lekcje! - zawołała za synkiem z nawyku. Chociaż, oczywiście, (a) Ben nie zamierzał się zabrać do zadań i (b) praca domowa nie miała już teraz znaczenia. Za tydzień czy dwa Ben pójdzie do nowej szkoły, w jakimś innym miejscu.

- Chcę, żebyś sobie poszedł - powiedziała bez wstępu, gdy chłopiec znikł w domu. - Zaryzykowaliśmy, zabawiliśmy się, ale to skończone.

Tom oparł się biodrem o bok samochodu i spojrzał na nią z uwagą. Światło z garażu padało na jej plecy, twarz pozostawała w cieniu. Za to ona widziała go dokładnie. Minę miał ponurą.

- Słuchaj, wiem, że mnie okłamujesz. Kłamiesz od samego początku. Przyznaję, nie jestem w stanie rozgryźć, co ukrywasz, więc może ułatwisz nam obojgu sprawę i po prostu mi powiesz.

Cóż, tym swoim uporem przypominającym zajadłość buldoga sprawiał, że sytuacja była dla niej mniej bolesna.

- Zegnaj, Tom. - Odwróciła się.

- Sposób dokonania tych morderstw wskazuje na zawodowców, Kate. Chodzi mi o te dwa trupy w wozie kempingowym i Castellanosa w twoim garażu. Założyłbym się o moją odznakę. Naprawdę przeraża mnie możliwość, że ty mogłabyś okazać się następną na liście. Pomyśl tylko: zginęli już wszyscy ludzie, którzy byli w jakikolwiek sposób zamieszani w tę próbę ucieczki - poza tobą.

Jego słowa zatrzymały ją w miejscu. Na moment zamknęła oczy - stała odwrócona do Toma plecami, więc niczego nie zauważył - i poczuła wzdłuż kręgosłupa lodowaty dreszcz strachu. Zaciśnęła dłonie w pięści. A jeśli ci z suwa tu wrócą, aby ją zabić? A jeśli już gdzieś się czają koło domu? Mogła bez końca wymieniać przerażające możliwości.

- Powtarzam ci do znudzenia, że nie jestem w nic zamieszana. - Odwróciła się do niego twarzą. Serce jej łomotało. Z trudem zmusiła się, by oddychać normalnie.

- Wierzę ci na słowo. - Wyprostował się i odsunął od samochodu. - Nie chcesz ciągnąć naszego związku? Dobrze, nie ma sprawy. Ale nie podoba mi się pomysł, żebyście zostali tu z Benem sami tej nocy. Nawet przy wymienionych zamkach i systemie alarmowym jesteś zbyt łatwym celem. Wystarczy kopniakiem otworzyć drzwi, wystrzelić kilka naboii i zniknąć przed pojawieniem się policji. To nic trudnego, zwłaszcza dla zawodowca.

Kate poczuła suchość w gardle. Wcześniej nigdy tak o tym nie myślała. Teraz patrzyła na sytuację inaczej.

- Jeśli zaczniesz rozgłaszać w wydziale zabójstw twoją osobistą teorię na temat wydarzeń w korytarzu, to nie będziesz się musiał o mnie długo martwić, prawda? Bo przecież uważasz, że powinni mnie zamknąć.

Jego twarz była napięta.

- Na razie nie zamierzam wspominać o tym nikomu. Poza mną i Fishem nikt się nie zajmuje twoją osobą. A to, co do tej pory mam na

ciebie, jest, jak sama powiedziałaś, tylko teorią, bez żadnych dowodów.

Kate bez trudu pojęła, co chciał jej przekazać: pomimo wcześniejszych deklaracji zamierzał swoje informacje, a także podejrzenia, zachować dla siebie.

Przynajmniej na razie.

- W porządku, możesz zostać. - Jej ton nie był zbyt łaskawy.

Potem dodała, już niemal burkliwie: - Dziękuję.

To ostatnie nie dotyczyło wyłącznie propozycji pozostania na noc.

Ich spojrzenia się spotkały; oczy Toma były ciemne i nieodgadnione.

- Ależ proszę.

Odwróciła się i poszła do domu. Zatrzymanie Toma przy sobie, dopóki nie pozbiera rzeczy i nie wyjedzie, uznała za sprytne pociągnięcie. W tej sprawie istniało tak wiele niewiadomych, że jego obecność mogła po prostu uratować im życie.

Ale jednocześnie serce jej się krajało.

Tom w milczeniu podążył za nią.

Dwa dni później Kate zrozumiała, że po prostu odwleka sprawę. Nawet jeśli przygotowywała się do ucieczki, wciąż ją odkładała. W ciągu dnia załatwiała w pracy bieżące sprawy, a także przeglądała te wyznaczone na następnych kilka tygodni, pomijając wszystko co się dało bez wzniesienia podejrzeń, a jednocześnie robiła obszerne notatki na temat przypadków, nad którymi pracowała, by ten, kto przejmie

pracę po niej - prawdopodobnie Bryan - przynajmniej na początku mógł się we wszystkim zorientować. Zebrała tyle gotówki, ile była w stanie. Po cichu spakowała walizki i schowała do bagażnika camry. Najważniejsze rzeczy - książeczkę zdrowia Bena, kilka pamiątek po jego ojcu, rozmaite ważne drobiazgi i fotografie, których nie dałoby się niczym zastąpić - także upchała w bagażniku. Jeśli bolało ją serce, gdy Bryan dzwonił do niej z prośbą o najświeższe informacje dotyczące jakiejś sprawy lub Mona przyniosła jej długą, czarną suknię i błyszczące kolczyki i nalegała, by Kate to przymierzyła, a także gdy w pracy zdarzało się mnóstwo innych, codziennych spraw, cóż, musiała się z tym jakoś uporać.

O wiele trudniej było jej się pogodzić z myślą o odejściu od Toma.

Co nie znaczy, że nic się między nimi nie działo. Przychodził po nią do pracy i odprowadzał Kate do domu; jadał z nimi kolacje (raz zamówił pizzę, a każdego wieczoru pomagał w porządkach); grał w koszykówkę z Benem (chłopcu jeszcze nie udało się ponownie w szkole trafić piłką do kosza, ale już ustosunkował się do tego problemu filozoficznie); oglądał w ich domu telewizję i spał na kanapie. Nie naciskał na nią, nie zadawał dalszych pytań i właściwie niewiele z nią rozmawiał. Ich relacje w najlepszym wypadku można by określić jako grzeczne, ale ostrożne. Ben zapytał ją nawet na osobności, czy się pokłócili, a gdy Kate odpowiedziała: „Oczywiście, że nie” - spojrzał na nią wymownie. Najważniejsze, że Tom teraz wyłącznie pełnił funkcję ich opiekuna, a ona robiła, co mogła, by

schodzić mu z drogi. Niemniej, przebywając z nim pod jednym dachem, trochę się o nim dowiedziała: rano, dopóki nie wypił pierwszej kawy, bywał naburmuszony i małomówny. Wieczorami ożywiał się i stawał wesoły przy Benie; przy niej był mniej radosny, choć od czasu do czasu przyłapywała go, jak się w nią wpatrywał. Zostawiał w zlewie brudne talerze, a w toalecie podniesioną klapę.

Tylko że Kate uwielbiała mieć go w domu, I nigdy nie powinna była pozwolić mu zostać. Bo teraz bardziej niż kiedykolwiek nie chciała wyjeżdżać.

Doznała otrzeźwienia w czwartkowe przedpołudnie. W ponownie otwartym sądzie podczas przerwy w przesłuchaniu o dopuszczenie dowodów poszła do toalety. W pomieszczeniu nikogo nie było i Kate spiesznie wpadła do kabiny, gdyż sędzia zarządził jedynie dziesięć minut przerwy. Zamknęła się w środku, gdy nagle coś po prawej stronie przyciągnęło jej wzrok.

Spod ścianki działowej wystawała męska noga, Kate widziała ją jedynie od kostki w dół; dostrzegła pasek czarnych spodni i czarny spiczasty but.

Otworzyła szeroko oczy. Serce uderzyło jej szybciej. Przyspieszył puls.

- Dzień dobry, pani White - odezwał się ktoś obok, zanim zdołała się poruszyć czy nabrać powietrza i krzyknąć. Gdy pojęła, kim jest nieznajomy, serce podeszło jej do gardła. - Nadchodzi pora, by oddać nam pani przysługę. Proszę powiedzieć, czy mnie pani słyszy.

Poczuła lodowaty chłód. Ale co mogła zrobić? Zatkanąć uszy? Udawać głuchą? Zerwać się i uciec? Musi dobrze rozegrać tę partię.

- Słyszę - odrzekła.

- Dobrze. Jutro wieczorem idzie pani do Trocadero Theatre na uroczystość zbierania funduszy dla Jima Wolffa. Zadzwonimy do pani podczas imprezy i podamy dalsze instrukcje. Proszę powtórzyć, co powiedziałem.

Dłonie Kate zacisnęły się w pięści.

- Zadzwońcie do mnie z instrukcjami, gdy będę na uroczystości zbierania funduszy dla Jima Wolffa.

- Zgadza się. Pójdzie pani na tę imprezę i zostanie, dopóki nie zadzwonimy, zrobi, co polecimy, a będziemy kwita. Zawali pani sprawę lub piśnie komukolwiek słówko, zabijemy panią. Wszystko jasne?

-Tak.

- W porządku.

Rozległ się stukot otwieranych drzwi kabiny, a potem usłyszała szybko oddalające się kroki i już go nie było.

Za to Kate tak długo siedziała roztrzęsiona w toalecie, że spóźniła się na pozostałą część przesłuchania.

Czego mogą od niej chcieć?

Cóż, nic dobrego.

Może będzie musiała przekazać jakąś wiadomość. Albo coś wykraść. Albo kogoś obrabować. Albo...

Im dłużej rozważała różne możliwości, nabierały one diabolicznego podtekstu. Jim Wolff był postacią niezwykle kontrowersyjną. Były wiceprezydent, wyraźny lider, gdy chodziło o partyjną nominację. Istniało duże prawdopodobieństwo, że zostanie następnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Przez cały czas otaczała go silna ochrona. Dostęp do budynku, w którym miała się odbyć uroczystość, był niezwykle utrudniony. Kate już wcześniej musiała podać nazwisko osoby towarzyszącej jej tego wieczoru - czyli Toma, którego poprosiła o to podczas ostatniego weekendu, gdy sprawy między nimi wyglądały inaczej, choć ta randka nie miała dojść do skutku - by FBI, CIA czy ktokolwiek zajmował się weryfikacją gości, mogli go przeświecić.

I nagle doznała olśnienia: czy to możliwe, by szantażem chcieli zmusić ją do pomocy w zamachu terrorystycznym?

Ale przecież nic się nie stanie. Bo jej tam nie będzie, a bez niej nic się nie wydarzy.

Czas się skończył. Trzeba ruszać w drogę.

Nawet jeśli ucieczka miała złamać jej serce.

Zdawała sobie sprawę, że musi zachować ostrożność. Tamci już wiedzieli, gdzie parkuje samochód. W poniedziałek osaczyli ją w pustej uliczce, a dzisiaj znaleźli w toalecie.

Śledzili ją. Najgorsze było to, że nie miała pojęcia, kim są. Każdy - którykolwiek z jej kolegów, sędzia przysięgły, ktoś z departamentu prawa, pierwszy lepszy mijający ją przechodzień - mógł

z nimi współpracować. Obserwowali ją nieustannie, a ona nawet tego nie zauważała. Zadrzała, uświadomiwszy sobie swoje położenie.

Nie może pozwolić, by odkryli jej zamiar ucieczki.

Nie wiedziała, jakie byłyby konsekwencje, ale nie miała wątpliwości, że fatalne.

Mając to wszystko na uwadze, usilnie starała się przez resztę dnia wyglądać normalnie. Tak bardzo się denerwowała, że ledwie mogła pozbierać myśli, ale na szczęście głównym punktem dnia była sprawa o ustalenie kaucji, co mogłaby załatwić nawet we śnie. Zrobiła porządek w gabinecie, zabrała aktówkę, w której schowała pieniądze, i zdjęła z wieszaka płaszcz. Z całego serca pragnęła pożegnać się z Moną, Bryanem, Cindy, ze wszystkimi z dziewiątego piętra. Taka była dumna, że tu pracuje i jest jedną z nich, dumna z życia, które zbudowała dla siebie i Bena. W końcu jednak wyszła bez słowa, bo tak należało się zachować. Najważniejsze, by ten, kto ją obserwował, uznał, że w jej rozkładzie dnia nic się nie zmieniło. Czterdzieści pięć minut przed końcem pracy - nie na tyle za wcześnie, by wzbudzić podejrzenia, ale wystarczająco wcześnie, by uniknąć spotkania z Tomem, po raz ostatni wyszła z budynku prokuratury.

Dławiło ją w gardle, gdy odjeżdżała.

Z Tomem miała się spotkać przy tylnym wyjściu z budynku, o szóstej. Wiedziała, że jakiś czas będzie na nią czekał. Potem zadzwoni. Pójdzie do jej gabinetu. Rozejrzy się po budynku. Z początku, kiedy nie będzie mógł jej znaleźć, zaniepokoi się. Potem,

gdy zauważy brak jej samochodu i domyśli się, że odjechała sama, wpadnie w złość.

Nie mogła go tak po prostu zostawić, by zachodził w głowę, co się z nią stało. Gdy już odbierze Bena i bezpiecznie znajdą się poza granicami miasta, zadzwoni do Toma i powie mu, że wyjechali.

Ale oczywiście nie będzie mogła mu wyjaśnić dlaczego.

Choć nie było to zbyt rozsądne, zapragnęła po raz ostatni rzucić okiem na swój dom. Ze ściśniętym sercem wbiegła do środka i znalazła jeszcze kilka rzeczy, których nie chciała zostawić.

Ukochanego niedźwiadka Bena. Kilka innych jego ulubionych zabawek. Książkę, którą zaczął czytać. Tę cholerną piłkę dla początkujących koszykarzy.

Ta ostatnia przepelniła czarę. Gdy Kate w końcu odjeżdżała, po policzkach spływały jej łzy, a wszystko z powodu głupiej piłki do koszykówki. Zawsze już, jak tylko na nią spojrzy, pomyśli o Tomie. I pęknie jej serce.

W którym momencie się w nim zakochała? Nie potrafiłaby powiedzieć, ale tak się stało.

Odebranie Bena przeszło gładko. Oczywiście nie wiedząc, że więcej już nie zobaczy swoich przyjaciół, pożegnał Perrych zwyczajnym „cześć”, a Kate miała nadzieję, że równie beztrąsko mu zawtórowała.

Gdy wsiadł do samochodu, przez chwilę się niepokoiła, bo Ben w żadnym wypadku nie powinien zauważyć rzeczy leżących na

przednim siedzeniu obok niej. Dobrze, że okazała się na tyle przewidująca, by przykryć je płaszczem.

- Co to takiego? - zapytał zgodnie z jej obawami i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w sporą stertę.

- To tylko kilka rzeczy, które dzisiaj kupiłam. - Przez większą część popołudnia zastanawiała się, czy powiedzieć synkowi prawdę, ale chciała odsunąć tę chwilę możliwie jak najdalej. Nawet gdyby ją błagał, by nie odjeżdżali, nie mogła zmienić zdania, co obojgu sprawiłoby przykrość. Gdyby zaczął płakać, ona także by się rozplakała. A teraz przede wszystkim musiała być silna. - Jak ci poszło w szkole?

Przynajmniej udało jej się odwrócić uwagę Bena. Opowiedział jej cały swój dzień, a Kate tylko potakiwała głową i odpowiadała na pytania - miała nadzieję, że udzielała właściwych odpowiedzi, a jednocześnie zamiast w stronę domu, skręciła w kierunku drogi szybkiego ruchu. Wiedziała, że chłopiec wnet zorientuje się w zmianie trasy i zapyta...

Zapadł zmrok i reflektory włączyły się automatycznie. Zostawili za sobą dzielnicę mieszkalną i bliźniacze snopy światła omiotły kępę niemal całkiem pozbawionych liści drzew, a dalej szczelnie zamknięty metalową, podnoszoną klapą garaż. Kate zatrzymała się przed znakiem stopu tuż przy zjeździe na drogę szybkiego ruchu i zauważyła, że jest już dziesięć po szóstej. Tom zaraz będzie się niecierpliwić. Zapewne jeszcze się zbytnio o nią nie niepokoił, ale wkrótce zacznie.

O Boże, nie chciała wyjeżdżać. Wydawało jej się, że jakaś olbrzymia dłoń ścisnęła jej serce.

- Kto to? - sapnął Ben, wyrrywając ją z zamyślenia. Było to jedyne ostrzeżenie, jakie otrzymała. Szyba za nią roztrzaskała się z hukiem. Kawaleczki szkła uderzyły Kate w tył głowy; szarpnęła się i obejrzała w stronę, z której rozległ się trzask.

- Mamo! - krzyknął przerażony Ben.

W jednej sekundzie zobaczyła wszystko: rozbitą szybę od strony Bena i ramię ubranego na czarno mężczyzny - w czarnym płaszczu i czarnych rękawiczkach - sięgającego przez okno do klamki przy drzwiach.

- Nie! - wrzasnęła.

Samochód jadący przed nimi zahamował z piskiem opon, blokując camry, nie dając Kate możliwości naciśnięcia na gaz i odjazdu. Ze środka wyskoczył jakiś mężczyzna, ale ledwie jej zamajaczył, gdy odwróciła się do tyłu, rozpaczliwie szukając możliwości ucieczki. Jadący za nią wóz też zahamował - nie mogła się wycofać. Wrzuciła bieg na luz i z buzującą w żyłach adrenaliną rzuciła się ku szczelinie między siedzeniami, by złapać synka, zatrzymać go w samochodzie, przepędzić zbira, który już otworzył drzwi i wyciągał Bena z auta.

- Puść go! - Musi go powstrzymać, nie pozwoli mu zabrać chłopca.

- Mamo!

Nie zdołała go utrzymać. Niebieska satynowa kurtka okazała się zbyt śliska.

- Ben! - krzyknęła, a gdy wyrwano go z jej uścisku, odwróciła się i wyskoczyła z auta, by biec na pomoc synkowi. - Ratunku! Pomocy!

Ale pod znakiem stopu nikogo nie było, zapadła już ciemność, szary świat pogrzył się w cieniu, więc nawet gdyby ktoś znajdował się w pobliżu, niczego by nie widział. Zresztą w tej przemysłowej okolicy, poza magazynami i barakami, które wydawały się opuszczone, nie było żywego ducha. Wysypane żwirem parkingi opustoszały, żaden samochód nie przejeżdżał tędy...

Znikąd pomocy!

- Mamo! Mamo!

Gdy rzuciła się za nim, coś mocno uderzyło ją w tył głowy. Oślepiąca bólem upadła na kolana i zobaczyła gwiazdy, i tylko dlatego, że tak rozpaczliwie chciała uratować synka, nie straciła przytomności. Ben, przytrzymywany przez potężnie zbudowanego mężczyznę w czerni z twarzą zasłoniętą kominiarką, kopał, szarpał się i krzyczał.

Porywacz ciągnął go w stronę białej furgonetki dostawczej, blokującej od tyłu camry.

- Mamo!

- Ben! - Udało jej się wydać tylko stłumiony jęk, gdy z wielkim trudem podnosiła się z ziemi.

Nawet nie widziała, kto i kiedy uderzył ją w żołądek. Poczowała się, jakby przejechała po niej lokomotywa. Skuliła się i zachwiała do przodu; osłabła z bólu, nie mogąc oddychać. Padła na kolana i w tym samym momencie ujrzała człowieka, który ją zaatakował, a raczej szybko poruszający się kształt. W mgnieniu oka był za nią. Złapał ją za szyję, niemal dławiąc, gdy Kate trzymała się za brzuch i łapała oddech.

- Nie powinna była pani uciekać - oznajmił, szarpnięciem stawiając ją na nogi. Był to ten sam mężczyzna co przedtem, głos z toalety i z suwa.

- Mamo! - Przerażony głos synka przeszył jej uszy niczym włócznia. - Mamo! Mamo!

Brutalnie podniesiona na nogi, trzęsąc się cała, z kolanami ledwie zdolnymi do utrzymania jej ciężaru, Kate dusiła się, dławiła i z całej siły walczyła z rękami zaciśniętymi wokół jej szyi i pasa. Ben, który nie przestawał krzyczeć, został wrzucony na tył furgonetki. Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

Ben.

Ale zawołała jego imię tylko w myślach, bo ramię wokół jej szyi zaciskało się teraz zbyt mocno, aby jakikolwiek dźwięk mógł się wydostać z gardła Kate.

Ben. Następny milczący krzyk, gdy furgonetka cofnęła się i z piskiem opon ruszyła do przodu, objechała ich i znikła w ciemnościach.

- Pani White, niech pani słucha uważnie - powiedział przytrzymujący ją mężczyzna. - Już raz nie wykonała pani naszego polecenia i co? Naraziła pani syna na niebezpieczeństwo. Dziś wieczorem i jutro będzie się pani zachowywać normalnie, jakby nic się nie stało. Jutro wieczorem pójdzie pani na to przyjęcie, poczeka na nasz telefon i zrobi, co każemy. - Przerwał i rozluźnił chwyt na tyle, by mogła nabrać powietrza. - Jeśli dokładnie wykona pani instrukcje, dzieciak wróci do domu. Jeśli pójdzie pani na policję lub zwróci się do kogokolwiek, nie odbierze pani telefonu albo nie zrobi tego, czego zażądamy, chłopiec umrze. Rozumie pani?

- Ben - jęknęła z rozpaczą, wpatrzona w stronę, w którą odjechała furgonetka.

- Zrozumiała pani? - Zmusił ją do podniesienia głowy.

- Tak. Tak.

Puścił ją. Kolana jej osłabły i upadła na ziemię.

Rozdział 29

Zabiją go. Kate złodowaciała ze strachu. Serce biło jej teraz w okropnie zwolnionym tempie, dostała mdłości - w drodze do domu zatrzymała się dwa razy, by wymiotować. Była śmiertelnie przerażona, gdyż wiedziała, jak działali ci ludzie: porwali Bena i zabiją go niezależnie od tego, co ona zrobi. Och, Boże, czy chociaż zostawią go przy życiu do jutra? A może on już...

Gdy sobie to uzmysłowiła, zakreśliło jej się w głowie.

Przestań, skrzyczała się w duchu, ale przed jej oczami przesuwały się obrazy, jak tamci dręczą jej dziecko, jak...

Całą siłą woli starała się odegnać od siebie tę wizję. Jeśli Ben ma mieć jakiegokolwiek szanse, ona musi zachować przytomność umysłu.

Proszę, dobry Boże, miej go w opiece.

Wjeżdżając do garażu, poczuła tak silną falę mdłości, że ledwie zdążyła wpaść do domu.

Nie powinna była czekać. Należało wyjechać wczoraj lub przedwczoraj...

Została, by odebrać wypłatę. I dlatego że tak bardzo nie chciała odjeżdżać. Ociągała się z powodu Toma.

Tom.

Myśl o nim otrzeźwiła ją. Miała kogoś, do kogo mogła pobiec z krzykiem, zwrócić się o pomoc, kto mimo wszystko był po jej stronie.

„Jeśli pójdzie pani na policję lub zwróci się do kogokolwiek, chłopiec umrze”.

Z pewnością umrze, jeśli ona nie poszuka pomocy.

Tylko musi zachować ostrożność. Mogą ją obserwować.

Pospiesznie przeszła przez cały parter i pozasuwała zasłony, żeby nikt nie zdołał zajrzeć do wnętrza domu; po drodze włączała lampy. Poszła na górę do swojej sypialni - gdy tylko spojrzała w stronę otwartych drzwi pokoju Bena, z jej oczu popłynęły łzy; tam też dokładnie zasłoniła okna i włączyła światło. Potem zatelefonowała do Toma.

- Gdzie, u diabła, się podziewasz? - wybuchnął, gdy poznał jej głos. - Do cholery, Kate...

- Tom, wysłuchaj mnie.

Chyba usłyszał w jej głosie rozpacz, bo przerwał tyradę.

- Co się stało?

Wzięła głęboki oddech. Myśl, że tamci ją śledzą, podsłuchują, że wszędzie czyhają na nią ich oczy i uszy, wyprowadzała Kate z równowagi. Gdyby miała pewność, że jutro, wykonawszy instrukcje złooczyńców, odzyska Bena całego i zdrowego, zrobiłaby wszystko, czego od niej chcieli. Ale nie wierzyła, by porywacze dotrzymali obietnicy. Tak więc pozostała jej tylko jedna możliwość.

A sięgnięcie po nią przerażało Kate.

- Coś się wydarzyło. - Nawet dla niej samej jej głos zabrzmiał ochryple.

Usłyszała, jak Tom wciąga powietrze. - Już jadę.

- Nie! Nie. - Próbowała pozbierać myśli. - Nie przyjeżdżaj tutaj. Spotkamy się na rogu Spruce i Mulberry, dwie przecznice dalej, zaczekaj tam na mnie.

- Co jest, u diabła?

- Tom, błagam. Jak długo zabierze ci dojazd?

- Najwyżej piętnaście minut.

- Zaparkuj. Zostań w samochodzie. Przyjdę do ciebie.

- Jezus, Kate, co się dzieje, do cholery?

- Powiem ci, jak się zobaczymy - odrzekła i rozłączyła się.

Miała na sobie czarny garnitur i buty na płaskich obcasach, więc mogła bez trudu wtopić się w mrok. Poszła do samochodu po swój czarny płaszcz, starając się omijać wzrokiem leżące na siedzeniu rzeczy Bena. Włożyła płaszcz, zapięła się pod samą szyję, jasne włosy ukryła pod szarym, wełnianym szalikiem. Następnie, chcąc sprawić wrażenie, że jest w domu, włączyła telewizor w pokoju dziennym, na wypadek gdyby ktoś obserwował posesję. Na końcu weszła do kuchni, zgasiła światło i chwilę poczekała w ciemnościach. Wreszcie wzięła głęboki oddech, otworzyła drzwi i wyśliznęła się w noc.

Błady okrążyły księżyc, nisko zawieszony na niebie, nie dawał zbyt dużo światła. Zimne powietrze trochę otrzeźwiło Kate i pozwoliło jej zebrać myśli. Z bijącym sercem, rzucając na wszystkie strony trwożliwe spojrzenia, wybierała możliwie najbardziej pogrążone w ciemnościach ulice; doszła do skrzyżowania i kryjąc się w cieniu, wypatrywała Toma. Podjechał zaledwie kilka minut po tym, jak dotarła na miejsce. Zanim zdążył zaparkować, przebiegła przez

chodnik i delikatnie zastukała w szybę od strony pasażera. Drzwiczki otworzyły się z głośnym „klik”, a Kate wśliznęła się do środka.

Gdy automatycznie włączająca się lampka na chwilę rozjaśniła wewnątrz samochodu, Kate zamarła z przerażenia. A jeśli oni czają się w pobliżu i zobaczyli ją w wozie Toma? Serce łomotało jej jak szalone. Puls galopował. W popłochu rozejrzała się wokół. Jeśli ją dostrzegli, zabiją Bena; ale nie zauważyła nikogo kryjącego się w ciemnościach.

Proszę, Boże, spraw, by nie obserwowali tego miejsca.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?

Wewnętrzna lampka zgasła. Kate opadła na siedzenie i mocno objęła się rękami, trzęsąc się jak galareta.

-Nie stój tutaj. Jedź. Zniknijmy z tej okolicy. -Odetchnęła z ulgą, gdy bez pytania zastosował się do jej prośby. Skręcił za róg ulicy i skierował się w stronę wjazdu na drogę szybkiego ruchu. - Boże, Tom, oni porwali Bena.

- Co takiego? - Nacisnął na hamulec.

- Jedź dalej - gorączkowała się. - Jeśli zobaczą...

- Kto? Jeśli kto zobaczy? Kto porwał Bena? - Ponownie dodał gazu. Twarz miał surową, napiętą, dłonie trzymał mocno zaciśnięte na kierownicy. Jednak zwracając się do Kate, starał się mówić jak najbardziej spokojnym, opanowanym tonem i natychmiast przypomniała sobie, jak próbował prowadzić negocjacje z Rodriguezem w sali rozpraw.

- Nie wiem. - Głos jej drżał. - Chyba mafia. A może... Nie mam pojęcia. Wszystkie twoje podejrzenia były słuszne. Kłamałam. Przez cały czas. Ja... Oni powiedzieli, że go zabiją, jeśli pójdę na policję lub w ogóle do kogokolwiek. Ale myślę, że i tak go zabiją. Proszę, pomóż mi zdecydować, jak mam postąpić.

Cała się trzęsła; gdy umilkła, słychać było szczerkanie jej zębów.

- Dobrze, - Usłyszała, jak Tom głośno wypuszcza powietrze z płuc. - Kiedy porwali Bena?

Jego pewny, spokojny głos pomógł jej się opanować. Za wszelką cenę musiała się trzymać. Stawką było życie Bena.

- Jakies pół godziny temu.

- Gdzie to się stało?

- Zatrzymałam się przy znaku stopu, przygotowywałam się do skręcenia na drogę szybkiego ruchu i... wyciągnęli go z samochodu. - Poczula ucisk w żołądku, oczy zapiekły ją od łez.

- Kto go wyciągnął?

- Mówiłam ci, nie wiem. Widziałam dwóch mężczyzn w kominiarkach. Jeden mnie uderzył, drugi zabrał Bena. Chyba było ich tam więcej, jechali furgonetką i samochodem osobowym.

Tom zaklął pod nosem. Ale gdy odezwał się ponownie, mówił tym samym opanowanym tonem.

- Mogłabyś dokładniej opisać mi te wozy? Będzie łatwiej je odnaleźć. Umieścimy oba na liście poszukiwanych pojazdów.

- To była biała furgonetka dostawcza, taka, jakich używają pracownicy różnych firm. I ciemny samochód osobowy,

czterodrzwiowy sedan. - W tym momencie pojęła, co Tom zamierza, i przeraziła się. - Nie wolno ci nakazać poszukiwania tych aut.

Zabronili mi iść na policję. Kazali wrócić do domu i zachowywać się, jakby nic się nie stało. Zostawiłam włączone światło i telewizor, żeby myśleli, że wciąż tam jestem. - Zaczerpnęła potężny haust powietrza. - Chcą czegoś ode mnie. Mam coś dla nich zrobić. Jutro wieczorem, podczas kwesty na kampanię Jima Wolffa. Powiedzieli, że zadzwonią, gdy już tam będę, i powiedzą, o co chodzi. Jeśli wykonam ich polecenie, wypuszczą Bena, w przeciwnym razie go zabiją.

- Jezu. - Tym razem w jego głosie ujawniły się prawdziwe emocje. Po chwili spojrział na nią. - Posłuchaj mnie, Kate: trzeba natychmiast zarządzić poszukiwania tych samochodów. - Znow był opanowany. - I zadzwonię do Ricka Stuarta z wydziału najcięższych przestępstw, oni tam mają doświadczenie w sprawach porwań. Muszę także skomunikować się z Mac Willetsem z FBI.

- Nie. - Kate zakołysała się na siedzeniu, utkwivszy niewidzące oczy w ciemnej ulicy przed nimi. Czowała dławiącą ją panikę. - Nie możesz. Oni mnie śledzą. Wiedzą o mnie bardzo dużo. A jeśli podsłuchują rozmowy policyjne, by sprawdzić, czy zgłosiłam porwanie? A może któryś z nich jest policjantem?

Tom umilkł na chwilę.

- Wpadasz w paranoję.

- Nie - zaprotestowała. - Nie wpadam. Ty o niczym nie wiesz.

- W takim razie musisz mnie oświecić. - Zamyślił się. -
Jedziemy do mnie. Opowiesz mi całą historię, a potem zdecydujemy,
jak najlepiej postąpić.

Kate nie protestowała. Sama nie wymyśliłaby nic lepszego.

Skręcił w prawo i po kilku minutach jechali już drogą szybkiego
ruchu. Piętnaście minut później wchodzili do pokoju dziennego Toma,
zaparkowawszy, jak nalegała Kate, w bocznej uliczce. Do domu
wślizgnęli się kuchennymi drzwiami.

A wszystko to na wypadek, gdyby ktoś wiedział, że się
spotykają, i obserwował także dom detektywa.

- Niech to szlag - powiedział, gdy włączywszy światło, wreszcie
zobaczył ją wyraźnie. - Jesteś ranna? Mówiłaś, że cię uderzyli. Gdzie?

Kate nie miała pojęcia, jak wygląda, ale po minie Toma bez
trudu się zorientowała, że źle. Trzęsła się, pocila, czuła mdłości, w
myślach miała kompletną pustkę. Bolała ją głowa i żołądek. Miała
podpuchnięte oczy i spieczone wargi. Bez wątpienia była także
śmiertelnie blada.

- To bez znaczenia. - Ich oczy się spotkały. - Tak strasznie się
boję, że skrzywdzą Bena. - Głos jej zadrżał.

- Tak, wiem.

Tom wziął ją w ramiona i mocno przytulił w odruchu
pocieszenia. Kate objęła go w pasie i przycisnąwszy mu twarz do
piersi, wdychała znajomy zapach. Pod policzkiem czuła chłód i
miętkość jego szarej sztruksowej marynarki. Twardy kształt kabury
podziałał na nią krzepiąco. Gdyby nie zwróciła się do Toma o pomoc,

zupełnie nie wiedziałyby, co zrobić. Był niczym opoka i ufała mu bez reszty, co nieczęsto jej się zdarzało. Ale pozwoliła sobie tylko na chwilę słabości i zaraz uwolniła się z uścisku.

Nie zatrzymywał jej.

Splotła dłonie i popatrzyła na niego z niepokojem.

- Powiem ci, co się wydarzyło. Potem zdecydujesz, co robić.

- Nie jesteś ranna? Na pewno?

- Na pewno.

- No to mów. - Zsunął jej z głowy szalik i rozpiął guziki płaszcza. Zabrał jej okrycie, a potem rzucił szalik i płaszcz na mały bujany fotel stojący obok kominka. - Najpierw usiądź. Wyglądasz, jakbyś miała zaraz zemdleć.

I tak też się czuła, więc opadła na kanapę, wypija Jacka Danielsa z colą - z przewagą whisky - i pośpiesznie opowiedziała mu całą historię: o dawnej znajomości z Mariem; o zabójstwie Davida Brady'ego; o tym, jak Mario rozpoznał ją wtedy w korytarzu w gmachu sądu, jak potem zastrzelił Rodrigueza, a ją usiłował zmusić szantażem, by wyciągnęła go z więzienia; o wizytach w jej domu wspólników Maria, których na szczęście Tom przepłoszył. Wyjawiała, że to Mario był na tylnym siedzeniu jej samochodu i że chciał, by z nim pojechała poznać jego „przyjaciół”, na szczęście udało jej się wtedy uciec; przyznała się do zamiaru poradzenia sobie z tym łotrem na własną rękę i że zadzwoniła do niego, by umówić się na spotkanie w jej domu. Opowiedziała, jak potem sądziła, że cały ten koszmar wreszcie się skończył, bo ktoś inny sprawił, że Mario zakończył życie

w jej garażu. Potem dodała, że „przyjaciele” Maria porwali ją z ulicy i grozili jej, gdyby odmówiła im przysługi, i zakończyła, wspominając o mężczyźnie, który wcześniej tego dnia znalazł ją w damskiej toalecie w sądzie. A w końcu opowiedziała o porwaniu Bena.

Gdy umilkła, łzy napłynęły jej do oczu, więc zacisnęła powieki, by się opanować. Ale czuła, jak płyną po policzkach, gorące i słone.

Tom stał nad nią z surową miną policjanta, słuchając w skupieniu każdego słowa. Wyjął jej z dłoni już prawie pustą szklanekę i odstawił ją na skrzynkę, służącą za stolik. Gdy Kate uniosła wzrok i ich oczy się spotkały, wyraz jego twarzy lekko złagodniał. Pochylił się, wziął ją na rękę i usiadł na rozpadającym się zielonym fotelu obok kanapy.

- Nie płacz. Będzie dobrze - pocieszył Kate, sadowiąc ją sobie na kolanach.

- Nie chodzi o mnie. - W jej głosie zabrzmiało przerażenie, gdy obejmując go za szyję, wtuliła twarz w jego ramię. Szlochała i cała się trzęsła; jej łzy zmoczyły mu marynarkę. - Chodzi o Bena. Musimy go znaleźć.

- Znajdziemy - odrzekł stanowczo. Mocne ramiona Toma dodawały jej otuchy. - Chyba mamy trochę czasu. Ktokolwiek go porwał, nic mu nie zrobi, dopóki nie otrzyma od ciebie tego, czego chce. - Przez chwilę trzymał dłoń na karku Kate, a potem delikatnie wsunął palce pod jej włosy. Drgnęła, gdy dotknął opuchniętego miejsca. -Bardzo boli?

- To tylko guz. Przeżyję. - Niecierpliwie zakryła opuchliznę włosami. Te niewielkie obrażenia były niczym w porównaniu z nieustającą, straszliwą rozpaczą z powodu utraty Bena. Pociągnęła nosem, zacisnęła zęby i walcząc z paniką, uniosła głowę. Spojrzała na Toma uważnie.

- Czy sądzisz, że jeśli jutro zrobię to, co mi każą, istnieje jakakolwiek możliwość, że go wypuszczą?

Oczy nadal piekły ją od łez, głos zdradzał udrękę, ale wciąż starała się trzymać. Strach o Bena niczym śmiertelna trucizna porażał każdą komórkę jej ciała. Teraz myślała tylko o bezpieczeństwie synka.

- Nie.

W porządku. Przynajmniej był szczery. Ona uważała podobnie.

- Musimy się dowiedzieć, kto go porwał. Mario należał do Czarnych Smoków. To gang...

- Wiem wszystko o Castellanosie i Czarnych Smokach. Wierz mi, przez ostatnie kilka dni dokładnie prześledziłem jego przeszłość. Na przykład dowiedziałem się o twojej wizycie u niego w więzieniu.

- Tak? - Jak mogła przypuszczać, że przestał ją sprawdzać? Cóż, przynajmniej już miała to z głowy. Później pomyśli o prawnych konsekwencjach, jakie jej groziły. Teraz o to nie dbała. Chodziło jej tylko o uratowanie Bena. Za wszelką cenę.

- Czy to ty sfalszowałaś podpis sędziego Hardy'ego na nakazie zwolnienia, dzięki któremu Castellanos wy dostał się z aresztu?

- Co takiego? - Kate wyprostowała się i otarła dłońmi resztkę łez. - Ktoś sfalszował nakaz zwolnienia? To nie ja.

Tom uważnie zmierzył ją wzrokiem.

- Na taśmie z kamery ochrony w biurze naczelnika więzienia będzie widać moment rejestracji nakazu. Jeszcze jej nie obejrzałem, nie byłem pewien, czy chcę wiedzieć.

- Przysięgam, że tego nie zrobiłam. Naprawdę skończyłam z kłamstwami.

Skinął lekko głową, na znak, że wierzy w te słowa.

- Ktoś to zrobił. Przede wszystkim trzeba zidentyfikować tę osobę, gdyż wydaje mi się oczywiste, że Castellanos wydestano z aresztu, aby mógł cię zawieźć do swoich „przyjaciół”, kimkolwiek są. Bo niby dlaczego mieliby mu pomagać? I czemu musiał umrzeć? Teraz sądzę, że zastrzelono go, by ktoś mógł przejąć nad tobą kontrolę.

- Zamierzałam sprawdzić, kto podpisał nakaz zwolnienia Maria - powiedziała Kate. - Ale nigdy do tego nie doszłam. Nie wydawało mi się to zresztą ważne.

- Cóż, teraz jest. - Bez ostrzeżenia podniósł się razem z Kate, uniósł ją jak piórko i na powrót posadził na kanapie. Wyprostował się i wyjął komórkę z kieszeni marynarki.

- Tom... - Widok telefonu ją przeraził.

- Muszę zadzwonić do ludzi, o których ci wspomniałem, do Ricka Stuarta z najcięższych przestępstw i Maca Willetsa z FBI. I chcę włączyć w tę sprawę Fisha. Potrzebujemy pomocy, a tych gości

znam osobiście i ufam im. Nie wykonam żadnego więcej ruchu, dopóki razem czegoś nie postanowimy.

Wprawdzie pomysł zawiadomienia kogokolwiek przyprawił Kate o dreszcz, ufała jednak Tomowi, a on ufał tamtym, więc przyzwalająco skinęła głową.

Oddalił się kilka kroków z komórką w dłoni i odbył parę krótkich rozmów. Gdy wrócił, Kate spojrzała na niego pytająco.

- Już jadą - oznajmił, stając tuż przed nią. Siedziała skulona w rogu kanapy, z całej siły starając się opanować trwogę. - Willets uważa tak jak ty, że może chodzić o zamach na życie Jima Wolffa. Jeżeli tak, to duża sprawa. Ale nawet jeśli się okaże, że jest inaczej, i tak będziemy mieli wystarczającą podstawę do zawarcia układu.

- Jakiego układu?

- W zamian za twoją pełną współpracę możemy zaproponować ci zwolnienie od odpowiedzialności karnej za wszelkie przestępstwa, jakie popełniłaś, łącznie ze sprawą tamtego ochroniarza. Gdy wszyscy już tu będą, sporządzimy umowę na piśmie.

Kate wzięła głęboki oddech. Możliwość, że wreszcie odetnie się od przeszłości, była oszałamiająca - lub byłaby, gdyby nie Ben.

- Wszystko mi jedno - starała się mówić opanowanym głosem. - Bylebym tylko odzyskała mojego syna.

- No cóż, mnie nie jest wszystko jedno. - Złapał ją za rękę i podciągnął na nogi. - Załatwimy układ o nietykalności. A także uratujemy Bena. Może byś poszła umyć twarz, a ja tymczasem zrobię kawę? Zanoszę się na długą noc.

Przez pozostałą część nocy i większość następnego dnia Kate widziała wszystko jak przez mgłę. Pojawili się funkcjonariusze wezwani przez Toma do pomocy, a potem sprawy przybrały szybki obrót. Niektóre momenty zaznaczyły się wyraźniej, na przykład chwila, gdy podpisując umowę wypracowaną przez Toma i agenta specjalnego Willetsa, zdała sobie sprawę, że ostatecznie uwolniła się od groźby odpowiedzialności karnej za zabójstwo Davida Brady'ego - choć jego śmierć na zawsze miała pozostać w jej pamięci. Zapamiętała też moment, gdy siedząc z Tomem i Fishem w kuchni, oglądała na monitorze taśmę z dyżurki ochroniarza. Zobaczyła, jak biały mężczyzna między trzydziestką a czterdziestką, ubrany w oficjalny szary garnitur, wręcza funkcjonariuszowi siedzącemu po drugiej stronie blatu nakaz zwolnienia Maria. Nie najlepsza jakość taśmy i miejsce, z którego sfilmowano tę scenę, nie pozwoliły na dokładne przyjrzenie się twarzy tego mężczyzny. Ogólny zarys postaci mógł odpowiadać setkom osób. Ale gdy patrzyła, jak ten człowiek podchodził do okienka - obejrzała tę sytuację wiele razy - miała niejasne uczucie, że skądś go zna. Choć bardzo się starała, nie udało jej się jednak go zidentyfikować. Teraz wszystko zależało od analizy odcisków palców i ustalenia DNA na podstawie samego dokumentu. W drodze wyjątku - o co poproszono - wyniki miały być gotowe następnego dnia. Co oznaczało, że było już coraz mniej czasu, aby zatrzymać tego człowieka i dotrzeć przez niego do porywaczy Bena.

Który pewnie nie dostał kolacji. Który może marznąć lub cierpieć w jakimś koszmarnym miejscu. Który z pewnością jest śmiertelnie wystraszony.

Straszliwe wizje podsuwane przez wyobraźnię sprawiały, że Kate wręcz traciła rozum ze strachu, chociaż usiłowała odsunąć od siebie te ponure myśli. Nie mogła zasnąć, mimo że Tom nalegał, aby położyła się choć na kilka godzin. Nie zdołał także jej namówić, by cokolwiek zjadła, zdołała jedynie przełknąć kilka łyków kawy. Starła się ze wszystkich sił pomóc w rozwikłaniu zagadki i znalezieniu jakiegoś tropu, który doprowadziłby ich do Bena.

Przed świtem ustalono, że Kate wróci do siebie, aby mogła następnego dnia wyjść z domu, jakby spędziła w nim noc. Pójdzie do pracy i będzie się zachowywać możliwie jak najnormalniej. Potem znów pojedzie do domu, skąd Tom zabierze ją o siódmej na przyjęcie. Podczas imprezy aż do telefonu od porywaczy zachowa pozory spokoju. Przestępcy w żadnym wypadku nie mogą nabrać podejrzeń, że ich plan nie wypalił.

Kate modliła się, by odcisk palca czy ustalenie DNA z nakazu zwolnienia, względnie podane przez nią informacje o furgonecie i samochodzie lub sprawdzenie gangu Czarnych Smoków pozwoliły na zidentyfikowanie porywaczy. Ale nawet gdyby Ben został odnaleziony wcześniej, jej obecność na kweście i odebranie telefonu stanowiło część układu, który zawarła, by uzyskać nietykalność.

Na myśl, że chłopca nadal może nie być w domu następnego dnia wieczorem, Kate poczuła ogarniający ją lodowaty chłód.

Tom odprowadził ją do domu około piątej rano; przedzierali się przez pograżone w ciemnościach podwórka na tyłach posesji i dostali się do środka przez kuchenne drzwi. O ile można się było zorientować, domu nikt nie obserwował. Wszystko wyglądało tak samo, jak przed jej wyjściem; niektóre lampy były włączone, zasłony szczelnie ściągnięte. Kate wzięła prysznic, przebrała się, napiła się kawy i przełknęła kęs grzanki, którą przygotował jej Tom. Poczula ciężar w żołądku i zrezygnowała z dalszego jedzenia.

Zaraz po siódmej, gdy nadeszła pora wyjścia do biura, Tom odprowadził ją do stojącego w ciemnym garażu samochodu.

- Będzie za tobą jechało auto - poinformował ją, gdy otwierała drzwi automatem przy kluczyku. - Choć nic nie zauważysz, ktoś będzie czuwał nad tobą przez cały dzień.

Uzgodnili, że Tom powinien trzymać się od niej z daleka, dopóki nie przyjedzie po nią wieczorem.

- W porządku.

Otworzyła drzwi samochodu. Kiedy zabłysła lampka, skuliła się instynktownie. Ale znajdowali się przecież w pozbawionym okien garażu. Nikt nie mógł widzieć, co się dzieje w środku.

- A to co? - Wzrok Toma zatrzymał się na stercie cennych skarbów Bena wciąż leżących na siedzeniu pasażera. Sam widok misia wystarczył, by Kate poczuła ucisk w gardle. Ominęła spojrzeniem zabawkę i odwróciła się, by popatrzeć na stojącego tuż za nią mężczyznę - wysoka, ciemna postać pograżona w mroku, tuż za zasięgiem świateł samochodu.

- Drobiazgi Bena - wyjaśniła jak najzwyczajniej, gdyż samo mówienie o tym sprawiało jej ból. - Rzeczy, których po prostu nie mogłam zostawić.

- Naprawdę zamierzałaś wyjechać bez słowa? - Jakaś nuta w jego głosie kazała jej dokładniej przyjrzeć się jego twarzy.

- Wydawało mi się, że nie mam wyboru.

- Złamałabyś mi serce, przecież wiesz. - Na jego ustach zamajaczył chłodny uśmiech, ale oczy pozostały ciemne i poważne. - Tak dla porządku, chyba powinnaś wiedzieć, że za tobą szaleję.

Popatrzyła na Toma i pomimo tego wszystkiego, co się wokół działo, serce jej zatrzepotało, a krew zaczęła krążyć szybciej. Ciepłą, gładką dłonią dotknął jej policzka i pochylił się do przodu, wyraźnie chcąc ją pocałować. Zanim ich usta się zetknęły, Kate powstrzymała go ręką.

- Ja też cię kocham - szepnęła. Uśmiechnął się szerzej.

- Tak myślałem - odrzekł i pożegnał ją namiętym i niewypowiedzianym satysfakcjonującym pocałunkiem zakończonym dopiero w momencie, gdy wsunęła się do samochodu.

Potem zniknął z powrotem w domu, a Kate nacisnęła guzik otwierający drzwi garażu.

Następnych czternaście godzin były najdłuższymi godzinami w życiu Kate. Gdy o dziewiątej tego piątkowego wieczoru schodziła z podium - w obcisłej, czarnej sukience pożyczonej od Mony i w kolczykach z imitacją diamentów, ściskając w dłoni Błyszczącą Gwiazdę, którą przed chwilą, przy ogromnym aplauzie zebranych

wręczył jej burmistrz - ze strachu niemal odchodziła już od zmysłów. Porywacze dotąd się nie odezwali, a zespołowi śledczych nie udało się ustalić ich tożsamości. Jim Wolff opuścił budynek. Po wymianie krótkich uprzejmości z obecnymi na uroczystości ważnymi sponsorami został wyprowadzony przez swoich ochroniarzy, którzy zostali wcześniej powiadomieni o ewentualnej próbie zamachu i nie pozwolili mu przebywać dłużej w tym miejscu, choćby nawet od tego zależało życie małego chłopca. Członkowie grupy mającej uratować Bena, jak zawsze pełni pomysłów, podstawili na miejsce Wolffa jego sobowtóra - mężczyznę w identycznym garniturze oraz mniej więcej tego samego wzrostu, budowy i rysów - miał właśnie rzekomo przebywać na zapleczu na spotkaniu z paroma potencjalnymi wpływowymi sponsorami, którzy w rzeczywistości byli agentami FBI. Podczas krótkiego pobytu Jima Wolffa na uroczystości filmowały go wszystkie lokalne stacje telewizyjne i nikt poza niewielką grupką funkcjonariuszy zaprzysiężonych do utrzymania operacji w tajemnicy nie wiedział o podstawionym sobowtórze. Ale Kate była chora ze strachu, że porywacze w jakiś sposób odkryją podstęp.

Gdy minuty ciągnęły się w nieskończoność i nikt nie dzwonił, nabierała coraz głębszego przekonania, że tak właśnie się stało. Serce uderzało jej coraz szybciej, jakby napędzane przerażeniem.

Akurat zdążyła usiąść przy stoliku obok Toma - tak przystojnego w smokingu, że w innych okolicznościach rozpłynęłaby się z zachwytem - gdy odezwała się jego komórka. Nagły dźwięk przestraszył ją do tego stopnia, że omal nie spadła z krzesła.

Tom przeprosił i wstał, Kate także się podniosła i przeprosiwszy resztę towarzystwa, poszła za nim. Jeżeli teraz ktoś do niego dzwonił, to z pewnością chodziło o Bena. Czyżby porywacze w jakiś sposób zdobyli numer Toma? A może odnaleziono Bena? Czy...

Jej szalone spekulacje skończyły się, gdy Tom się rozłączył i spojrzał na nią. Stali w małym korytarzu biegnącym wzdłuż wschodniej ściany budynku. Mieli stąd widok na główną salę i podium, na którym burmistrz wręczał Gwiazdę następnej osobie, i na jeden z potężnych, złożonych łuków wspierających sklepienie.

- Zidentyfikowano mężczyznę nagranego przez kamerę ochroniarzy - oznajmił Tom. - To Edward Curry. Jak zapewne pamiętasz, tamtego dnia był w sali rozpraw.

Najwyraźniej to on sfalszował podpis sędziego i osobiście dostarczył nakaz. Ponadto odcisk jego palca pasuje do pozostawionego na broni, z której Soto zastrzelił sędziego Morana, a więc Curry brał także udział w podrzuceniu broni.

Ed Curry. Kate się zachwiała.

- Aresztowali go? Powiedział coś? Wie coś o Benie?

Tom pokręcił przecząco głową.

- Nie chcą go na razie zatrzymywać. Boją się, że wtedy porywacze mogliby podejrzewać, że poszłaś na policję. Obserwują go, później zostanie aresztowany.

Chciał powiedzieć, że tylko w ten sposób będą mogli odnaleźć chłopca.

- Och mój Boże. - Kate poczuła okropny ucisk w żołądku. - A jeśli...

Jej telefon zadzwonił.

RS

Rozdział 30

Kate rzuciła Tomowi przerażone spojrzenie i wyjęła komórkę z pożyczonej od Mony wieczorowej torebki. Odbierając po następnym sygnale, ujrzała wyświetlającą się informację: rozmówca niezidentyfikowany.

- Halo.

- Halo, pani White? - To był on. To on. Kate dała znak Tomowi, który natychmiast wyjął nadajnik, oddalił się nieco i szybko rzucił coś do mikrofonu.

- Gdzie mój syn? - zapytała stanowczym głosem Kate. Ręce jej drżały, ugiwały się pod nią kolana, serce wykonywało salto.

- Powiem pani, gdy tylko wyświadczy nam pani przysługę. - Mówi z komórki, pomyślała Kate, słysząc liczne zakłócenia. Z drugiego końca linii wyraźnie dochodził niski szum, przerywany dźwiękami przypominającymi klikanie. - Słucha mnie pani?

-Tak.

- Proszę pójść do damskiej toalety w korytarzu na tyłach, w sąsiedztwie kuchni, i otworzyć okno. - I znowu ten szum, a potem klik-klik-klik.

Żeby ktoś mógł przez nie wejść? Może zabójca? Tom już pojawił się z powrotem. Znow miał ten swój policyjny wyraz twarzy. Wbiła w niego wzrok. Gestem dłoni dał jej znak, by przeciągała

rozmowę jak najdłużej. Wiedziała, że próbują namierzyć telefonującego.

- Słyszała mnie pani? - zapytał głos.

- Najpierw chcę porozmawiać z Benem - odrzekła, tak jak ją poinstruowano. - Niczego nie zrobię, dopóki nie usłyszę jego głosu. Skąd mam wiedzieć, czy mój syn jeszcze żyje?

-Pani White... Szum. Klik-klik-klik.

- Mówię poważnie. Żądam rozmowy z synem. Jeśli z nim nie porozmawiam, nic nie... - Niewiele brakowało, by wpadła w histerię.

Najwyraźniej go przekonała, bo powiedział:

- Proszę czekać.

Poza zakłóceniami, panowała cisza. Potem Kate usłyszała dochodzącą z oddali, przytłumioną rozmowę dwóch osób, jakby się nad czymś zastanawiających. I ponownie:

- Proszę czekać. A po chwili:

- Mama?

- Ben? - Serce jej się ścisnęło. Potężna fala ulgi omal nie zbiła jej z nóg. - Nic ci nie jest?

- Pamiętasz ten mój koszmarny sen o tyranozaurze? Głos mu drżał, ale brzmiała w nim także jakaś całkiem inna nutka. Słyszając ją, Kate zmarszczyła brwi i tak mocno zacisnęła dłoń na komórce, że zbieleły jej knykcie.

- Zeszłej nocy znów mi się przyśnił.

Coś zaszurało, rozległ się jakiś łoskot, a potem stłumione „oj” Bena.

- Ben! - zawołała rozpaczliwie, wiedząc, że już jej nie słyszy. -
Ben!

Poza zakłóceniami po drugiej stronie ponownie wszystko umilkło.

- Ben - jęknęła i niemal zasłabła, wciąż z komórką przy uchu. Z trudem oddychała, jakby zaraz miała zemdleć.

Nie wolno jej tracić głowy. Za wszelką cenę musiała się trzymać: dla Bena.

- Proszę iść i otworzyć to okno, pani White. - Mężczyzna znów się odezwał.

- Zrobiliście mu krzywdę? - zapytała zrozpaczona. Cała się trzęsła z napięcia, strachu i gniewu. - Jeśli coś mu się stało...

Urwała, gdyż mężczyzna się rozłączył. Zorientowała się od razu, jak tylko zamilkły zakłócenia. Rozchyliła usta i ciężko chwyciła powietrze. Odszukała wzrokiem Toma.

- Tom... - Nie mogła się zdobyć na wyłączenie komórki. Nadal mówił coś do nadajnika, nie odrywając oczu od jej twarzy.

- Udało się go namierzyć?

Wiedziała, że rozmawiał z człowiekiem usiłującym zlokalizować telefon porywacza. Niestety, jeszcze zanim w odpowiedzi na jej błagalne spojrzenie potrząsnął smutno głową, jego mina powiedziała Kate wszystko. Oparła się o ścianę i patrzyła, jak z różnych stron niczym armia mrówek zbliża się do nich grupa specjalnie wybranych policjantów i agentów FBI, łącznie z kobietą w blond peruce i obcisłej sukni, która miała zająć jej miejsce podczas rzekomego wykonywania

instrukcji porywacza. Nie zwracając na nich uwagi, Kate pochwyciła Toma za ramię.

- Chyba wiem, gdzie go trzymają - powiedziała ochryłym głosem.

- Jak to? - Opuścił nadajnik i wbił w nią zdumiony wzrok.

- Zeszłego lata zabrałam Bena do portu, żeby popatrzeć na statki.

Widzieliśmy tam billboard przedstawiający tyranozaura atakującego innego dinozaura. Reklama wystawy w muzeum. Następnej nocy Ben miał koszmary związane z tym plakatem. A teraz przez telefon zapytał, czy pamiętam jego straszny sen o tyranozaurze, i dodał, że wczorajszej nocy znów mu się przyśnił ten potwór. Z miejsca, w którym go trzymają, zapewne widzi ten billboard. Próbował powiedzieć mi, gdzie jest.

- Jezu - jęknął Tom, gdy nadeszły posiłki. - Sprytny dzieciak.

Port marynarki wojennej w Filadelfii mieścił się przy końcu South Broad Street. Po horyzont widać było stamtąd gładkie, ciemne wody Chesapeake Bay. Wzdłuż wybrzeża ciągnęły się pływające doki. Korzystały z nich okręty wojenne, lotniskowce i kanonierki, przybywające z wizytą lub stojące tu na kotwicy. Od czasu do czasu pojawiała się jakaś łódź podwodna, a także barki i frachtowce z całego świata oraz niewielka flotylla jednostek rybackich. Bywały tu też statki turystyczne, kotwiczące w wyznaczonej przestrzeni przy końcu nabrzeża. Za portem stało kilkanaście szaroniebieskich, metalowych baraków. Olbrzymie kontenery czekały przy magazynach na przetransportowanie do budynków lub na statki. Podnośniki, dźwigi i

kołowroty zamarły w bezruchu do następnego dnia. Między magazynami, równoległe do doków bieging wąskie, wybetonowane ścieżki. Pozostałą część terenu pokrywał porośnięty lichą trawą żwir. Olbrzymie halogenowe lampy oświetlały przestrzeń w sąsiedztwie doków, dalej jednak stocznia tonęła w ciemnościach. Wejścia do portu jachtowego pilnował samotny strażnik siedzący w małej budce. Kilku innych patroloowało nabrzeże. Poza paroma dokerami nadal pracującymi przy rozładowaniu jakiegoś frachtowca nikogo tu nie było widać.

Kawalkada sześciu samochodów podjechała możliwie jak najciszej jedną z tras prowadzących przez środek stoczni. Na przodzie znajdowały się dwa czarno-białe policyjne radiowozy, z wyłączonymi kogutami. Za nimi były dwa nieoznakowane wozy. Dwa ostatnie należały do FBI. W sumie sześcioma autami przybyło dwudziestu funkcjonariuszy. Choć czasu było niewiele, wezwano posiłki i następne wozy ze wsparciem właśnie okręzały stocznię. Wprowadzono nakaz ścisłej ciszy na falach radiowych, na wypadek gdyby porywacze mieli dostęp do pasma policyjnego.

- To cholernie trudny do przeszukania teren. - Głos Fisha brzmiał ponuro.

Tom prowadził auto, Kate zajmowała miejsce obok niego. Przez przednią szybę wpatrywała się w tablicę stojącą przy północnym końcu stoczni. Ustawiono ją tak, by była widoczna z pobliskiej drogi szybkiego ruchu. Wznosiła się na wysokość dwóch pięter; był to ten sam plakat, który zapamiętała - z tyranozauem reklamującym

wystawę w Muzeum Morskim. Dobrze oświetlony, od razu rzucał się w oczy.

Był widoczny z każdego miejsca stoczni. I prawdopodobnie też z pół kilometra dalej, ze wszystkich trzech kierunków. Jak i z każdego samochodu pędzącego drogą szybkiego ruchu.

Ścisnęło ją w żołądku, gdy pojęła ogrom stojącego przed nimi zadania. Jeżeli nie uda im się jakimś sposobem określić konkretnego miejsca, próba odnalezienia Bena będzie przypominała przysłowiowe poszukiwanie igły w stogu siana. Zmartwiona Kate lustrowała wzrokiem okolicę.

Gdzie jesteś, Ben?

- Dlaczego sądzisz, że na imprezie jeszcze nic się nie wydarzyło? - zapytała, próbując nie okazać, jak bardzo się boi. Tom właśnie skończył rozmawiać przez telefon z jednym z policjantów pozostałych w Troc. Okno otworzyła - zgodnie z otrzymaną przez Kate instrukcją - agentka FBI, obstawiona przez kolegów, którzy mieli dopaść każdego intruza w promieniu półtora kilometra. Do tej pory nikt nie zbliżył się do okna.

- Według ustalonego programu Wolff miał opuścić lokal korytarzem biegnącym obok tej toalety - powiedział Tom. - Może zaplanowali coś na moment, gdy będzie wychodził. Oficjalnie pożegna się o dziesiątej, czyli za jakieś dwadzieścia minut. Nie ma powodu się obawiać, że coś jest nie tak.

- Nadal próbują namierzyć człowieka, który do ciebie dzwonił - dodał Fish. - Prawdopodobnie fale odbiły się od jakiejś wieży, więc

po sprawdzeniu wszystkich połączeń, które dokładnie w tym czasie wykonano z tego terenu, może uda się go znaleźć.

Nie powiedział tylko, że pomiary zabiorą dużo czasu, jeśli w ogóle przyniosą jakiś efekt. A właśnie czasu, jak obawiała się Kate, nie mieli zbyt wiele.

Minęło dopiero dziesięć minut, odkąd rozmawiała z Benem, ale w tej sytuacji dziesięć minut mogło oznaczać całe życie.

Czy tamci już wiedzą, że ich plan został odkryty? Czy uznali, że Ben nie jest już im potrzebny?

Obie te myśli sprawiły, że zabrakło jej powietrza.

Wozy jadące przed nimi właśnie się zatrzymywały. Tom zaparkował taurusa i wysiedli. Noc była zimna i Kate marzły stopy w butach Mony - nosiły ten sam rozmiar i pożyczyła je razem z sukienką. Seksowne, srebrzyste sandały na cieniutkich obcasach nie nadawały się do spacerów. Na szczęście miała na sobie płaszcz, który narzuciła na suknię wieczorową, mimo że w ogóle do niej nie pasował. Na zaciągniętym chmurami niebie nie widać było księżyca ani gwiazd, i gdyby nie światło halogenowych lamp, byłoby całkiem ciemno. Wiejący od zatoki wiatr pachniał morzem i zapowiadał deszcz.

W pobliżu rozległ się stukot energicznych kroków.

- Cokolwiek się wydarzy, trzymaj się blisko mnie -poleciał Tom, gdy podszedł do nich Willets ze swoim partnerem, którzy jako agenci federalni nominalnie kierowali operacją. - Zostawiłbym cię w

samochodzie, ale zbyt wiele może pójść źle. Zresztą i tak ci nie ufam na tyle, by cię tu zostawić.

- Czy to ten plakat? - zapytał Willets, dochodząc do nich i wskazując głową w stronę tyranozaura. Willets był wysoki, dobrze zbudowany, miał krótkie, gęste brązowe włosy w odcieniu tytoniu i przystojną twarz o mocno zarysowanej szczęce. Tak jak pozostali agenci federalni ubrany był w nieskazitelny garnitur i krawat.

- Tak - odrzekła Kate.

Willets rozejrzał się wokół i cicho gwizdnął.

- Prawdopodobnie jest widoczny z każdego kwadratowego cala tego terenu - zauważył rozczarowany.

- Pospieszcie się - szepnęła Kate. Agent spojrział na nią i skinął głową.

Pięć minut później podzielili całą przestrzeń na kwadraty i systematycznie przeszukiwali magazyn po magazynie, zachowując się możliwie najciszej, by nie zdradzać swej obecności. Przy samochodach zostali tylko Kate i Tom. Ona jako cywil, a Tom, bo odmówił zostawienia jej samej.

- Możemy przynajmniej przejść się trochę? - Trzęsąc się z zimna, wcisnęła głębiej dłonie do kieszeni. Zmarzła przeraźliwie, wiedziała jednak, że odczuwany przez nią chłód ma niewiele wspólnego z jesienną temperaturą. Był to przenikający do kości lodowaty strach. Jeśli się pomyliła, jeśli Bena tu nie ma... Wolała nie kończyć myśli. - Nie wytrzymam dłużej.

Tom rozejrzał się wokół. Z miejsca, w którym oboje stali, widać było ciemne postacie wślizgujące się do budynków i krótkie błyski światła - latarek używano bardzo ostrożnie.

Od czasu do czasu zapalały się lampy w całym magazynie, choć nie we wszystkich działało oświetlenie.

- No to chodź. - Tom ujął ją pod łokieć i razem ruszyli wzdłuż zaparkowanych samochodów.

Po obu stronach, w odległości około dwóch metrów, znajdowały się trypoziomowe magazyny. Ciemne, metalowe budynki całkowicie stapały się z nocą. Na myśl, że jej syn może być więziony w jednym z nich, Kate zapragnęła rzucić się między nie biegiem i wykrzykiwać imię chłopca. Powstrzymywała ją jedynie świadomość, że gdyby porywacze zauważyli ich obecność, mogliby od razu go zabić. Jednak o dziesiątej ten, kto więził Bena, dowie się, że coś nie wypaliło. Pozostało tak niewiele czasu.

Za każdym razem, gdy sobie o tym przypominała, umierała ze strachu.

Przystanąła, zacisnęła dłonie w pięści i zamknęła oczy.

Proszę, Boże, miej Bena w opiece.

- Co jest? - cicho zapytał Tom.

- Cś... Chcę tylko przekonać się, czy potrafię go wyczuć. - Może już nie potrafiła myśleć trzeźwo. A jednak od narodzin syna całe jej życie skupiało się wokół niego. Kochała go każdą swą cząstką, a on odwzajemniał jej uczucie. Łączącą ich więź można by porównać do świecącej liny, która prowadziła Kate do niego w ciemnościach.

Nigdy nie wierzyła w zjawiska parapsychologiczne, to było jednak coś innego. Miała nadzieję, że jej ogromna miłość do Bena zadziała jak drogowskaz, który wskaże jej drogę.

Ben. Gdzie jesteś, synku?

Coś jakby błysnęło w jej podświadomości. Coś niejasnego. Choć nie potrafiła dokładnie określić tego zjawiska, posłuszna instynktowi odwróciła głowę w lewo i ze zmarszczonym czołem ruszyła ścieżką biegnącą wzdłuż dłuższych boków dwóch magazynów. Coś ją tam przyciągało. Chwiała się i potykała na nierównej ścieżce.

- Ben, jesteś tam?

- Kate... - Tom już był obok niej, trzymał ją za ramię.

- Nic nie mów. - Uciszyła go.

Nie miała pojęcia, dokąd idzie ani co ją tam prowadzi, ale czuła, że to coś ważnego. Dotarli do ostatniego w rzędzie magazynu i skręcili w następną wąską ścieżkę między budynkami. Im bardziej oddalali się od świateł, tym było ciemniej i Kate wyczuwała niepokój idącego obok niej Toma. Ich kroki głośno chrzęściły na żwirze. Nie orientowała się, czy tę część terenu już przeszukano czy nie, ale w pobliżu nie widać było nikogo z ekipy. Jak przez mgłę ujrzała, że Tom wyciąga broń.

I wtedy usłyszała ten dźwięk. Może nawet słyszała go przez cały czas, ale gdy stał się wyraźniejszy, w końcu go rozpoznała.

Szum. Klik-klik-klik.

W telefonie słyszała te właśnie odgłosy, tylko uznała je za zakłócenia na linii.

Gwałtownie odwróciła głowę w kierunku, z którego dochodziły. Zdawał się rozbrzmiewać z magazynu po lewej stronie, z rozsuwanymi drzwiami zamontowanymi wzdłuż jednego boku. Uchylone na szerokość zwykłych drzwi, ukazywały jedynie panujące w środku niemal nieprzeniknione ciemności. Tylko zaraz przy wejściu coś połyskiwało matowym, srebrzystym blaskiem. Gdy to coś zaczęło nabierać kształtu, odbijając się od bardziej nieokreślonego tła, Kate w jednej chwili pojęła, że widzi zderzak samochodu.

A dokładnie zderzak czarnego suva.

- Tom. - Ostrzegawczo chwyciła go za ramię i odwróciła się do niego, szukając w ciemnościach jego oczu. Tom zaczął coś mówić, ale popatrzył dalej w głąb magazynu i zamarł.

- Mamo.

Kate podążyła za spojrzeniem Toma, by zobaczyć, co tak przykuło jego uwagę, gdy usłyszała wołanie Bena. Przez jeden cudowny moment był to najmiłszy głos, jaki kiedykolwiek zabrzmiał w jej uszach, a potem dotarło do niej, jaki jest słaby i drżący.

I zobaczyła, na co patrzył Tom: Ben stał tuż za otwartymi drzwiami magazynu. A widziała go tak wyraźnie, gdyż ktoś oświetlał mu twarz latarką. Światło padało także na grube, czarno odziane ramię, przytrzymujące chłopca i przyciśniętą do jego skroni czarną lufę pistoletu.

Kate poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy. W żołądku uformowała jej się bryła lodowatego strachu.

- Ben. - Kate instynktownie ruszyła w stronę synka, ale Tom zatrzymał ją za ramię.

- Nie ruszać się. Nawet nie pisnąć. Albo dzieciak jest martwy - odezwał się ktoś w ciemnościach za nimi. Kate drgnęła, spojrzała w bok i jej oczy zrobiły się ogromne z przerażenia. Zrozumiała, że przez ten czas, gdy oboje skupili uwagę na Benie, człowiek, który mówił do niej w suwie, który ją uderzył - z pewnością był to jego głos -zaszedł ich od tyłu. W ciemnościach wyraźnie rysowała się jego wielka, potężna sylwetka; i wycelowana w nich broń.

- Ike? - W głosie Toma zabrzmiało niedowierzenie. A więc znał tego mężczyznę. Policjant? Czyżby jej instynkt się nie mylił?

- Odłóż broń, Tom. Ładniutko, powoli. Pani White, nie ruszałbym się na pani miejscu. To pani dziecko. Nie będzie już takie śliczne z dziurą w głowie.

Kate zamarła. Zabrakło jej tchu.

- Jakies sto metrów dalej mamy dwudziestu ludzi - powiedział Tom. - Poza tym wokół całego terenu ustawiono blokady. W żaden sposób nie wydobędziecie się stąd.

- Czyżbyś nie doceniał możliwości sierżanta policji? Moglibyśmy zastrzelić całą waszą trójkę, a potem wsiąść do samochodu i bez przeszkód wyjechać. Nikt nie kwestionowałby naszej obecności na miejscu akcji. A teraz połóż broń na ziemi. Nie zmuszaj mnie do wykończenia dzieciaka.

Mężczyzna przytrzymujący Bena zapewne ścisnął go mocniej, bo chłopiec cicho jęknął z bólu.

Ben. Żołądek podszedł Kate do gardła. Oddychała o wiele za szybko, a serce jej biło, jakby właśnie przebiegła kilka kilometrów. Tak strasznie chciała wziąć synka w ramiona, a nie mogła. Nie miała żadnych wątpliwości, że przy najmniejszym ruchu te zbiry by ich zabiły. I do głowy Bena wciąż była przyciśnięta lufa broni.

Tom puścił ramię Kate, pochylił się i położył pistolet na ziemi.

- A teraz się cofnij - rozkazał Ike. -I trzymaj ręce w górze, żebym je widział przez cały czas.

Tom zrobił kilka kroków w stronę Kate. Ike szybko podniósł jego broń.

- Dlaczego? - zapytał Tom.

- Niektórym z nas potrzebne są dodatkowe dochody.

- Ike powiedział to takim tonem, jakby wzruszył ramionami. - Od jakiegoś czasu jestem na liście płac Genovese.

- Kate знаła nazwisko szefa lokalnej mafii. - Wolff go wkurzył i Genovese wyznaczył milion dolarów za jego głowę. Oczywiście jeśli sprawa zostanie załatwiona tak, by do niego nie prowadził żaden ślad. Jeden z naszych miał się pojawić na tym przyjęciu przebrany za kelnera. Przed wyjściem z podobnych imprez Wolff zawsze wypija filiżankę gorącej herbaty. Nasz człowiek miał wsypać do niej truciznę.

- Truciznę? - powtórzyła zaskoczona Kate.

- No bo wiecie, jeśli kogoś zastrzelisz, to cię dopadną od razu. Właściwie nie ma szansy, żeby wyjść z tego cało. A zanim trucizna zacznie działać, minie trochę czasu, no i nie tak łatwo znaleźć

sprawcę. Poza tym byłoby to coś w rodzaju deklaracji, czego właśnie życzy sobie Genovese.

- A co z Edem Currym? - zapytał Tom. - On też jest na liście płac Genovese?

- Nie. To tylko gość, na którego coś mieliśmy, tak jak na obecną tu panią White. Robi, co mu każemy. I kiedy mu powiemy.

- Już nie. Właśnie go aresztują.

- Cholera. - Ike wydawał się szczerze przejęty i Kate domyśliła się, że martwił się o to, co Curry może powiedzieć. Potem zmienił ton.

- Ty pewnie próbujesz wcisnąć mi kit. Założę się, że tylko tak gadasz.

- Nie. Mamy Curry'ego. Ale dla ciebie jeszcze nie jest za późno na układ - oświadczył Tom. - Zeznania przeciwko Genovese.

- Nie sądzę. Wkurzenie bossa nie byłoby najsprytniejszym pociągnięciem. - Wykonał ruch bronią. - Dość gadania. Myślisz, że nie wiem, co ci chodzi po głowie? Właźcie do magazynu. I nawet nie próbuj jej zasłaniać, bo zastrzelę cię jak psa.

Z jego słów Kate domyśliła się, że Tom próbował osłonić ją przed bronią Ike'a, może nawet liczył, że stworzy jej szansę ucieczki. Ale Kate nigdy nie zostawiłaby Bena. Odszukała wzrokiem jego twarz. Chłopiec był bardzo blady, taki mały, bezradny i śmiertelnie wystraszony.

Kate wiedziała, jak się czuł.

Boże, spraw, by Fish, Willets czy ktokolwiek inny zauważył ich nieobecność i zaczął szukać. Ona i Tom byli przecież tuż obok...

Mężczyzna przytrzymujący Bena odciągnął go na bok i Kate przekroczyła próg magazynu.

- Mamo - jęknął chłopiec, widząc ją bliżej.

- Będzie dobrze, kochanie - skłamała. Natychmiast podeszłaby do synka, ale ktoś złapał ją za ramię i wciągnął do środka tak gwałtownie, że nie-nawykła do butów Mony potknęła się i krzyknęła z bólu. Ktoś wykręcił jej rękę na plecy. Mężczyzna, który trzymał chłopca - najwyraźniej to on oświetlał Bena - uniósł wyżej latarkę i rzucił wiązkę światła na ogromne pomieszczenie ze stromym dachem z blachy falistej. Z ciemności wyłoniły się metalowe krokwie i blaszane ściany. Stermta drewnianych skrzyń tworzyła przegrodę zasłaniającą dalszą część hali. Bliżej Kate zobaczyła dwa plastikowe, ogrodowe krzesła, śpiwór i naftowy piecyk. Natychmiast domyśliła się, że to właśnie on był źródłem odgłosów, które zwróciły jej uwagę: nieustający szum i klikający dźwięk, gdy dmuchawa odwracała się z jednej strony w drugą.

Kate zauważyła, że porywacz jak gdyby trzymał teraz Bena trochę ostrożniej. Nie przyciskał go już mocno do siebie i odsunął broń od głowy chłopca. Syn wpatrywał się w nią olbrzymimi, przerażonymi oczami.

Mimo że pociała się ze strachu i miała wrażenie, że lada moment jej wykręcona ręka się złamie, Kate uśmiechnęła się do syna.

Do środka, z rękami uniesionymi do góry, wszedł Tom, a tuż za nim Ike. Kate nie wątpiła, że w ciągu kilku następnych minut wszyscy

troje umrą. Nie było możliwości, by któreś z nich zdołało się uratować.

- Cholera, Ike, zabijesz kobietę i małe dziecko? - odezwał się Tom, gdy wiązka światła powędrowała w jego stronę.

Mężczyzna trzymający Bena nagle wrzasnął.

- Oj! Ugryzł mnie! Ten mały śmieć mnie użarł! Zupełnie nieoczekiwanie chłopiec wyrwał się i skoczył do drzwi, wyjąc niczym wóz strażacki.

- Cholera!

- Łap go!

- Trzymaj go!

- Biegnij, mały, goń!

- Biegnij, Ben!

Gdy zaskoczony zbir zwolnił chwyt, Kate z całej siły, na jaką było ją stać, uderzyła go swym cienkim obcasem w kolano. Krzyknął, a jej udało się uwolnić. Wrzeszcząc jak oszalała, robiła uniki przed zbirem, który ruszył za nią z rykiem. I nagle ujrzała, że w drzwiach Tom zмага się z Ikiem i tym drugim, który jeszcze przed chwilą trzymał Bena, i usiłuje przeszkodzić im w pościgu za chłopcem. Ben uciekał, krzycząc równie głośno jak ona. Głuche odgłosy ciosów wypełniły powietrze. Gdy okrążając stertę drewnianych skrzynek, Kate obejrzała się przerażona, Tom akurat zginał się wpół, trafiony pięścią w brzuch.

Nagle rozległ się głośny trzask.

Kilka kroków dalej ktoś strzelał, najwyraźniej wewnątrz magazynu. Od głośnego huku Kate zadźwięczało w uszach. Potem dał się słyszeć ochrypy krzyk, jakby ktoś został trafiony. - Tom? Serce jej niemal zamarło z lęku o niego, puls straszliwie przyspieszył. Czas jakby stanął w miejscu, gdy Kate próbowała się zorientować, kto jest ranny.

Cały ten hałas niewątpliwie ściągnie pomoc, ale czy tamci przybiegną na czas?

Błagam, Panie Boże, proszę...

I wtedy usłyszała najbardziej upragnione słowa:

- Stać, FBI! - zawołał Willets.

Po chwili zapaliły się światła, a bandytów skuto kajdankami. Kate zobaczyła, że Tom nie jest ranny, udało mu się natomiast wyrwać broń Ike'owi i trafić go w nogę. Przybiegli Ben z Fishem. Chłopiec nadal był blady i roztrzęsiony, ale przestał się już bać. Podbiegł do Kate i ściskali się bez końca.

- Byłeś taki odważny - pochwaliła syna, gdy wreszcie uwolnił się z jej objęć. - Nie mogę uwierzyć, że ugryzłeś tego typu.

- Ktoś musiał coś zrobić, inaczej wszyscy byśmy zginęli. - Spojrzał na Toma. - No to ja już zrobiłem swoje. Uratowałem jej życie. Teraz twoja kolej.

Tom, z początku zaskoczony, potem uśmiechnął się i zwichrzył chłopcu włosy.

- Sprawiedliwe postawienie sprawy - przyznał, obejmując Bena i jego matkę.

Rozdział 31

Osiem miesięcy później Tom stał przy ołtarzu w kościele Matki Boskiej Bolesnej i patrzył na zbliżającą się ku niemu narzeczoną. Towarzyszył mu Charlie, jego drużba. Fish i szwagrowie (w żaden sposób nie udałooby się ich wykluczyć z ceremonii) stali obok Charliego. Już wcześniej środkiem kościoła przeszły siostry Toma, bratowe i Mona, wszystkie w koronkowych sukienkach lawendowego koloru, i stanęły po drugiej stronie ołtarza.

Siedząca w pierwszej ławce matka pana młodego ocierała oczy i uśmiechała się do syna.

A kościół niemal pękał w szwach od krewnych, przyjaciół, znajomych i towarzyszących im osób - w sumie około pięciuset weselnych gości.

Tak naprawdę Kate i Tom myśleli o skromnym ślubie cywilnym. W końcu dla obydwójga było to już drugie małżeństwo. Pobraliby się w urzędzie, bez żadnych fajerwerków.

Ale wyszło inaczej.

Co nie znaczy, by teraz Tom miał coś przeciwko takiemu obrotowi spraw.

Bo Kate, piękna w długiej białej sukni, uśmiechała się właśnie do niego. Uśmiechał się też do niego Ben, który prowadził matkę przez kościół i wydawał się zadziwiająco dorosły w czarnym smokingu, takim samym jaki miał na sobie pan młody.

Za jakieś mniej więcej pół godziny, zależnie od długości wygłaszanego przez księdza kazania - Tom znał go całe swoje życie - staną się rodziną.

Po prostu raz na jakiś czas każdemu trafia się szczęście.

RS